

O. TEOFIL STANISŁAW KAPUSTA OCD

MIŁOŚĆ NIGDY NIE USTAJE

Wspomnienia i refleksje
z okazji 25-lecia posługi misyjnej
polskich karmelitów bosych
w Burundi i w Rwandzie

1996

Wydawnictwo OO. Karmelitów Bosych
31-222 Kraków, ul. Z. Glogera 5

Opracowanie graficzne i korekta
Iwona Pawłowska

Imprimi potest
O. Wiesław Kiwior OCD, prowincjał
Kraków, dnia 12 listopada 1996r.

ISBN 83-85401-78-4

CASA GENERALIZIA
CARMELITANI SCALZI

CORSO D'ITALIA, 38 00198 ROMA

Spis treści:

Do Karmelitów Bosych- list Przełożonego Generalnego Zakonu, O.
Kamila Maccise z okazji srebrnego Jubileuszu Misji w Afryce.

1. Wspominać będę.
2. Ja was posyłam.
3. Abym ubogim niósł Dobrą Nowinę.
4. Aby wszyscy stanowili jedno.
5. Z troski o wszystkie Kościoły.
6. My głosimy Chrystusa Ukrzyżowanego.
7. Nie bój się wziąć do siebie Maryi.
8. Miłością ożywieni służcie sobie wzajemnie.
9. Świętymi bądźcie.
10. Patrz, jakie budowle.
11. Nie bójcie się.
12. Idźcie na cały świat.

Dodatek z wojennych przeżyć Karmelitów Bosych- Rwanda 1994

DO KARMELITÓW BOSYCH OBYDWU PROWINCJI POLSKICH Z OKAZJI SREBRNEGO JUBILEUSZU MISJI W AFRYCE

Drodzy Współbracia.

Podczas, gdy cały Zakon stoi u progu jubileuszu 100-lecia śmierci św. Teresy od Dzieciątka Jezus, Patronki Misji, przypada 25-lecie misyjnej posługi synów polskiego Karmelu w Burundi i w Rwandzie. Misja w Afryce, podjęta w latach posoborowej odnowy, należy dziś prawnie – wskutek podziału Polskiej Prowincji Ducha Świętego – do Prowincji

Krakowskiej. Realizują na niej jednak swoje misyjne powołanie zakonnicy z obydwu Prowincji, dlatego zwracam się do Was wszystkich.

Pragnę przywołać na samym początku słowa, które w odniesieniu do misji w Burundi skierował do Was przed piętnastu laty mój poprzednik, o. Filip Sainz de Baranda: **Ponadto Prowincja posiada jeszcze jedną, bardzo wielkiej wagi działalność apostolską, jaką jest misja w Burundi. [...] Bez żadnej ujmy dla innych prac duszpasterskich, śmiałybym twierdzić, że misja w Burundi, gdzie pięknie kwitnie także życie zakonne i karmelitańskie, jest najwspanialszą posługą, jaką Kościół powierzył Waszej Prowincji.**¹

Dzisiaj, z okazji 25-lecia misji w Burundi, która z czasem objęła także Rwandę, powtarzam te wymowne słowa. Mogłem w ostatnich latach odwiedzić Wasze placówki misyjne i poznać naocznie ogrom pracy wykonywanej z wielkim poświęceniem przez misjonarzy na terenach rozległych parafii w Musongati i w Gahunga, a kiedyś także w Mpindze i w Rugango. Szczególną radością napełnia specyficzne apostołstwo karmelitańskie prowadzone w domu rekolekcyjnym „Mater Carmeli” w Butare, z którego korzystają liczne zgromadzenia zakonne, kapłani i świeccy, zwłaszcza młodzież, pragnąca pogłębić swoje życie duchowe. Wielkie znaczenie ma także nieustanna troska misjonarzy o budzenie i formowanie rodzimych powołań, których owocem jest pierwszy na Czarnym Lądzie profesor naszego Zakonu, a także trzech studentów teologii i pierwszy kapłan, Karmelita Bosy z Burundi, wyświęcony w ubiegłym roku. Jest to rzeczywiście „najwspanialsza posługa, jaką powierzył Wam Kościół”.

Z całego serca dziękuję wraz z Wami Wszechmogącemu Bogu za to, że Karmel w Polsce pozostawał przez 25 lat wierny tej misyjnej posłudze, posyłając do Burundi i do Rwandy swoich synów, otaczając ich swoją troską oraz opieką duchową i materialną.

Szczególne wyrazy wdzięczności pragnę przekazać wszystkim misjonarzom, którzy na przestrzeni minionego ćwierćwiecza podejmowali w Burundi i w Rwandzie, a także w Zairze, dzieło głoszenia Ewangelii, wnosząc w budowę Kościoła lokalnego swój trud i wysiłek oraz swoją, zawsze usłużną miłość. Dziękuję Panu za to, że miłość ta nie zrażała się wielu trudnościami, że nie ustała i wtedy, gdy wzgórza Burundi i Rwandy spływały bratnią krwią. Ofiarna posługa Waszych misjonarzy, ich wytrwałe i życzliwe zatroskanie o ludzi udręczonych i zranionych w straszliwej tragedii wojny, przynosi chwałę całemu Zakonowi.

Wspominam z uznaniem pioniera Waszej misji, śp. o. Leonarda Kowalówkę, oraz łączę się duchowo z br. Marcelim Szłósarczykiem, zasłużonym budowniczym kościołów, kaplic, szkół, ośrodków zdrowia i domów zakonnych w Burundi, dotkniętym dziś szczególnym cierpieniem, znoszonym z niezwykłą, chrześcijańską heroiczną i przyjęciem Woli Bożej.

Serdeczną wdzięczność pragnę wyrazić także Siostrom Karmelitankom Bosym, które otaczały swych współpracowników misjonarzy zarówno modlitwą, jak i ofiarą. Na wzór św. Teresy od Dzieciątka Jezus, Patronki Misji, starały się w sercu Kościoła być miłością, która sprawia, że

¹ Z Listu O. Generała O. Filipa Sainz de Baranda, 14. 12. 1980

apostołowie głoszą Dobrą Nowinę, że męczennicy są gotowi przelać krew², a misjonarze podejmują wciąż na nowo radosną służbę przepowiadania Ewangelii.

Cieszę się, że w ślad za naszymi Współbraćmi, działalność misyjną podjęły w Burundi i w Rwandzie Siostry Karmelitanki Dzieciątka Jezus. Ich ewangeliczne zaangażowanie zaowocowało już licznymi miejscowymi powołaniami, dobrze rokującymi na przyszłość.

Wiadomo mi także, że posługa misyjna naszych misjonarzy w Afryce była stale otaczana modlitwą, życzliwością i ofiarnością członków Świeckiego Zakonu Karmelitańskiego, Bractw Szkaplerznych oraz wielu ludzi dobrej woli z całej Polski. Za tę wspaniałą, chrześcijańską przyjaźń pragnę wszystkim serdecznie i szczerze podziękować w imieniu całego Zakonu.

Droży Współbracia, pozwólcie, że do wyrazów szczerzej wdzięczności dodam kilka słów ojcowskiej zachęty. Nasze Konstytucje mówią, że „Ewangelizacja ludów, wypływająca z samej natury Kościoła i będąca wspaniałym owocem miłości i modlitwy, była zawsze uważana za umiłowane dzieło Zakonu. Święta bowiem Matka Teresa przelała na swoją rodzinę zakonną zapal misyjny, jaki płonął w jej sercu i chciała, aby bracia uczestniczyli również w działalności misyjnej. Dlatego trzeba usilnie się starać, aby ten zapal misyjny w Zakonie utrzymywał się i wzrastał, a ewangelizacja ludów, by wszystkim leżała na sercu i by wszędzie rozbudzano powołania misyjne.³”

Jest moim gorącym pragnieniem, aby 25-lecie pracy misyjnej w Afryce stało się dla całego Karmelu w Polsce okazją do ponownego ożywienia misyjnego zapalu, do jego wzrostu, a przede wszystkim do rozbudzenia nowych powołań misyjnych. Chodzi tu również o powołania ukierunkowane do podjęcia pracy w Wikariacie Misyjnym w Afryce. Sądzę, że tematyka ta nie zostanie pominięta podczas obrad najbliższych Kapituł Prowincjalnych.

Polski Karmel podjął w ostatnich latach i stale podejmuje chwalebne inicjatywy misyjne w krajach ościennych, tj. na Ukrainie i na Białorusi oraz w Czechach i na Słowacji. Zaangażowanie w tę szczególną misję, właściwe całemu Kościołowi w Polsce, nie powinno absolutnie osłabić Waszej miłości względem pierwotnej Misji w Afryce. Powiem szczerze, że gdyby w Karmelu w Polsce słabła pierwotna miłość i zatroskanie o misję w Burundi i w Rwandzie, nie byłby to dobry znak. Wiadomo przecież, że nie świadczy to o zdrowiu rodziny, jeżeli w miarę przychodzenia na świat dzieci, zaniedbuje się przedtem zrodzone. Należy, owszem, kochać i otaczać opieką najmłodsze dzieci, ale nigdy kosztem zaniedbania starszych.

Do odnowienia misyjnego zapalu zachęca nas sam Ojciec Święty Jan Paweł II, który mówi, że „nie możemy być spokojni, gdy pomyślimy o milionach naszych braci i sióstr, tak jak my odkupionych Krwią Chrystusa, którzy żyją nieświadomi Bożej miłości. Dla każdego wierzącego i dla całego Kościoła, sprawa misji winna być na pierwszym miejscu, ponieważ dotyczy wiecznego przeznaczenia ludzi i odpowiada tajemniczemu i miłosiernemu planowi Bożemu.”⁴ Więcej, Papież ukierunkowuje to misyjne zatroskanie

² św. Teresa od Dzieciątka Jezus, Dzieje duszy, XI

³ . Konstytucje Karmelitów Bosych, nr.94

⁴ Redemptoris missio, 86

głównie ku krajom Afryki: „Afryka to kontynent, gdzie niezliczone ludzkie istoty – mężczyźni i kobiety, dzieci i młodzież – leżą, jak gdyby porzucone przy drodze, chore, poranione, bezsilne, odepchnięte i opuszczone. Ludzie ci pilnie potrzebują dobrych samarytan, którzy pospieszą im z pomocą. [...] Synowie i córki Afryki potrzebują wyrozumiałego wsparcia opieki duszpasterskiej. Trzeba im pomóc w zebraniu sił, aby mogli je oddać na służbę wspólnego dobra.⁵”

Niech obchody srebrnego jubileuszu pracy misyjnej w Burundi i w Rwandzie sprawią, by Karmel w Polsce wszedł z nowym zapalem w owo misyjne i eklezjalne: „nie możemy być spokojni”, i niech się one przyczynią do tego, aby wielu jego członków znalazło się wśród dobrych samarytan, spieszących z pomocą udręczonym synom i córkom Afryki, a zwłaszcza dotkniętym tragicznymi wydarzeniami, mieszkańcom Burundi i Rwandy.

Słowa szczególnej zachęty kieruję do Braci kleryków, i powtarzam za Janem Pawłem II: „Wysłuchajcie się w Słowa Chrystusa, który mówi do Was, jak niegdyś do Szymona Piotra i Andrzeja nad jeziorem: ‘Pójdźcie za Mną, a uczynię was rybakami ludzi’.⁶ Niech wam nie zabraknie odwagi, by odpowiedzieć za Izajaszem: ‘Panie, oto ja, jestem gotowy! Poślij mnie.’⁷ Czeka Was życie pasjonujące, doznacie prawdziwej radości głoszenia Dobrej Nowiny tym braciom i siostram, których poprowadzicie po drogach zbawienia.”⁸

Niech Maryja, Królowa Karmelu, która wydała na świat Słowo Przedwieczne, która pierwsza zaniósła Jezusa do Afryki, która w sposób szczególny uczestniczyła w zbawczym dziele Syna, uprosi Karmelowi w Polsce łaskę pełnego zaangażowania w misyjną posługę Kościoła, zgodnie z pragnieniem świętej naszej Matki Teresy, w duchu świętej Karmelitanki z Lisieux, Patronki Misji.

Z serdecznym pozdrowieniem w Karmelu i ojcowskim błogosławieństwem

O. Kamil Maccise OCD

Przełożony Generalny

O. Szczepan T. Praškiewicz OCD

Sekretarz Generalny ds. Misji

Rzym, 28 maja 1996, w dniu Pięćdziesiątnicy, tj. w patronalną uroczystość Krakowskiej Prowincji Ducha Świętego.

1. „WSPOMINAĆ BĘDĘ.”⁹

⁵ Ecclesia in Africa, 41

⁶ Mt. 4, 19

⁷ Por. Iz. 6,8

⁸ Redemptoris missio, 80

⁹ Syr. 42, 15

„Wspominać będę dzieła Pana
i opowiadać będę to, co widziałem”.¹⁰
Syr 42,15

Dziełami Pana wypełniony był cały 25-letni okres misyjnej posługi polskich Karmelitów Bosych w Burundi i Rwandzie.

„Nie jest dane świętym Pana, by mogli opowiedzieć wszystkie podziwu godne dzieła Jego, które Pan Wszechmogący utwierdził...”¹¹ Jeżeli „świętym Pana” nie została dana ta łaska, to tym bardziej ja, słaby i grzeszny człowiek, nie będę mógł opowiedzieć wszystkich podziwu godnych dzieł Pana. A szkoda, bo „jakże godne ukochania są wszystkie Jego dzieła.”¹² Spróbuję opowiedzieć chociaż niektóre, aby nie zostały zasypane popiołem zapomnienia, aby służyły ku chwale Wszechmocnego Pana. Opowiadać je pragnę w moim własnym imieniu, a także w imieniu moich współbraci, którzy na misyjnych ścieżkach Burundi i Rwandy wraz ze mną doświadczyli, że dobry jest Pan i na wieki trwa Jego łaskawość.¹³

Jako tytuł moich wspomnień wybrałem, z wielu nasuwających się, słowa św. Pawła Apostoła z hymnu o miłości: „**Miłość nigdy nie ustaje**”.¹⁴ Mam nadzieję, że będzie on streszczał to, co pragnę wspominać i to, o czym pragnę mówić.

„Miłość nigdy nie ustaje”, ta miłość, o której pragnę tu mówić przede wszystkim, miłość „jaką Bóg ma ku nam”¹⁵. Ta miłość stale nas wyprzedzała i nieustannie nam towarzyszyła. Ona nigdy nie ustaje, bo, jak mówi Pismo święte, „nie wyczerpała się litość Pana, miłość nie zgasła. Odnawia się ona co rano: ogromna Twa wierność”¹⁶.

„Miłość nigdy nie ustaje”, ta miłość, o której pragnę tu powiedzieć słów kilka, która przez 25 lat płonęła w sercach misjonarzy. Słabe to były serca, jak wszystkie ludzkie serca, ale swą miłość usiłowały czerpać z Bożej miłości, dlatego ich miłość nigdy nie ustawała, cierpliwa i łaskawa, nie szukała swego, wszystko znosiła, wszystko przetrzymała¹⁷.

¹⁰ j. w.

¹¹ Syr. 42, 17

¹² j. w. 42, 22

¹³ por. Ps. 106/105, 1

¹⁴ Kor. 13, 8

¹⁵ 1 J. 4, 16

¹⁶ Lm. 3, 22- 23

¹⁷ 1 Kor. 13, 4-7

„Miłość nigdy nie ustaje”, ta miłość, którą chciałbym tu wysławiać, miłość, która przez 25 lat stale otaczała polskich Karmelitów Bosych. Jest to miłość tych, którzy miłością ożywieni¹⁸, noszą brzemia drugich¹⁹ i zarządzają potrzebom świętych²⁰. Jest to miłość nigdy nieustająca tych, którym ze świętym Pawłem Apostołem możemy wystawić świadectwo: gdyby to było możliwe, byłibyście sobie oczy wydarli i dali je nam²¹.

„Miłość nigdy nie ustaje”, ta miłość, która, dzięki przepowiadaniu Dobrej Nowiny, zapłonęła w sercach ludzi w Burundi i w Rwandzie. Chociaż wzmogła się nieprawość i oziębła miłość wielu²², to przecież w sercach wielu wiernych miłość nigdy nie ustała i owocowała czynami, które samych misjonarzy wprawiały w zdumienie.

„Miłość nigdy nie ustaje”. Niestety, dzisiaj spotykamy się często z brakiem miłości. Wielu jeszcze nie poznało i nie uwierzyło miłości, jaką Bóg ma ku nam²³. Wzmaga się nieprawość, dlatego stygnie miłość wielu. Dlatego właśnie tym głośniejszemu trzeba wołać: **Miłość Boga ku nam nigdy nie ustaje!** Dlatego też trzeba przypominać, że serca tych, którzy na Bożą miłość usiłują odpowiedzieć, płoną miłością, która także nigdy nie ustaje, bo „jak śmierć potężna jest miłość... Wody wielkie nie zdołają ugasić miłości, nie zatopią jej rzeki”²⁴. Miłość ma ostatnie słowo!

Oby Maryja, Matka Pięknej miłości, pomagała nam zawsze żyć Bożą miłością, która została rozlana w sercach naszych przez Ducha Świętego, który został nam dany²⁵. Wówczas nasza miłość nigdy nie ustanie. A jeżeli ona będzie – wystarczy!

2. „JA WAS POSYŁAM.”²⁶

Pierwszym, godnym podziwu dziełem Pana, było nasze wybranie do misyjnej posługi. Było to przeszło 25 lat temu, ale żywo pozostało w mej pamięci i sercu to, co wówczas przeżyłem i to, co, jak wiem, przeżywali inni.

¹⁸ Ga 5, 13

¹⁹ j. w. 6, 2

²⁰ Por. Rz. 12, 13

²¹ Ga 4,15

²² por. Mt. 24, 12

²³ por. 1 J 4, 16

²⁴ Pnp 8, 6-7

²⁵ por. Rz. 5,5

²⁶ J. 20,21

Wybranie, powołanie jest dziełem Pana. Każde powołanie! Najpierw powołanie do istnienia, którego dokonuje Bóg Ojciec w Jezusie Chrystusie: „W Nim wybrał nas przed założeniem świata... byśmy istnieli ku chwale Jego majestatu”²⁷. Następnie, dziełem Pana jest nasze odkupienie przez Krew Bożego Syna, bo Ojciec „z miłości przeznaczył nas dla Siebie jako przybranych synów przez Jezusa Chrystusa”²⁸. Dziełem Pana jest naznaczenie nas pieczęcią Ducha Świętego, który jest zadatką naszego dziedzictwa w oczekiwaniu na pełnię odkupienia, która nas uczyni własnością Boga, ku chwale Jego majestatu²⁹. W to ogólne chrześcijańskie wybranie i powołanie wpisuje się każde inne powołanie, które przeżywamy w Kościele Świętym: powołanie kapłańskie, zakonne czy też po prostu powołanie do życia rodzinnego. W chrześcijańskie powołanie wpisuje się także to, co nazywamy powołaniem misyjnym, posłaniem. „Jak Ojciec Mnie posłał, tak i Ja was posyłam” – powiedział Zmartwychwstały Pan³⁰.

Wybranie, powołanie i posłanie zawsze jest dziełem Pana. To On wychodzi z inicjatywą. Człowiek na propozycję Bożą odpowiada. „Nie wyście Mnie wybrali, ale Ja was wybrałem i przeznaczyłem was na to, abyście szli i owoc przynosili, i by owoc wasz trwał”³¹.

Radowaliśmy się wybraniem i powołaniem Pana. Było to powołanie do życia zakonnego, a dla wielu z nas, powołanie do kapłaństwa. Bardziej konkretnie, było to powołanie do życia w wielkiej rodzinie Karmelu, zreformowanego przez św. Teresę od Jezusa. Czy mogliśmy jeszcze w ramach tego konkretnego powołania marzyć o powołaniu misyjnym?

W ogólnym przekonaniu Karmel nie jest zakonem misyjnym. To prawda. „Zakon Karmelitański nie został powołany do istnienia w celu prowadzenie działalności misyjnej, jako swego podstawowego zadania i nigdy w ciągu wieków swojego istnienia nie uważał misji za swoje główne zadanie. Reforma Terezjańska zrodziła się jednak z głębokiego odczucia potrzeb Kościoła, z chęci służenia Kościołowi – i ta postawa, zaradzenia w miarę możliwości potrzebom Kościoła, cechowała dzieła Karmelitów i Karmelitanek Bosych. Z tej postawy zrodziła się również posługa misyjna, uznawana zawsze za szczególnie cenne dziedzictwa po św. Teresie, ‘córcie Kościoła’. Postawa ta znajdowała zawsze wyraz w ustawodawstwie Zakonu. Ze szczególną zaś mocą została zarysowana w najnowszych aktach normatywnych, natchnionych przez Sobór Watykański II. **Powołanie nasze opiera się fundamentalnie na łasce Bożej, która wezwała nas do świętości w braterskiej wspólnocie życia i zaprasza do ścisłego zjednoczenia z Bogiem przez taki sposób życia, w którym umiłowanie modlitwy i kontemplacji łączy się wewnętrznie z apostołską służbą Kościołowi. [...] Dlatego też mamy obowiązek podjąć się z całą usilnością służby dla Kościoła. Do istoty bowiem powołania naszego należy: intencją apostołską**

²⁷ Ef. 1, 4, 12

²⁸ j. w. 1, 5

²⁹ j. w. 1, 13-14

³⁰ J. 20, 21

³¹ j. w. 15, 16

ożywiać modlitwą i całe życie, słowem i czynem spieszyć z pomocą służebną Kościołowi i duszom wedle potrzeby Kościoła tak, aby rzeczywiście działalność apostołska wypływała z wewnętrznego zjednoczenia z Chrystusem”.³² I aby nie było wątpliwości o jakie apostołstwo chodzi, jeszcze dwa zdania z tegoż dokumentu: „Misje nie są czymś zostawionym do woli, ale ścisłym obowiązkiem Kościoła. [...] Należy zatem czuwać, aby działalność misyjna zawsze ożywiała Zakon.”³³

Już 5 kwietnia 1582r., a więc jeszcze za życia św. Teresy, pierwsza ekipa misjonarzy Karmelitów Bosych udała się do Afryki. Później, na przestrzeni kilku wieków, Karmelici Bosi prowadzili działalność misyjną na różnych kontynentach. Byli wśród nich także Karmelici Bosi z Polski, np. w latach trzydziestych w Indiach pracował o. Hipolit Putek. Ci polscy Karmelici Bosi wyjeżdżali na misje pojedynczo. Nigdy dotychczas Polska Prowincja Karmelitów Bosych nie miała „swojej” misji.³⁴

Czy zatem – powtarzam pytanie – mogliśmy marzyć o posłaniu misyjnym w ramach naszego powołania do Karmelu? Wszystko wskazywało na to, że może to być jedynie marzenie. Ale „dzieła Pana są godne podziwu”. To On sam przygotował drogi posługi misyjnej naszej Prowincji, posługi, do której nas przeznaczył.

„W czerwcu 1969 r. zebrała się w Krakowie – pisze o. Czesław Gil – Kapituła Prowincjalna Karmelitów Bosych w Polsce. Była to pierwsza kapituła po Nadzwyczajnej Kapitule Generalnej z roku 1968, której celem było przystosowanie prawodawstwa zakonnego do potrzeb Kościoła naszych czasów. W takim kontekście na kapitule musiał pojawić się problem misji, czy raczej problem udziału Prowincji Polskiej w dziele ewangelizacji. Owocem dyskusji, w której nawiązywano do tradycji misyjnej Zakonu i Prowincji, było podjęcie uchwały w dniu 27 czerwca: „Żądają Ojcowie, aby tradycja misyjna naszej Prowincji była kontynuowana. Dlatego należy wyznaczyć kilku odpowiednich zakonników, odznaczających się troską o zbawienie dusz, na misje zagraniczne”.”³⁵

Sam brałem udział w tej kapitule prowincjalnej i pamiętam, że to posłanie naszych zakonników na misje zagraniczne miało być odpowiedzią Prowincji na usilne wołanie Soboru Watykańskiego II o nowych misjonarzy. Był jednak jeszcze inny motyw powyższej uchwały. A mianowicie: w czasie rozbiorów Polski, dwie kwitnące na terenach Królestwa Polskiego Prowincje Karmelitów Bosych zostały zniszczone. Z odradzających się powoli klasztorów, dopiero w 1920 roku utworzono samodzielną Polską Prowincję Zakonu. W 1970 roku miał być obchodzony jubileusz 50-lecia odrodzonej Prowincji. To skłaniało do wdzięczności, która wyrazić się miała, między innymi, podjęciem przez Prowincję samodzielnej pracy misyjnej.

Bywa tak, że od uchwały do jej realizacji upływa wiele czasu. Tym razem tak nie było. Już 20 lutego 1970 r. prowincjał, o. Remigiusz Czech, zlecił sekretarzowi prowincjalnemu

³² Dekreta Capituli Specialis OCD, 1968, Romae 1969, s 11-13

³³ j. w. s. 130, 132

³⁴ O. Czesław Gil OCD, Wstęp do „Listy polskich misjonarzy z Burundi”, s. 33

³⁵ j. w. s. 33

misji, o. Leonardowi Kowalówce, przebywającemu tymczasowo w Rzymie, wyszukanie w Afryce samodzielnej placówki misyjnej. Tenże sekretarz, zaopatrzony w listy polecające do nuncjuszów i biskupów w Kongo (Zair) i Burundi, wyruszył do Afryki 22 maja 1979 r. Jesienią wrócił do Polski i przedstawił Radzie Prowincjalnej uzyskane propozycje. **Dnia 10 listopada Rada Prowincjalna postanowiła przyjąć misję w Burundi, w diecezji Bururi. Wnet, bo już 21 stycznia 1971 roku, o. prowincjał, Remigiusz Czech, zwrócił się z prośbą do Definitorium Generalnego o pozwolenie na podjęcie pracy misyjnej przez Polską Prowincję. Dekretem z 5 lutego 1971 r. Definitorium udzieliło pozwolenia, zaś Rada Prowincjalna 17 lutego zdecydowała, że do Burundi wyjedzie jedenastu misjonarzy.³⁶ Wybrano ich spośród około dwudziestu, którzy zgłosili się, odpowiadając na propozycję Rady Prowincjalnej.**

Jeszcze dzisiaj, po 25 latach od tamtych dni, pamiętam dobrze, ile z tymi wydarzeniami wiązało się emocji. To było czymś nowym, zupełnie niespodziewanym i przyszło tak nagle. Dla zgłaszających się do pracy misyjnej była to odpowiedź na wewnętrzne, Boże wołanie, które docierało do nich przez wezwanie przełożonych. Dla wybranych przez przełożonych było to czymś więcej. Było to niejako potwierdzenie ze strony Pana, że tę odpowiedź przyjmuje. Przyznaję, że dla mnie i jak wiem, także dla innych, to potwierdzenie było pewnym „zaskoczeniem”. To prawda, że każdy zgłaszający się do pracy misyjnej, mógł w jakiejś mierze powtórzyć za prorokiem Izajaszem: „I usłyszałem głos Pana mówiącego: ‘Kogo mam posłać? Kto by Nam poszedł?’ Odpowiedziałem: ‘Oto ja, pošlij mnie!’”³⁷. Chociaż mówiliśmy na serio, po głębokim przemyśleniu sprawy, na kolanach: „Panie, ‘Oto ja, pošlij mnie!’”, to przecież wielu miało obawy, że to posłanie w ich wypadku nie nastąpi. Tak było ze mną.

Zgłaszałem się do pracy misyjnej na serio, chociaż mówiłem, że czynię to, aby dać przykład gorliwości misyjnej braciom klerykom, za których formację duchową byłem wówczas odpowiedzialny. Zgłaszałem się na serio, ale wielu mi mówiło, że moje zgłoszenie nie będzie przyjęte, bo w Prowincji bardzo potrzeba wychowawców, a ja przez 8 lat zdobyłem w tej dziedzinie pewne doświadczenie. Ponadto do wychowawczej pracy miały mnie lepiej przygotować studia z zakresu teologii życia wewnętrznego, które właśnie kończyłem. Sam zatem nie bardzo wierzyłem, że moje zgłoszenie zostanie przez przełożonych przyjęte. Przyznaję, że list o. Prowincjała, oznajmiający mi to przyjęcie, odczytałem z pewnym zaskoczeniem. Oznaczał on przecież zamknięcie pewnego okresu w moim życiu, pozostawienie dotychczasowej pracy, która mnie radowała, oznaczał podjęcie nowej, nieznanej drogi. Wiem, że podobne „zaskoczenie” przeżył też mój przyjaciel, o. Jan Kanty Stasiński, profesor filozofii w naszym Kolegium Filozoficznym w Poznaniu. Jemu też powtarzano: „Twoje zgłoszenie na pewno nie zostanie przyjęte, bo Prowincja bardzo potrzebuje profesorów”. Nic dziwnego, że – jak sam przyznał – po otwarciu listu Prowincjała, który wyrażał zgodę na jego wyjazd na misje, kolana nieco się pod nim ugięły. Tak kiedyś musiały się ugiąć kolana Abrahamowi, gdy Pan rzekł do niego: „Wyjdz z twojej ziemi

³⁶ j. w. s. 33-36

³⁷ lz. 6, 8

rodzinnej i z domu twego ojca do kraju, który ci ukażę”³⁸. Każdy z wybranych misjonarzy odczuwał coś z tego, co musiał wówczas odczuwać Abraham. Powołanie do pracy misyjnej, także dla zakonników, którzyśmy już kiedyś przez śluby zakonne powiedzieli Panu: „Oto my opuściliśmy wszystko i poszliśmy za Tobą”³⁹, było nowym wezwaniem Pana do jeszcze radykalniejszego wyjścia z ziemi rodzinnej i z domu ojca, by pójść do ziemi, którą ukaże Pan, do ziemi na razie nieznannej. Abraham „udał się w drogę, jak mu Pan rozkazał...”⁴⁰ Aby, mimo „zaskoczenia,” uczynić jak Abraham, potrzeba człowiekowi wiary Abrahama. „Przez wiarę ten, którego nazwano Abrahamem, usłuchał wezwania Bożego, by wyruszyć do ziemi, którą miał objąć w posiadanie. Wyszedł nie wiedząc, dokąd idzie”⁴¹.

Wielkie, godne podziwu są dzieła Pana! Nie tylko nas powołał, wybrał i teraz posłał, ale obdarzył nas łaską wiary, która stale nam towarzyszyła, także wtedy, gdy ziemia ukazana nam przez Pana, gdy ziemia w Burundi, a później w Rwandzie, została krwią zbroczona.

Ta wiara sprawiła, że w ślad za pierwszymi misjonarzami wyruszyli następni.

Pierwszymi byli: [o. Leonard Kowalówka](#),

[o. Teofil Kapusta](#),

[o. Jan Kanty Stasiński](#),

[o. Kasjan Dezor](#),

[o. Klaudiusz Spyrka](#),

[o. Edmund Wrzesiński](#),

[o. Sylwan Zieliński](#),

[o. Kamil Ratajczak](#),

[o. Eliaz Trybała](#),

[br. Marcei Szłósarczyk](#),

[br. Sylwester Szypowski](#).

Ci pierwsi, już w czerwcu 1971 roku, wyruszyli z Poznania do Paryża, by tam „osłuchać się”, choć trochę, języka francuskiego. Polecili też w Lisieux swoją misyjną wyprawę Patronce Misji Kościoła Katolickiego, św. Teresie od Dzieciątka Jezus. Następnie modlili się na grobach Apostołów w Rzymie, gdzie na specjalnej audiencji otrzymali błogosławieństwo papieża Pawła VI. Wreszcie, 1 września 1971 roku, stanęli nad brzegami jeziora Tanganika, niemal w sercu Afryki.⁴²

W późniejszych latach pracę misyjną w Burundi i Rwandzie podjęli:

[w 1974 – o. Józef Trybała \(bliźniaczy brat o. Eliasza\) i o. Ryszard Jan Wołek](#)

[w 1976 – o. Nazariusz Kwiatkowski i o. Bartłomiej Kurzyniec](#)

[w 1981 – o. Emilian Bojko i br. Ryszard Żak](#)

³⁸ Rdz. 12, 1

³⁹ Mk. 10,28

⁴⁰ Rdz. 12,4

⁴¹ Hb. 11, 8

⁴² por. Misje Karmelitów Bosych w Burundi i w Rwandzie, s. 163- 176

w 1984 – o. Marcin Sałaciak

w 1985 – o. Julian Ilwicky i o. Sylwester Potoczny

w 1987 – o. Zbigniew Nobis i br. Marek Gromotka

w 1988 – o. Damian Fedor

w 1993 – o. Jan Malicki

Jak zatem widzimy, na przestrzeni 25 lat stanęło na misyjnej roli Burundi i Rwandy 24 polskich Karmelitów Bosych. Dużo to, ale zarazem mało. Dużo, bo trzeba pamiętać, że wszyscy zakonnicy Polskiej Prowincji byli mocno zaangażowani w liczne prace, których nie można było zostawić. Dużo, bo w latach późniejszych, Polska Prowincja zobowiązana została przez władze generalne Zakonu, do szczególnego udziału w pracy misyjnej, której domagały się tereny byłego Związku Radzieckiego. Mało jednak, bo w Burundi i w Rwandzie otwierały się coraz to nowe pola pracy, na których obecność polskich karmelitów była i jest bardzo pożądana. Wciąż na karmelitów czeka np. Centrum Kultu Maryjnego w Mugerze i wciąż powtarzają się prośby o bardziej aktywne włączenie się karmelitów w formację kleru tubylczego i w formację młodych zakonników i zakonnice.

Bogu niech będą dzięki za to, że przynajmniej tych 24 swoich synów Polska Prowincja mogła wysłać do Burundi i do Rwandy. Szli tam nie tylko we własnym imieniu, lecz także w imieniu swej Prowincji, szli, aby ubogim głosić Dobrą Nowinę, aby budować Kościół, aby prowadzić do jedności tych, których dzieliła niezgoda; szli, aby ukazywać moc Chrystusowego krzyża, aby przez Maryję rodzić Boże dzieci, aby prowadzić je do świętości, aby wreszcie pomagać tym, którzy nieustannie potrzebowali pomocy.

Historia misyjnego powołania i misyjnej pracy każdego z tych wybranych synów Polskiej Prowincji, chociaż wpisana w ogólne ramy działalności polskich karmelitów w Burundi i w Rwandzie, jest historią jedyną i niepowtarzalną. Nie może być inaczej, bo przecież niepowtarzalna i jedyna jest miłość Pana, który każdego po imieniu powołuje i każdego z osobna do udziału w swym boskim posłaniu zaprasza. Niepowtarzalna także i jedyna jest odpowiedź człowieka na Boże wezwanie. Nic zatem dziwnego, że różnie się układały dzieje poszczególnych misjonarzy. Nie czas tu na spisywanie tych dziejów. Wystarczy powiedzieć, że niektórzy po dłuższym lub krótszym okresie misyjnej pracy musieli wracać do kraju. Inni misyjną pracę musieli przerwać na dłuższy lub krótszy okres czasu ze względu na zdrowie lub inne okoliczności. Jeszcze inni (o. Jan Kanty Stasiński i o. Nazariusz Kwiatkowski) przez jakiś czas pracowali w Zairze, skierowani tam przez przełożonych generalnych Zakonu. Inni wreszcie, już chyba na stałe, podjęli pracę misyjną w Zairze (o. Józef Trybała), na Florydzie (o. Klaudiusz Spyrka) i w Argentynie (o. Emilian Bojko). Osobne dzieje miała misyjna przygoda o. Ryszarda Wołka, który po kilku latach pracy w Burundi, już jako ks. Jan Wołek, zawędrował do Senegalu, by wreszcie zginąć tragicznie w wypadku w Kazachstanie.

Kiedy tu wspominam wielkie dzieła Pana, których dokonał powołując do misyjnej pracy polskich Karmelitów Bosych, to muszę śpiewać hymn wdzięczności także za to, że z czasem do naszej grupy misyjnej zaczęli dołączać synowie Burundi i Rwandy.

Wielu okazało pragnienie służenia Bogu i Maryi na ścieżkach Karmelu. Z różnych powodów nie mogliśmy wszystkich przyjmować. Przede wszystkim brakowało im odpowiedniego wykształcenia. **Przez postulat przeszło 12 młodych z Burundi i z Rwandy. Nowicjat rozpoczęło 8.** Zagadnienie wychowania młodych Burundyjczyków i

Rwandyjczyków do Karmelu stanowi osobny rozdział w naszej działalności misyjnej. Włożyliśmy w to wychowanie wiele troski i trudu, a że owoców nie przyniosły obfitych, to może dlatego, że jeszcze sami nie potrafiliśmy im przekazać ideału Karmelu i skutecznie zachęcić do przewyciężenia trudności, które jawią się na drodze każdego powołania; albo też nie były to prawdziwe powołania. Jestem przekonany, że dla młodych, którzy odeszli, czas spędzony z nami nie był czasem straconym. Ufam, że próba intensywniejszego życia chrześcijańskiego w postulacie lub nowicjacie pomoże im żyć ideałem chrześcijańskim w dalszej drodze życia. Jeden z nich kończy teologię w seminarium duchownym w Rwandzie. A jakie są owoce trudu wychowawców dla Karmelu? **Na razie uroczyste śluby zakonne w Karmelu złożyło dwóch Burundyjczyków: br. Cyryl Barutwanayo i br. Zachariasz Igirukwayo. Brat Cyryl, który miał pewne braki w średnim wykształceniu, ukończył dopiero pierwszy rok teologii. Tymczasem br. Zachariasz ukończył chwalebnie studia seminaryjne i otrzymał święcenia kapłańskie, 29 czerwca 1995 roku w Krakowie. Później wyjechał do Hiszpanii, aby jeszcze studiować teologię duchowości karmelitańskiej. Pragniemy bowiem, żeby kiedyś przybliżył duchowieństwu i ludowi w Burundi dzieła św. Jana od Krzyża i św. Teresy od Jezusa.**

Pierwsze śluby w Karmelu złożyło 5 młodych. Zostało z nich w Karmelu trzech: br. Gaspard Nkuzimana, br. Liber Saruye i br. Faustyn Niyoyita. Pierwszy z nich kończy pierwszy rok teologii, a dwaj ostatni kończą pierwszy rok filozofii. Daleka jeszcze przed nimi droga do kapłaństwa, ale już dzisiaj się radujemy ich powołaniem ufamy, że kiedyś będą wielką pomocą w misyjnej posłudze Karmelu na ziemiach Burundi i Rwandy.

My, którym, jak św. Pawłowi, „została dana ta łaska: ogłosić poganom jako Dobrą Nowinę niezgłębione bogactwo Chrystusa”⁴³, radowaliśmy się każdym przysyłanym do Burundi i Rwandy misjonarzem. Świadczyło to bowiem o stałym zaangażowaniu Polskiej Prowincji w misyjną posługę Kościoła, a „misje – jak napisał Jan Paweł II – są sprawą wiary, są dokładnym wskaźnikiem naszej wiary w Chrystusa i w Jego miłość ku nam”⁴⁴.

To zaangażowanie się Prowincji w misyjną posługę Kościoła, a zatem także jej wiara, objawiły się również w tym, że Prowincja wysłanymi do pracy misjonarzami żywo się interesowała. **Misjonarzy odwiedzili prowincjałowie: o. Otto Filek, o. Eugeniusz Morawski, o. Benignus Wanat oraz, jako delegat prowincjała, o. Dominik Wider. Prowincja powierzyła też szczególną opiekę nad misjonarzami prowincjonalnym sekretarzom misji. Wśród nich szczególne usługi misjonarzom w Burundi i w Rwandzie oddali: o. Bogusław Woźnicki, o. Bronisław Tarka i o. Jerzy Gogola. Oni także odwiedzili nasze misyjne placówki.**

Trzeba tu jeszcze koniecznie nadmienić, że w ciągu 25 lat pracy misyjnej w Burundi i w Rwandzie towarzyszyła polskim karmelitom troska i życzliwość całego Karmelu. Wyrażała się ona nie tylko w stałej modlitwie, ale także w tym, że **odwiedzili ich generałowie Zakonu: o. Filip Sainz de Baranda i o. Kamil Macisse, a także wikariusze generalni: o. Emmanuel Renault i o. Flavio Caloi oraz kilku generalnych sekretarzy misji, wśród nich, pełniący ostatnio ten obowiązek Polak, o. Szczepan Praškiewicz.** Ta troska i

⁴³ Ef. 3,8

⁴⁴ RMs. 11

życzliwość Zakonu i Prowincji pozwalała polskim karmelitom przeżywać spokojniej ich misyjne trudy także wtedy, gdy powołanie misyjne prowadziło ich na drogi zbroczone krwią.

Wielkie i godne podziwu są dzieła Pana! To On działał na przestrzeni 25 lat, posługując się słabymi ludźmi, których wybrał, powołał i posłał, których wiarę wspierał. **Za te łaski, za te dzieła Pana pragnę tu śpiewać z Maryją, pełne wdzięczności „Magnificat”, bo zaprawdę, każdy z misjonarzy może za Królową Apostołów powtórzyć: „Wielkie rzeczy uczynił mi Wszechmocny.”**⁴⁵

Świadomość tych „wielkich rzeczy”, które uczynił dla nas i przez nas żywy Pan, i świadomość Jego wszechmocy, towarzyszyła nam od początku. Oto, co pisał na ten temat jeden z misjonarzy w styczniu 1972 roku: „Może nie tyle pytanie, ile powtarzający się w listach, podziw dla naszej decyzji wyjazdu na misje, zmusza mnie do poruszenia tego tematu. Kiedyś, było to rzeczywiście dawno, już wiatr rozwiął lub zasypał ślady stóp Człowieka, który nad palestyńskimi jeziorami jednym zawołaniem: „Pójdź za Mną” – zmienił zupełnie kierunek ludzkiego życia. Było to dawno i niektórzy powiadają: mit, legenda... Karty Ewangelii twierdzą jednak uparcie, że do prostych rybaków, do celnika powiedział: „Pójdź za Mną”, a później: „Oto was posyłam..., będziecie Mi świadkami, aż po krańce ziemi”. Stwierdzono naukowo historyczność Ewangelii, a ta przekazuje słowa Pana: „Oto Ja jestem z wami po wszystkie dni, aż do skończenia świata”... Ale dla wielu, także wierzących, ta obecność jest jakaś daleka, odległa... Tymczasem dzisiaj, w XX wieku, do człowieka z krwi i kości, jakoś tak niespodziewanie, jak kiedyś na palestyńskich ścieżkach, mówi Pan: „Oto Ja was posyłam...”

Różnymi drogami ten głos Jego dochodzi, ale przecież człowiek wie, że to jest Jego głos: cichy, ale mocny i nieraz zaskakujący. Przyznaję szczerze, że mnie zaskoczył i wiem także, że któremuś z naszej grupy, przy tym wezwaniu Pana mocno ugięły się nogi w kolanach, stały się niemal jak z waty... Tak, Kochani, to nie tylko kiedyś, ale także dzisiaj Chrystus jest żywy i realny, i jak kiedyś, tak i dzisiaj wysyła swoich świadków. Wybiera ich, jak kiedyś, spośród biednych i słabych, aby okazać moc swoją. Na własnej skórze – jak się to mówi – odczułem to Jego powołanie, bo posłał mnie, abym ubogim niósł Dobrą Nowinę. Równocześnie z powołaniem swoim, daje Chrystus człowiekowi słabemu taką moc, że choć może rozdziera się serce, to jednak zostawia ukochanych rodziców, rodzinę, przyjaciół, zostawia kraj, by pójść w nieznaną, na pracę trudną, misyjną...

Dla mnie, choć już byłem kapłanem, powołanie misyjne stało się nowym, zaskakującym spotkaniem z żywym Chrystusem, z Jego mocą dziś działającą, stało się łaską, która mnie, słabego, tak mocno dotknęła. Zazwyczaj nie mówi się o tych sprawach, choć nie wiem czy słusznie. Jeżeli dzielę się z Wami łaską mojego misyjnego powołania, to dlatego, że bardzo pragnę, byście w spotkaniu (choćby przez listy) z nami, którzy, mimo naszej nędzy i słabości, nosimy szczytne miano misjonarzy, czyli posłanych przez Pana, odczytali właśnie ten moment, tę rzeczywistość wzywającego Boga i tę Jego moc, dziś działającą. Wtedy nie nam będziecie oddawać chwałę, ale Panu, nie nas podziwiać, ale Jego, bo to On „uczynił nam wielkie rzeczy” – jak śpiewała kiedyś Maryja – dzisiaj uczynił!

Stąd też – jak ufam – nabierzecie jakiegoś wielkiego zaufania do tej Chrystusowej mocy, która dziś działa i może wesprzeć duchową i fizyczną słabość człowieka, niemoc każdego człowieka. Tak, Chrystus naprawdę jest „ten sam wczoraj i dziś”, jak pisał św. Paweł. Mam też nadzieję, że razem z nami dziękować będziecie Panu za wszystkie wielkie rzeczy, które nam uczynił...”⁴⁶

„Od misjonarza wymaga się, by gotów był „wyrzec się siebie i wszystkiego, co dotychczas uważał za swoje, i stał się wszystkim dla wszystkich”⁴⁷: w ubóstwie, które czyni go wolnym dla Ewangelii, w oderwaniu od osób i dóbr z własnego środowiska, by stał się bratem tych, do których został posłany, ażeby nieść im Chrystusa Zbawiciela. Taki właśnie jest cel duchowości misjonarza: „dla słabych stałem się jak słaby. [...] Stałem się wszystkim dla wszystkich, żeby w ogóle ocalić przynajmniej niektórych. Wszystko zaś czynię dla Ewangelii”⁴⁸. Właśnie dlatego że jest „posłany”, misjonarz doświadcza umacniającej obecności Chrystusa, który mu towarzyszy w każdej chwili jego życia – „Przestań się lękać [...], bo Ja jestem z tobą.”^{49,50}

3...ABYM UBOGIM NIÓSŁ DOBRĄ NOWINĘ”.⁵¹

Te słowa proroka Izajasza odniósł do siebie Chrystus Pan w synagodze Nazaretu. Za wielką łaskę od Pana uważaliśmy, że słowa te mogliśmy uznać za własne, że mogliśmy powtarzać w Burundi i w Rwandzie przez 25 lat naszej misyjnej posługi: Pan „posłał mnie, abym ubogim niósł Dobrą Nowinę...” Ogromne ubóstwo, nędza i wielkie ich konsekwencje, z którymi wciąż borykaliśmy się, dawały nam świadomość, że na nas w sposób szczególnie spełniły się słowa Pana: „Jak Ojciec Mnie posłał, tak Ja was posyłam.”⁵²

Wprawdzie zawsze misyjna posługa Kościoła idzie po linii Chrystusowego posłania, zwłaszcza misyjna posługa w Afryce, to jednak kiedy ONZ ustaliła listę najbiedniejszych krajów świata, właśnie Burundi i Rwanda znalazły się niemal na jej czele. Pomimo wysiłków różnych światowych organizacji, pomimo usilnych starań Kościoła Świętego, do dzisiaj nie udało się tego stanu rzeczy zmienić.

⁴⁶ Listy polskich misjonarzy z Burundi, s. 83- 85

⁴⁷ Ga 1,24

⁴⁸ 1 Kor. 9, 22-23

⁴⁹ Dz. 18, 9-10

⁵⁰ R Ms. 88

⁵¹ Łk.4,18

⁵² J. 20,21

W swojej adhortacji apostolskiej **Ecclesia in Africa**, za Ojcami Synodu, poświęconego Kościołowi w Afryce, Ojciec Święty Jan Paweł II przypomniał, że „**sytuacja niektórych krajów afrykańskich jest tak dramatyczna, że nie wolno się jej przyglądać obojętnie i beczynnie**”⁵³. Kiedy odczytuję różne stwierdzenia tego papieskiego dokumentu, odnoszę wrażenie, że Jan Paweł II mówi właśnie o Burundi i Rwandzie, gdzie „dramatyczne sytuacje” oglądałem na własne oczy, gdzie z dramatycznymi sytuacjami borykali się na co dzień nasi misjonarze. Oto niektóre ze słów Jana Pawła II:

„Zgromadzenie Synodu słusznie podkreśliło, że Afryka to ogromny kontynent, na którym występują bardzo różne sytuacje, i stąd należy unikać uogólnień, zarówno w ocenie problemów, jak i w proponowanych rozwiązaniach; z bólem musiało jednak stwierdzić, iż niewątpliwie jednym ze wspólnych elementów jest to, że Afryka to kontynent pełen problemów. Prawie w każdym kraju można się spotkać za skrajnym ubóstwem, tragicznym marnotrawstwem i tak skąpych zasobów, polityczną niestabilnością i napięciami społecznymi. Rezultaty rzucają się w oczy: nędza, wojny, brak nadziei. W świecie kontrolowanym przez kraje bogate i prężne, Afryka stała się w praktyce nieważnym dodatkiem, przez wszystkich zapomnianym i pogardzanym.”⁵⁴

Dalej Papież pisze: „**Według wielu Ojców Synodalnych, dzisiejszą Afrykę można porównać do owego człowieka, który schodził z Jerycha do Jerozolimy: wpadł on w ręce zbójców, którzy go obdarli, zadali mu rany i porzucili na pół umarłego**”⁵⁵. **Afryka to kontynent, gdzie niezliczone ludzkie istoty – mężczyźni i kobiety, dzieci i młodzi – leżą, jak gdyby porzucone przy drodze, chore, poranione, bezsilne, odepchnięte i opuszczone. Ludzie ci pilnie potrzebują dobrych samarytan, którzy pospieszą im z pomocą.**

Jest moim osobistym pragnieniem – kontynuuje Ojciec Święty – aby Kościół nadal prowadził, cierpliwie i niestrudzenie, swoje dzieło dobrego samarytanina. Przez wiele lat bowiem reżimy polityczne, dziś już nie istniejące, dotkliwie gnębiły Afrykańczyków i osłabiły ich zdolność reagowania: zraniony człowiek musi teraz odzyskać wszystkie zasoby swego człowieczeństwa. Synowie i córki Afryki potrzebują wyrozumiałego wsparcia i opieki duszpasterskiej. Trzeba im pomóc w zebraniu sił, aby mogli oddać je na służbę wspólnego dobra”⁵⁶.

Następnie Papież dodaje: „W Afryce, potrzeba stosowania Ewangelii w konkretnie życia, jest bardzo odczuwalna. Czyż można głosić Chrystusa na tym ogromnym kontynencie, zapominając, że jest on jednym z najuboższych regionów świata? Czyż można nie brać pod uwagę przepełnionej cierpieniami historii ziemi, na której tyle narodów wciąż zmaga się z głodem, wojnami, konfliktami rasowymi i plemiennymi, brakiem politycznej stabilizacji, łamaniem praw człowieka? To wszystko stanowi wyzwanie dla ewangelizacji.

⁵³ Ecclesia in Africa 120

⁵⁴ j. w. 40

⁵⁵ por. Łk. 10, 30- 37

⁵⁶ Ecclesia in Africa 41

Ze wspomnianych dokumentów przygotowawczych, podobnie jak w dyskusjach prowadzonych podczas Zgromadzenia, bardzo wyraźnie wyłania się fakt, że zjawiska takie, jak pogłębiające się ubóstwo Afryki, urbanizacja, zadłużenie międzynarodowe, handel bronią, problem uchodźców i wypędzonych, problemy demograficzne i zagrożenia rodziny, emancypacja kobiet, szerzenie się AIDS, utrzymywanie się w niektórych regionach praktyki niewolnictwa, etnocentryzm i konflikty plemienne – stanowią najważniejsze wyzwania, jakie rozważał Synod.”⁵⁷

Chociaż, idąc za Ojcami Synodu i opierając się na własnych doświadczeniach, Papież maluje w ciemnych kolorach dramatyczną sytuację wielu krajów Afryki, to przecież wzywa stanowczo, aby w obliczu tych licznych problemów nie ulegać pesymizmowi. Jan Paweł II pisze: „Podczas obrad Ojcowie Synodalni [...] mówili otwarcie o licznych przejawach zła, nękającego dzisiejszą Afrykę. Ukazywali całą złożoność i rozległość zadań, jakie powinien przyjąć Kościół, aby doprowadzić do pożądanych przemian, ale nie ulegali przy tym pesymizmowi ani rozpacz. Choć sytuacja licznych regionów Afryki jest w przeważającej mierze niepomysłna i choć bolesne doświadczenia są udziałem licznych krajów, Kościół ma obowiązek głosić z mocą, że przezwyciężenie tych trudności jest możliwe. Kościół musi ożywić we wszystkich Afrykańczykach nadzieję na prawdziwe wyzwolenie. Najgłębszym fundamentem jego ufności jest świadomość Bożej obietnicy, która nas upewnia, że nasza historia nie jest zamknięta w sobie samej, ale otwarta na Królestwo Boże. Dlatego właśnie nie ma usprawiedliwienia dla pesymizmu ani rozpacz, gdy myślimy o przyszłości Afryki czy którejkolwiek innej części świata.”⁵⁸

Jeżeli, jak pisze Papież, „sytuacja niektórych krajów afrykańskich jest tak dramatyczna, że nie wolno się jej przyglądać obojętnie i bezczynnie”⁵⁹, to naprawdę dramatyczna była i pozostała do dzisiaj w najbiedniejszych krajach Afryki, między innymi Burundi i w Rwandzie. Ubóstwo, nędza, głód, choroby – to wszystko rzucało się w oczy misjonarzy na każdym kroku. Ze szczególną wrażliwością serca dostrzegają misjonarze tę niesamowitą nędzę w pierwszych miesiącach i latach swej misyjnej posługi. Przeskok z krajów bogatych do krajów Trzeciego Świata powoduje jakiś bolesny skurcz serca. Nie można pozostać obojętnym. Wciąż rodzą się pytania: Czy to możliwe, że w XX wieku w takiej nędzy żyją ludzie? Dlaczego tu taka nędza, niedożywienie, dlaczego brak szkół? Dlaczego?... Te pytania powtarzały się bezustannie w listach naszych misjonarzy sprzed 25 lat, te same krzyczą z listów misjonarzy, którzy teraz, po raz pierwszy, przyjeżdżają do Burundi i do Rwandy. Dlaczego z tak wielką nędzą wciąż borykają się ludzie w Burundi i w Rwandzie?

Te dwa małe kraje, położone niemal pod równikiem, na brzegu jezior Tanganika i Kivu, a usytuowane pomiędzy Zairem, Ugandą i Tanzanią, posiadają dosyć umiarkowany, tropikalny klimat górski. W tych krajach „tysiąca wzgórz i pagórków”, właśnie ze względu na znośny klimat i znaczną, jak na Afrykę, ilość opadów, gęstość zaludnienia jest najwyższa w

⁵⁷ j. w. 51

⁵⁸ j. w. 14

⁵⁹ j. w. 120

Afryce, bo około 150 osób na km². Musiało upłynąć wiele lat, zanim na tych terenach, pokrytych kiedyś tropikalnymi lasami, powstały dzisiejsze kraje. Opowiada się na ten temat różne fantastyczne historie. Wszystko jednak rozplywa się w gęstych mrokach, tym bardziej gęstych, im dalej sięgamy w przeszłość, nie ma bowiem na ten temat żadnych pisanych źródeł.

Współczesną historię Burundi i Rwandy ukształtowała Międzynarodowa Konferencja w Berlinie, w roku 1885, włączając te kraje do kolonii niemieckich, które od 1890 roku przyjęły nazwę Niemiecki Protektorat Afryki Wschodniej. W roku 1916, tereny dzisiejszej Rwandy i Burundi opanowały oddziały belgijskie. Liga Narodów w 1919 roku uznała ten stan rzeczy, powierzając Belgii administrację tych krajów. Po drugiej wojnie światowej, Burundi i Rwanda dostają się pod opiekę ONZ, pozostając nadal pod zarządem Belgii. Wreszcie w pierwszych latach po 1960 roku Burundi i Rwanda uzyskują niepodległość. Wnet stają się republikami z rządami mocno opartymi na wojsku.

Belgowie zajęci byli przede wszystkim utrzymaniem i zagospodarowaniem ogromnego terenu Kongo (dzisiaj Kongo to Zair). Na zajmowanie się położonymi na peryferiach dzisiejszego Zairu ubogimi terenami Burundi i Rwandy brakowało siły i środków. Trzeba jednak przyznać, że czegoś tu dokonali. Zbudowano jakieś drogi, zapoczątkowano szkolnictwo, zapewniono ludności jako taką opiekę sanitarną, wprowadzono uprawę kawy i herbaty (na eksport). Usiłowano też wpływać na prawidłowy rozwój praktyczny, społeczny i moralny. **Ogromną zasługę w tym wszystkim należy przypisać misjonarzom ze Zgromadzenia Ojców Białych, którzy od roku 1879 podejmowali tu próby pracy misyjnej, a od 1898 roku prowadzili już żywą działalność apostołską.**

To wszystko jednak nie wystarczyło, aby te maleńkie kraje pchnąć na drogę rozwoju ekonomicznego. Nadal panowała nędza, której nikt nie potrafił zaradzić, zwłaszcza, gdy przyszyły okresy głodu, spowodowane suszą lub groźnymi epidemiami.

Kiedy w 1971 roku przybyli do Burundi nasi polscy misjonarze, Karmelici Bosi, nie mogli się nadziwić panującej tu biedzie. Wszystkiego brakowało. Zaledwie 24% dzieci mogło zaczynać szkołę podstawową. Były jednak tereny w dalekim buszu, gdzie tej możliwości niemal wcale nie było. Jeden lekarz statystycznie wypadał na 100 000 mieszkańców. Chcę podkreślić słowo „statystycznie”, bo lekarze leczyli przede wszystkim w stolicy lub w pewnych większych ośrodkach. W dalekim buszu sytuacja była inna, gorsza. W diecezji i województwie Ruyigi, gdzie podjęli pracę misyjną, był tylko jeden lekarz, a ludności 350 000. Trzeba pamiętać, że był to lekarz wojewódzki, a więc obowiązany brać udział w różnych zjazdach, konferencjach i spotkaniach organizowanych przez ministerstwo zdrowia w stolicy. A bywały różne spotkania. Dotyczyły trądu, malarii, robaczyc, chorób zakaźnych albo po prostu higieny. Na te wszystkie spotkania jechał on, jedyny lekarz województwa, odpowiedzialny za te różne sprawy związane ze zdrowiem. Jeździł też do stolicy, do ministerstwa z prośbą o przydział lekarstw, środków opatrunkowych do ośrodków zdrowia, albo jeździł składać różne sprawozdania. Praktycznie rzadko można go było spotkać w jednym szpitalu wojewódzkiego miasteczka, w Ruyigi. Szpital ten do dzisiaj nosi nazwę „L'hôpital rural” – szpital wiejski. Któż z prostych, biednych ludzi, mógł się dostać do takiego lekarza, do takiego szpitala?

Brakowało też w Burundi (i nadal brakuje) przemysłu, a zatem brakuje pracy. Ktoś, kto zdobył jako takie wykształcenie, mógł zdobyć pracę w administracji, w urzędach, w szkolnictwie, mógł dostać się do wojska. Dla prostych ludzi brakowało pracy. Przemysł nie mógł się rozwijać, bo brak naturalnych surowców, brak elektryczności, brak przygotowanych fachowców i trudny dostęp do rynku zbytu. Burundi i Rwanda nie mają dostępu do morza. Z tego powodu np. uprawa kawy i herbaty, wprowadzona tu przez Belgów, nie przynosi zysków krajowi, a także uprawiającym je rolnikom. To prawda, że można by tu uzyskać średnie zbiory nawet nie najgorszej gatunkowo kawy, ale jej transport do morza przez Tanzanię czy Ugandę i Kenię kosztuje drogo. Trzeba ją sprzedać po cenach, jakie obowiązują nad morzem. Po odliczeniu kosztów transportu do morza i dalej, nie osiąga się prawie żadnych zysków.

Ludność w Burundi i w Rwandzie utrzymuje się przede wszystkim z rolnictwa. Cóż to jednak za rolnictwo? Jeżeli pamiętać o gęstości zaludnienia, jeżeli odliczyć wielką ilość prawdziwych nieużytków, to stwierdzimy, że rodzina może zdobyć tylko maleńkie pole, i to położone na spadzistych zboczach gór, maleńkie pole wśród skał, pole usiane kamieniami. Tylko nieliczne rodziny mogą na swoich polach uchować jedną czy dwie krowy. Brakuje więc naturalnego nawozu, zaś o sztuczne nawozy bardzo trudno i kosztują wiele. Nawet na nawożonych polach można uzyskać tylko marne zbiory fasoli, grochu, kukurydzy, sorga czy manioku, bo nawet nawożone pole, na górskim zboczu bardzo szybko jałowuje. W czasie gwałtownych deszczów woda wypłukuje nawóz i niesie go do strumyków i rzek. Jedynym narzędziem uprawy tych biednych pól jest zwyczajna motyka. Trzeba się bardzo natrudzić, aby kamieniste pole skopać, aby oczyścić je z chwastów, a potem obsiać lub obsadzić. Trzeba później okopywać i oczyszczać młode rośliny z bujnie pleniących się chwastów. Trzeba też usilnie błagać Boga, by zachował pola od wszelakiej klęski. Uprawom i zbiorom mogą zagrażać różne klęski. Klęską może być zbyt gwałtowny deszcz, który sprawia, że świeżo skopana ziemia spływa w dół wraz z wodą, albo też sprawia, że strumyki i rzeki wylewają i pokrywają warstwą mułu pola położone w dolinach. Klęską może być przychodząca susza. Ludzie w Burundi i w Rwandzie nauczyli się dobrze rozpoznawać nadejście pory deszczowej lub suchej. Pory te przychodzą zresztą dosyć regularnie. Niestety, czasem nie można kaprysów przyrody przewidzieć. Bywa, że po pierwszych deszczach posieją nasi ludzie fasolę na stromych zboczach. Powschodzi, wyda dwa lub trzy listki, a tymczasem deszcz przestaje padać na dwa lub trzy tygodnie. Fasola wysycha doszczętnie. Trzeba siać na nowo. Skąd zdobyć ziarno do siewu? A przede wszystkim zbiory opóźnią się co najmniej o miesiąc. Będzie więc głód. Klęską dla zbiorów może być zdarzający się w Burundi i w Rwandzie grad. Klęską mogą być różne choroby lub robactwo, atakujące rośliny. Przed dwudziestu laty w niektórych okolicach plony niszczyły czasem po prostu stada małąp. A jeszcze dawniej zdarzała się tu także szarańcza. Klęską dla płodów rolnych, zwłaszcza dla ich przechowania mogą być szybko rozmnażające się myszy lub szczury. Gdy któraś z tych klęsk nawiedzi jakąś okolicę, głód dziesiątkuje już i tak wygłodniałą ludność. Naturalnie, ludzie w Burundi i w Rwandzie zadowolają się jednym posiłkiem na dzień, spożywanym wieczorem. I cóż to za posiłek? Nieco kukurydzy lub słodkich ziemniaków, opiekanych w ogniu albo fasola gotowana z różnymi liśćmi i ziołami, aby jedzenia było więcej. Często bez odrobiny tłuszczu, bez szczypty soli, bo biednych ludzi nie stać na ich zakupienie. Takie wyżywienie, często bardzo jednostajne, sprawia, że ludzie są fizycznie słabi, że dzieci zapadają na awitaminozę, że są podatne na różne choroby zakaźne jak grypa, jak dziecięca różyczka, że padają jak

muchy przy malarii lub innych chorobach. To jest z kolei przyczyną wzrostu ubóstwa wielu rodzin. Każdy chce jakoś ratować chorego, zwłaszcza chore dziecko. Sprzedaje się więc na lekarstwa albo zanosi do czarownika-znachora ostatnią kozę lub kurę.

Innym powodem wzrostu nędzy i biedy w Burundi i w Rwandzie jest emigracja wielu tysięcy ludzi do sąsiednich krajów, do Tanzanii, Ugandy, Zairu. Ta emigracja jest z jednej strony skutkiem nędzy we własnym kraju, jednak, jak wspomniałem, tę nędzę pomnaża. Na emigrację idą przecież przede wszystkim ludzie, którzy zdobyli jakieś wykształcenie, ludzie zdolniejsi, bardziej od innych przedsiębiorczy. Mogliby przyczynić się skutecznie do rozwoju gospodarki we własnym kraju. Tymczasem pracują za marne grosze za granicą, a jeżeli początkowo wspierają zarobionym groszem swoje rodziny w kraju, to później najczęściej zostają w obcych krajach „straceni” dla rodzin i kraju.

W swej adhortacji apostolskiej **Ecclesia in Africa** Jan Paweł II przypomniał, że przyczyną wzrostu ubóstwa i nędzy w wielu krajach Afryki jest tragiczne marnotrawstwo i tak skąpych zasobów, a także wzrost zadłużenia międzynarodowego⁶⁰. Papież wskazuje także na wadliwe lub wprost nieuczciwe zarządzanie majątkiem społecznym. Oto słowa Ojca Świętego: „Synod apeluje też do rządów afrykańskich, aby przez właściwą politykę dążyły do rozwoju gospodarki i wzrostu inwestycji, a przez to do tworzenia nowych miejsc pracy. Wymaga to prowadzenie zdrowej polityki ekonomicznej, opartej na właściwych kryteriach dystrybucji istniejących zasobów narodowych, niekiedy bardzo skromnych, tak, aby można było zaspokoić fundamentalne potrzeby mieszkańców, zapewniając uczciwy i sprawiedliwy podział korzyści i obciążeń. Fundamentalnym obowiązkiem rządów jest zwłaszcza ochrona majątku wspólnego przed wszelkimi formami marnotrawstwa i próbami bezprawnego zagarnięcia go przez osoby pozbawione zmysłu obywatelskiego lub przez obcokrajowców, wyzutyk z wszelkich skrupułów. Zadaniem rządów jest też podejmowanie stosownych działań, mających na celu polepszenie warunków handlu międzynarodowego.

Problemy ekonomiczne Afryki pogłębiają się na skutek nieuczciwości niektórych skorumpowanych przedstawicieli władz, którzy przy milczącej aprobacie prywatnych grup interesu, lokalnych czy zagranicznych, przywłaszczają sobie majątek narodowy, przelewając pieniądze publiczne na prywatne konta w zagranicznych bankach. Są to prawdziwe akty kradzieży, nawet jeśli mają pozory legalności. Wyrażam żywą nadzieję – mówi dalej Papież – że organizmy międzynarodowe i ludzie uczciwi w Afryce lub w innych krajach świata, zdołają znaleźć właściwe środki prawne, aby umożliwić odzyskanie niesłusznie zagarniętych kapitałów. Także przy udzielaniu kredytów należy się upewnić, że trafią one w ręce ludzi odpowiedzialnych i uczciwych.⁶¹”

Jakże słuszne są te stwierdzenia, te oceny sytuacji i te apele Synodu i Ojca Świętego. Jakże bardzo przylegają do sytuacji, panującej w Burundi i w Rwandzie, do tej sytuacji, która tu „jest tak dramatyczna, że nie wolno się jej przyglądać obojętnie i bezczynnie.”

Trzeba przyznać, że świat nie pozostał zupełnie obojętny wobec dramatycznego ubóstwa i nędzy w Burundi i w Rwandzie. Pomoc, choć absolutnie niewystarczająca, ale

⁶⁰ Por. j. w. 40 i 51

⁶¹ j. w. 113

pomoc różnych międzynarodowych organizacji, docierała do Burundi i do Rwandy. Nie jest jednak łatwo taką pomoc uzyskać.

Pamiętam, że kiedyś nasi przyjaciele z Polski sugerowali nam, abyśmy się starali organizować pomoc na jakąś większą skalę przez organizacje międzynarodowe. Napisałem wówczas: „Zapewne tak byłoby prościej, ale [...] nie jest łatwo dotrzeć z buszu do światowych organizacji, bo, np. prośby o pomoc w budowie muszą być opatrzone dokładnymi planami, kosztorysami wykonanymi przez inżynierów, opatrzone uzasadnieniami, dokonany przez socjologów, należy podać biuro wykonawcze itp. itd. Wszystko to słuszne od strony organizacji, która ma pomagać, ale gdzież w Burundi znaleźć inżyniera, socjologów czy jakieś firmy i biura wykonawcze? Tu brakuje bardzo prostych fachowców i rzemieślników. Władze diecezjalne, jeżeli już złożyły jakieś prośby do jednej organizacji, nie mogą się zwracać z tymi prośbami do innych, dopóki nie otrzymają odpowiedzi, na którą trzeba czekać czasem rok i dłużej. Władze terenowe są w podobnej sytuacji, a oprócz tego nie zawsze chcą się przyznać wobec świata do istniejącej nędzy i własnej bezradności. Chcą też, by wszystko przechodziło przez ich ręce i niejako „na ich rachunek”. Nie za chętnie więc popierają projekty misjonarza, bo wówczas on ma kontrolę nad realizacją i równocześnie rośnie jego popularność wśród ludu, a nie popularność władz cywilnych. Zrozumiałe.

Jeżeli już się uda uzyskać pomoc, to znów dokładne sprawozdania z każdego wydanego grosza. Znów inżynierowie, ekonomiści itd. Słuszne, ale jakże kosztowne i pożerające wiele czasu!”⁶²

Pomoc przekazana przez same organizacje międzynarodowe to osobne zagadnienie. Oto dalszy ciąg wspomnianego listu: „Problem ujął J. A. Kozłowski w liście do redakcji **Tygodnika Powszechnego**. Pozwólcie, że przytoczę tekst:⁶³

„W liście do redakcji Tygodnika z 10 marca, pani Krotowska porusza znany problem głodu w świecie.

Nie kwestionując szlachetnych pobudek Autorki listu, chciałbym wylać przysłowiowy kubek zimniej wody.

Od prawie dwóch lat pracuję zawodowo w dziedzinie niesienia pomocy krajom Trzeciego Świata i obecnie już po raz drugi jestem z tego powodu w Afryce. Sprawa pomocy, niestety, nie jest taka prosta. Nie jest też kwestią zebrania pieniędzy, ubrań, żywności czy lekarstw i przekazania ich do kraju potrzebującego. Rzeczywistość wygląda, niestety, inaczej.

Określił ją lapidarnie mój przełożony: [Pomoc udzielana krajom Trzeciego Świata jest to przelew pieniędzy z kieszeni ludzi ubogich krajów zamożnych do kieszeni ludzi zamożnych krajów ubogich!](#)

W prywatnych rozmowach ze studentami w Addis Abebie dowiedziałem się, że rząd Etiopii przez dłuższy czas trzymał w tajemnicy klęskę głodu w prowincjach północnych. Dopiero, gdy śmiertelność przybrała monstrualne rozmiary, z zażenowaniem pozwolił na udzielenie pomocy z zewnątrz. Jednocześnie widzi się wspaniałe limuzyny i istny wschodni przepych bogatych Etiopów.

⁶² Misyjny trud, s. 69

⁶³ Tygodnik Powszechny, 28.07.1974

Korupcja prawie bez wyjątku panuje we wszystkich krajach Afryki, o czym otwarcie piszą miejscowe gazety. Stykając się z młodą, przeważnie zamożną inteligencją afrykańską, na każdym kroku stwierdzam postawę konsumpcyjną (w dużo większym stopniu niż w Europie) i zadziwiającą obojętność i bezwzględność wobec otaczającej nędzy współziomków. Wydaje mi się, że cecha współczucia czy litości w kulturach pozaeuropejskich jest chyba nieznaną, a u nas ten atrybut niewątpliwie wniosło chrześcijaństwo.

W konkluzji wydaje mi się, że wszystkie przekazy pieniężne na rzecz głodujących powędrują do kieszeni już i tak bardzo zamożnych urzędników krajów Trzeciego Świata. **Moim zdaniem, jedynie pomoc udzielana prywatnie, z pominięciem czynników oficjalnych, trafia we właściwe ręce. Proponuję więc pomoc misjom katolickim, bo misjonarze rzeczywiście walczą z głodem swoimi skromnymi środkami.**

Inną formą pomocy, coraz bardziej popularną na Zachodzie, jest ofiara z czasu i swoich umiejętności. Różne organizacje wysyłają ochotników-specjalistów na okres paru miesięcy lub paroletni do krajów rozwijających się, po to między innymi, żeby na miejscu skutecznie walczyć z głodem. Jedną z głównych przyczyn głodu jest chroniczny brak wody. A więc prace irygacyjne, wiercenie studni, zakładanie pomp, budowanie wiatraków do pompowania.⁶⁴

Dzisiaj, po doświadczeniu 25 lat, widzę, że nie wszystkie obserwacje p. J. A. Kozłowskiego są zupełnie słuszne, nie wszystkie też mogłyby się odnosić do sytuacji w Burundi i w Rwandzie, ale pod niemal wszystkimi podpisałbym się i dzisiaj. Szczególnie pod stwierdzeniem jego przełożonego.

Papież pisał: „Także przy udzielaniu kredytów należy się upewnić, że trafią one w ręce ludzi odpowiedzialnych i uczciwych.”

Rzeczywiście, „należy się upewnić”. Niestety, często międzynarodowa organizacja, spiesząca z pomocą, nie zna ludzi w Afryce. Cóż z tego np., że ktoś ukończył studia, nawet wyższe studia ekonomiczne? Nie zdobył przez to doświadczenia w gospodarowaniu pieniędzmi, a „we krwi” tego nie ma, bo skąd? przecież to dopiero jego ojciec lub może dziadek spotkał się po raz pierwszy z pieniędzmi, jego wprost magiczną mocą. Zatem nawet ci, którym nie brakuje uczciwości, stają nieco bezradni, gdy trzeba roztropnie i odpowiedzialnie użyć przyznanych krajowi kredytów. Wykazują przy tym sporo dziecinnej bez troski i braku wyobraźni. W ten sposób marnuje się pomoc międzynarodowych organizacji i w konsekwencji zniechęca te organizacje do spieszenia z pomocą.

Pamiętam, że kiedyś któraś z międzynarodowych organizacji przyznała znaczne kredyty na rozwój rolnictwa w regionie Burundi, Rwandy i Tanzanii. Stworzono na miejscu międzynarodowy komitet, który miał się zająć gospodarowaniem przydzielonymi pieniędzmi. Wnet w Burundi, Rwandzie i Tanzanii potworzono odpowiednie najnowocześniejsze wyposażone biura. Zaangażowano licznych sekretarzy, ekonomistów, projektantów itp. Odbywano liczne, kosztowne zjazdy przedstawicieli komitetu. Ponieważ członkowie zarządu komitetu mieli sprawdzać w terenie realizację licznych zamierzonych projektów, zakupiono wspaniałe limuzyny. Niektórzy z zarządu mieszkali na peryferiach stolicy, gdzie drogi były marne, więc aby nie niszczyły się cenne limuzyny, należało poprawić albo wprost zbudować

drogi do ich rezydencji. Trzeba było jeszcze kupić to i owo, aby międzynarodowy komitet posiadał europejski standard. Wnet, tak jakoś niespodziewanie, zanim zdołano cokolwiek dla rozwoju rolnictwa zrobić, pieniądze się skończyły. Wobec takiego marnotrawstwa organizacja międzynarodowa wstrzymała dalsze finansowanie tego, tak bardzo potrzebnego, projektu.

Bywa i tak, że wiele grosza przeznaczonego na pomoc dla naszych biednych ludzi, marnuje się „z winy” samej organizacji międzynarodowej. Nie potrafiła bowiem rozeznaczyć w terenie, jakie są rzeczywiste potrzeby naszych ubogich i jak im można zaradzić, nie marnując bez potrzeby cennego czasu. Czasem przyczyną tego nierozoznania bywa brak zwyczajnej pokory w sercach posłanych do Afryki realizatorów słusznego skądinąd zamierzenia. Brakuje zwyczajnej pokory, by zapytać o radę tych, którzy afrykański świat dobrze znają, np. starszych misjonarzy. Brakuje pokory, by ich uwagi przyjąć.

Pamiętam na przykład projekt zagospodarowania i zaludnienia Mosso. Są to w Burundi dosyć rozległe, prawie nie zamieszkałe doliny od strony Tanzanii. Pewna organizacja międzynarodowa postanowiła wybudować tu domy i namówić ludzi z przeludnionych terenów do przeniesienia się do Mosso. Zaplanowano osiedla i wybudowano za ogromne pieniądze kilkanaście domków. „Za ogromne pieniądze”, bo materiały budowlane takie, jak cegła, piasek, cement, eternit czy blacha na dachy, sprowadzono z daleka. Na dalszą realizację projektu zabrakło pieniędzy, tym bardziej, że organizacja się zniechęciła, bo „niewdzięczni” biedacy, których tu osiedlono, po krótkim czasie opuścili domki twierdząc, że nie można w nich mieszkać. A oni rzeczywiście nie mogli. Dlaczego? Bo wciąż w nich chorowali, zwłaszcza dzieci. Nic dziwnego. W Mosso dni są upalne, noce zimne. Tradycyjne domki, pokryte dachem z grubej warstwy trawy nie przepuszczały za dnia gorąca, a nocą zimna. Cienki dach z eternitu, a tym bardziej z blachy, w nowych domkach bez sufitu nie stanowił dostatecznej izolacji. Za dnia w nowych domkach panowało prawdziwe piekło, nocą trzęsiono się z zimna, tym bardziej, że jak dawniej, układano się do spania, rozkładając cienką matę na posadzce, w tym wypadku na posadzce cementowej. Próbowano zatem – jak w tradycyjnych domkach – palić na środku izby ognisko. Domki jednak były zbyt szczelne. Dym nie miał się którędy ulatniać. Małe dzieci wciąż się przeziębiały. Nic dziwnego. W Burundi matka pracując nosi dziecko na plecach. Czasem jednak potrzebuje się uwolnić od tego „słodkiego ciężaru”. Wówczas ściąga z pleców rozgrzane dziecko i kładzie je na ziemi. Ubita z ziemi polepa w tradycyjnych domach nie była nigdy tak zimna, jak betonowa posadzka w nowych. Nic dziwnego, że maleństwa wciąż były zakatarzone, wciąż przeziębione. W dolinach Mosso panuje także malaria. Wiedziano o tym, ale powiadano: „Przed malarią mogą się ludzie bronić lekarami. Ośrodek zdrowia nie jest zbyt oddalony”. Zapomniano jednak, że jest to ośrodek państwowy, w którym przydział leków zazwyczaj wystarcza na najwyżej pięć dni w miesiącu, i za lekarstwa trzeba drogo płacić. – Poszły więc na marne cenne pieniądze i wysiłki ludzi dobrej woli. Opuszczone domki w Mosso, z dnia na dzień, coraz bardziej marnieją.

Można też powiedzieć paradoksalnie, że przyczyną wciąż utrzymującej się w Burundi i w Rwandzie nędzy, jest właśnie wielka nędza tych małych krajów. Pomoc organizacji międzynarodowych, zmierzająca w tych krajach do rozwoju jakiegoś przemysłu, a więc do stworzenia miejsc pracy, nie ma tu po prostu – jak się mówi – o co się zaczepić. Jak już wspomniałem, brak tu bogactw naturalnych. Nie ma tu np. węgla, nie ma ropy naftowej i nie

ma dostatecznych zasobów energii elektrycznej. Jakież zatem można tu stworzyć przemysł? Może jedynie przemysł dla zaspokojenia potrzeb miejscowej ludności. Pomyślano kiedyś w Burundi o produkcji zawsze przecież potrzebnego płótna. Poświęcono trochę terenów obok stolicy, a szczególnie myślano o poświęceniu terenów w dolinie Mosso pod uprawę bawełny. Sprowadzono maszyny, zbudowano niewielki zakład. Wnet się jednak przekonano, że wszystką bawełnę ze zbiorów w Burundi można przerobić na płótno za miesiąc, a z pewnością za dwa. Gęstość zaludnienia nie pozwala poświęcić większych terenów na uprawę bawełny. Energia elektryczna pochodząca głównie z Zairu jest droga. Nawet przy bardzo niskich zarobkach robotników, płótno wyprodukowane w Burundi musiałoby być droższe od płótna sprowadzanego np. z Chin. Pomyśl upadł.

Niektórzy pytają: dlaczego nie wykorzystać licznych górskich rzek i nie budować na nich odpowiednich tam, zapór dla uzyskania energii elektrycznej? Owszem, wydaje się, że byłoby to zupełnie możliwe, ale czy w biednym kraju opłacalne? Kiedy na ten temat napisałem: „Jako odpowiedź na to pytanie niech posłuży przykład osiedla wojewódzkiego w Burundi. Pewna instytucja francuska chciała temu ‘miastu’ złożyć dar w postaci elektrowni. Zaczęto robić badania i kosztorysy. Okazało się, że istnieją dogodne warunki do zbudowania tamy i elektrowni. Powstało jednak pytanie: ale kto będzie z tego korzystał? Tylko warsztaty na biskupstwie potrzebują trochę energii. Inni nie potrzebują, bo na co? A światło? Poczta, sąd, szkoła itp. „urzędują” w ciągu dnia. Na noc potrzebują kilkadziesiąt żarówek: biskupstwo, szpitalik i wojskowe koszary. Ludziom wystarczy w domu na dwie godziny jedna lub dwie żarówki. Dla jednej żarówki nie opłaca się przeprowadzać linii energetycznej do rozrzuconych po wzgórzach domków. Z jakich zatem funduszy utrzymać potem tamę i elektrownię? Projektu zaniechano.”⁶⁵

Trudno spieszyć z pomocą sensowną i efektywną krajom, które są zbyt ubogie. Czasem, gdy braknie rozeznania, a zwłaszcza, gdy przypląta się choćby niewielka doza nieuczciwości, pomoc przysłana do biednej Afryki jest rzeczywiście „bez sensu”. Trudno, aby wtedy nie rodziło się podejrzenie o jakąś brudną, nieuczciwą ofertę. Tak było na przykład z lodówkami, ofiarowanymi przez kogoś z bogatych krajów dla każdego ośrodka zdrowia w Rwandzie. Dostarczono je rzeczywiście do wszystkich ośrodków zdrowia, i to bez względu na to, czy miały lub nie, prąd elektryczny. Miały go tylko bardzo nieliczne. Zaczęła wtedy krążyć pogłoska, że to jakaś firma, jakiś producent lodówek miał na zbyciu lodówki, które stały się zupełnie niemodne w Europie czy w Ameryce, których zatem nikt by nie kupił. Dotarł więc do odpowiednich władz w swym kraju i za zwolnienie go od podatków na kilka lat, ofiarował lodówki jako dar swej ojczyzny dla krajów Trzeciego Świata. Jego ojczyzna mogła się wykazać wobec ONZ swą gorliwością w spieszeniu z pomocą krajom, będącym w drodze do rozwoju, on sam nie stracił, lodówki się nie zniszczyły. A że teraz niszczeją w pozbawionych elektryczności ośrodkach zdrowia ubogiej Afryki, to już nikogo nie obchodzi. Czy rzeczywiście nikogo? Słyszałem ludzi w Rwandzie, mówiących: „Szkoda pieniędzy, które na dostarczenie tego ‘daru’ stracono!”

Oto tylko niektóre z przyczyn sprawiających, że Burundi i Rwanda wciąż należą do najbiedniejszych krajów świata. Oto dlaczego przez 25 lat swej misyjnej pracy w Burundi i w

Rwandzkie polscy Karmelici Bosi nosili w sercu to przekonanie: Pan „posłał mnie, abym ubogim niósł Dobrą Nowinę...” Nie mogli o tym ani na moment zapomnieć. Musieli i chcieli pomagać. Wnet bowiem przekonali się, że ci biedni ludzie są bardzo bezradni w obliczu swej nędzy, że oni sami sobie pomóc nie mogą. Napisałem kiedyś, że człowiek zapadający się w bagno sam sobie nie pomoże, sam siebie nie wyciągnie, choćby nie wiem jak mocno ciągnął się za włosy do góry. Nie pomoże mu także ktoś drugi, stojący obok niego na bagnistym terenie. Potrzebny im ktoś stojący na twardym gruncie. Ten tonącemu w bagnie może podać jakiś kij lub linę, a tonący musi go uchwycić, musi z ratującym go współpracować. Ratujący nie może się zrażać lub zniechęcać, jeżeli ratowany okazuje się niezdarny, jeżeli nie umie współpracować. Powinien go cierpliwie pouczać, zachęcać. Udzielanie pomocy może być bardzo skomplikowane. Tak bywało w Burundi i w Rwandzie ...

Przygodny obserwator może pochopnie wyciągnąć fałszywe wnioski, może mówić: „Czarni są leniwi! Marnują tyle czasu nic nie robiąc. Mogliby ten czas wykorzystać tylko na pobudowanie sobie lepszych domów. Ale im się nie chce. Wolą mieszkać w niezdarnie skleconych chałupinach...” W rzeczywistości to nie takie proste, wcale nie proste w buszu. Te „leniwe ręce” nie mają po prostu o co zaczepić. Brakuje tu bardzo prostych podstawowych narzędzi. Jeżeli w całej wiosce jest jeden młotek, to już dobrze. Można ostatecznie pożyczyć młotka, aby coś przybijać. O gwoździe też trudno, ale może się uda zdobyć ich choć kilka. Ale kiedy gwoźdź przy wbijaniu się skrzywi albo wejdzie nie tak, jak zamierzaliśmy, to czym go wyciągnąć? W wiosce nie ma kleszczy, nie ma odpowiedniej siekiery... Nie ma też w wiosce piły, aby zdobyłą deskę odpowiednio przyciąć... Nie ma strugów, aby ją wygładzić... przy budowaniu domu tracą więc wiele cennego czasu, aby belki jakoś szpeciły, powiązać sznurkami zrobionymi z sizalu, aby wszystko posplatać... A że to wszystko wyszło tak jakoś niezdarnie i krzywo, to trudno. Nikt tu nie ma poziomiczy. W przyrodzie też wszystko jest krzywe, pokręcone – a przecież jest piękne!

Inny obserwator – turysta, a szczególnie turystka, może mówić: „Czarni są leniwi! Dlaczegoż to kobiety w Burundi chodzą w tak zabrudzonej, w tak zszarpanej odzieży?! Dlaczego nie wypiorą do czysta koszuli mężowi i sukienek dzieciom? Przecież mają dosyć czasu. To prawda, że to one przede wszystkim uprawiają rolę, ale ileż tego pola mają? Zostaje im wiele czasu...” Misjonarze jednak widzą, że pranie w Burundi, to nie taka prosta sprawa. Kobiety nie mają tu elektrycznej pralki i nie mają proszku do prania, który „sam usuwa wszelkie plamy”. One bardzo często nie mają mydła, nie mają garnka, w którym mogłyby wygotować bieliznę. One idą prać do odległej nieraz rzeki. Pranie to trudna praca, a jej efekty bywają mizerne. Jak im pomóc? Pamiętam, że któryś z naszych misjonarzy zapamiętał, jak nasze polskie babki lub prababki radziły sobie, robiąc do prania zmiękczający wodę i ułatwiający pranie „ług” z popiołu z drewna. Próbował nauczyć tej sztuki dziewczęta z Mpingi. Pouczał i pokazywał praktycznie, jak to robić należy. Zalać wodą nieco popiołu i pozostawić w garnku na noc. Rano „ług” będzie gotowy. Należy go dolać do wody, w której moczymy bieliznę przed praniem i należy go używać przy praniu. Podziwiałały wodę, która dzięki popiołowi stała się rzeczywiście „miękką i śliską”. Kiedy po jakimś czasie zapytał, czy stosują tę metodę przy praniu, wzruszyły ramionami i z uśmiechem odparły: „U nas to niemożliwe!” Zapomniał misjonarz, że u nich w domu jest tylko jeden garnek, w którym trzeba gotować jedzenie, a nie moczyć popiół. Zapomniał, że u nich w domu nie ma wielkiego garnka do moczenia bielizny przed praniem. Zapomniał, że one bieliznę piorą nad

rzeką. Wkładają w to pranie wiele wysiłku. Chcą pięknie wyglądać, jak wszystkie dziewczęta na świecie. Usiłują swoje sukienki także prasować. Niejeden raz, jadąc przez wioski w sobotę wieczorem lub w niedzielę rano, podziwialiśmy dziewczęta, które na desce ułożonej na trawie przed domem prasowały żelazkiem na węgielki swoje suknie lub koszule i spodnie braci. Musiały się przy tym spieszyć, bo jedno lub dwa żelazka muszą obsłużyć całą wioskę.

Bywało, że biali mówili: „Czarni są leniwi! Popatrz, nawet oberwanego guzika nie chce się im przyszyć albo pozszywać koszuli, która ‘w szwach puściła...’” Trzeba jednak pamiętać, że guzik odpadł i zgubił się, a w wiosce nie ma sklepu z guzikami, niciami lub igłami. Trzeba daleko wędrować, aby je kupić na targu. Handlarze przyjeżdżający na targ nie chcą wziąć za nici jajka lub garstki grochu, bo cóż z tym w podróży będą robili? Oni chcą pieniędzy, a pieniędzy wciąż biednym ludziom brakuje. Nawet kiedy się je uda zarobić, to jest wiele ważniejszych do kupienia rzeczy, ważniejszych od guzika i nici!

To tylko niektóre przykłady wzięte z tysiąca, które mówią, że niełatwo się z nędzy wy dostać, niełatwo przyczyny nędzy rozeznaczyć, a jeszcze trudniej je usunąć.

Jeszcze raz pragnę tu przytoczyć słowa Jana Pawła II: „W Afryce, potrzeba stosowania Ewangelii w konkretnie życia jest bardzo odczuwalna. Czyż można głosić Chrystusa na tym ogromnym kontynencie zapominając, że jest on jednym z najuboższych regionów świata? Czyż można nie brać pod uwagę przepelnionej cierpieniami ziemi, na której tyle narodów wciąż zmagają się z głodem, wojnami, konfliktami rasowymi i plemiennymi, brakiem politycznej stabilności, łamaniem praw człowieka? To wszystko stanowi wyzwanie dla ewangelizacji.”

To wezwanie polscy Karmelici Bosi starali się zrozumieć, przyjąć i na nie odpowiedzieć, usiłując przez 25 lat zaradzić ludzkiej nędzy w konkretnie życia biedaków w Burundi i w Rwandzie. Zaradzić ludzkiej nędzy mogli dzięki pomocy, którą sami otrzymywali. Ale o tym porozmawiamy przy innej okazji. Przez szerzenie Ewangelii miłości, starali się polscy misjonarze przezwyciężyć konflikty rasowe i plemienne, które bywały przyczyną walk, przyczyną braku stabilności i przyczyną wciąż rosnącej nędzy.

W adhortacji apostołskiej **Vita consecrata** Jan Paweł II napisał: „Ubóstwo ma wiele wymiarów – ‘ubogimi’ są uciśnieni, zepchnięci na margines, starcy, chorzy, dzieci i wszyscy, których społeczeństwo postrzega i traktuje jak ‘ostatnich’.

Opcja na rzecz ubogich jest wpisana w dynamikę miłości, przeżywanej zgodnie z zamysłem Chrystusa.”⁶⁶

4. „ABY WSZYSCY STANOWILI JEDNO.”⁶⁷

⁶⁶ Vita consecrata, 82

⁶⁷ J. 17, 21

Serdeczną, gorącą troską Bożego Syna, posłanego na świat, była jedność wszystkich uczniów, jedność pełna, na miarę tej jedności, która sprawia, że Ojciec i Syn stanowią jedno. Przed Swoją męką błagał Ojca: „...proszę, aby wszyscy stanowili jedno, jak Ty, Ojczye we Mnie, a Ja w Tobie, aby i oni stanowili w Nas jedno, aby świat uwierzył, żeś Ty mnie posłał. I także chwałę, którą Mi dałeś, przekazałem im, aby stanowili jedno, tak jak My jedno stanowimy. [...] Oby się tak zespolicili w jedno, aby świat poznał, żeś Ty Mnie posłał i żeś Ty ich umiłował, tak jak Mnie umiłowalesz.”⁶⁸ Ta jedność miała być wymownym świadectwem Jego posłania na świat, tego posłania, które miało zgromadzić w jedno rozproszone dzieci Boże za cenę śmierci Bożego Syna.⁶⁹

Wyjeżdżając na misję do Burundi przed 25 laty polscy Karmelici Bosi, chociaż w głębi serca słyszeli zapewnienie Pana: „Jak Ojciec Mnie posłał, tak i Ja was posyłam”, to przecież nie zdawali sobie sprawy, jak głęboko wypadnie im wejść w troskę Jezusowego Serca, w troskę o jedność rozproszonych dzieci Bożych.

Po prostu nie pamiętali o tym, że ta troska o jedność była celem Jezusowego posłania. Nie pamiętam, aby wtedy o tym rozmawiali, aby na ten temat dyskutowali. Nie wiedzieli zresztą wiele o braku jedności, o podziałach wśród ludzi, do których posłał ich Pan. Wprawdzie tu i tam mogli wyczytać, że ludność Burundi stanowią trzy plemiona, Twa, Tutsi, Hutu, ale trudniej było dowiedzieć się czegoś konkretnego na temat wzajemnych stosunków tych plemion. Wprawdzie po przyjeździe do Burundi słyszeli, że te plemiona walczą ze sobą o zdobycie i utrzymanie władzy, ale przecież na razie tej walki nie dostrzegali i wraz z wieloletnimi misjonarzami radowali się, że jedność tych plemion coraz bardziej się cementuje, chociażby przez dosyć częste małżeństwa mieszane, małżeństwa pomiędzy osobami z różnych grup etnicznych.

Ostatnio Jan Paweł II w adhortacji apostołskiej **Ecclesia in Africa** napisał: „Inne wyzwanie, wskazane przez Ojców Synodalnych, dotyczy różnego rodzaju podziałów, które należy usunąć, podejmując szczerzy dialog. Słusznie zwrócono uwagę, że w państwach, których granice są dziedzictwem pozostawionym przez mocarstwa kolonialne, głęboka wzajemna wrogość różnych grup etnicznych, tradycji, języków, a także religii stanowi przeszkodę dla ich współistnienia. **„Konflikty plemienne niejednokrotnie stwarzają zagrożenie, jeśli nie dla pokoju, to w każdym razie dla wspólnego dobra całego społeczeństwa, utrudniają też życie Kościołów oraz współpracę z Pasterzami z innych grup narodowościowych”**.⁷⁰ Oto dlaczego –kontynuuje Papież – Kościół w Afryce uważa, że jego szczególną misją jest usuwanie takich podziałów.”⁷¹

W tę „szczególną misję” Kościoła w Afryce musieli wejść polscy Karmelici Bosi już na początku swej posługi misyjnej w Burundi. **Bowiem już 29 kwietnia 1972 niespodziewanie wybuchnęła w Burundi krwawa wojna domowa.** Cały kraj okrył się

⁶⁸ j. w. 17, 20-23

⁶⁹ por. j. w. 11, 51-52

⁷⁰ (Papieska Komisja „Iustitia et Pax”, Dokument o uprzedzeniach rasowych, Kościół wobec rasizmu; 3 listopada 1988, 12)

⁷¹ EA 49

żałobą, bólem przepełniały się serca, strach przeglądał przez wszystkie oczy, czał się w każdym zakątku. Obficie poląła się krew. Spalono wiele wiosek. W walce zginęły – jak się mówi – setki tysięcy ludzi. Potem nastąpiły krwawe represje. Dlaczego? Aby odpowiedzieć na to pytanie, trzeba sięgać chociaż po garstkę wiadomości z historii tego ludu i tego kraju.

Ludność Burundi, podobnie jak Rwandy, składa się z trzech zasadniczych plemion:

1. **Twa** stanowią około 1% ludności. Są to pierwsi znani mieszkańcy tych terenów. Nie należą oni do czystej rasy pigmejskiej, są jednak do niej bardzo zbliżeni. Średnia ich wzrostu sięga 157 cm. Stali się pół-Pigmejami przez wymieszanie się z nieznaną ludnością tubylczą wyższego wzrostu. Z zamiłowania są przede wszystkim myśliwymi. Obecnie trudnią się również garncarstwem, a nawet tu i tam zaczynają uprawiać ziemię.

2. **Hutu** (około 85 % ludności) to plemię Bausu, które przybyło na tereny Burundi i Rwandy z północnego wschodu w bardzo odległej epoce. Bez trudu opanowali te tereny. Byli i pozostali rolnikami. Dla zdobycia terenów pod uprawę palili i karczowali tutejsze lasy, wypierając tym sposobem Pigmejów. Ich średni wzrost wynosi 167 cm. Po zetknięciu się z przybyłymi tu później pasterzami chamickimi zajęli się także hodowlą bydła.

3. **Tutsi** (około 15 % ludności) są prawdopodobnie pochodzenia chamickiego (Negro-Chamici). Przybysze z Azji Zachodniej – taka jest opinia – już od IV wieku po Chrystusie podejmowali próby przeniknięcia na południe Afryki. Jednak dopiero w XI i XII wieku podjęli bardziej śmiałe ruchy migracyjne. Dotarli najpierw do regionu Wielkich Jezior, a później (w XV wieku) zaczęli zajmować tereny dzisiejszej Rwandy i Burundi. Posiadali znaczne stada bydła, co dawało im przewagę materialną nad uprawiającymi marne stoki górskie rolnikami Hutu. Byli uprzywilejowanymi także z racji swojego wzrostu oraz pełnego dostojeństwa sposobu zachowania się. Nic zatem dziwnego, że chociaż mniej liczni, w krótkim czasie umocnili swoją przewagę społeczną na tych terenach.

W późniejszych czasach należy wyróżnić jeszcze jedną nieliczną grupę społeczną, tzw. **Ganwa**, książąt krwi królewskiej. Ich pochodzenie jest osłonięte pewną tajemnicą. Powszechnie uważa się jednak, że grupa ta powstała z wymieszania się warstwy panującej Hutu z najznakomitszymi rodzinami Tutsi. Stanowili oni pewnego rodzaju arystokrację, która przez długi okres dziejów dzierżyła władzę.

Te trzy plemiona żyjące na terenie dzisiejszej Rwandy i Burundi, pod przewodnictwem wspomnianej arystokracji utworzyły wspólną organizację polityczną. Dokonało się to powoli, nie bez walki, w ciągu wieków. Królowie małych państw byli absolutnymi panami wszystkich i wszystkiego. Oni wybierali i mianowali zwierzchników, namiestników, (najczęściej spośród Ganwa) zarządzających wyznaczonymi terenami

królestwa. Historia rodzin królewskich (dynastii) ginie w mroku. Mówi się, że sięga XVI wieku.

O losie współczesnych krajów Burundi i Rwandy – powtórzmy jeszcze raz – zdecydowała w 1885 roku Międzynarodowa Konferencja w Berlinie. Burundi i Rwanda zostały włączone do kolonii niemieckiej w Afryce, która od roku 1890 przyjęła nazwę Niemiecki Protektorat Afryki Wschodniej. Okupacja niemiecka na tych terenach miała przede wszystkim charakter militarny.

W roku 1916 Burundi i Rwanda zostały opanowane przez oddziały belgijskie. Liga Narodów w 1919 roku uznała ten stan, powierzając Belgii administrację tych krajów.

Po drugiej wojnie światowej Burundi i Rwanda dostają się pod opiekę ONZ, pozostając pod tymczasowym zarządem Belgii.

W pierwszych latach po 1960 roku, jak wiele innych krajów Afryki, Burundi i Rwanda uzyskują niepodległość, stając się republikami. Władzę w Burundi, nie bez pomocy Belgów, objęli Tutsi, stwarzając rząd mocno oparty na wojsku. Wiadomo, że kiedy rządzi mniejszość, musi starać się utrzymać władzę, musi zatem zaprowadzić silny reżim policyjny. Nie może też mniejszość dać większości proporcjonalnego dostępu do rządu, do urzędów, do szkół... Pod okupacją Tutsi, wybijające się jednostki Hutu czuły się zagrożone. Taki stan zapanował w Burundi.

Nieco inaczej ułożyły się stosunki w Rwandzie. Tu z pomocą pewnego pułkownika, wbrew dyrektywom idącym z Brukseli, i przy poparciu biskupa Kabgayi, Andrzeja Perraudin, władzę oddano większości. Nowy rząd także opierał się na wojsku, ale nie było konieczności zaprowadzenia terroru politycznego. Można też było pozwolić sobie na większą sprawiedliwość, dopuszczając do rządu, do urzędów, do szkół proporcjonalnie 15% Tutsi. Władza nie czuła się, tak jak w Burundi, zagrożona.

Niestety, walka o władzę tak w Burundi, jak w Rwandzie nigdy nie ustała. Inaczej jednak toczyła się w jednym kraju, inaczej w drugim.

W Burundi.

Jak wspomniałem, rządząca tu mniejszość obawiała się utraty władzy. Powiadano, że co jakiś czas rządzący muszą stworzyć taką sytuację, aby się wydawało, że opozycja większości pokusiła się sięgnąć po władzę. Wtedy w represjach będzie można wyeliminować wybijające się jednostki spośród większości (Hutu). Czy taki charakter i taki cel miały zajścia w 1972 roku? Trudno powiedzieć. Podobno jakieś oddziały Hutu przygotowały w Tanzanii atak na kraj w celu zdobycia władzy. Dziwnie to wyglądało, bo żaden z wodzów tych „rebeliantów” nie był nigdy znany. To prawda, że spalono kilka wiosek nadgranicznych, że zginęło przy tym kilkadziesiąt rodzin Tutsi, ale kto i w jakim celu tę wojnę rozpoczął? Dostyc na tym, że wojsko, wsparte ochotnikami Tutsi, wnet sobie z atakiem poradziło, paląc przy tym całe okolice i mordując tysiące ludzi. Ilu? Mówiło się, że zginęło 250 000, a może i więcej. Wtedy w całym kraju zaczęły się represje. Podobno znaleziono spisy tych, którzy od lat wspierali składkami przygotowujących obalenie władzy rebeliantów. Zgodnie z tymi listami-spisami wyszukiwano i mordowano wszystkich wykształconych lub wybijających się Hutu. Zginęło nawet wielu uczniów szkół średnich. Zginęło 18 księży, a wielu poczuło się zagrożonymi.

Zapanował niesamowity terror. Nadzieja Kościoła na zjednoczenie dwu grup etnicznych została zniszczona. Wiadomo, że będzie trzeba bardzo długo czekać, aby małżeństwa pomiędzy osobami z Hutu i Tutsi znów były możliwe. Aby byli jedno! Ojciec spraw, aby wszyscy stanowili jedno – jakże żarliwie powtarzali tę Chrystusową modlitwę misjonarze. To im na razie pozostało. Nie mogli wielu uratować, chociaż usilnie się o to starali.

Propaganda rządowa wciąż powtarzała, że w tym wszystkim, co się dzieje w kraju, nie chodzi absolutnie o jakąś wrogość grup etnicznych, bo tak naprawdę takie grupy nie istnieją. Istnieją tylko Burundyjczycy. Chodzi tu jedynie o ukazanie wrogów państwa. Różnicę rasową wprowadzili do Burundi biali, między innymi biali misjonarze.

Następną okazję do „ukarania wrogów państwa” stworzono w 1988 roku. Na północy kraju, gdzie mieszkają przede wszystkim Hutu, w jakiejś sprzeczce tak podrażniono ludzi z tej grupy etnicznej, że zamordowali żołnierza Tutsi. Zaczęły się represje, na które teraz Hutu odpowiedzieli obroną. Jakże się jednak bronić przeciw przemocy dobrze uzbrojonego wojska. W zamieszkach zginęło – jak się mówi – około 80 tys. ludzi. Na szczęście wojna i represje nie rozszerzyły się na cały kraj. Tysiące ludzi uciekło do sąsiedniej Rwandy, gdzie w obozach dla uciekinierów przebywali około roku.

Później sytuacja rządzących Tutsi stała się nieco trudniejsza. Kraje Europy uzależniały niesienie pomocy od stworzenia w Burundi i w Rwandzie przynajmniej kilku partii politycznych, które nie powinny składać się z ludzi jednej grupy etnicznej. Rządy w Burundi i Rwandy musiały się na to zgodzić, bo bez pomocy z Europy czy Ameryki nastąpiłby prawdziwy krach gospodarczy w i tak już biednych krajach. Powstawały więc partie, które miały wystawić swoich kandydatów w zbliżających się wyborach. W niektórych partiach byli wprawdzie nieliczni Tutsi, ale tak naprawdę były to partie Hutu. Wybory w 1992 roku wygrała niespodziewanie partia Hutu. Mówię „niespodziewanie”, bo rzeczywiście nie spodziewano się, że „gnębieni” od lat i trzymający nisko głowę Hutu, potrafią się na tyle zorganizować, by wygrać wybory. Sądzi się, że także panujący Tutsi nie wierzyli, że Hutu coś takiego ośmielią się zrobić. Tymczasem wygrali wybory i prezydentem został Melchior Ndadaye. Trzeba przyznać, że poprzedni prezydent zachowywał się godnie. Władzę spokojnie przekazał. Utworzono rząd, w którym większość tek ministerialnych objęli Hutu. Nie było jednak łatwo rządzić, bo całe wojsko składało się z Tutsi. Oni także mieli w ręku całe sądownictwo i urzędy administracji. Nie można było tego zmienić tak z dnia na dzień. Rosła jednak nadzieja, że w Burundi nareszcie zapanuje prawdziwa sprawiedliwość i pokój.

Niestety, już 20 października, wojsko zorganizowało pucz. Zamordowano prezydenta i kilku ministrów. Pucz jednak nie udał się. Zamachowcy podobno zdołali uciec za granicę. Teraz Hutu postanowili się bronić. Wybuchły zamieszki niemal w całym kraju. W niektórych okolicach bardzo krwawe. Palono domy Tutsi, mordowano, nie oszczędzając kobiet i dzieci. Komu nie udało się uciec i zaszyć w jakąś mysią dziurę – ginął. Zaraz jednak do akcji wkroczyło wojsko. Wprawdzie Hutu próbowali zatarasować drogi zwalonymi drzewami i przekopując na drogach rowy. Wojsko jednak z tym sobie poradziło i ze swej strony paliło domy Hutu i mordowało wszystkich Hutu, którzy nie zdołali uciec. Znów całymi setkami tysięcy uciekano do Zairu, przede wszystkim

jednak do Tanzanii i Rwandy. Niektórzy z rządu, którzy w czasie puczu przebywali za granicą, próbowali w Kigali stworzyć coś w rodzaju rządu na emigracji, w każdym razie przez radio nawoływali do walki z puczystami, czyli z Tutsi. Sytuacja była niezwykle trudna. Tutsi zdołali się schronić pod opieką wojska. Potworzono wewnątrz kraju obozy dla Tutsi, obozy strzeżone przez wojsko. **Wydaje się jednak, że Tutsi zrozumieli, iż nie zdołają opanować sytuacji i objąć władzy tym bardziej, że opinia międzynarodowa stanęła po stronie Hutu. Po wielu trudnych spotkaniach przedstawicieli partii zgodzono się na nowego prezydenta, którym został Cyprian Ntaryamira, i na tworzenie nowego rządu.** Nie szło to łatwo, ale ostatecznie sytuacja w kraju uspokajała się powoli. Nie na tyle jednak, by Tutsi przebywający w obozach ośmielili się wrócić do swoich wiosek. Wciąż się bali, pamiętając, jak okrutnymi potrafią być podrażnieni i doprowadzeni do szału Hutu. Trzeba przyznać, że Hutu zostali w październiku podrażnieni. Opowiada się, że na wieść o zamordowaniu prezydenta, Tutsi zbierali się razem, pili piwo, śpiewali i tańczyli całą noc. Są świadkowie, którzy opowiadają, jak się zaczęła krwawa rzeź Tutsi w naszej dawnej parafii, w Mpindze. Obok zebranych razem, strapionych po śmierci prezydenta Hutu, mieli przechodzić Tutsi, i jeden z nich, znany z pogardliwego stosunku do Hutu, zaczął się naigrawać: „Narządziliście się długo, co? Ten się śmieje, kto się śmieje ostatni!” Hutu nie wytrzymali! Zaczęła się szarpanina, której finałem była walka na śmierć i życie. Nie uszanowano nawet kościoła parafialnego i domu sióstr Bene-Terezia. Masakra Hutu dokonana przez wojsko, dokończyła krwawego dzieła. Zginęło ponad 300 osób. Niektórzy mówią, że daleko więcej. Spokojniej było w Musongati, parafii prowadzonej przez polskich karmelitów. Zginęło tu wprawdzie około 180 osób, ale większej masakry udało się uniknąć, do czego swoim wstawiennictwem przyczynił się o. Jan Kanty Stasiński. W niektórych wioskach tej parafii, np. w Shandze, zachowano zupełny spokój i nadal Hutu i Tutsi mieszkają po sąsiedzku.

To, co stało się po zamordowaniu pierwszego prezydenta z Hutu, zraniło wiele serc i mocno rozdarło wciąż jeszcze jątrzące się rany po dawnych zajściach, chociażby po tych z 1972 roku. Wykopano na nowo przepaść pomiędzy ludźmi z dwu grup etnicznych. Co i kiedy zdoła ją zasypać?

Pamiętam rozmowę z zaprzyjaźnioną z nami, a szczególnie ze mną, Renatą Kabura z Mpingi. Opowiadała mi wydarzenia tamtych dni. Gdy w pamiętny wieczór zaczęły płonąć domy Tutsi, gdy podniosły się krzyki, ona, jej mąż Michel i trójka dzieci postanowili uciekać. Mąż, jako najbardziej zagrożony, miał się skierować do Musongati, ona miała się ukryć z dziećmi w pobliskich skałach. Mąż i dzieci wyszli z domu, ona zatrzymała się na moment, by zabrać jakieś cenniejsze rzeczy, ubiory. Gdy wbiegła po chwilce, zobaczyła w ciemnościach uciekających ludzi i krzyki ścigających. Męża i dzieci już nie ujrzała. Z powodu bliskości ścigających wpadła między banany, przywarła do ziemi pod jakimś krzewem i polecała się Bogu. Wnet podpalono ich domy i inne domy. Mąż uciekał w stronę Musongati i, jak opowiadali świadkowie, zginął w Maganahe. Jej udało się uciec do pobliskich skał, gdzie przesiedziała do przyjscia żołnierzy. O dzieciach nie było wieści. Jak się okazało, sparaliżowane strachem spędziły dwie noce i cały dzień pod osłoną jakichś krzewów czy jarzyn, w pobliżu ścieżki, na której wśród krzyków i lamentów zamordowano kilkanaście osób. W łunie płonącego domu widziały wszystko, dlatego chociaż nastąpiła cisza, nie ośmieliły się ruszyć. Później osłabły z wyczerpania i głodu. Prawie martwe dowieziono je do

stolicy i odratowano. Matka dopiero po trzech tygodniach dowiedziała się, że żyją. Teraz przebywa z nimi w Mpindze, w obozie strzeżonym przez żołnierzy. Opowiada, jak potworny strach ogarnia dzieci, zwłaszcza gdy nadchodzi noc. Nic dziwnego. Mają w oczach krwawą robotę, mają w uszach krzyki i lamenty, noszą w sercu tragiczne przeżycia: rozłąkę z matką, strach, że została zabita; noszą w sercu tęsknotę za ojcem, który przepadł w ciemności. Nawet „nowość” życia obozowego, nawet zabawy z innymi dziećmi nie potrafią zabić wciąż żywego, wciąż odżywającego strachu. Często nocą budzi je jakikolwiek odgłos, nawet lekkie stukanie; podrywają się, by rzucić się do ucieczki.

Patrząc na wymęczoną i wychudłą twarz Renaty, pytam: „A ty sama, jak to wszystko przeżyłaś? Jak się teraz czujesz?” „Początkowo – odpowiada – było jakieś otępienie, była niepewność co do losu męża, dzieci, były wieści o tych, którzy zginęli spośród rodziny, spośród znajomych; i mocno nam wszystkim doskwierała niepewność jutra. Powoli otrząsnęłam się z tego, pogodziłam się z faktem, że Michel nie żyje. Próbowalam się trzymać, by być podporą dla dzieci, dla znajomych. Sądzę, że tak mnie jak i innym bardzo pomaga modlitwa. Mamy dużo czasu, więc aby wciąż na nowo nie rozżalać się wspomnieniami, postanowiliśmy trzy razy w ciągu dnia odmawiać cząstkę różańca. Śpiewamy też wiele pieśni religijnych. Przydała się nasza przynależność do organizacji katolickich w czasach dziewczęcych. To pomaga, ale nie jest łatwo. Może to wszystko jeszcze zbyt świeże. Wiem, że wielu katolików wciąż jeszcze nie umie sobie poradzić z problemem przebaczenia”.

„A ty?” – ośmieliłem się zapytać. „No cóż – odpowiada – mnie też niełatwo, ale spróbowałam sobie wytłumaczyć, że to, co się u nas stało, nie jest winą naszych prostych ludzi, Tutsi czy Hutu. To ci, którzy walczą o władzę, pchnęli nas do tego. Usiłuję też prosić Pana o łaskę przebaczenia. Powoli moje serce ogarnia pokój i radość wewnętrzna, cicha radość z faktu, że nie ma we mnie zaciętości, że rodzi się przebaczenie. Tej łaski potrafię już życzyć moim koleżankom, także tym z Hutu. O tę łaskę potrafię się dla nich modlić. Czasem próbuję im ułatwić przebaczenie. Nie jest to jednak proste. Boli, gdy spotykam się z odtrąceniem. Podam przykład. – Nie mogę wrócić i zamieszkać w naszym przysiółku. Nasz dom spalony. Próbuję jednak na stare śmieci przychodzić, by uprawiać nasze pole. Szukam przy tym okazji, aby spotkać się z moimi dawnymi sąsiadkami z Hutu. Ot, proszę o pożyczanie na chwilę motyki, bo moja się zepsuła, albo podchodzę do domów prosząc o kubek wody. Boli, bardzo boli, gdy dom zostaje zamknięty zanim zdążę podejść i udają, że nikogo nie ma w domu. Boli, gdy kubek wody podadzą ci przez dziecko. Udając pilne zajęcie, które nie pozwala im wyjść do gościa, po prostu do koleżanki. Usiłuję je zrozumieć. Może to wszystko jeszcze zbyt świeże. Może nie mogą pojąć, że chcę, że potrafię przebaczyć, skoro one tego jeszcze uczynić nie mogą. Nie zniechęcam się, nie przestaję ponawiać prób. Wierzę, że tu, w naszych wioskach, rany się zagoją, nastąpi przebaczenie, pojednanie. O ile...” „Co ‘o ile’?” – zapytałem. „O ile znów ktoś ran nie rozdrapie. Tego się panicznie boimy. Bo to, co się dzieje w kraju, nie wróży nic dobrego. Wiesz z pewnością, co dzieje się wśród młodzieży. Nie chcą się absolutnie uczyć razem. Tworzą się już tu i tam osobne szkoły dla Tutsi i osobne dla Hutu. Jeżeli młodzi, którzy zazwyczaj mają dużo tolerancji, nie potrafią dzisiaj znieść się wzajemnie, to jakże będą wspólnie pracować, wspólnie rządzić, wspólnie prowadzić do zgody i do dobra tak bardzo poważniony kraj... Jedynie Bóg może nam pomóc”.

Jeżeli pozwoliłem sobie na przytoczenie tu obszernych fragmentów rozmowy z Renatą, z prostą kobietą z Mpingi, to dlatego, że jej wypowiedzi obrazują to, co dzieje się w

wielu sercach, obrazują obawy, co do przyszłości kraju. Wielu z nich nie posiada zapewne tego przeświadczenia Renaty: „... to, co się stało, nie jest winą naszych prostych ludzi, Tutsi czy Hutu. To ci, którzy walczą o władzę, pchnęli nas do tego”. Wielu jeszcze wzajemnie się oskarża, wzajemnie się w sercu potępia. Wszyscy jednak widzą, że to, co dzisiaj dzieje się w kraju, wróży tragiczną przyszłość. Obawy o tę przyszłość wyrażali prości ludzie, Hutu i Tutsi, z Mpingi i jej okolic. Obawy te wyrażali ludzie wykształceni, także biskupi i kapłani. Uzasadnione obawy, bo podobno nawet w seminarium duchownym jest tak, że np. w jadalni przy stole, przy którym usiadło trzech Tutsi, nie ośmieli się usiąść na czwartego Hutu. Podobnie, do trzech Hutu trudno się dosiąść Tutsi. Wielu próbuje to zrozumieć, usprawiedliwić. No cóż, po ludzku patrząc można to zrozumieć, można usprawiedliwić świeżością ran. Jeżeli trzech siedzący przy stole Hutu stracili swoich rodziców, braci, siostry, bliskich, a szukający miejsca przy stole Tutsi wie, że śmierć zadali im Tutsi, to jakoś spontanicznie poszuka miejsca przy innym stole. Przynajmniej na razie. Ale sytuacja może być zupełnie odwrotna, a wtedy Hutu nie ośmieli się podejść do stołu Tutsi.

Kiedy wspominałem przy jakiejś okazji o takich sytuacjach, to wielu z pewnym zdumieniem, a nawet potępieniem, wołało: „To jakie w końcu jest to chrześcijaństwo? Jeżeli Kościół nawet w swoim seminarium nie potrafi przełamać uprzedzeń i zawziętości między dwiema grupami etnicznymi, to jakaż jest jego rola? Jakaż nadzieja, że potrafi przyczynić się do pojednania wśród prostych chrześcijan, wśród ludzi? Czyż w seminarium nie modlą się za Chrystusem: Ojczy, spraw, ‘aby wszyscy byli jedno’? Czy wychowawcy nie starają się do jedności wychowywać?!”

Owszem, właśnie w Burundi i w Rwandzie jedność, pojednanie, przebaczenie jest wciąż żywym zagadnieniem, jest nieustanną troską. Zagadnienie jest jednak bardzo złożone i nam, Europejczykom czy Amerykanom, bardzo jest trudno zrozumieć reakcje, które wyzwała w człowieku jego przynależność etniczna. Może to, co dzieje się w dawnej Jugosławii, w Irlandii, może antagonizmy Hiszpanów i Basków, może w Kanadzie sprawa Quebecu – może to wszystko rzuci pewne światło na złożoność tego zagadnienia. Przynależność rasowa, przynależność do pewnej grupy etnicznej to jest niekoniecznie coś złego... To nam zostało dane i zadane, z czego jednak niełatwo się człowiekowi wyzwolić, nawet wtedy, gdy ta przynależność pcha go na drogi, na których traci swe pełne człowieczeństwo.

Przytoczę tu wypowiedź pewnego księdza z Rwandy. Było to przed Wielkim Postem w 1994 roku. Jak się to mówi, już „w powietrzu się wyczuwało” ten straszliwy, krwawy konflikt, który nastąpił po Wielkanocy. Mówiliśmy wtedy, że program Kościoła na Wielki Post powinien zamknąć się w Jezusowych słowach: „aby wszyscy byli jedno”. Nie ma dziś ważniejszej sprawy w Rwandzie. Wtedy ten czarny proboszcz słusznie zauważył, że jednak ta jedność nie powinna być rozumiana jako jedność eliminująca różnorodność. Chrystus mówi o jedności w Trójcy Świętej, która ma być wzorem naszej jedności: „by wszyscy byli jedno jak Ty i Ja”. Kościół, zwłaszcza na Soborze Watykańskim II, przyjął zasadę jedności w różnorodności. Różnorodność rasowa, etniczna sama w sobie nie jest zła. Została nam dana. Przynależność do tej czy innej grupy etnicznej, wchodzi głęboko w człowieka. Chcieć odrębność etniczną wyeliminować, nawet przez chrześcijańską jedność, to jakieś nieporozumienie. Wprawdzie Paweł zawołał: nie ma Żyda, Greka, kobiety i mężczyzny, bo w Chrystusie jedno stanowimy. Ale z pewnością Paweł to „jedno w Chrystusie” rozumiał jako docelowe, jako to, co w pełni będzie nam dane, co naprawdę ze strony Chrystusa już zostało

nam dane, co się jednak w pełni okaże dopiero tam, gdzie będziemy jak aniołowie w niebie. Jednością, która nam została dana, trzeba już dzisiaj żyć. Jednak na co dzień Paweł liczył się bardzo z różnorodnością, chociażby z tą różnorodnością kobiety i mężczyzny, której tu na ziemi, nawet chrzest nie wymazuje. „Powie wam szczerze, tak to odczuwam, że w nas przynależność do grupy etnicznej Tutsi czy Hutu jest tak silna, jak płeć. Kiedy ochrzysz kobietę – to chociaż zaczęło się w niej nowe Chrystusowe, Boże życie, ona pozostaje kobietą, będzie nadal myśleć i odczuwać, postępować i reagować po kobiecemu. Podobnie ochrzczony mężczyzna będzie myślał, odczuwał, reagował i działał po męsku. Ochrzczony Tutsi będzie spontanicznie myślał, odczuwał i działał jak Tutsi. Hutu także po chrzcie świętym pozostanie Hutu. Nic na to nie poradzisz; przynależność do jednej czy drugiej grupy etnicznej każe człowiekowi tej grupy bronić, każe mu uważać za dobre, za słuszne, za sprawiedliwe to, co jego grupie służy, co – jak mu się wydaje – wychodzi na korzyść jego grupy etnicznej. To jest jakoś zakodowane w nas. Bardzo naturalne. Aby się wznieść ponad to, co naturalne, aby sprawiedliwie ocenić postępy własnej grupy etnicznej i tej drugiej, trzeba się wznieść na szczyty wiary. Kto tak miłuje, jak Chrystus nie wchodzi w ciemności... Niestety, kto z nas w codziennym życiu naprawdę kieruje się wiarą, kto wiarę przez miłość wprowadza w czyny? Dlatego tyle popełniamy błędów, dlatego idziemy przez życie po omacku, szczególnie wtedy, gdy manipulowani wpadamy w zawziętość, w złość, które pogrążają w gęstym mroku nasz umysł i wyziębiają serca”.

Nasz ksiądz Fideli umiał mówić i nie można mu było odmówić słuszności. Sam zresztą, już na progu mej pracy misyjnej zauważyłem, do jakiego stopnia przynależność etniczna rzutuje na myślenie, na ocenę faktów. Było to w 1972 roku. Byłem na stażu pracy misyjnej w parafii katedralnej w Bururi. Gdzieś pod koniec tego roku pojawił się na plebanii pewien nauczyciel Tutsi, który opowiadał, jak niemal cudownie udało mu się uciec z Rwandy, kiedy tam zaczęła się nagonka na Tutsi w związku z wydarzeniami w Burundi. Mówił, że już stracił nadzieję na wydostanie się z matni. Wtedy jemu i innym pomógł biały misjonarz, organizując ucieczkę i przeprawę do Burundi przez graniczną rzekę. Wychwalano pod niebiosa odwagę, poświęcenie, wprost narażenie życia, do których był zdolny ten misjonarz dla ratowania zagrożonych bliźnich. Moi towarzysze, księża Tutsi, aż klaskali w ręce.

Niedługo później, bo 25 marca 1973 roku, nasi polscy misjonarze: o. Jan Kanty, o. Sylwan, i o. Kasjan, pracujący wówczas w ramach stażu w parafii Bukirasazi, postanowili ułatwić ucieczkę pewnym wdowom po zamordowanych „buntownikach”, powiązanych z „wrogami kraju”. Było ich, o ile pamiętam, bodaj dziewięć. Prosiły o pomoc, bo czuły się zagrożone. Przekonano się, że rzeczywiście im i ich dzieciom grozi śmierć. Zdawano sobie sprawę, że gdy fakt udzielenia pomocy jakoś się wykryje, grupa polskich misjonarzy zostanie narażona. Bez najmniejszego jednak wahania postanowiono wcześniej rano podwieźć ciężarówką wdowy i dzieci do granicy z Tanzanią. Tę delikatną akcję powierzono o. Sylwanowi Zielińskiemu jako „najspokojniejszemu”. Udało się. Skoro jednak jedna z wdów, nauczycielka, nie pojawiła się rano w szkole, skoro znaleziono jej dom pusty – zaczęto poszukiwania. Wnet dowiedziano się, że uciekły też inne. Wprawdzie o. Sylwan wcześniej wrócił do domu, zauważono jednak, że wyjeżdżał, że zatem to on musiał ułatwić „wrogom kraju” ucieczkę.

Administracja terenu doniosła o wszystkim władzom wojewódzkim w Gitedze, te z kolei odniosły się do arcybiskupa. Jako przedstawiciela polskiej grupy Karmelitów Bosych wezwano mnie natychmiast do Bukirasazi. Na ojca Sylwana nałożono areszt domowy. Miał nie opuszczać arcybiskupstwa w Gitedze i czekać na dalsze dyspozycje władz państwowych.

Kiedy wróciłem do Bururi, byłem zaskoczony reakcją moich współtowarzyszy na plebanii, księży Tutsi. Z dużym oburzeniem potępiali „nierozważny” czyn o. Sylwana. „Jak można tak narażać całą grupę misjonarzy, owszem, psuć opinię Kościoła? Jak można mieszać się w nie swoje sprawy? Jak można ‘bawić się w politykę?!’ Jak można...”

Wtedy przypomniałem im ich reakcję sprzed trzech miesięcy. Mówiłem: „Kochani, dzisiaj też powinniście klaskać w ręce, wynosić pod niebiosa odwagę, bohaterstwo misjonarza, który nie bał się narażać siebie i innych dla ratowania od śmierci ludzi, bezbronnych wdów i dzieci! Zastanówcie się! Kiedy ksiądz, misjonarz, pomógł w ucieczce ludziom z waszej grupy etnicznej, pomógł Tutsi, to był to czyn chwalebny, bohaterski, godzien największej pochwały. A kiedy misjonarz pomógł ludziom z Hutu, to jest to czyn nierozważny, głupi, godzien stanowczego potępienia. Jakże to zatem jest? co tu jest kryterium oceny? Zastanówcie się, czy wasza przynależność etniczna, przynależność do Tutsi, nie zakrywa jakimś mrokiem waszych umysłów i serc, tak gęstym mrokiem, że już nie potrafi się przezeń przedrzeć światło wiary, jakiś choćby maleńki promień zwyczajnego, ludzkiego spojrzenia?”. Byli zaskoczeni moimi zarzutami, moim atakiem. Myślę jednak, że weszli w siebie, w swoje sumienia, bo nigdy już nie słyszałem słowa najmniejszej krytyki pod adresem o. Sylwana, chociaż jego sprawa ciągnęła się długo. Arcybiskup był gotów „poświęcić go” – to znaczy wysłać do Europy, aż sprawa ucichnie. Groziło mu wyrzucenie. Broniliśmy się, że nic przeciw prawu nie uczynił, bo żadne prawo nie zabrania podwieźć samochodem proszących o to ludzi. Wreszcie sprawa oparła się o samego prezydenta, który 11 maja łaskawie orzekł, że rzeczywiście o. Sylwan nie przekroczył prawa i należy mu przywrócić wolność.

Już wtedy przekonaliśmy się, jak odmienna może być ocena tego samego czynu w zależności od tego, czy tę ocenę wystawia Tutsi czy Hutu. Już wtedy, na początku naszej działalności misyjnej, odczuwaliśmy, jak niezbędna jest nasza obecność w tym kraju, gdzie istnieje tak wielka przepaść między ludźmi, gdzie likwidację tej przepaści utrudnia zupełnie nieobiektywna reakcja na takie czy inne czyny człowieka, reakcja spontaniczna, uzależniona od przynależności etnicznej. Niejeden raz wypadło misjonarzom „otwierać oczy” i Tutsi i Hutu, kiedy tej „nieobiektywności” swoich reakcji nie dostrzegali, kiedy tę „nieobiektywność” potęgowała manipulacja prostymi ludźmi, polityka ludzi dążących do władzy lub pragnących władzę utrzymać. Jest to zadanie wciąż aktualne tak w Burundi, jak i w Rwandzie. Wydarzenia ostatnich lat przyniosły tu nowe mroki, nowe zaostrenie konfliktów, wykopały nowe przepaści pomiędzy grupami etnicznymi, spowodowały zamieranie nadziei, że wreszcie wszystko pójdzie ku realizacji Jezusowego pragnienia: „aby wszyscy byli jedno”!

Kiedy 6 kwietnia 1994 roku, wraz z prezydentem Rwandy zginął prezydent Burundi, Cyprian Ntaryamira, drugi pochodzący z Hutu, wydawało się, że znów rozgorzeją w Burundi krwawe walki. To przecież nastąpiło w Rwandzie. Na szczęście Hutu w Burundi zachowali cierpliwość, nie dali się sprowokować, chociaż prowokacji było wiele. Tak zwane partie opozycyjne, partie zdominowane przez Tutsi, długo nie chciały

dopuszczyć do wyboru nowego prezydenta. Domagały się ułożenia i zawarcia tzw. umowy prezydenckiej. Chodziło o dokładne ustalenie, jaką władzę będzie miał prezydent w podejmowaniu różnych decyzji, jakie prawa do odrzucenia takich czy innych zarządzeń prezydenta lub ministrów będzie miała partia opozycyjna. Przez kilka miesięcy zbierano się w stolicy, dyskutowano, ustalano terminy zakończenia dysput i znów je odraczano. Tymczasem w kraju nie działo się dobrze. Wybuchły tu i tam walki pomiędzy grupami etnicznymi, „nieznane” bandy napadały na Boga ducha winną ludność, wojsko pacyfikowało zagrożony teren, strajki ogólne paraliżowały życie w stolicy, a także w innych ośrodkach kraju, strajkowali również studenci, strajkowała młodzież szkół średnich. Powtarzały się zamachy bombowe.

Chociaż w końcu podpisano tzw. umowę prezydencką i prezydentem został Sylwester Ntibantunganya, to przecież nowy prezydent i nowy rząd nie mogły skutecznie wpływać na spokój w kraju. „Umowa prezydencka” tak została pomyślana, że prezydent miał ręce związane. Niemal każde jego posunięcie, każde zarządzenie mogło być interpretowane, jako niezgodne z tym lub owym punktem umowy. Partie opozycyjne organizowały zatem strajki ogólne, trwające tak długo, aż prezydent i rząd zarządzenie zmienił, odwołał. Wojsko, sądownictwo i większość urzędów nadal były w ręku Tutsi. Na kim mógł zatem oprzeć się rząd? Strajki, grasujące bezprawnie bandy, zamachy bombowe, „ciche” nocne morderstwa – sprawiły, że prości ludzie czuli się niepewni, zagrożeni, udręczeni. Szukali winowajców. Winowajcami byli, przede wszystkim, ci z odrębnej grupy etnicznej. Przepaść między grupami rosła. **Błędne koło wciąż się kręciło, wciąż zamykało. Powiadano – z pewnością nie bez słuszności – że to wszystko robione było po to, aby wykazać wobec obywateli kraju i wobec świata, że rządząca partia Hutu nie potrafi się uporać z bałaganem w kraju, nie potrafi zapewnić obywatelom, a także obywatelom bezpieczeństwa, że nie potrafi przyczynić się do likwidacji potęgającej się nędzy w kraju, że zatem powinna ustąpić, oddać rządy opozycji.**

„Oby zespolili się w jedno”! Aby wszyscy stanowili jedno! Chryste Panie! Ty, który stoisz po prawicy Ojca, aby się nieustannie wstawiać za nami – powtarzaj przed Ojcem tę Twoją gorącą prośbę! Cóż innego może zgromadzić w jedno rozproszone dzieci jednego Ojca, dzieci żyjące na tysiącu wzgórz pięknych, lecz jakże nieszczęśliwych krajów: Burundi i Rwandy.

W Rwandzie.

Rzućmy jeszcze okiem na jedność, a raczej na brak jedności, z którym muszą się nasi misjonarze borykać w Rwandzie. **Jak wspomniałem, po okresie pokolonialnym rządy w Rwandzie objęli Hutu. Rządziła więc większość.**

Powiedziałem, że rządzący krajem nie czuli się zagrożeni, że mogli bardziej sprawiedliwie potraktować mniejszość Tutsi, dając im 15 procent dostępu do rządu, do urzędów, do szkół. Na równi z innymi mogli posiadać gospodarstwa, przedsiębiorstwa. A że byli – trzeba to przyznać – bardziej przedsiębiorczy, sprytniejsi, przebieglejsi od Hutu, wnet wiele stanowisk w urzędach, w szpitalach, w szkołach znalazło się w ich rękach. Cały bardziej opłacalny handel, handel na większą skalę, handel zagraniczny opanowali niemal zupełnie. Nie mogli zająć w szkołach dla swych dzieci więcej niż 15% dostępnych miejsc.

Ale i na to znalazła się rada. Jedni postarali się o fikcyjną zmianę swej przynależności etnicznej: zgodnie z dokumentami osobistymi należeli do Hutu. Dzieci miały więc dostęp do szkoły. Inni, bogaci, zakładali prywatne szkoły. Potem walczyli u władz o uznanie świadectw lub dyplomów tych szkół, o zrównanie ich ze świadectwami i dyplomami szkół państwowych, co bez trudności osiągnęli. Czegóż im zatem brakowało? Czego brakuje? No cóż – ponieważ żyją w kraju bardzo ubogim, braków jest bez liku. Tych braków udałoby się uniknąć czy nawet zlikwidować je, posiadając władzę. Brakowało im zatem władzy.

Wspominałem już wiele razy o walce o władzę, o zdobycie i utrzymanie władzy. **Wielu powtarza uporczywie, że krwawe walki, które powtarzają się w Burundi i w Rwandzie to nie są prawdziwe walki rasowe, walki pomiędzy dwiema grupami etnicznymi, pomiędzy Tutsi i Hutu, ale w rzeczywistości są to walki o władzę. Do tej walki wykorzystywana jest różnica etniczna dwu grup. Nie prości ludzie z Hutu czy Tutsi prowadzą tę walkę, ale politycy. Stosują tu z dawna znaną metodę: dziel i rządź!**

Ale dlaczego ludziom w Burundi i w Rwandzie tak bardzo zależy na władzy? Właśnie dlatego, że jeden i drugi kraj należą do najbiedniejszych krajów świata. Najtrudniej zrozumieć uporczywą walkę różnych partii i ugrupowań o władzę przede wszystkim w krajach bogatych. A przecież wiemy, jak zażarta bywa to nieraz walka, ile pieniędzy się wydaje na kampanie wyborcze. Mit władzy! W krajach najbiedniejszych nie tylko o mit chodzi, chodzi też o to, co można zdobyć dla siebie i swoich, posiadając władzę. A można przecież zdobyć wiele. Można zdobyć dla siebie i swoich miejsca pracy w różnych urzędach. Można wywalczyć miejsca w szkołach, na uniwersytecie; można zdobyć dla dzieci stypendia zagraniczne czy chociażby miejsce w szpitalu; przede wszystkim jednak można zdobyć pomoc zagraniczną dla biednych, rozwijających się krajów: pomoc różnych organizacji międzynarodowych przechodzi przecież przez ręce rządzących. Nikt się nie dziwi, że coś tam z tego, czasem nawet bardzo dużo, przez palce przeciekło i gdzieś się zapodziało.

Nie można uogólniać. Wśród dążących do władzy są ludzie szlachetni, którzy rzeczywiście chcą dobra kraju, którzy widząc, jak rządzący rozkradają cenne dobra wspólne i chcieliby temu zapobiec. Niestety, często i oni nie wytrzymują presji rządzącej kliki. „Kiedy wszedłeś między wrony, musisz krakać tak jak one”. Powoli sumienie tępieje. Ci, którzy nie posiadają, z zazdrością patrzą, że jednak tym przy władzy dobrze się dzieje. Jakże więc do władzy nie dążyć?

Jeżeli to pragnienie władzy spróbują dla swych interesów wykorzystać czarne mafie światowe, to sytuacja staje się tragiczna. Dziel i rządź. Ustawiaj jednych przeciw drugim, obiecuj pomoc w zdobywaniu władzy, podjudzaj, jątrzą, pchnij do walki, a sprzedasz broń, której już nikt nigdzie by nie kupił, a usuniesz innych z marnych wprawdzie, ale zawsze przecież – rynków zbytu.

Nic więc dziwnego, że w 1969 roku jakaś grupa złożona z Tutsi i niezadowolonych z władzy, bo niedopuszczonych blisko „do żłobu” Hutu, próbowała sięgnąć po władzę. Próbę jednak wnet i skutecznie stłumiono. Spalono przy okazji wiele domów Tutsi i zamordowano wielu mężczyzn z tego plemienia. Tysiące Tutsi uciekło za granicę: do Burundi, Tanzanii, Zairu i Ugandy. Wśród nich było kilka tysięcy wojskowych. Uciekli także wmieszani w aferę Hutu. Na emigracji szczególnie w Zairze i Ugandzie nasi Tutsi zaczęli się coraz bardziej urządzać, wnet mieli się dobrze, wielu nawet bardzo dobrze. Łaskawym okiem patrzył na nich prezydent Ugandy, któremu wojskowe

oddziały spośród uciekinierów wydatnie pomogły w walce o władzę. Podobno obiecał, że kiedyś sam pomoże im zdobyć władzę w Rwandzie. Czy pomagał? **W każdym razie patrzył przez palce, gdy po latach zaczęli tworzyć, organizować, ćwiczyć i zbroić armię na terenie Ugandy.** Oficjalnie nic o tym nie wiedział.

Kiedy w 1989 roku zaczęto w Burundi i w Rwandzie pod presją Zachodu tworzyć partie polityczne, w myśl obowiązującego wówczas hasła: *multipartizm* – wielopartyjność, Tutsi z emigracji też domagali się partii. Owszem, domagali się powrotu do kraju i udziału w rządzie. Partię nazwali Rwandyjskim Frontem Patriotycznym. Na czele partii postawili osobistego wroga prezydenta Rwandy, **niejakiego Kanyerergwa, Hutu.** Miało to wobec świata świadczyć, że Front Patriotyczny nie jest jakąś sprawą Tutsi, lecz frontem, dającym prawo powrotu do kraju skrzywdzonym kiedyś emigrantom rwandyjskim. Spotkałem w Rwandzie wielu Tutsi, którzy przyznawali, że „jest to typowa dla naszej grupy etnicznej przebiegłość”. Niemało młodych Hutu dało się skusić, bo na razie armia Inkotani („nosząca miecz” – jak ich nazwano) dobrze płaciła, a w przyszłości obiecywała złote zamki w kraju. Rząd Rwandy nie mógł przyjąć natychmiast do kraju 80 tysięcy, a nawet więcej emigrantów, „pragnących wrócić do ojczyzny”. Po prostu było to niewykonalne, chociażby z tego powodu, że na szalonym zagęszczeniu nie było terenów, na których takie masy ludzi można by umieścić, nie było też miejsc pracy. Obiecano poszukać możliwych sposobów rozwiązania problemu. Emigranci wykazywali zupełny brak cierpliwości. Chcieli już wracać. Zaczęli grozić, że będą musieli wkroczyć do kraju z bronią w ręku i domagać się siłą swoich praw. Rząd Rwandy albo nie zdawał sobie sprawy z sił armii stworzonej przez Inkotani, albo nie wierzył w ich pogrożki, albo też czuł się dość silny, by atak odeprzeć. Nie wydaje się bowiem, aby do obrony się gotował. Kiedy 1 października 1990 roku Inkotani zaatakowali kraj, nastąpiło zaskoczenie. Natychmiast jednak wydano dekret o stanie wojennym, dekret zabraniający nawet wychodzenia z domów, aby wrogom kraju nie pozwolić działać na zapleczu. Tego rozkazu posłuchano wszędzie i bodaj przez trzy dni nie można było uświadczyc żywego człowieka na drogach, na ścieżkach lub na ulicach. Przeciw Inkotani wysłano armię. Nie wiadomo, jak dalej potoczyłyby się losy obrony kraju, ale na samym początku zginął naczelny dowódca armii Inkotani. Podobno nadepnął niebacznie na jakąś minę. Ile w tym prawdy? Nie wszyscy „w przypadek” wierzyli. Podejrzewali rozgrywkę między dowódcami. Armii krajowej wydatnie pomogli, szkolący ją, oficerowie francuscy. Dostyc na tym, że atak po kilku dniach odparto, za co śpiewano uroczyste *Te Deum*. Równocześnie w całym kraju aresztowano tysiące Tutsi. Podejrzany o współpracę z Inkotani byli niemal wszyscy. Opowiadano sobie niesamowite, niewiarygodne brednie. A to np. spotkano proste wiejskie kobiety, które na głowach niosły w koszach amunicję, dla niepoznaki przysypaną fasolą. A to ktoś inny przynosił granaty. Domy Tutsi, nawet na wsi, to istne arsenały broni. U jakiegoś prostego gospodarza znaleziono kilkadziesiąt tysięcy dolarów. To, oczywiście, przygotowane przez Tutsi pieniądze dla Inkotani. Najgorsze, że chociaż nikt tego wszystkiego nie widział, to przecież bredniom święcie wierzone. Rosła więc podejrzliwość, rosła wzajemna wrogość.

Nowy szef armii, Paul Kagame, podjął walkę partyzancką. Od czasu do czasu Inkotani wpadali do kraju w rejonie wulkanów, palili domy, zabijali ludzi, kradli i wycofywali się do Ugandy. Nigdy nie było wiadomo, kiedy i gdzie uderzą. Wojsko musiało być w pogotowiu w pobliżu całej granicy z Ugandą i Zairem. Przed

wszystkim jednak cierpiała nękana ludność. Ogromny strach przed Inkotani sprawiał, że ludzie masowo uciekali z regionów zagrożonych. Rosły nędzne obozy przesiedleńców. Tymczasem Front Patriotyczny domagał się od rządu Rwandy pozwolenia na powrót emigrantów do ojczyzny. Pod naporem opinii międzynarodowej postanowiono rozpocząć rozmowy w Arusha w Tanzanii, rozmowy pomiędzy przedstawicielami rządu Rwandy i przedstawicielami Frontu Patriotycznego. Stroną łagodzącą ewentualne nieporozumienia mieli być przedstawiciele rządów Tanzanii, Ugandy i Zairu. W rozmowach brali też udział obserwatorzy międzynarodowi z ramienia niektórych rządów z Europy czy Ameryki, z ramienia ONZ. Rozmowy przerywane i znów wznawiane ciągnęły się w nieskończoność. Rząd Rwandy pod naporem „rozmówców międzynarodowych” zaczął ustępować i zgadzał się na różne żądania stawiane przez Front Patriotyczny, który został uznany za jedną z partii. Miała ona na równi z innymi prawo kandydować w przyszłych wyborach i mieć udział w przyszłym rządzie. Miał to być jednak udział na specjalnych prawach. W Arusha rodziły się pomysły i żądania wprost niewiarygodne. Ustalono np. że armia w Rwandzie będzie liczyć 13 tysięcy, a w jej skład wejdzie 8 tysięcy obecnego wojska krajowego i 5 tysięcy Inkotani. To się niektórym nie chciało w głowie pomieścić. Bo jakże to będzie możliwe? Trudno było uwierzyć, że armie, które obecnie walczą ze sobą, nagle podadzą sobie ręce i będą w zgodzie bronić kraju, utrzymywać w nim bezpieczeństwo, bo taka przede wszystkim miała być rola tej armii. Taka jednak decyzja zapadła, chociaż armie aktualnie walczyły. W roku 1993 Inkotani ponowili atak na kraj. Tym razem opanowali nadgraniczne tereny w rejonie wulkanów i powiedzieli stanowczo, że chociaż walkę przerywają, aby mogły się dalej odbywać rozmowy w Arusha, to przecież absolutnie ze zdobytego terenu nie ustąpią. O dziwo! Zostało to przyjęte na konferencji w Arusha. Konferencja trwała. Spierano się o różne sprawy, między innymi o uwięzionych w Rwandzie Tutsi.

Nowy zbrojny atak Inkotani przeciw wojskom rządowym miał miejsce 8 lutego 1993 roku. Inkotani posunęli się w głąb kraju. Wojsko Rwandy nie umiało sobie z nimi radzić, po pierwsze dlatego, że byli bardzo dobrze uzbrojeni i wyćwiczeni, a po drugie, że wojsko rządowe było takie trochę nijakie. Jakież jednak miało być? Jeżeli armia nie liczyła w Rwandzie nawet 10 tysięcy? Gdy w 1990 roku nastąpił napad na kraj ze strony Inkotani, zaczęto na gwałt werbować do wojska, kogo tylko było można. Nagle stworzono armię, jak niektórzy mówią – liczącą ponad 40 tys. żołnierzy. Skąd nagle dla takiej armii zdobyć odpowiednich oficerów, instruktorów? Jak ich uczyć sztuki rozumnego i odpowiedzialnego wojowania, skoro wielu z nowych rekrutów nie znało sztuki czytania i pisania? Dano im broń i bez solidnego przygotowania posłano na front: Nic dziwnego więc, że – jak opowiadają świadkowie – po ataku Inkotani nasi żołnierze przybiegali do ośrodków zdrowia, np. w Ruhengeri, z przerażeniem w oczach, a przede wszystkim z poranionymi po kostki stopami i wołając:

- Walka była straszliwa! Walka była okropna! Patrz, jakie mamy nogi!
- A cóż to, po nogach was bili? – pytają pielęgniarki.
- No nie, ale walka była tak straszliwa, że musieliśmy w szalonym pędzie uciekać!

Nad taką armią nie potrafią panować oficerowie, bo żołnierz nie wie, co to dyscyplina i np. gdy oficer zakazuje rabowania, jak jeden mąż stają przeciw niemu z wymierzoną bronią. Aż dziw, że z taką armią można było stawić jako taki opór Inkotani. Przy ataku w lutym 1993

roku znowu tysiące ludzi uciekło w popłochu z zajmowanego terenu. Teraz już przeszło 900 tysięcy przesiedleńców koczowało w nędzy, głodzie i chorobach w obozach pod skleconymi z gałęzi i liści szałasami. Organizacje międzynarodowe nie spieszyły się z pomocą, bo przecież miał to być stan tymczasowy. Rozmowy w Arusha trwały, i to one lada dzień miały zarządzić problemom. Tymczasem w Arusha zgodzono się, że Inkotani cofną się na dawniej zajmowane pozycje, zaś wojsko rwandyjskie pozostanie na obecnych pozycjach. Teren ostatnio zdobyty przez Inkotani będzie pasem neutralnym pod nadzorem ONZ. Równocześnie w Arusha dyskutowano całymi tygodniami nad tym, jakiego koloru berety będzie nosić taka czy inna formacja nowej armii, ile i jakie guziki przy mundurach. To wszystko szalenie denerwowało działaczy różnych partii w kraju, zwłaszcza tych złożonych z Hutu, broniących praw Hutu, przyszłości Hutu, a więc partii wrogo ustawionych nie tylko przeciw Inkotani, lecz w ogóle przeciw Tutsi. Jakże miało nie denerwować? Tu w nędzy i głodzie gnije przeszło 900 tys. Hutu, a przedstawiciele Frontu Patriotycznego zrywają umowy, bo nie zgadzają się na zaproponowany przez stronę przeciwną kolor beretu, sami zaś nie są zdecydowani, jaki zaproponować. Muszą się naradzić, zapytać, odpowiedź dadzą za dwa tygodnie.

Zdaję sobie sprawę, że w tym, co tu piszę, jest jakieś uproszczenie, ale tak to wówczas widzieli zdenerwowani Hutu. Tym bardziej zdenerwowani, że nie tylko w tzw. pasie neutralnym grasowały bezkarnie bandy grabiące, raniące, zabijające, lecz także w całym kraju rosło rozprężenie. Na ulicach, na drogach, w szkołach podkładano bomby. Dokonywano zamachów na liderów partii. Tutsi zarzucali Hutu, że nie umieją rządzić, nie potrafią utrzymać porządku w kraju. Tymczasem wielu nie chciało już słuchać obecnych ministrów, bo przecież uzgodnienia w Arusha szły w kierunku rychłej reorganizacji rządu. Nowy rząd, w którym miały mieć udział różne partie, miano utworzyć z miesiąca na miesiąc. Wtedy zaczęły się nowe przetargi, przepychanki. A to nie zgadzano się na udział w rządzie którejs partii, bo wymyślono, że powstała dopiero wtedy, gdy już zaczęły się rozmowy w Arusha. To znowu, któraś partia podzieliła się na dwie frakcje: „za Hutu” i „za Tutsi”, a ponieważ nie mogły się pogodzić i wystawić wspólnego kandydata do rządu, ogłosiły się oddzielnymi partiami. Należało załatwić formalności tych partii, a potem rozstrzygnąć, czy można powiedzieć, że one powstały przed rozpoczęciem się rozmów w Arusha, czy zatem mają prawo wystawić kandydata do rządu?... Te różne kołomyjki, spory, próby wzajemnego przechytrzenia się, ogromnie denerwowały prostych, udręczonych i pogrążających się w coraz większej nędzy ludzi, tak Hutu, jak i Tutsi. Denerwowały – jak już wspominałem – przede wszystkim liderów i przywódców partyjnych komórek partii, wyraźnie i zdecydowanie opowiadających się przeciw Tutsi. Coraz natarczywiej głosili hasła ostatecznego rozprawienia się z Tutsi. Podobno mówiono: „Kiedyś (w 1969 roku) obcinaliśmy im ręce, nogi i żywych wrzucali do rzeki. Ale wyszli z wody, odrosli i znów nam zagrażają, znów śmieją się z nas. Dzisiaj musimy im obciąć głowy i dopiero wtedy wrzucić do rzeki. Kiedyś mordowaliśmy przede wszystkim mężczyzn. Nic to jednak nie dało. Dzisiaj musimy wyciąć wszystkich, także kobiety i dzieci!” – Podobno w tym duchu przygotowywano bojówki partyjne i zdecydowane na wszystko szwadrony śmierci (interahamwe).

Tymczasem wszyscy jak na zbawienie czekali na ogłoszenie i zaprzysiężenie nowego rządu. Pamiętam, że w dniach, na które wyznaczono termin ogłoszenia nowego rządu, ludzie biegali podnieceni, rzucali pracę, przymykali sklepy i zbierali się przy odbiornikach radiowych, od których odchodzili potem rozczarowani, bo ktoś, kto musiał być na ogłoszeniu

rządu, nie pojawił się, bo któraś partia, często partia Frontu Patriotycznego, w ostatniej chwili złożyła sprzeciw przeciwko zaproponowanemu przez inną partię kandydatowi na ministra – i termin trzeba było odkładać na później, a potem jeszcze raz na później.

Może dlatego, aby nieco uspokoić rozdrażnionych ludzi, aby im pokazać, że coś się przecież dzieje, że przetargi już długo nie potrważą, bo rząd i Inkotani już realizują umowę z Arusha – postanowiono pod kontrolą Niebieskich Beretów sprowadzić do stolicy, do Kigali, pierwszą partię armii Inkotani, która miała stanowić część przyszłej armii krajowej. Może dlatego, a może... Któż to może wiedzieć!? Dość na tym, że 600 Inkotani wkroczyło do stolicy. O co chodziło? Niektórzy przypuszczali, że chodziło o jeszcze większe podrażnienie już i tak rozgoryczonych ludzi. Bo jakże?! Rządu nie można utworzyć, a do stolicy już się wpuszcza tych „rogatych diabłów”! Dla wielu, rzeczywiście, Inkotani to nie byli ludzie, to byli okrutni, krwiożerczy opętańcy. A może właśnie chodziło o pokazanie ludziom, że Inkotani to „nie takie straszne diabły, jak ich malują”. Pamiętam relację pewnej pielęgniarki. Opowiadała, że trzy z jej koleżanek wybrały się do stolicy, aby tych strasznych, okrutnych, demonicznych ludzi zobaczyć. „Zobaczyły, i wiesz co mówiły? Że wcale tak okrutnie nie wyglądają, owszem, niektórzy z nich to całkiem sztywni chłopaki i u żadnego rogów i ogona nie widziały!” Wielu z tych, co w Kigali nie byli, w wyobraźni widzieli u Inkotani nie tylko rogi i ogon, ale nadto straszliwe szpony. I oni weszli już do stolicy kraju!

Niepokój rósł, może nieco z innych powodów, nie tylko u ludzi prostych. Trudno było się rozeznąć, ku czemu to wszystko, co dzieje się w kraju, prowadzi. Kto za tym wszystkim stoi? Bo że ktoś, i to ktoś potężny stoi, to rzucało się w oczy. Ktoś przecież na to wszystko musiał wydawać kolosalne sumy pieniędzy. Skądże Inkotani mieli pieniądze na wyżywienie, ubranie, wyposażenie w samochody, a przede wszystkim uzbrojenie i to wspaniałe uzbrojenie armii, która, jak szacowano, liczyła około 20 tys. ludzi? Ktoś musiał także dawać rządowi w Rwandzie na utrzymanie i uzbrojenie tak licznej armii. Ale kto? Po co? Dlaczego?

Niepokój rósł, bo stawało się widoczne, że zbliża się jakaś wielka i krwawa rozprawa pomiędzy Tutsi a Hutu. Po cóż bowiem Inkotani wciąż werbowali do swej armii? Przecież tylko 5 tys. ich wojska miało wejść do przyszłej armii Rwandy. Po cóż im nowi rekruci, których werbują w Ugandzie, Burundi, Zairze, Tanzanii i Rwandzie, i to jakoś pospiesznie, właśnie teraz werbują? Czy tego nie widzi rząd Rwandy? Czy tego nie widzą Hutu? Z niektórych rozmów wywnioskowałem, że doskonale widzą. Jedni jednak sądzili, że na to już żadnej rady być nie może. Walka nieunikniona i przy „podziale” na zwalczające się wzajemnie „przeklęte” partie, Hutu mogą przegrać. Drudzy mieli jeszcze jakąś nadzieję, że to sam Kanyerewa prze do walki i będzie usiłował przy pomocy Inkotani obalić obecnego prezydenta, zemścić się na nim, a potem obróci się przeciw Tutsi. Przecież, mówili, do Inkotani werbuje się także wiele Hutu. Prezydenta nie żalowali, bo musieli uwierzyć różnym, szkalującym go ostatnio pogłoskom. Zarzucali mu także, że okazuje się ostatnio zbyt miękki, zbyt uległy wobec żądań Inkotani. Obawiali się tylko, czy Kanyerewa potrafi przechrzyć chytrego jak lis Kagame. A ponadto zdawali sobie sprawę, że przy krwawej rozprawie musi zginąć wielu niewinnych ludzi. Czy w zawierusze ostoją się ich własne rodziny, ich najbliżsi? Niepokój rósł...

Niepokój rósł także wśród Tutsi. Nie dawali tego poznać po sobie, ale w gruncie rzeczy bardzo się bali, zwłaszcza ci na południu kraju. Zdawali sobie sprawę z grozy sytuacji. Można to było wywnioskować z rozmów z nimi. Wprawdzie byli przekonani, że Kagame nie

da się nikomu wykołować, że Inkotani stolicę zdobędą i władze obejmą, choćby mieli długo walczyć. Ale obawiali się, że tymczasem, tu na południu, Hutu rozprawią się krwawo z Tutsi. Myśleli o jakimś sposobie ratowania się, o jakiejś obronie. Wiedzieli przecież, co mówi się o nich w parafiach, w bojówkach partyjnych i w przygotowywanych „szwadronach śmierci”. Mieli wszędzie swoje wtyczki. Musieli myśleć o obronie. Na razie jednak – jak się później okazało – nic konkretnego wymyślić nie umieli. Za to dużo o tym mówili. Ktoś mi powiedział: Teraz w mieście Butare nie mówi się o czym innym, tylko o tym, jak należy się bronić, skąd zdobyć broń itd. A broń można było kupić z łatwością i tanio. Sprzedawano podobno 5 granatów za dolara.

Zatrzymałem się dłużej, by mówić o tym, co działo się w Rwandzie przed 1994 rokiem dlatego, że bez uświadomienia sobie tego, co przygotowało krwawą tragedię tego roku, tragedii tej nie można absolutnie zrozumieć.

Świat wołał zdumiony, chociażby tytułami z pierwszych stron dzienników: „Rwanda spłynęła krwią!”, „Hutu bez pardonu mordują Tutsi!” „Rwanda oszalała!” „Okrucieństwa na piekielną miarę!” „Bratobójcze walki!” „Takiego piekła człowiek pojąć i znieść nie może!” Takie i tym podobne tytuły zaskoczyły świat. Bo po co, dlaczego aż tak zażarcie, tak okrutnie mordują się ci ludzie? Przecież dotychczas zdawali się żyć razem i w miarę spokojnie! Co wyzwoliło aż taką zawziętość, zawziętość na śmierć i życie? Niełatwo było światu zrozumieć, co i dlaczego dzieje się w Rwandzie. Nikomu nie było łatwo, także nam, misjonarzom.

Walkę, jaką Hutu wypowiedzieli Tutsi, jeszcze jakoś można było zrozumieć, gdy się pamiętało o tym, co usiłowałem pokrótce naszkicować powyżej; gdy się pamiętało, że w ostatnim zwłaszcza czasie byli drażnieni. To, że w walkę zaangażowali się nawet dotychczas spokojni i nie nastawieni wrogo prości ludzie z Hutu, to jeszcze jakoś można wyjaśnić i jakoś nawet usprawiedliwić. Byli przecież manipulowani, byli świadomie przeciw Tutsi ustawiani przez propagandę rozgłośni radiowej. Propaganda ta miała dosyć okazji i nie miała trudnego zadania. Przy okazji obrony interesów partii, przy usprawiedliwianiu się z takich czy innych pociągnięć, wystarczyło powiedzieć, że byłoby inaczej, lepiej, gdyby nie atak Inkotani, gdyby nie pretensje, gdyby nie manipulacje Tutsi. Prości ludzie w Rwandzie są bardzo łatwowierni. W kraju, gdzie nie ma tradycji słowa pisanego, dużo większą moc i znaczenie ma słowo mówione, głoszone. Od ataku Inkotani na Rwandę w 1990 roku przeciw Tutsi powiedziano wiele, bardzo wiele. Sami Tutsi także nie pozostawali dłużni. Przez radiostację, zainstalowaną przez Inkotani, odszczekiwali się umiejętnie, ze swobodą, z nieukrywaną drwiną. To także drażniło. Propaganda Hutu miała ułatwione zadanie, także i właśnie ze względu na atak, na działania wojenne prowadzone przez Inkotani. Można było głosić: Inkotani to wrogowie kraju, a Tutsi to wrogowie Hutu, wrogowie, którzy zbrojną ręką chcą Hutu odebrać władzę. Wszyscy Tutsi w kraju są z Inkotani powiązani, są dobrze uzbrojeni, przygotowani i tylko czekają na znak od Inkotani, by rzucić się na Hutu, by mordować, grabić. Każdy patriota musi być gotów bronić przed Inkotani i ich zwolennikami siebie i swoich zagrożonych rodzin! Taka propaganda musiała zapadać w serca. Chociaż bowiem Tutsi odpowiadali, że wśród Inkotani jest wielu Hutu, że na czele Frontu Patriotycznego stoi Hutu, że Inkotani wcale nie dążą do władzy, tylko do zaprowadzenia w kraju sprawiedliwości i wolności, to przecież przy okazji wykazywali, jaką to niesprawiedliwość, jakie zniewolenie w kraju wprowadziła rządząca Hutu, jakie krzywdy cierpią pod obecnym reżimem właśnie Tutsi. Przez to samo w oczach Hutu okazywali się wrogami. Niejednemu ojcu rodziny Hutu propaganda

wytłumaczyła, że właśnie jako ojciec rodziny ma naturalny obowiązek swej rodziny bronić. Każdy katolik winien to robić tym gorliwiej z pobudek Prawa Bożego. A ponieważ nie można się inaczej obronić, jak mordując tych, którzy na nas i na nasze rodziny idą z bronią w rękę, mamy obowiązek mordować, obowiązek sumienia. Że do spełnienia tego „obowiązku” wielu podeszło z całą gorliwością od pamiętnego 6 kwietnia 1994 roku – jak powiedziałem – można było jakoś zrozumieć. Trudniej było, owszem, zupełnie nie można było zrozumieć, że z tego „obowiązku” wywiązywano się w prawdziwie okrutny, bestialski sposób. Jeżeli już trzeba zabić, to dlaczego nie zabić tak, aby zabijany nie cierpiał bez konieczności, dlaczego dręczyć go i męczyć? Przecież nawet zwierzęta, które musimy zabić, zabijamy sprawnie, szybko, aby zbytnio nie cierpiały. Skomplikowane jest serce człowieka i okrutne mogą w nim wyzwolić się siły. Trudno to zrozumieć i przyjąć. Niestety, tak bywało w dawnych wojnach, tak jest i dzisiaj. Tak jest nie tylko wśród „dzikich Murzynów” w Rwandzie. Dobrze jeszcze pamiętamy straszliwe okrucieństwa drugiej wojny światowej, a także dzisiaj oglądamy z przerażeniem okrucieństwa, chociażby w wojnie na terenie byłej Jugosławii.

Powiedział ktoś, że my, biali, nie powinniśmy się tak bardzo „wybrzydzać” na okrucieństwo czarnych, bo pewnej twardości w rządzeniu i pewnego okrucieństwa sami ich nauczyliśmy. Kolonialisci potrafili się twardo i okrutnie obchodzić z czarnymi. Ludzie w Burundi dobrze pamiętali i opowiadali, jak srogie kary spotykały ich dziadków czy ojców za najmniejsze nawet przestępstwo. Pamiętali ludzi z obciętą ręką. Tak za najmniejszą kradzież karano w czasach kolonizacji niemieckiej. Jeżeli czarni sami byli okrutni, to biali swoim postępowaniem w okrucieństwie ich utwierdzili.

To okrucieństwo bardzo bolało misjonarzy. Wiadomo bowiem, że ono zostanie na długo zapamiętane, że będzie wielką przeszkodą w budowaniu wzajemnej zgody, w budowaniu jedności. Takich okrucieństw się nie zapomina!

Czy można zatem marzyć o jedności w kraju, w którym skazani są na współzycie tak wrogo do siebie nastawieni ludzie dwóch grup etnicznych? Ale czy rzeczywiście są skazani? Pamiętam, że od czasu do czasu stawialiśmy sobie pytanie: Czy nie można by stworzyć osobnego państwa dla Tutsi i osobnego dla Hutu? Niektórym wydawało się, że to rozwiązałyby całe zagadnienie. Walki pomiędzy Tutsi a Hutu zostałyby raz na zawsze zażegnane. Sam, już w 1972 roku, takie rozwiązanie podpowiadałem. Wtedy czarny proboszcz parafii w Bururi, gdzie odbywałem staż pracy, tłumaczył mi, że to wcale nie doprowadziłoby do zaprzestania walk, bo w rzeczywistości tu wciąż toczy się walka o władzę. „W państwie Tutsi dalej by o władzę walczono, podobnie jak w państwie Hutu. Podzielono by nas na rody szlachetniejsze i mniej szlachetne, działałyby regionalizmy. Zauważ, że już dzisiaj Tutsi i Hutu, którzy są przy władzy, są w antagonizmie z tym z Muramvyi, którzy uważają się za ‘wyższych’, bo są powiązani z rodami królewskimi. Równocześnie jedni i drudzy gardzą Tutsi z regionu Ruyigi. Nie, walka o władzę lub o utrzymanie władzy nadal by trwała, tym bardziej że podsycalyby ją różne obce siły i obce interesy”. Nie bardzo rozumiałem, o jakie siły, o jakie interesy może tu chodzić. Rozumiałem – już kilka razy o tym wspominałem – że w krajach tak biednych jak Burundi i Rwanda sami czarni chcą zdobyć władzę i przy niej się utrzymać, bo wtedy mogą dla siebie i swoich ciągnąć niemałe korzyści. Jakie jednak interesy w tak biednych krajach mogą mieć obcy? Jakich korzyści mogą tu spodziewać się biali? Przecież tu nic nie ma! Tymi właśnie słowami podsumowaliśmy kiedyś pytanie postawione pewnemu Francuzowi. Pytanie brzmiało: „Jakie

interesy możecie mieć wy, Francuzi, w tym, że tak troszczycie się o tutejszą armię, że ją szkolicie, ubieracie itd? Nie bardzo wierzę, że to robicie zupełnie bezinteresownie, ale jaki interes możecie mieć w Burundi? Przecież tu nic nie ma!” Odpowiedział: „Rzeczywiście, tu nic nie ma, ale jest jedno, jest takie lotnisko, na którym w każdej chwili dnia i nocy mogą lądować największe samoloty świata. To lotnisko jest położone w samym centrum Afryki. Wyobraźmy sobie jakiś wielki międzynarodowy konflikt. Wtedy samoloty mogą grać wielką rolę. Samoloty jednak nie mogą latać bez końca. Samoloty muszą lądować. Kto ma w ręku takie lotnisko jak w Bujumbura, lotnisko w sercu Afryki, ten ma wielką szansę, ten może innym dyktować warunki. A kto szkolił tutejszą armię ten wie, co ona potrafi, jak zareaguje. Kto ma w tej armii swoich oficerów, ten może tutejsze lotnisko w pięć minut opanować i utrzymać. Tak, w Burundi nic nie ma! W Burundi jest lotnisko!”

Wspomniałem już także, że to, by ustawić jednych przeciw drugim i pchnąć ich do walki o władzę, może leżeć w interesie tych, którzy potrzebują gdzieś sprzedać przestarzałą broń. Nikt nigdzie na świecie by jej już nie kupił. Szkoda wyrzucić, kiedy można by ją sprzedać biednym Murzynom. Kupią ją wtedy, gdy będą walczyć o władzę.

Jakie inne interesy w walce o władzę w Burundi i w Rwandzie mogą mieć biali? Zrozumiałem to dopiero później, zrozumiałem, kiedy mi wykazywano, że przez Bujumburę i przez Kigali wiedzie wielki szlak przemytu kości słoniowej, złota, diamentów, a przede wszystkim narkotyków. Wielkim światowym mafiom może bardzo zależeć na tym, by utrzymała się przy władzy rządząca klika, inaczej bowiem trzeba by na nowo wiązać siatkę współpracowników w porcie, na lotnisku, w ministerstwach... a to przecież kosztuje. Innym może bardzo zależeć na tym, by nowa grupa objęła rządy, w ten sposób może się bowiem uda popsuć szlak przemytu konkurencyjnej mafii, a może go nawet przejąć...

Powtarzałem często i powtarzam, że to biali walczą w Burundi i w Rwandzie o swoje ciemne interesy, wykorzystując do tej walki istniejące antagonizmy pomiędzy Tutsi a Hutu. Sądzę, że się nie mylę.

Walka to wciąż na nowo burzy jedność, którą pragną tu budować misjonarze zgodnie z gorącymi pragnieniami Jezusowego Serca, które nieubłaganie błaga: „Nie tylko za nimi proszę, ale i za tymi, którzy dzięki ich słowu będą wierzyć we Mnie; aby wszyscy stanowili jedno, jak Ty, Ojcze, we Mnie, a Ja w Tobie, aby i oni stanowili w Nas jedno, aby świat uwierzył, żeś Ty Mnie posłał.”⁷²

5. „Z TROSKI O WSZYSTKIE KOŚCIOŁY.”⁷³

Było to przed 25 laty... Wysyłani na misje w Burundi przez Polską Prowincję Karmelitów Bosych synowie tejże Prowincji, zdawali sobie sprawę, że tak naprawdę to wysłani są przez Chrystusa Pana, że wysłani są w Kościele i przez Kościół, że wysłani są tam

⁷² J 17, 20 - 21

⁷³ 2 Kor. 11, 28

„gdzie Kościół nie zapuścił jeszcze korzeni.”⁷⁴ Synowie Teresy, która zawsze czuła się „córką Kościoła”, bracia Patronki Misji, która w sercu Kościoła pragnęła być Miłością, chcieli, aby został mocno podkreślony eklezjalny, kościelny charakter ich posłania. Dlatego pragnęli na swą posługę misyjną otrzymać błogosławieństwo Prymasa Polski, ks. kard. Stefana Wyszyńskiego. Otrzymali je wraz z wierną kopią Obrazu Jasnogórskiego 16 czerwca 1971 roku. Krzyże misyjne zapragnęli otrzymać z rąk biskupa odpowiedzialnego za misje z ramienia Episkopatu Polski i równocześnie Dyrektora Krajowych Papieskich Dział Misyjnych w Polsce. Pragnienie spełniono i 22 czerwca w karmelitańskim kościele w Poznaniu krzyże misyjne wręczył im ks. bp Jan Wosiński. Co więcej? Ośmielili się pragnąć, żeby na misje posłał ich sam Chrystusowy Zastępca na ziemi. I to śmiałe pragnienie zostało zaspokojone. Papież Paweł VI, na specjalnej audiencji 25 sierpnia 1971 roku, z serdecznym wzruszeniem błogosławił im na misyjny trud.

Zostali posłani na misje przez Kościół, który z natury swej cały jest misyjny. Tym posłaniem na misje bardzo się radowali. Aby zaś tym głębiej się nim radować, pragnęli je dogłębnie poznać. Studiowali naukę Soboru Watykańskiego II. Między innymi Sobór mówił:

„Ogólnie misjami nazywa się specjalne przedsięwzięcie, które wysłani przez Kościół głosiciele Ewangelii, idąc na cały świat, podejmują celem wykonania zadań głoszenia Ewangelii i zakładania Kościoła wśród narodów lub grup społecznych jeszcze nie wierzących w Chrystusa... Właściwym celem tej działalności misyjnej jest przepowiadanie Ewangelii i zakładanie Kościoła wśród ludów i grup, gdzie Kościół nie zapuścił jeszcze korzeni.”⁷⁵

Pojechali do Burundi, niosąc w pamięci i sercu słowa Soboru, które wyznaczały cel ich posłania: głoszenie Ewangelii i zakładanie Kościoła tam, gdzie on jeszcze nie zapuścił korzeni. Tymczasem w Burundi zastali – tak im się przynajmniej wydawało – Kościół, który zapuścił korzenie już głęboko. Na własne oczy zobaczyli tysiące, tysiące i jeszcze raz tysiące ludzi wierzących w Chrystusa. Zobaczyli wielu czarnych kapłanów, wielu czarnych zakonników i wiele zakonnice. Zobaczyli rządzone przez czarnych biskupów diecezje, które składały się z rozległych parafii. W parafiach działali z całą gorliwością liczni katechiści, działały różne grupy organizacji katolickich. Byli zaskoczeni. Przecież Kościół w Burundi, wciąż wspomagany przez licznych misjonarzy, posiada dobrze zorganizowane struktury zewnętrzne i zapewne zapuścił głęboko korzenie w sercach ludzi tego narodu, którego 80% ludności stanowią katolicy. Pytali więc: czy rzeczywiście przyjechalіśmy na misje?

Próbowali poznać bliżej ten Kościół w Burundi, poznać jego historię, jego organizację, jego zadania na najbliższą przyszłość. Napisałem wówczas, w 1975 roku, kilka uwag na ten temat.⁷⁶ Uwagi te, nie we wszystkim – jak dzisiaj widzę – przylegały do skomplikowanej rzeczywistości Kościoła w Burundi. Były one owocem spojrzenia pełnego entuzjazmu, spojrzenia nieco naiwnego, a w każdym razie spojrzenia za mało dojrzałego. Czyż zresztą mogło być inne u młodego misjonarza, i to misjonarza, który do Burundi przyjechał z Polski,

⁷⁴ MD 6

⁷⁵ j. w.

⁷⁶ por. Listy polskich misjonarzy z Burundi, s. 41-55

gdzie Kościół był mocno ograniczony w możliwościach zewnętrznego działania? Kościół w Polsce nie mógł np. jawnie prowadzić różnych grup młodzieżowych, różnych klubów, stowarzyszeń, nawet tzw. trzecich zakonów, nie mógł prowadzić szpitali, szkół, ochronek, sierocinców. Na uroczystości kościelne nie zjawiali się przedstawiciele władz państwowych ani odwrotnie. W Burundi natomiast, Kościół zdawał się cieszyć pełnym poparciem władz cywilnych, miał pełną swobodę prowadzenia licznych organizacji katolickich, prowadzenia szkół, ośrodków zdrowia, posiadał drukarnię, wydawnictwo i miał – jak się wydawało – głos w rozstrzyganiu zagadnień życia publicznego, życia społecznego. Młodemu misjonarzowi, pochodzącemu zza żelaznej kurtyny, wydawał się Kościół w Burundi drzewem mocnym, wspaniałym, które nie tylko zapuściło korzenie, ale kwitnie i już wydaje owoce. Drzewem jeszcze bardziej zakorzenionym, wspaniale kwitnącym i wydającym owoce jawił się misjonarzom także Kościół w sąsiedniej Rwandzie. Wciąż na nowo pytali: Czy tu będą naprawdę misjonarzami? To prawda, że Ewangelię wciąż tu będzie można głosić, ale czy można zakładać Kościół? Przecież on już zapuścił korzenie. Jaki on jest naprawdę?

Dzisiaj, po przeszło 20 latach, postawiono mi na nowo pytanie o tożsamość Kościoła w Burundi i w Rwandzie, jaki jest ten Kościół? Tragiczne wydarzenia, zwłaszcza wydarzenia ostatnich lat zdają się jasno wykazywać, że Kościół w tych krajach okazał się słaby, bezradny, że nie miał nic do powiedzenia, że nie mógł przeszkodzić bratobójczym walkom. Jakież więc było jego zakorzenienie się w życiu milionów wiernych, którymi się szczycił? Przecież ci wierni dali się tak łatwo zmanipulować i pchnąć do krwawej, bratobójczej wojny! Skąd bierze się słabość tego, na pozór, kwitnącego Kościoła? Jaki on jest naprawdę, ten, dzisiaj umęczony i jakoś przegrany, Kościół w Burundi i w Rwandzie?

Trudne pytanie. Bardzo trudne. Dla misjonarzy także jakoś bolesne pytanie, bo w jego kontekście słyszą inne pytania, a mianowicie: Co wy tam robiliście, co wy tam zrobiliście przez 25 lat? Gdzie są owoce waszego misyjnego trudu? I co dalej? Jaka jest przyszłość tego biednego Kościoła? Jakie powinien podjąć zadania, aby na nowo zakorzenić się i służyć udręczonym ludziom w Burundi i w Rwandzie?

Aby odpowiedzieć na te bolesne, lecz jakże słuszne pytania, należy rzucić okiem, choćby pobieżnie, na przeszłość tego Kościoła. Przeszłość zawsze kształtuje teraźniejszość, która z kolei ustawia ku przyszłości. W przeszłości Kościołów w Burundi i w Rwandzie, w przeszłości dawnej i tej bliższej, możemy się łatwo doszukać elementów, które sprawiły, że Kościoły te okazały się słabe w zderzeniu z rzeczywistością, która domagała się niezwyklej mocy.

Najpierw trzeba dobrze zapamiętać, że pierwsi misjonarze, a z nimi Kościół, pojawili się na terenach dzisiejszej Rwandy i Burundi zaledwie 100 lat temu. Było ich kilku. Musiało upłynąć sporo czasu, zanim mogli rozpocząć prawdziwą ewangelizację. Musieli przecież poznać ludzi, poznać teren, nauczyć się języka. Nie byli też przychylnie widziani przez rządzących tu królów lub przez ich namiestników. Podejrzewano, że są wysłannikami, niejako pierwszą strażą, białych kolonizatorów. Na terenie dzisiejszej Rwandy i Burundi sięgały wpływy niemieckie. Dopiero, gdy po pierwszej wojnie światowej, Liga Narodów oddała Rwandę i Burundi pod protektorat Belgii, misjonarze mogli działać swobodniej. Współpraca belgijskiego rządu z młodziutkim Kościołem układała się dobrze. Były przecież liczne wspólne interesy, np. sprawa szkolnictwa. Belgia wobec Ligi Narodów

musiała wykazać, że dba o rozwój szkolnictwa w powierzonych sobie krajach. Cieszyła się zatem, że misjonarze tak rzetelnie dbają o zakładanie coraz nowych szkół. Z funduszu rządu, przeznaczonego na rozwój Rwandy i Burundi, płacono pensję misjonarzom, którzy byli kierownikami szkół. Ta pensja wystarczała misjonarzom nie tylko na utrzymanie szkoły, ale jeszcze na zakładanie nowych. Rozwój szkolnictwa był równocześnie na rękę misjonarzom. Łatwiej bowiem ewangelizować, jeżeli choćby nikły procent ludności posiada sztukę czytania i pisania. Rośnie też nadzieja, że łatwiej zdobędzie się kandydatów do seminarium duchownego. Podobnie współpracowano w innych dziedzinach. Kościół szedł „na rękę” belgijskiej administracji, a ta - Kościołowi.

Kiedy po roku 1960 przyznawano krajom Afryki autonomię, nie bez poparcia Belgii władzę w Burundi przejęli Tutsi, stanowiący zaledwie 15% ludności. Z konieczności musieli rządzić twardo, w oparciu o wojsko i policję. Nie wszystko w tych rządach było sprawiedliwe, ale Kościół nauczony iść ręką w rękę z rządzącymi, usiłował teraz zachować tę linię postępowania. Nie umiał sprzeciwić się niesprawiedliwościom, nie chciał się narażać. To była jego słabość.

W Rwandzie oddano rządy w ręce Hutu, a więc w ręce większości. Stało się to **wbrew decyzjom Brukseli**. Pewien pułkownik, dowodzący belgijskimi oddziałami uważał, że oddać władzę mniejszości, to stworzyć pewnego rodzaju okupację. Wahał się jednak co zrobić, bo wiedział, że Bruksela jest za oddaniem władzy Tutsi. Wątpliwości pomógł mu rozwiązać biskup Kabgayi, Andrzej Perrondin, Szwajcar, który był całym sercem za oddaniem władzy w ręce większości. **Z pomocą wojska, i nie bez wydatnej pomocy Kościoła, tak urządzono wybory, że rządy objęli Hutu. Zapamiętali to dobrze i Hutu, i Tutsi. Rządzący Hutu byli wdzięczni Kościołowi za to poparcie. Politycy z Tutsi wciąż mieli to Kościołowi za złe.**

Układy polityczne, tak w jednym, jak i w drugim kraju, postawiły Kościół, zwłaszcza jego hierarchię, w nieco niezręcznej sytuacji w stosunkach do rządzących. W Burundi np., Tutsi wprowadzili mocne rządy, usiłowali nie dopuścić do „rozwoju” Hutu. Różnymi sposobami starali się odsunąć ich od szkół czy od urzędów w obawie, że wykształceni i „doświadczeni” w administracji Hutu mogliby sięgnąć po władzę. Tak więc Hutu, mając utrudniony dostęp do szkół, zwłaszcza wyższych, nie mając perspektywy na zdobycie miejsc pracy, chętnie wstępowali do seminarium duchownego lub nowicjatów zgromadzeń zakonnych. W ten sposób w państwie rządzonym przez Tutsi, duchowieństwo Kościoła składało się przede wszystkim z Hutu. Rządzący zaczęli na to patrzeć podejrzliwie, obawiając się, że przez kler złożony z Hutu, Kościół może mieć zbyt duży i niepożądany wpływ na wielkie masy wiernych, także przecież w większości Hutu.

W Rwandzie było inaczej, chociaż także podobnie. Tu rządzący Hutu mogli pozwolić na odpowiedni, a więc 15 procentowy dostęp Tutsi do szkół i do urzędów. Garnący się chętnie do szkół Tutsi nie mieli jednak swobodnego do nich dostępu w kraju, w którym szkół wciąż brakowało. **Wstępowali więc do seminarium duchownego i do nowicjatów. Zatem w kraju rządzonym przez Hutu, duchowieństwo Kościoła stanowili przede wszystkim Tutsi. Sfery rządowe, zwłaszcza od czasu, kiedy to Tutsi spróbowali przejąć władzę, zaczęły się poważnie obawiać, że Tutsi przez „swoich” księży, będą wywierać zbyt wielki wpływ na prosty i łatwowierny lud. Wiadomo przecież było, że proboszcz ma**

wiele do powiedzenia w parafii, że ma np. decydujący wpływ na rekrutację nauczycieli do szkół, itp.

Zaczęto zarzucać Kościołowi, że staje po stronie Tutsi, że popiera Tutsi. Może też dlatego nawet niektórzy duchowni, chcąc zaświadczyć, że Kościół zawsze idzie „ręka w rękę” z rządzącymi, współpracowali gorliwie z jedyną w kraju rządzącą partią, tworząc komórki partyjne nie tylko w parafiach, ale nawet w seminarium duchownym.

Tak w Burundi, jak i w Rwandzie, Kościół nie umiał się przeciwstawić zdecydowanie rządowi, chociaż czasem wyraźnie i jasno widział, że ten podejmuje decyzje niesprawiedliwe, decyzje na szkodę narodu. A nie umiał się Kościół przeciwstawić władzy, bo duchowieństwo, bo czarni księża i czarni już biskupi zostali wychowani przez belgijskich misjonarzy, którzy sami tego nie umieli robić; w Belgii nie było bowiem większych trudności w stosunkach pomiędzy Kościołem i państwem. Tak, duchowieństwo Kościoła w Burundi i w Rwandzie zostało wychowane przez misjonarzy, którzy zawsze szli „ręka w rękę” z rządzącymi, starali się ich w niczym nie urazić, by poparcie rządzących im samym i ich wiernym w wielu sprawach wychodziło na korzyść. Kiedy więc teraz wypadało się rządowi sprzeciwić, hierarchia Kościoła tego zrobić nie potrafiła. Nikt jej przecież nie nauczył, że sprzeciwić się można, owszem, że często należy to zrobić. Ulegano więc nawet nieco niesprawiedliwym zarządzeniom rządu, usiłowano przemykać oko, przeczekać, byle rządu, byle władz nie drażnić. To ciche uleganie decyzjom rządu było prostą konsekwencją faktu, że „tak się przecież zawsze, od niepamiętnych czasów, czyniło”. Na tej też podstawie sami rządzący domagali się od Kościoła uległości, i to uległości całkowitej. Oni sami byli przecież wychowankami szkół prowadzonych przez misjonarzy, w których uczono, że rządzącym należy się całkowite posłuszeństwo. Jeżeli tak było, gdy rządili kolonialiści, dlaczego teraz, gdy rządzą „swoi”, miałyby być inaczej? Rządzącym należy się bezwzględne posłuszeństwo! Kiedy zatem spotkali się teraz z najłżejszym, choćby nieśmiałym sprzeciwem, z delikatną uwagą Kościoła, traktowali to jako karygodny bunt.

Tak zatem Kościół w Burundi i w Rwandzie nie umiał swoich niezwykłych praw bronić. Nie umiał i nie miał siły stanąć stanowczo w obronie swoich pokrzywdzonych wiernych, w obronie głębokich wartości narodowych. Boleli nad tym w sposób szczególny polscy misjonarze – Karmelici Bosi. Oni przyszli tu z innym doświadczeniem. Kościół w Polsce od początku, od męczennika Stanisława ze Skałki, poprzez całe wieki zawsze stawał mocno w obronie Bożych Praw i po stronie polskiego ludu. Stawał zdecydowanie przeciw krzywdzącym ten naród zarządzeniom rządów w czasie rozbiorów Polski, w czasie okupacji hitlerowskiej, w okresie stalinizmu. Oni pamiętali mocne, zdecydowane: „Nie możemy!” Prymasa Tysiąclecia. Wiele razy próbowali podpowiedzieć duchowieństwu, hierarchii w Burundi, że w takim czy innym wypadku ustępować nie wolno, że trzeba rządzącym powiedzieć zdecydowanie, apostołskie: „należy raczej Boga słuchać, nie ludzi”.⁷⁷ Próbowali podpowiedzieć, że z Kościołem, który kieruje więcej niż połową ludności, rząd liczyć się musi, że liczył się będzie zwłaszcza wtedy, gdy zdecydowane: „Nie możemy!” Kościół powie jednym, zgodnym głosem. Pamiętali, jaką siłą Kościoła w Polsce stanowi jego jedność.

⁷⁷

Niestety, tu tej jedności nie było. Jej brak był następną przyczyną słabości młodego Kościoła w Burundi i w Rwandzie. O tę jedność było trudno. Zdecydowany trzon duchowieństwa wciąż stanowili misjonarze. W ostatnim czasie byli to misjonarze pochodzący z różnych krajów Europy i Ameryki. Każdy z nich przynosił do Burundi i do Rwandy doświadczenia zdobyte u siebie, w stosunkach swego rodzimego Kościoła do rządu własnej ojczyzny.

Jakże różne doświadczenia! Bogactwo to, ale to bogactwo może okazać się czasem przyczyną słabości. Jakże często, gdy próbowano ustalić jedną linię postępowania w odpowiedzi na takie czy inne zarządzenie rządu, linii tej ustalić się nie dało. Chociaż bowiem misjonarze kierowali się Ewangelią, chociaż zgadzali się, że wytyczną postępowania winno być nauczanie Kościoła Powszechnego, to przecież bardzo się między sobą różnili, gdy przyszło domagać się poszanowania od rządu dla Ewangelii i dla nauki Kościoła: „Czy koniecznie trzeba tak? Przecież u nas jest przeciwnie, a Kościół istnieje i działa”. **Nigdy zatem żaden biskup nie czuł się poparty zgodną postawą całego duchowieństwa swojej diecezji. Czy później Przewodniczący Konferencji Krajowej Episkopatu mógł stanąć wobec rządu i powiedzieć: Cały Kościół tego żąda! Cały jednogłośnie tego się domaga! – Niestety, tej jednomyślności, tej jedności nie było.** Nie było więc siły, którą daje jedność. Kościół był słaby.

Trzeba jeszcze dodać, że młody Kościół w Burundi i w Rwandzie był słaby niejako od wewnątrz, od duchowej strony. **Słabe duchowo było jego duchowieństwo, słabi duchowo wierni.**

Duchowieństwo nie miało odpowiedniej formacji intelektualnej oraz solidnej formacji w dziedzinie życia wewnętrznego. Istniało jedno seminarium duchowe na cały kraj, tak w Burundi, jak w Rwandzie. Radowano się, że liczba seminarzystów stale wzrasta. Ostatnio w Rwandzie, na filozofii i teologii było ich niemal 300. Niestety, wciąż brakowało wychowawców, ojców duchownych, profesorów. Jakąż np. formację duchową mógł w tym seminarium zapewnić jeden tylko ojciec duchowny? A trzeba wiedzieć, że „zmuszano” go jeszcze do prowadzenia wykładów, do głoszenia konferencji duchownych dla różnych zgromadzeń zakonnych, do pisania artykułów do katolickiej prasy itd. Jak jeden prefekt mógł zaprowadzić seminaryjną dyscyplinę, przeprowadzić solidną selekcję, kiedy równocześnie był ekonomem w tymże seminarium? A profesoriści? Ponieważ na razie diecezje mogły się zdobyć tylko na kilku, szukano ich w Europie. Przyjeżdżali z Belgii, Holandii lub Francji na rok lub tylko na kilka miesięcy. Często, zamiast wykładać solidną naukę Kościoła, zapoznawali seminarzystów z modnymi w Europie teologicznymi problemami. Zanim zdążyli pouczyć, jak te problemy należy rozwiązać zgodnie z nauką Kościoła, musieli wracać do Europy. Seminarzyści zostawali z nierozwiązanymi problemami. Oczywiście, nie wszyscy same problemy przedstawiali, ale wielu z nich było, jak to jest dzisiaj, specjalistami. Wykłady całego roku poświęcali bardzo wąskiemu zakresowi teologii, zgodnie ze swą specjalizacją. Inne działy teologii pozostawały nietknięte. Braki w wykształceniu miała uzupełniać tzw. stała formacja, której służyły organizowane kursy oraz spotkania dekanalne i inne. Niektórych młodych księży wysyłało na studia do Europy. Inni szli do pracy w parafiach, liczących od kilku do kilkudziesięciu tysięcy wiernych. Zapracowani, nie mieli sił na solidne studium i nie mieli sił na świadome pogłębianie swego życia wewnętrznego, na modlitwę, na przyjmowanie otwartym i wrażliwym sercem Chrystusowego zaproszenia do przyjaźni. To prawda, że

kapłan w swej duszpasterskiej pracy wciąż ma żywy kontakt z najświętszymi tajemnicami wiary, z mocą Chrystusowej miłości, która działa w sakramentach świętych i przynosi nieraz wprost zdumiewające owoce w wiernych, ale kapłan zapracowany nie zawsze znajduje siłę, aby samemu poddać się działaniu tej mocy.

Inną przyczyną słabości – tej wewnętrznej, duchowej słabości duchowieństwa i wiernych – było wielkie zaangażowanie się Kościoła w tzw. sprawy socjalne: szkoły, ośrodki zdrowia, Caritas itp. Burundi i Rwanda znajdują się w czołówce najbiedniejszych krajów świata. Na straszliwą nędzę ludu Kościół nie mógł patrzeć obojętnie. Musiał się zaangażować. Powtarzano, nie bez racji, że nie można ubogim, pogrążonym w prawdziwej nędzy ludziom, głosić orędzia Chrystusowej miłości bez świadczenia miłości w konkretnych czynach. Wprost beznadziejna nędza, w jakiej żyli i wciąż jeszcze żyją ludzie w Burundi i w Rwandzie, domagała się coraz to nowych czynów miłości. Papież Jan Paweł II pisał: „Liczne są materialne i ekonomiczne potrzeby misji: chodzi nie tylko o założenie Kościoła z najkonieczniejszymi strukturami, jak kaplice, szkoły dla katechistów i seminarzystów, mieszkania, ale także o utrzymanie dzieł charytatywnych, wychowawczych i popierających rozwój człowieka, co stanowi bardzo szerokie pole działania, zwłaszcza w krajach ubogich.”⁷⁸ Trzeba przyznać, że na tym „szerokim polu działania” Kościół w Burundi i w Rwandzie miał duże osiągnięcia. Te osiągnięcia przyniosły mu uznanie nie tylko u prostych wiernych, lecz także u władz państwowych. „Miłość przynagła nas”, mówili za Św. Pawłem misjonarze i kapłani miejscowi przez nich formowani, i poświęcali wiele sił i czasu budowaniu kaplic, szkół, ośrodków zdrowia oraz utrzymaniu dzieł charytatywnych. Czasem rodziło się pytanie: „czy aby nie za wiele?” Czy nie zapomniano przy tym o innych wskazaniach „**Redemptoris misso**”? Encyklika mówi np.: „**Misją Kościoła nie jest działanie bezpośrednie na płaszczyźnie ekonomicznej, technicznej czy politycznej albo dawanie materialnego wkładu w rozwój, ale polega zasadniczo na tym, by ukazywać narodom nie jak **więcej mieć**, ale jak **bardziej być**, rozbudzając Ewangelię sumienia. Prawdziwy rozwój ludzki musi zapuszczać korzenie w coraz głębszej ewangelizacji.** Kościół i misjonarze są krzewicielami rozwoju także przez prowadzone przez siebie szkoły, szpitale, drukowanie, uniwersytety, doświadczalne gospodarstwa rolne. Jednakże na rozwój danego narodu nie wpływa w pierwszym rzędzie ani pieniądz, ani pomoc materialna, ani też struktury techniczne, ale formowanie sumień, dojrzewanie mentalności i obyczajów. Protagonistą rozwoju jest człowiek, a nie pieniądz czy technika. Kościół wychowuje sumienia, objawiając narodom tego Boga, którego szukają, ale nie znają; wielkość człowieka stworzonego na obraz Boga i przez Niego umiłowanego; równość wszystkich ludzi jako dzieci Bożych; panowanie nad przyrodą stworzoną i oddaną na służbę człowieka; obowiązek zaangażowania się na rzecz człowieka i wszystkich ludzi.”⁷⁹

Wydaje się, że często brakowało misjonarzom i duchowieństwu miejscowemu czasu i sił na formowanie sumień, na wychowywanie sumienia. Zaangażowani na „szerokich polach działania”, nie mogli wiernym poświęcić czasu, koniecznego dla formowania ich sumień.

⁷⁸ RMs 81

⁷⁹ j. w. 58

Wspólnoty parafialne rosły, chociażby tylko ze względu na wysoki przyrost w rodzinach już chrześcijańskich. Tymczasem na Zachodzie Europy nastąpił kryzys powołań kapłańskich i zakonnych. Nowych misjonarzy trudno się było doprosić. Starzy weterani tracili siły. Dawniej misjonarz, przyjeżdżając na stację misyjną, miał do wypowiedzenia najwyżej kilkudziesięciu wiernych. Teraz należało wypowiadać kilka setek. Jakże im poświęcić odpowiedni czas? Jakże wniknąć w ich sumienia, jak je formować? Spodziewano się, że w wychowaniu wiernych, w formowaniu ich sumień pomogą wydatnie katechiści. Tu rodzą się następne pytania: Czy sami katechiści byli dobrze uformowani? Czy misjonarz lub miejscowy kapłan poświęcił tej formacji odpowiedni czas? Owszem, trzeba przyznać, że robiono w tej dziedzinie wiele, kształcono katechistów, przygotowywano materiały, które miały im pomagać w przekazywaniu Ewangelicznego orędzia.

Wydaje się jednak, że tu popełniono pewne błędy, że te materiały były trochę „ponad ludzkie zrozumienie” samego katechisty, a tym bardziej wiernych. Pierwsi misjonarze opracowali krótki, zwięzły katechizm, nauki wyjaśniające główne prawdy wiary, wyjaśniające wymagania, jakie człowiekowi stawiają przykazania, sakramenty święte, obowiązki stanu. Te prawdy i te wymagania usiłovali zaszczyć w umysłach i sercach wiernych. To było proste, jasne. Teraz zaczęto dla katechistów tłumaczyć francuskie czy belgijskie katechizmy, obszerne, zawile. Już nic nie było jasne, proste. Sam katechista gubił się w tych zawilosciach, i takie trochę rozmyte prawdy usiłował wiernym przekazać. Trzeba jeszcze dodać, że sami wierni byli mocno zdezorientowani zachodzącymi po Soborze Watykańskim II zmianami, chociażby tylko zmianami w liturgii. Wprowadzano je pospiesznie, bez należytego przygotowania wiernych. To szokowało! Odwrócenie kapłana twarzą do ludu, Komunia św. przyjmowana w postawie stojącej i podawana na rękę... i tyle innych zmian! Ludzie w Burundi i w Rwandzie są dobrymi obserwatorami. Wiedzieli np., że mszalnego kielicha nikt poza kapłanem nie mógł dotykać, bo nawet gdy wypadało go przygotować i przynieść do ołtarza siostrze zakonnej, to brała go nie gołą ręką, lecz przez puryfikaterz, przez kawałek białego płótna. Tak było! A teraz wnosił kielich do ołtarza zwyczajny chłopak – ministrant, biorąc go gołą ręką. Tak, szły zmiany! To, co dawniej należało zachować ze ścisłym rygorem, np. post przed Komunią świętą od północy, teraz mogło być zmienione według – jak sądzili – upodobania kapłana. Niektórzy próbowali wyciągnąć wnioski: Może z czasem i inne „święte” przepisy Kościoła zostaną zmienione? Może i trudne Boże przykazania przestaną obowiązywać? To wszystko nie mogło dobrze uformować sumień katolików świeckich, nie mogło przygotować prostych wiernych do podejmowania, zgodnie z wolą Bożą, trudnych zadań, które stawiało przed nimi życie.

W adhortacji apostołskiej **Ecclesia in Africa** Jan Paweł II pisze: „Nasuwa się tu pytanie: czy Kościół w Afryce przygotował odpowiednio wiernych świeckich do kompetentnego wypełniania swoich powinności społecznych i do rozwiązywania problemów społeczno-politycznych w świetle Ewangelii i wiary w Boga? Jest to z pewnością zadanie, które chrześcijanie powinni podjąć: oddziaływać na tkankę społeczną w taki sposób, aby przekształcać nie tylko mentalność, ale także same struktury społeczne tak, by lepiej odzwierciedlały zamysł Boży wobec ludzkiej rodziny. Właśnie dlatego wskazywałem na potrzebę integralnej formacji świeckich, której owocem jest życie w pełni zgodne z wiarą. Wiara, nadzieja i miłość muszą kształtować postępowanie prawdziwego ucznia Chrystusa w każdej dziedzinie jego działalności i odpowiedzialności, w każdej sytuacji. Jeśli

‘ewangelizacja jest niesieniem Dobrej Nowiny do wszelkich kręgów rodzaju ludzkiego, aby przeniknąć je swą mocą od wewnątrz, tworzyć z nich nową ludzkość’,⁸⁰ to formacja chrześcijan powinna uczyć ich wypełniania w życiu społecznym nakazów Ewangelii, tak, aby ich świadectwo stawało się profetycznym wyzwaniem wobec tego wszystkiego, co szkodzi prawdziwemu dobru człowieka w Afryce, jak i na każdym innym kontynencie.”⁸¹

Niestety, misjonarze, także polscy Karmelici Bosi, muszą uderzyć się w piersi i przyznać, że nie poświęcili wszystkich sił, że nie wykorzystali wszystkich możliwości, aby wiernych świeckich przygotować „do rozwiązywania problemów społeczno-politycznych w świetle Ewangelii i wiary w Boga”. Przeszkadzało im w tym wielkie, chyba zbyt wielkie zaangażowanie się w inne dziedziny misyjnego działania.

Taki Kościół, Kościół na zewnątrz kwitnący i rozwijający się, owocujący dosyć licznymi powołaniami kapłańskimi i zakonnymi; Kościół mocno zaangażowany w liczne dzieła charytatywne i w dzieła popierające rozwój człowieka, ale Kościół od wewnątrz słaby, podzielony... stawał często, tak w Burundi, jak i w Rwandzie w obliczu bardzo trudnych problemów społeczno-politycznych – taki też stanął w obliczu krwawej, bratobójczej wojny, która w kwietniu 1994 roku ogarnęła całą Rwandę. Kościół ten został bardzo mocno zraniony. W okrutny sposób zamordowano w Rwandzie ponad 100 księży i ponad 100 osób zakonnych. Zginęło wielu katechistów i śmierć poniosły setki tysięcy wiernych. Później Inkotani zamordowali trzech biskupów. W czasie krwawej rzezi nie uszanowano kościołów, Eucharystii. Liczne kaplice, katechumenaty zostały zniszczone. Prawie wszyscy księża Hutu uciekli do krajów ościennych, przede wszystkim do Zairu. Wielu misjonarzy opuściło kraj. Wielu członków miejscowych zgromadzeń zakonnych, męskich i żeńskich, uczyniło podobnie. **Najtrudniej jednak było Kościołowi przyjąć fakt, że wielu chrześcijan, wielu katolików włączyło się czynnie w krwawe zajścia. Nie tylko mordowano katolików, ale mordowali także katolicy!** To nie chciało się pomieścić w głowie, to tak mocno raniło serce. Niektórzy załamywali ręce. Powtarzali: Tyle wysiłku, tyle starań od 100 lat, tyle poświęceń misjonarzy, tyle zatroskania rodzimego kleru, zakonników, zakonnice, katechistów – w jednej chwili poszło na marne, zostało unicestwione! Jakże straszliwa przegrana Kościoła! W obliczu tej klęski, tej przegranej Kościoła, niektórzy misjonarze się zniechęcali. Pamiętam, że któryś powtarzał: „Nie mam już serca, by podjąć pracę na tych gruzach, na gruzach umysłów, serc, sumień! Nie będę naprawiał tego, co w tak podły sposób zniszczono!” Trudno się dziwić. Piekło zła, piekło nienawiści, które przeszło przez Rwandę okrutnym żniwem śmierci, mogło zmienić umysł i serce niejednego misjonarza. Mogło zaciemnić do tego stopnia, że już nie rozumiał, że słowa: „nie będę naprawiał...!” są sprzeczne, absolutnie sprzeczne z jego misyjnym powołaniem. Został przecież wybrany i posłany tak jak Chrystus. „Jak Ojciec Mnie posłał, tak i Ja was posyłam.”⁸² A Jezus Chrystus został posłany właśnie po to, aby naprawić to, co zniszczył grzech, aby wyzwalać człowieka z więzów, w jakie zakuło go zło, aby leczyć zranione serca,

⁸⁰ Paweł VI, Ewangelii nuntiandi, 17

⁸¹ Ecclesia in Africa, 54

⁸² J 20,21

a przecież On też jakoś „poniósł” klęskę. Dlatego też wielu misjonarzy nie zniechęciło się „przegraną” Kościoła. Gdy minęła zawierucha – wracali.

Tu trzeba postawić kilka pytań. Czy to, co stało się w Rwandzie, było rzeczywiście ostateczną przegraną Kościoła? Czy w straszliwej ciemnej nocy zła, w jaką wszedł kraj, a z nim Kościół, nie ukazały się jasne promienie dobra? Czy to dobro, które się objawiło, nie równoważy zła? Czy heroiczna miłość, której dowody dali wierni Kościoła, nie równoważy zła, które się rozpętało? Powiedział ktoś, że cały ogrom nienawiści, podłości obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu przeważał jeden heroiczny czyn miłości bliźniego św. Maksymiliana Kolbego. W piekle nienawiści, którą oszalała Rwanda, heroicznych czynów miłości bliźniego było wiele.

Znana jest postawa wielu katolików, którzy zmuszani przez szwadrony śmierci do włączenia się w krwawą robotę stanowczo odmówili. Woleli sami zginąć, niż śmierć zadawać. Wielu katolików z narażeniem własnego życia ukrywało tych, którym groziła śmierć. Niektórzy z nich właśnie dlatego stracili życie.

Wiadomo też, że właśnie wiara w miłość, jaką Bóg ma ku nam⁸³, pozwoliła wielu chrześcijanom zachować ludzką godność i ludzką postawę w piekle, w jakim się znaleźli. Ta wiara wielu pozwoliła umierać z godnością, z modlitwą na ustach, z pieśnią wielbiącą Boga. To nie były fakty odosobnione. Nie można zatem powiedzieć, że cała dotychczasowa praca Kościoła okazała się nadaremna. Przyniosła owoce heroicznej miłości Boga i bliźniego.

No dobrze, powiadają niektórzy, ale przecież wielu katolików włączyło się w krwawe dzieło nienawiści, zabijało niewinnych ludzi. Także i na ten fakt trzeba spojrzeć spokojnie. To byli katolicy, którzy dali się przekonać manipulacyjnej propagandzie. Tak im przedstawiono – powtórzmy to jeszcze raz – zagrożenie dla kraju, dla ich własnych rodzin, tak ich przekonywano, że mają obowiązek, i to obowiązek w sumieniu, bronić zagrożonego kraju, bronić życia dzieci, żon, matek i ojców – że uwierzyli i poszli. Nie zdawali sobie nawet sprawy, że haniebnych dokonują czynów. Bronili kraju, bronili najbliższych, tępiąc wrogów. To była wojna. Trochę inaczej prowadzona wojna, ale wojna. Czy należy ich z lekkim sercem potępić? My jakoś nie potępiamy tych, którzy bronią zagrożonej ojczyzny. Nawet gdy przy tym zabijali, nazywamy ich bohaterami.

Wypada tu dodać jeszcze słów kilka w odpowiedzi na postawione pytania: „I co dalej? Jaka jest przyszłość tego biednego Kościoła? Jakie powinien podjąć zadania, aby na nowo zakorzenić się i służyć udręczonym ludziom w Rwandzie, a także w Burundi?”

„Jak Ojciec Mnie posłał, tak i Ja was posyłam”. Kościół zatem jest posłany – jak Chrystus – aby naprawić to, co zostało zniszczone przez grzech, to, co w Burundi i w Rwandzie zostało zniszczone przez wciąż podsycaną nienawiść. Tu trzeba na nowo przypomnieć, że tę nienawiść, niestety, podsycają jakieś dalekie interesy ludzi bez sumienia, ludzi, którzy na ludzkiej krzywdzie bez skrupułów żerują. Podsycają do walki o władzę, by np. sprzedać broń. Te manipulacje, to podsycanie nienawiści - zadało cios Kościołowi w Burundi i w Rwandzie, wykopało bowiem na nowo przepaść pomiędzy dwiema grupami etnicznymi. Wydaje się, że pierwszym zadaniem misjonarzy w Burundi, a może szczególnie

w Rwandzie, będzie dzisiaj usiłowanie, aby tę przepaść zasypać, aby naprawdę dla dobra ludzi zapanowała tu jedność. Jak kiedyś, przed 25 laty, polscy karmelici zostali posłani „aby głosić Ewangelię i zakładać Kościoły”, tak są posłani i dzisiaj. Opierając się na doświadczeniu 25 lat powinni więcej uwagi zwrócić na głoszenie Ewangelii, na formowanie i wychowanie Ewangelią sumień, na wychowanie ich do miłości. Miłość, która owocuje jednością jest bowiem fundamentem, o którym nie wolno zapominać nigdy przy zakładaniu Kościoła. „Aby byli jedno – aby świat poznał i uwierzył”.⁸⁴

W adhortacji apostołskiej **Ecclesia in Africa** Jan Paweł II pisze:

„Ewangelizacja kontynuuje dialog Boga z ludzkością, który osiąga swój szczyt w osobie Jezusa Chrystusa. On przez krzyż zadał w sobie śmierć wrogości⁸⁵, która dzieli i oddala ludzi od siebie nawzajem. Wiemy, że choć rozwija się dziś cywilizacja ‘światowej wioski’, w Afryce – podobnie jak i w innych częściach świata – duch dialogu, pokoju i pojednania nie zamieszkał jeszcze bynajmniej w sercach wszystkich ludzi. W relacjach między ludźmi nadal zbyt wiele jest wojen, konfliktów, rasizmu i ksenofobii.

Kościół w Afryce jest świadomy, że powinien stać się dla wszystkich miejscem prawdziwego pojednania, dzięki świadectwu swoich synów i córek. Przebaczywszy sobie nawzajem i pojednawszy się ze sobą, będą oni mogli nieść światu przebaczenie i pojednanie, które Chrystus, nasz Pokój⁸⁶, ofiaruje całej ludzkości przez swój Kościół. Jeśli tak się nie stanie, świat będzie coraz bardziej podobny do pola bitwy, na którym liczą się tylko egoistyczne interesy i rządzi prawo silniejszego, które nieuchronnie oddala ludzkość od upragnionej Cywilizacji Miłości.”⁸⁷

Pierwsze, zasadnicze zadanie Kościoła w Burundi i w Rwandzie dzisiaj, to dawać świadectwo miłości, która owocuje jednością. Trudne zadanie, niezwykle trudne, po ludzku mówiąc, wprost ponad ludzkie siły. Ale Kościół to musi robić. Kościół musi pokazać, że można przebaczyć, że można żyć w zgodzie, że można się razem modlić i razem pracować. Wydaje się, że „muszą to pokazać” najpierw zgromadzenia zakonne. Ale, Kochani, i dla osób zakonnych nie jest to łatwe. Nie jest łatwe ani dla Tutsi, ani dla Hutu. Jedni i drudzy przeżyli wiele sytuacji prawdziwie okrutnych. Jedni i drudzy mają głęboko zranione, krwawiące serca.

Wspominam np. historię klasztoru sióstr benedyktynek z Sowu, położonego jakieś 10 km od Butare. Dotarliśmy tam z o. Janem Kantym Stasińskim 23 czerwca 1994 roku. Większość zgromadzenia stanowią siostry spośród Tutsi. Kiedy więc zaczął się pościg za Tutsi, kiedy mordowano ich bez pardonu, wielu z Tutsi, a przede wszystkim wielu członków rodzin sióstr szukało schronienia w klasztorze. Chociaż znane już były fakty, świadczące o tym, że nie szanuje się tym razem ani kościołów, ani klasztorów, to przecież jeszcze mieli nadzieję, że ochroni się klasztor. Niestety! Rozwścieczone bandy Hutu dotarły do klasztoru. Przeszukały wszystkie zakamarki. Wszystkich Tutsi: rodziców, braci, siostry, krewnych sióstr zamordowano w okrutny sposób. Później zaczęło się nękanie samych sióstr, nękanie

⁸⁴ por. J 17, 21-23

⁸⁵ por. Ef. 2,16

⁸⁶ j. w. 2, 14

⁸⁷ Ecclesia in Africa, 79

wyrafinowane. Przełożona opowiadała: Zjawiała się z krzykiem uzbrojona w maczety banda, żądała, by zebrać razem wszystkie siostry. Zebranych grożono śmiercią, wyzywano, lżono. Wreszcie szef bandy mówił: „Jest późna godzina, teraz mamy do załatwienia inną sprawę, was przyjdziemy zabić po południu, o godz. 15.00”. Siostry gotowały się zatem na śmierć, trwając w kaplicy w świątecznych habitach przed wystawionym Najświętszym Sakramentem. Kiedy po południu odzywał się w ciszy jakiś szmer, jakiś krzyk, były pewne, że już nadchodzi, że godzina śmierci wybiła. Ale jeszcze nie nadchodzili. Wreszcie, pod wieczór, zjawili się z krzykiem. Zbierali siostry, sprawdzali czy są wszystkie, powtarzali im wśród obelg: „Gotujcie się na śmierć!” Wnet jednak wymienili między sobą uwagi, naradzali się i zdecydowali: „Przyjdziemy jutro rano, o godz. 8.00, bo przed zmrokiem nie zdążylibyśmy choć trochę pomęczyć was przed śmiercią”. Całą noc oczekiwano śmierci, i to śmierci w męczarniach. Czekając na tę śmierć, a szczególnie na te męczarnie, siostry umacniały się na klęczkach przed Najświętszym Sakramentem. Na drugi dzień wszystko zaczynało się od nowa. Czasem przychodzili o wyznaczonej godzinie, czasem jednak opóźniali się o dwie lub trzy godziny. Siostry czekały! Gdy nadszedł już trzeci dzień takiego nękania, same siostry prosiły: „Zabijcie nas wreszcie, nie nękajcie!” kiedy kaci ze śmiechem i szyderstwem przyjmowali tę prośbę, błagały siostry spośród Hutu, aby wstawiły się za nimi, w nadziei, że kaci Hutu prędzej wysłuchają próśb Hutu. Ale ich także, jako współpracowników Tutsi, słuchać nie chcieli.

Ostatecznie, właśnie przez siostry Hutu, udało się powiadomić o tym nękanii prefekta Butare, a ten przysłał kilku żołnierzy, by bronili sióstr przed bojówkami. „No cóż – mówiła przełożona – siostry odetchnęły, mogą nawet wyjść do ogrodu. Ale jaka przyszłość?!” Dodam, że później, gdy do Butare zbliżali się Inkotani, Francuzi zorganizowali ewakuację sierocińca z Butare. Siostry z Sowy (może szczególnie ze względu na siostry z Hutu) wraz z innymi siostrami i księżmi, postanowiły pod ich osłoną uciekać. Francuzi tej osłony nie obiecali, ponieważ ich zadaniem była przede wszystkim bezpieczna ewakuacja sierocińca. Nie mieli jednak nic przeciw dołączeniu się innych „do wyprawy”. Nie wiadomo dokładnie, co się w drodze wydarzyło. Dość na tym, że w pobliżu Ndago osiem sióstr benedyktynek i dwu księży zostało zamordowanych.

Ileż zgromadzeń zakonnych, sióstr i braci, przeżyło podobne sytuacje, podobny strach, nękanie. Składają się z sióstr i braci uratowanych od śmierci, z sióstr i braci pochodzących z jednej i drugiej grupy etnicznej, z Tutsi i Hutu. Wszystkie i wszyscy stracili wielu ze swoich najbliższych. Nie trzeba wcale być wytrawnym psychologiem, by wyczuwać, w jak trudnej, w jak delikatnej, w jak ciężającej na sercu atmosferze wypadło im żyć dzisiaj.

Trudno na przykład, aby siostry z Hutu zapomniały, jak okrutnie właśnie Hutu, obesзли się z rodzinami ich sióstr z Tutsi. Trudno, aby nie miały w pamięci tego bezlitosnego nękania, tej okrutnej grozy śmierci, jaką przeżyły ich siostry. Dzisiaj wystarczy, że siostra spośród Tutsi usłyszy słowo: matka, ojciec, siostra..., i zapłacze cicho, a już siostra z Hutu przypomina sobie ze ściśniętym sercem, że to moi, to Hutu są przyczyną jej cichych łez, są przyczyną krwawiącej rany jej serca. Chociaż siostra z Tutsi wie, że jej łzy wywołują gorycz w sercu siostry z Hutu, że mogą być odczytane jako niemy zarzut, to przecież nie zawsze od tych łez potrafi się powstrzymać. Czasem te własne łzy odczuwa jako winę, bo wie, że one nową falą smutku, mrokiem smutku ogarniają i tak udręczone serce jej siostry z Hutu. Tak, serce siostry z Hutu może być dzisiaj bardzo udręczone, nie tylko wspomnieniem krwawych

czynów dokonanych przez ludzi z jej grupy etnicznej, ale też okrutnymi, krwawymi czynami, jakimi odpowiedzieli i nadal odpowiadają Tutsi. Tak, dzisiaj słowo: matka, ojciec, brat, siostra... może wyciskać łzy także w oczach siostry z Hutu. Często nie wie ona, co stało się z jej najbliższymi, czy zginęli, czy może żyją wśród uciekinierów w tych strasznych jak piekło obozach w Goma czy Bukaru. Albo też drży ze strachu o swoich, bo pozostali, bo żyją w wioskach, a z wiosek wciąż dochodzą wieści o aresztowaniach, o zabranych na przesłuchanie, z którego się nie wraca. To jej drżenie serca, te jej łzy odbijają się echem w sercu siostry Tutsi, bo wie, że płacze skrzywdzona, zraniona przez złych ludzi z jej grupy etnicznej, z Tutsi. Nie uspokoi siostry z Tutsi przychodzące na myśl usprawiedliwienie: oni, Hutu, tak straszny los nam, Tutsi, zgotowali, tak krwawą masakrę, tyle śmieci zadali, nic zatem dziwnego, że teraz my, Tutsi, podobnym losem im, Hutu, odpłacamy! Czasem, gdy siostra z Hutu zapłacze na wieść o nowych aresztowaniach, siostrze z Tutsi może przyjść pokusa odżegnywania się od tego wszystkiego stwierdzeniem, że skoro aresztują, skoro zabijają, to na pewno „winnych”, to tych, którzy mordowali Tutsi. Wnet jednak odczuje tę pokusę jako nowy zadziór w sercu, jako szpilkę wbitą w serce, bo wie, że takie „stwierdzenie” dyktuje jej nie co innego, jak przynależność do Tutsi, przynależność, która każe widzieć czyny jej grupy etnicznej jako białe, a czyny drugiej grupy jako czarne. Niełatwo sobie z taką pokusą poradzić, walka z nią jest prawdziwym udręczeniem. Wiem coś o tym, bo wiele razy dane mi było głęboko zaglądać do straszliwie udręczonych serc z jednej i drugiej grupy etnicznej.

Jak wspominałem, siostry z tak zranionymi sercami, z tak udręczonymi sercami, siostry z jednej i drugiej grupy etnicznej muszą dzisiaj żyć razem, modlić się wspólnie, pracować zgodnie. „Muszą”, ale także „chcą” tak żyć, aby dać świadectwo, świadectwo, którego tak bardzo dzisiaj potrzebuje Rwanda, świadectwo, że można żyć i stanowić jedno, pomimo tego wszystkiego, co się stało i jeszcze dzieje. Świadectwo to chce powiedzieć, chce krzyknąć: nawet gdy się przeszło przez piekło, jakie jedni drugim zgotowali, można żyć w serdecznej miłości braterskiej, można żyć w jedności, jeżeli źródłem tej jedności jest wiara w miłość, jaką Bóg ma ku nam.

Takie świadectwo mogą dawać zgromadzenia zakonne, złożone z Tutsi i Hutu, które zawieruchę wojenną przetrwały w Rwandzie. Takie świadectwo winny dawać wszystkie. Czuję to dobrze. Dlatego też w trudnej sytuacji znalazły się zgromadzenia, które w czasie krwawych zająć, z obawy o życie zagrożonych współsióstr czy współbraci, wyjechały za granicę. Pragną wracać, bo tyle potrzeb, tyle pracy, tyle pomoc by można udręczonym ludziom. Ale niestety! mogliby wrócić i chcą wracać Tutsi, natomiast Hutu nie mogą, boją się. Powrót samych Tutsi mógłby się stać anty-świadectwem, mógłby przekreślić to świadectwo, które dzisiaj jest jednym z najważniejszych zadań zgromadzeń zakonnych w Rwandzie. Ludzie prości, także katolicy, mogliby powiedzieć: jeżeli wy, poświęceni Bogu, wy, którzy wierzycie w jednego wspólnego Ojca wszystkich ludzi, nie potraficie żyć i pracować razem, to jakże domagacie się tego od nas?! Wiele zgromadzeń zakonnych z tego właśnie powodu nie wraca do Rwandy. Postanowiły czekać, aż będzie możliwy powrót Tutsi i Hutu. Kiedy będzie możliwy? Chryste, który wciąż pragniesz, „aby wszyscy stanowili jedno”, przybliż tę godzinę, Panie!

Aby byli jedno! Aby wszyscy zespolicili się w jedno! Aby uwierzyli, że Ojciec miłuje każdego z nich, i to tak miłuje, jak miłuje swego Jedyne Syna. Aby żyli w jedności! Taką prośbę, Chrystusową prośbę, zanoszą dzisiaj Kościoł w Rwandzie. Trzeba, aby z tą

prośbą szło w parze świadectwo Kościoła, że ta jedność jest możliwa, że jest możliwa także dzisiaj, po przeżyciu tej wojny, którą rozpętały szatańskie siły. Świadomie mówię „szatańskie”, bo szatan zawsze jest ojcem niezgody, ojcem podziałów, a w tej wojnie zrobiono wszystko, żeby ludzi ustawić przeciw sobie, powaśnić, podzielić, żeby zabić, unicestwić jedność. Jeżeli ktoś – jak powiedziałem – to właśnie zakonne zgromadzenia muszą dać świadectwo, że jedność jest możliwa. Musi to być świadectwo nad wyraz mocne, czytelne, tym bardziej, że tak się nieszczęśliwie złożyło, że na razie tego świadectwa dać nie może duchowieństwo diecezjalne. Dlaczego dać nie może? Choćby dlatego, że dzisiaj duchowieństwo w Rwandzie przynależy do jednej grupy etnicznej, Tutsi. To prawda, że w krwawej masakrze zginęło ponad stu księży, i to przede wszystkim Tutsi. Ale przecież zostało ich jeszcze sporo, bo – jak pamiętamy – w Rwandzie wielu Tutsi wstępowało do seminarium. Ci, którzy się uratowali w kraju lub za granicą, teraz, kiedy Tutsi objęli władzę, mogli się ujawnić, mogli wrócić, mogli podjąć pracę. Tymczasem księża Hutu, widząc jak bezwzględnie poczynają sobie Inkotani, a pamiętając, że nie wahali się zamordować aż trzech biskupów Hutu, przed zbliżającymi się Inkotani uciekli za granicę, przede wszystkim do Zairu. Dzisiaj wracać nie mogą, bo skoro uciekli, skoro się bali spotkania z Inkotani, to znaczy, że nie mają czystego sumienia, to znaczy, że w masakrze Tutsi brali udział, że ją organizowali, wspierali, a co najmniej patrzyli z założonymi rękami jak Hutu mordują „niewinnych Tutsi”. Nie mogą wracać, bo wiedzą, że nie tylko „są oczekiwani”, że nie tylko zarzuty się przeciw nim wytacza, ale konkretne, „poparte faktami”. Wiedzą, co ich czeka, bo ci, którzy odważyli się wrócić, wnet znaleźli się w więzieniach, gdzie od miesięcy czekają na sprawiedliwość. To prawda, że pozostali w Rwandzie dwaj biskupi Hutu nie zostali uwięzieni, owszem, jeden został ustanowiony arcybiskupem. To jednak w niczym nie ubezpiecza księży uciekinierów. Nietykalność biskupów z Hutu, rozumując, jest potrzebna nowemu rządowi, aby mógł powiedzieć światu, że przecież jest wolność i sprawiedliwość w Rwandzie, że jak na czele państwa stoi prezydent Hutu, tak i na czele Kościoła stoi Hutu. – Boją się, nie mogą wracać. Nie może więc duchowieństwo diecezjalne dać świadectwa, że mimo wszystko można sobie przebaczyć, można sobie podać rękę i w zgodzie budować jedność. To jest jedna z bolesnych tragedii dzisiejszego Kościoła w Rwandzie.

Jan Paweł II w encyklice **Redemptoris missio** napisał: „Wreszcie, tak jak Chrystus, winien on [misjonarz] miłować Kościół: ‘Chrystus umiłował Kościół i wydał za niego Samego Siebie’⁸⁸. Miłość ta, posunięta aż do oddania życia, stanowi dla niego punkt odniesienia. Tylko głęboka miłość do Kościoła, może podtrzymać gorliwość misjonarza; jego codzienna udręka – jak pisze św. Paweł – wypływa ‘z troski o wszystkie Kościoły’⁸⁹. W życiu misjonarza, wierność wobec Chrystusa nie może być oddzielona od wierności wobec Kościoła”.⁹⁰

Właśnie „głęboka miłość do Kościoła”, miłość do tej jego cząstki, jaką jest Kościół w Burundi i w Rwandzie, podtrzymywała przez 25 lat gorliwość polskich misjonarzy,

⁸⁸ Ef. 5, 25

⁸⁹ 2 Kor. 11, 28

⁹⁰ RMs. 89

Karmelitów Bosych. Pośłani przez Kościół do Burundi i do Rwandy dla zakładania Kościoła, usiłowali temu Kościołowi służyć całym sercem.

Dzisiaj nadal pracują w Burundi i podejmują pracę w Rwandzie, wyczuwając, że właśnie teraz są szczególnie potrzebni temu Kościołowi, który zastał tak boleśnie i głęboko zraniony. Dzisiaj ten Kościół, a szczególnie jego umiłowana część, którą są zgromadzenia zakonne, musi podjąć trudne i odpowiedzialne zadanie. Zadaniem tym jest dawanie żywego świadectwa wiary w miłość, jaką Bóg ma ku nam, jest dawanie świadectwa, że wiara w miłość wspólnego Ojca może i dzisiaj zbratać ludzi w Burundi i w Rwandzie, owocując przebaczeniem i pojednaniem.

W dawaniu tego świadectwa pragną Karmelici Bosi, pomagać zgromadzeniom zakonnym i wszystkim wiernym, przeprowadzając ich przez zawile drogi na klęczkach, prowadząc ich przez dom rekolekcyjny w Butare do Chrystusa Zbawiciela i Jego Matki Maryi.

6...MY GŁOSIMY CHRYSZTUSA UKRZYŻOWANEGO."⁹¹

Wyjeżdżając na misje przed 25 laty, polscy Karmelici Bosi, przy pożegnaniu w Poznaniu 22 czerwca 1971 roku, otrzymali misyjne krzyże. Z krzyżem w ręku, a przede wszystkim z krzyżem w sercu, chcieli wejść na krzyżową drogę posługi misyjnej. Nie mieli wątpliwości, że misyjne posłanie wprowadzi ich na krzyżową drogę. Mieli przecież służyć dziełu zbawienia. Zbawienie zaś dokonało się na krzyżowej drodze, na krzyżu. Tak Chrystus zbawił świat i tak zbawiać powinien misjonarz, posłany przez Pana, tak, jak Jego posłał Ojciec.

Wyjeżdżając na misje do Burundi nieśli w sercu pragnienie ich siostry w Karmelu, św. Teresy od Dzieciątka Jezus, Patronki Misji Katolickich. W „Dziejach duszy”, zwracając się do Jezusa, napisała: „Ach! mimo mej maleńkości [...] odczuwam powołanie Apostoła... chciałabym przebiegać ziemię, głosić Twe imię i umieszczając w ziemi niewiernych Twój chwalebny Krzyż”⁹². Krzyż jest objawieniem zbawiającej miłości, miłości aż do końca⁹³. Tę miłość chcieli głosić. Nic zatem dziwnego, że już od pierwszych dni swej posługi misyjnej, usiłowali w Burundi zatknąć chwalebny krzyż Pana i głosić naukę krzyża, która wprawdzie głupstwem jest dla tych, co idą na zatracenie, ale przecież mocą Bożą dla nas, którzy dostępujemy zbawienia⁹⁴. Wnet mieli się przekonać, jak bardzo sami tej mocy Bożej, tej mądrości Krzyża będą potrzebować i jak bardzo potrzebować jej będą udręczeni ludzie w Burundi i w Rwandzie.

⁹¹ 1 Kor. 1, 23

⁹² Św. Teresa od Dzieciątka Jezus, Dzieje duszy, 9, 2

⁹³ por. J 15, 13

⁹⁴ 1 Kor. 1, 18

Pamiętam, że naszą pracę misyjną w parafii Mpinga rozpoczęliśmy od stawiania dużych, solidnych krzyży, wykonanych z drzewa eukaliptusowego. Zastaliśmy w Burundi chwalebny zwyczaj: w maju i w październiku wierni zbierali się codziennie w swoich osiedlach, by wspólnie odmawiać różaniec i śpiewać pieśni religijne. Miejsca tych spotkań były oznaczone obrazkiem lub małym krzyżykiem, najczęściej zawieszonym na drzewie. Pracę w parafii Mpinga objęliśmy w maju 1973 roku. Jakoś tak spontanicznie postanowiliśmy, że do października tegoż roku wszystkie miejsca różańcowej modlitwy oznaczmy dużymi krzyżami wkopanymi w ziemię. Akcją stawiania krzyży zajął się z wielką gorliwością przede wszystkim br. Sylwester Szypowski. Rozpoczął ją od postawienia dużego krzyża na wzgórzu w pobliżu kościoła i budynków misyjnych w Mpindze. Nie pamiętam dzisiaj, ile krzyży zdążył nasz brat postawić. W każdym razie na wielu miejscach naszej parafii stał chwalebny krzyż Pana. Stał, by rzucić blask nadziei ubogiej ziemi, tej ziemi świeżo zboczonyj krwią. Stał, by być mocą Bożą dla serc ludzi, którzy chodzili w mrokach śmierci, tej śmierci, która w ostatnim roku przeszła przez cały kraj, a która w Mpindze, właśnie w 1973, roku zbierała swój krwawy łup. O ile sobie przypominam, to właśnie bliskość śmierci i cierpienia przynagliła nas do stawiania krzyży. Chcieliśmy, żeby krzyż powiedział naszym udręczonym ludziom, że cierpienie i śmierć nie mają ostatniego słowa, bo miłość Ukrzyżowanego, miłość do końca, daje życie w chwale zmartwychwstania.

Po latach, Jan Paweł II napisze: „Tak jak cała ekonomia zbawienia skupia się na Chrystusie, podobnie cała działalność misyjna zmierza ku głoszeniu Jego tajemnicy. Przedmiotem przepowiadania jest Chrystus, który został ukrzyżowany, umarł i zmartwychwstał: w Nim dokonuje się pełne i autentyczne wyzwolenie od zła, od grzechu i od śmierci; w Nim Bóg daje ‘nowe życie’, boskie i wieczne. To właśnie jest ta Dobra Nowina, która przemienia człowieka i historię ludzkości, i którą wszystkie narody mają prawo poznać. Ta nauka powinna być głoszona w kontekście życia człowieka i narodów, które ją otrzymują”⁹⁵. Właśnie w Burundi i w Rwandzie „kontekst życia człowieka” domagał się pilnego głoszenia Chrystusa, „który został ukrzyżowany, umarł i zmartwychwstał”. Dlatego poprzez całe 25 lat pracy misyjnej usiłowaliśmy głosić Chrystusa Ukrzyżowanego i Zmartwychwstałego. I właśnie dlatego chcieliśmy mieć wszędzie wizerunek Ukrzyżowanego: w wioskach, kaplicach misyjnych, we własnej domowej kaplicy i w kościołach. Wszędzie, gdzie tylko mogliśmy, umieszczaliśmy krzyże: w Mpindze, w Musongati, w Rugango, w Butare...

Modlitewne trwanie pod krzyżem jest najpierw bardzo potrzebne samemu misjonarzowi. Aby bowiem mógł autentycznie głosić miłość Chrystusa, aby mógł się stać świadkiem tej miłości, musi misjonarz żyć w ścisłej więzi z Chrystusem, i to z Chrystusem Ukrzyżowanym. Musi się w misjonarzu utwierdzić wiara, której świadectwo dał Paweł Apostoł, gdy mówił: „... razem z Chrystusem zostałem przybity do krzyża. Teraz zaś już nie ja żyję, lecz żyje we mnie Chrystus. Choć nadal prowadzę życie w ciele, jednak obecne życie moje jest życiem wiary w Syna Bożego, który umiłował mnie i samego siebie wydał za mnie”⁹⁶. Paweł Apostoł w świetle wiary odczytał Chrystusową miłość, jako

⁹⁵ RMs 44

⁹⁶ Ga 2, 19-20

swoją osobistą sprawę: „umiłował mnie...” Paweł, który sam wiele wycierpiał, ogrom Chrystusowej miłości odczytał w blasku Krzyża, w blasku cierpienia i śmierci: „wydał samego siebie za mnie...” Odtąd ani na moment Paweł nie mógł o Chrystusowej miłości zapomnieć, żył w jej blasku. Miłości tej nie pojmował jako czegoś, co kiedyś zaistniało. Wprawdzie mówi w czasie przeszłym: „umiłował mnie i samego siebie wydał za mnie”, ale przecież od Damaszku wie, że Chrystus żyje, że Jego miłość nie umarła, że Jego miłość trwa, że dzisiaj, teraz, w każdym momencie obejmuje każdego człowieka. Chrystus, który „umiłował mnie i samego siebie wydał za mnie”, żyje i miłuje mnie teraz!

Odtąd Paweł Apostoł żyje oczarowany miłością Pana, żyje wkorzeniony i ugruntowany w miłości.⁹⁷ Całe jego życie duchowe jest odpowiedzią na miłość Chrystusa Pana. Równocześnie jest wiernym naśladowaniem miłości Pana. Paweł uwierzył wiarą pełną i żywą w tę zasadniczą prawdę: Syn Boży „umiłował mnie i samego siebie wydał za mnie”. Ta miłość przynagła go do postępowania śladami miłości Pana, do wydania siebie na wzór Chrystusowego wydania. Paweł nie oszczędzał siebie. Na wzór Chrystusa Ukrzyżowanego wydał samego siebie za braci, w miłości do końca. Spojrzenie z wiarą na krzyż i odczytanie do końca prawdy objawionej przez krzyż, zrodziło w Pawle zdumiewającą żarliwość apostołską. Ta żarliwość przynagła go do służenia wszystkim bez liczenia się z żadnymi trudnościami. Owszem, Paweł chlubi się swoimi trudnościami, bo właśnie one sprawiają, że czuje się apostołem Chrystusa bardziej od innych⁹⁸. Apostolskie życie Pawła upływało, jak sam mówi, „często w podróżach, w niebezpieczeństwach na rzekach, w niebezpieczeństwach od zbójców, w niebezpieczeństwach od własnego narodu, w niebezpieczeństwach od pogan, w niebezpieczeństwach na morzu, w niebezpieczeństwach od fałszywych braci; w pracy i umęczeniu, często na czuwaniu, w głodzie i pragnieniu, w licznych postach, w zimnie i nagości, nie mówiąc już o [...] codziennej udręce płynącej z troski o wszystkie Kościoły”⁹⁹.

Radował się Paweł Apostoł swoimi trudami zapewne także dlatego, że jego własne trudy pozwalały mu coraz to głębiej odgadywać ogrom miłości Pana, który dla niego „uniżył samego siebie”¹⁰⁰ i „zamiast radości, którą Mu obiecano, precierpiał krzyż, nie bacząc na [jego] hańbę...”.¹⁰¹ Tak to właśnie jest. Nasz trud pozwala nam głębiej wnikać w ten trud, który Ktoś podjął z miłości ku nam, pozwala nam zatem głębiej się radować Miłością, która dla nas się bardzo trudziła. A ponieważ za miłość płaci się miłością, gotowi jesteśmy dla Osoby miłującej nas podejmować coraz to nowe trudy. One z kolei jeszcze głębiej wprowadzają nas w misterium miłości. Pamiętam, że kiedyś w Burundi, prosty i starszy już człowiek tak jakoś tę współzależność trudu i głębszego rozumienia miłości wyraził: „Pewna rodzina przychodziła na niedzielną Mszę św. do parafialnego kościoła w Mpindze. Przychodziła zawsze, kiedy na ich stacji misyjnej nie było Mszy św. A bywała tam Msza św.

⁹⁷ por. Ef. 3, 17

⁹⁸ por. 2 Kor. 11, 18 -33

⁹⁹ j. w. 11, 26 - 28

¹⁰⁰ Flp. 2, 8

¹⁰¹ Hbr. 12, 2

zaledwie sześć razy do roku. Aby przyjść do kościoła parafialnego, musieli całą godzinę wędrować doliną, a później wspinać się dwie godziny stromym zboczem góry. Przychodzili wiernie, niezależnie od słonecznej spiekoty lub uciążliwej ulewy. Podziwiałem ich gorliwość. Pewnego razu ośmieliłem się zapytać: ‘Czy to nie za trudne dla was, zwłaszcza dla dzieci?’ Ojciec rodziny odpowiedział: ‘A czy Jezusowi Chrystusowi nie było trudno? On się aż krwią spocił, a przecież na krzyżową drogę, na krzyżową śmierci dla naszego zbawienia poszedł. Czy nie powinniśmy takiej miłości uszanować, uczcić także przez podjęcie trudu. Pocimy się, to prawda, ale przecież nie krwią! Równocześnie nasz trud pozwala nam głębiej wniknąć w trud Jego miłości. Właśnie to coraz głębsze rozumienie Jego miłości jest naszą radością na cały tydzień, jest bogactwem, które przynosimy ze Mszy św., jest bogactwem, dla którego warto się potrudzić. Nic nie potrafi zastąpić tej radości i tego bogactwa, które daje świadomość, że aż tak zostaliśmy umiłowani przez Boga. Czy to dziwne, Ojcze, że jesteśmy gotowi potrudzić się nieco, aby tej miłości doświadczyć na nowo?’”¹⁰²

Jeżeli misjonarz będzie często i z wiarą wpatrywał się w chwalebny krzyż Pana, jego gorliwość w podejmowaniu trudów apostołskiego posługiwania będzie stale wzrastać, tak jak to było w życiu Apostoła Narodów. Ale misjonarz powinien postawić krzyż nie tylko przed swymi oczami, ale przede wszystkim w swoim sercu. Dopiero wtedy, wierząc w miłość Pana, który „umiłował mnie i samego siebie wydał za mnie”, sam będzie na wzór Pana wydany w radosnej, choć trudnej, służbie miłości. Dlatego właśnie samemu misjonarzowi potrzebny jest krzyż.

Wyczuwaliśmy jednak, że krzyż jest także bardzo potrzebny naszym wiernym. Dlatego, jak wspominałem, stawialiśmy krzyże. Ale nie tylko. Równocześnie staraliśmy się wykorzystać każdą okazję, by wiernym dać krzyż, aby umieścili go we własnym domu. Pamiętam, że taką wielką okazją był jubileuszowy Rok Święty, rocznica naszego Odkupienia: 1975. Liczne rodziny w naszych parafiach w Mpindze i w Musongati otrzymały w tym roku krzyże.

Ten jubileuszowy Rok Odkupienia postanowiliśmy upamiętnić krzyżem w Musongati. Oto jak dzieje tego krzyża opisuje o. Józef Trybała:

„Ustaliliśmy, że postawimy na pobliskim wzgórzu krzyż, aby był widoczny z daleka. Brat Marceli Szlósarczyk przez wiele dni pracował w swoim warsztacie przy konstrukcji krzyża. Trzeba było wymierzyć i pociąć rury, pospawać i pomalować. Kiedy wszystko było gotowe, 30 ludzi zaniósł krzyż na wzgórze, gdzie został postawiony i zabetonowany. Za tydzień przyjechał ks. bp Joachim Ruhuna¹⁰³ z naszej diecezji Ruyigi razem z ks. bpem Alojzym Bigirumwami przybyłym z Rwandy.

Uroczystość poświęcenia krzyża była piękna. Krzyż był widoczny z daleka. Jego wysokość wynosiła 11 m. Do wnętrza krzyża włożyliśmy butelkę z dokumentem erekcyjnym.

Tymczasem zaczęły się akty represji wobec Kościoła, sterowane odgórnie. I oto pewnego dnia przez naszą parafię w Musongati przejeżdżał samochodem sam prezydent Bagaza. Z daleka już zobaczył krzyż. Dał polecenie wójtowi, aby usunął ten krzyż. Najpierw sam sołtys napisał do proboszcza urzędowy list, w którym zażądał, abyśmy usunęli ten krzyż.

¹⁰² To czyńcie na moją pamiątkę, s.25-26

¹⁰³ Został okrutnie zamordowany 9 września 1996r. (przyp. red.)

Oczywiście odpowiedź była jednoznaczna. Po prostu 'nie'. Nie upłynęło kilka dni, kiedy zobaczyliśmy grupę ludzi wysłanych przez sołtysa, którzy wykopali krzyż i złożyli go na ziemi.

Tu trzeba przypomnieć, że w radiu były już komentarze i wypowiedzi ministra spraw wewnętrznych na temat szkodliwości i nieżyteczności krzyża. Zostało wydane zarządzenie, aby wszystkie krzyże, będące z dala od kościoła, zostały przeniesione do kościoła lub umieszczone w jego pobliżu. W najbliższą niedzielę, przed Mszą św. o godz. 8.30, wszyscy razem z wiernymi idziemy po krzyże. Procesjonalnie ze śpiewem o krzyżu niesiemy go i kładziemy obok kościoła. Krzyż został pięknie ubrany kwiatami. Krzyż w pozycji leżącej na ziemi, sam robi wrażenie i 'mówi' sam za siebie.

Oczywiście, to drażniło odpowiedzialnych za gminę, gdyż przeciwnie, parafianie tym bardziej przychodzili do kościoła i manifestowali swą wiarę i przywiązanie do krzyża.

Po kilku dniach znowu otrzymuję pismo z gminy, w którym jest zarządzenie, aby usunąć sprzed kościoła krzyż, gdyż w przeciwnym razie zostanie wyrzucony do pobliskiego jaru.

Wiedząc, że wszystko jest możliwe, przenieśliśmy krzyż do ogrodu Sióstr Karmelitanek Dzieciątka Jezus. Tam ułożyliśmy go w kwiatkach i przy różnych okazjach modliliśmy się razem, np. odmawiając w maju różaniec. W międzyczasie 'nagonka' na krzyże nieco zmaląła. W innych parafiach wiele krzyży usuniętych z cmentarza złożono w kościele obok ołtarza.

Nie czekając dłużej, poszedłem do sołtysa, mówię mu, że krzyż nie może zmieścić się w kościele, więc postawimy go tuż obok kościoła. On mi na to nic nie odpowiedział... Myślałem, że już jest dobrze.

Po odnowieniu krzyża, po pomalowaniu go na nowo, postawiliśmy krzyż tuż obok kościoła, dwa metry od ściany kościoła. Myśleliśmy, że tym razem nie odważą się ruszyć krzyża postawionego tak blisko kościoła. Tymczasem...

Była sobota. Mam grupę młodzieży i starszych, których przygotowuję do bierzmowania. W chwili kiedy prowadzę katechezę, słyszę jakieś stuki koło kościoła. Wychodzę i widzę czterech mężczyzn z motykami jak wykopują krzyż. Obok stoi podekscytowany sołtys i zmusza ich do pracy. Zaraz schodzimy się razem, siostry karmelitanek i ja, stajemy tuż obok, odmawiamy różaniec. Widzimy, że nasz sołtys, zawsze grzeczny i życzliwy, jest w zupełnie innym nastawieniu. Nie może znieść 'świadków'. Przychodzi mały chłopiec i zatrzymuje się, aby zobaczyć, co się dzieje. Wtedy sołtys w swoim szale uderza chłopca w twarz i rozkazuje mu szybko oddalić się. Wszyscy katechumeni są w kościele i modlą się. Po dłuższej pracy krzyż wykopany leży na ziemi koło kościoła.

W niedzielę, jak zwykle wierni przychodzą do kościoła. Leżący krzyż i duży wykopany dół robi na nich wrażenie. Wszyscy wiedzą, kto to zrobił i co to znaczy. Była to najlepsza katecheza na temat krzyża, jego znaczenia oraz było to przypomnieniem, że Chrystus i Jego krzyż jest znakiem sprzeciwu dla tych, którzy nie wierzą.

Upłynęły dni i krzyż sam dawał świadectwo o sobie. Po pewnym czasie ci, którzy mocno walczyli z krzyżem, zmęczeni się. Zmienił się kierunek ataku na Kościół. Wychodziły nowe zarządzenia, które zabraniały odprawiania Mszy św. dla wiernych w tygodniu. Tutaj należałoby napisać jeszcze wiele stron na temat walki o Msze św.

Kiedy wyczuliśmy, że 'nagonka' na krzyże osłabła, na nowo poszedłem do sołtysa i mówię mu, że trzeba postawić krzyż, bo tak leżeć nie może. Normalna pozycja krzyża jest stojąca, a nie leżąca. Tym razem zgodził się bez trudu. Naciski z góry w tym kierunku już zelżały. Zbliżało się święto Podwyższenia Krzyża, 14 września 1984 r. W przeddzień święta krzyż na nowo, już po raz trzeci, stanął obok kościoła i trwa do dzisiaj.

Tymczasem opuściliśmy misję w Musongati, i kiedy prezydent Bagaza został usunięty od władzy, polscy misjonarze karmelici znowu są w Musongati, pracując przy boku krzyża, który wiele przeżył i widział w swej krótkiej historii."

Do tej „opowieści” o. Józefa Trybały pragnę dorzucić wzruszający fakt, zaobserwowany przez siostry Karmelitanki Dzieciątka Jezus: kiedy krzyż leżał złożony na ziemi w ich ogrodzie i kiedy później leżał obok kościoła, codziennie dzieci szkolne i dzieci z katechumenatu, idąc do szkoły przynosiły kwiaty, by nimi przyozdobić znieważony krzyż. Często też widać było przy krzyżu modlących się ludzi.

Dorzucić też pragnę wyjaśnienie, skąd wzięła się wspomniana przez o. Józefa „nagonka” na krzyże. Mówiono – ile w tym prawdy, nie zdołam sprawdzić – że prezydent Bagaza w czasie swoich studiów w Europie związał się w Belgii czy we Francji z jakąś grupą masonerii. Gdy odwiedzili go w Burundi koledzy z Europy, chciał im pokazać osobiście kraj i chciał pokazać miejsce, gdzie odkryto złoża niklu. Goście, podziwiając piękno krajobrazów, wyrazili zdziwienie, że „jego kraj” tak gęsto jest usiany krzyżami. Zawstydził się Bagaza. Wstyd jego dosięgnął szczytu, gdy na wzgórzu w Musongati ukazał się potężny, górujący nad całą okolicą krzyż. Postanowił oczyścić kraj z krzyży. Wiele krzyży musiało zniknąć. Usunięto przede wszystkim te widoczne z główniejszych dróg kraju.

Ale, jak pisze o. Józef, „znowu polscy misjonarze karmelici są w Musongati, pracują u boku krzyża”. Są także w Rwandzie, głosząc Chrystusa Ukrzyżowanego, bo właśnie dzisiaj i Burundi, i Rwanda potrzebują tej mocy Bożej i tej mądrości miłości, która płynie z krzyża. Jakże inaczej te biedne i zadręczone kraje potrafią zagoić swe rany i wyjść z cienia śmierci, by w radosnej nadziei podjąć drogę przez pustynię ku Królestwu Miłości? Zaiste, jak kiedyś lud prowadzony przez Mojżesza do Ziemi Obiecanej, lud dotknięty na pustyni śmiertelnym jadem, potrzebował znaku wywyższonego na wysokim palu węża, tak dzisiaj lud Burundi i Rwandy potrzebuje Tego, którego wąż miedziany zapowiadał, potrzebuje Chrystusa Ukrzyżowanego.

Księga Liczb opowiada: „Zesłał więc Pan na lud węże o jądzie palącym, które kąsały ludzi, tak, że wielka liczba Izraelitów zmarła. Przyszli więc ludzie do Mojżesza mówiąc: ‘Zgrzeszyliśmy, szemrząc przeciw Panu i przeciwko tobie. Wstaw się za nami do Pana, aby oddalił od nas węże’. I wstawił się Mojżesz za ludem. Wtedy rzekł Pan do Mojżesza: ‘Sporządź węża i umieść go na wysokim palu; wtedy każdy ukąszony, jeśli tylko spojrzy na niego, zostanie przy życiu’. Sporządził więc Mojżesz węża miedzianego i umieścił na wysokim palu. I rzeczywiście, jeśli kogo wąż ukąsił, a ukąszony spojrzał na węża miedzianego, zostawał przy życiu”.¹⁰⁴

Nawiązując do tamtego wydarzenia Jezus mówił: „A jak Mojżesz wywyższył węża na pustyni, tak potrzeba, by wywyższono Syna Człowieczego, aby każdy, kto w Niego wierzy,

miał życie wieczne. Tak bowiem Bóg umiłował świat, że Syna swego Jednorodzonego dał, aby każdy, kto w Niego wierzy, nie zginął, ale miał życie wieczne”.¹⁰⁵

Potrzeba, bardzo potrzeba, aby wywyższono Syna Człowieczego na tej pustyni, którą tak często stawały się Rwanda i Burundi. Krótka jest historia tych dwu krajów, a przecież obydwie wiele już razy zdążyły stać się pustynią, gęsto usianą trupami, i wiele razy wąż nienawiści i pychy kąsał śmiertelnie ludzi i nasycił jadem ich ciągle jęczące się, niezagojone rany.

Burundi.

To kraj, którego historia jest bolesną i tragiczną wędrówką przez pustynię śmierci, nienawiści, niepokoju, nędzy i głodu. Przypomnijmy sobie chociaż niektóre stacje tej bolesnej i krzyżowej drogi.

1 lipca 1962 roku Burundi staje się krajem niepodległym. Wnet, bo już w styczniu 1963 roku, rozstrzelano wielu liderów Partii Demokracji Chrześcijańskiej. Wtedy też zaczęły się wciąż narastające objawy wzajemnej nietolerancji pomiędzy Tutsi i Hutu. W roku 1965 zamordowano wszystkich senatorów i deputowanych z Hutu. Przy okazji zmasakrowano około 5 000 osób. 28 listopada 1966 roku kapitan Micombero ogłosił się szefem rządu opartego na wojsku i na jedynej odłąd partii UPRONA. W roku 1969 zabito oficerów wojskowych pochodzących z Hutu. W latach 1972-73 zlikwidowano tych spośród Hutu, którzy posiadają wykształcenie, a nawet tych, którzy umieją czytać i pisać. Zginęło około 300 000 Hutu, zaś około 400 000 uciekło za granice kraju. Kraj pogrążył się w mroku i cieniu śmierci.¹⁰⁶ Rany, zadane wówczas krajowi, długo nie mogły się zabliznić, tym bardziej, że wciąż jęczono je jadem nienawiści. Następną większą „czystkę” wśród ludności Hutu przeprowadzono w północno-wschodniej części kraju w roku 1988. Zginęło wówczas około 55 000 ludzi, a 45 000 uciekło za granicę. Wreszcie październik 1993 roku: zabito prezydenta Melchiora Ndadaye z partii Hutu, która w czerwcu tegoż roku wygrała wybory. Nastąpiły w całym kraju krwawe starcia pomiędzy Tutsi i Hutu. Mówi się, że do końca grudnia 1993 roku zginęło w Burundi około 100 000 osób, zaś około 150 000 Tutsi schroniło się do strzeżonych przez wojsko obozów na terenie całego kraju. Równocześnie około 800 000 Hutu uciekło do Rwandy, Tanzanii i Zairu.

Mimo, że później zdołano utworzyć rząd, to przecież pełny pokój do kraju nie wrócił. Wśród zgliszczy spalonych domów, pośród ciemnych nocy wciąż giną ludzie i wciąż z niepokojem czekają co przyniesie jutro, a serca ich zatruwa wciąż na nowo wsączany w nie jad niezgody, pretensji, wzajemnych oskarżeń, nienawiści.

Potrzeba, bardzo potrzeba, aby na tej pustyni, po której rozrzuca się wciąż nowe trupy, wywyższono Syna Człowieczego!

Rwanda.

¹⁰⁵ J. 3, 14 - 16

¹⁰⁶ por. 1, 79

Cień śmierci kładł się często na krzyżowej drodze Rwandy, a wężowy jad zatrzał serca jej mieszkańców. Bolesne są stacje tej krzyżowej drogi. Rwanda uzyskuje niepodległość w 1962 roku. Fakt ten związany jest na przestrzeni lat 1959-63 z ucieczką do Zairu, Ugandy i Burundi około 200 000 Tutsi. Wnet, bo już w grudniu 1963 roku, uciekinierzy Tutsi atakują granice swej ojczyzny. Owocem tego ataku jest wciąż narastające napięcie pomiędzy dwiema grupami etnicznymi. Napięcie to sprawia, że w następnych latach, od czasu do czasu, kraj pokrywa się trupami. W roku 1973 Juvenal Habyarimana dokonuje zamachu stanu przy pomocy wojska. Mnożą się fakty prześladowania Tutsi i opozycji. W latach 1988-89 rząd czuje się zagrożony, rośnie bowiem korupcja, a opozycja podnosi głowę. Rząd rozprawia się z nią, wypełniając więzienia. Widoczna jest pewna twardość rządów przy równoczesnym rozprężeniu. Przychodzi w końcu rok 1990, początek prawdziwej Kalwarii dla Rwandy. Rwandyjski Front Patriotyczny, który powstał w roku ubiegłym wśród uciekinierów Tutsi, 1 października atakuje Rwandę od strony Ugandy. Atak odparto, ale północne tereny kraju pokryły się trupami. W odpowiedzi na atak, aresztowano w kraju około 10 000 Tutsi i liderów opozycji wśród Hutu. W styczniu 1991 roku Rwandyjski Front Patriotyczny znów atakuje Rwandę. Tym razem wąski pas kraju na granicy z Ugandą pozostaje w jego rękach. Znów poląła się krew, ginie wielu ludzi, inni uciekają z północy w głąb kraju. Obozy dla przesiedleńców rosną, jak grzyby po deszczu. W następnym roku uchodźcy liczą już około 990 000 osób. Równocześnie jad nienawiści skierowany przeciw Tutsi przeżera serca ekstremistów Hutu. W marcu 1992 roku napadają oni i mordują Tutsi w Bugesera, zaś w grudniu tegoż roku w regionie Gisenyi. W lutym 1993 roku Rwandyjski Front Patriotyczny na nowo atakuje Rwandę, co powoduje dalszą ucieczkę ludności w głąb kraju. Ginie wielu niewinnych. W kraju mnożą się różne zamachy, szczególnie na liderów partii, a także liczne napady, kradzieże. Wreszcie nadchodzi straszliwy rok 1994. Od kwietnia do lipca toczy się zażarta walka na życie i śmierć. „Zesłał Pan na lud węże o jadzie palącym, które kąsały ludzi, także wielka liczba Izraelitów zmarła” – pisał autor Księgi Liczb. Wielka liczba Rwandyjczyków, Tutsi i Hutu zmarła! Mówi się o milionie ciał ludzkich rozrzuconych po wzgórzach, wrzuconych do rzek lub jezior. Równocześnie prawie 2 miliony Rwandyjczyków uszło do Zairu, Tanzanii, Burundi.

Zaiste, to właśnie w Rwandzie „potrzeba, by wywyższono Syna Człowieczego”. Trzeba, aby ukąszeni przez węże mogli spojrzeć na wywyższonego na krzyżu Chrystusa. Któż inny może zniweczyć szatański jad nienawiści, niepokoju, jad pychy? Któż inny potrafi uleczyć wciąż krwawiące rany? Rany są bardzo głębokie, bardzo bolesne i – po ludzku mówiąc – nie do uleczenia. Spójrzmy chociaż na niektóre z nich, patrząc na to, co stało się w Rwandzie.

Według obliczeń, przeprowadzonych przez różne instytucje w ramach działalności Organizacji Narodów Zjednoczonych, skutki wojny były straszliwe:

W latach 1990-1993 z przyczyn wojny, pośrednich lub bezpośrednich, zginęło 100 000 – 300 000 ludzi. W roku 1994 zginęło ich 500 000 – 900 000. Przesiedliło się wewnątrz kraju ze względu na wojnę w 1994 roku 1 300 000 – 1 700 000 ludzi.

Uciekinierów do Zairu, Burundi i Tanzanii w 1994 roku oblicza się na 1 500 000 – 2 400 000.

Samych sierot i młodocianych osieroconych, nie objętych opieką jest po 1994 roku 100 000 – 150 000.

Ci, którzy patrzyli z bliska na wojnę w Rwandzie w 1994 roku i którzy dzisiaj usiłują ocenić jej żniwo, zapewniają, że wojna ta przyniosła ogromne straty, nie tyle jednak materialne, ile duchowe. To prawda, że spalono wiele domów w wioskach, że zniszczono dobytek. To prawda, że później Inkotani, bez uzasadnionych przyczyn strategicznych wojny – jak sądzą Europejczycy, wysadzili w powietrze elektrownię w Ntaruce i liczne domy w miastach i miasteczkach, ale przecież rany zadane ludzkim sercom były i są daleko większe, groźniejsze. Odbudować ruiny domów nie jest ostatecznie tak trudno, jak trudno jest odbudować ruiny wartości społecznych, ruiny serc. Bardzo trudno jest leczyć rany serc, tym bardziej, że leczyć je trzeba w klimacie temu leczeniu wcale nie sprzyjającym. Nie jest przecież żadną tajemnicą, że w Rwandzie ginie dzień w dzień wielu ludzi. Trzeba przecież – jak się mówi – oczyścić kraj ze zbrodniczych elementów, zamieszanych w ludobójstwo. Rany serc ludzkich wciąż się pogłębiają, wciąż krwawią.

Bolesna rana serc dzieci-sierot.

W Rwandzie dużo było osieroconych dzieci. Liczba ich rosła przy każdym krwawym starciu pomiędzy Tutsi a Hutu, a mówiąc ściśle – powtórzmy to jeszcze raz – przy każdym starciu pomiędzy walczącymi o władzę, którzy do tej walki wykorzystywali odmiennosc etniczną Tutsi i Hutu. Rosła też liczba sierot ze względu na żniwo śmierci, jakie zbierała w Rwandzie szerząca się w zastraszający sposób choroba AIDS. Ci, którzy zajmowali się sierotami obawiali się, że do 2000 roku będzie ich w Rwandzie około 20 000.

Dzisiaj, po roku 1994, jest ich około 100 000.

Powiedział ktoś, że najsmutniejszy na świecie bywa los sieroty. Ale w Rwandzie los sierot jest bez porównania smutniejszy, jest smutniejszy od śmierci. Nie są to przecież zwyczajne sieroty.

Tak się złożyło, że zaraz po wojnie 1994 roku mieliśmy w Butare bliskie kontakty z sierocińcem, mieszczącym się w szkole w Karubandzie. Przebywało w nim około 600 sierot. Często opiekunowie przyprawiali sieroty do naszego ogrodu. Często także sam odwiedzałem sierociniec. Do końca życia nie zapomnę tych smutnych, szeroko otwartych, przerażonych oczu, które na mnie spoglądały. To były oczy małych albo nawet maleńkich chłopców i dziewczynek, oczy, które widziały grozę śmierci z bliska, i to w nieludzkiej często scenerii. Śmierć ta zabierała ojca, matkę, braci, siostry, krewnych zabijanych i ciętych na kawałki. Były wśród tych sierot dzieci, które wciąż jeszcze nosiły bandaż. To one opowiadały:

„Przyszły szwadrony śmierci. Wpadli do domu. Zaraz zabili i porąbali na kawałki tatusia i mamusię. Potem rzucili się na nas, zabili dwóch braci i dwie siostry. Mnie uderzyli w ramię. Upadłem pomiędzy braci i siostry, którzy już nie żyli. Pewnie myśleli, że mnie zabili, bo wyszli. Podpalili dom i odeszli. Wtedy uciekłem i ukryłem się w pobliskim manioku”.

Inne sieroty, które mają do opowiedzenia jeszcze straszniejsze widoki, to te, które uratowały się z jakiegoś katechumenatu lub kościoła, w którym zamordowano kilkadziesiąt albo i więcej ukrywających się. Chociaż rzucono granaty, chociaż rąbano potem bez pardonu każdego, kto żył, uratowały się, bo szczęśliwym trafem pokryły je ciała zabitych. Te widoki noszą w smutnych oczach, noszą w sercu, na których pozostawiły trwały ślad. Siostry zakonne, które chodziły na noc do Karubandy, by czuwać nad sierotami, opowiadały, że

właśnie noce bywają najgorsze. Nie pomaga jasne oświetlenie sypialni. Często dzieci śnią jakieś makabryczne sceny, krzyczą przez sen. Wystarcza taki, nawet całkiem cichy krzyk, a już cała sypialnia zrywa się i rzuca do ucieczki. Długo nie można tych wystraszonych dzieci uspokoić. Nie tylko w nocy boją się sieroty. Także w ciągu dnia podszyte są ogromnym strachem. Pamiętam, kiedyś w niedzielę, w czasie naszego obiadu dwoje małych dzieci wpadło do kuchni. Ukryły się pod stołem. Nie chciały stamtąd wyjść. Nie można ich było uspokoić. Powtarzały z przejęciem: Zabili wszystkie dzieci! Naprawdę zabili! Wszystkie! – Okazało się, że mała grupa dzieci z Karubandy była dzisiaj w naszym ogrodzie. Siedziały odwrócone tyłem do naszego domu rekolekcyjnego. Rysowały lub pisały słowa dyktowane przez ich opiekunkę. Nagle poderwały się wszystkie, rozbiegły w wielkim popłochu i pokryły się wśród zarośli. Opiekunka długo nie mogła ich odnaleźć i zebrać. Dwoje z nich – jak wspomniałem – wpadło do naszej kuchni. Co się stało? Czego się tak śmiertelnie przerażyły? Dom rekolekcyjny przykryty jest blachą. Dwa kruki usiadły na dachu, bijąc się o przyniesioną kość. To łoskot, którego narobiły, poderwał wystraszone sieroty do ucieczki, zanim opiekunka spostrzegła, co się dzieje. Rana strachu długo będzie krwawiła w sercach doświadczanych i skrzywdzonych przez wojnę dzieci. Jest jednak nadzieja, że rana ta, wcześniej czy później, zablizni się i zagoi.

Daleko trudniejszą do uleczenia będzie inna, groźniejsza rana, która jątrzy się w sercach sierot. Nasza dobra znajoma, Agnes M., pielęgniarka pracująca w sierocińcu, opowiadała mi kiedyś z przejęciem: „Staramy się starszym sierotkom dać pod opiekę młodsze. Chcemy, aby mały Tutsi opiekował się młodszym Hutu, i odwrotnie Hutu dostaje pod opiekę Tutsi. Spodziewamy się, że w ten sposób uleczy się w sercach dzieci wyczuwane napięcie pomiędzy jedną, a drugą grupą etniczną, że nauczą się współżyć w spokoju, że wyzwoli się w nich opiekuńczość. Niestety, to napięcie, niemal wrogość, bywa wielkie. Na przykład: widzę, że maleńki Hutu upadł w błoto. Upominam jego „opiekuna” Tutsi, by pomógł mu powstać, a ten pięcioletni malec odpowiada mi hardo: ‘Niech gnije w błocie! Przecież to szwadrony śmierci!’ to bolesne, przerażające!”

Albo inny przykład opowiedziany przez tę sama pielęgniarkę: „Udało się odnaleźć bliższą lub dalszą rodzinę niektórych sierot. Zmniejszyła się zatem liczba naszych prawie o 100 dzieci. Kiedy postanowiono zlikwidować sierociniec w Gikongoro, zdecydowano, że my w Karubandzie przyjmujemy jakieś 60 sierot. Przygotowaliśmy się na ich przyjęcie i staraliśmy się przygotować nasze dzieci. Niestety, spostrzegliśmy ze zgrozą, że nasze sieroty gotują się na to przyjęcie inaczej. My ich nie chcemy! – wołają. – To są szwadrony śmierci!”

Jeżeli takie nastawienie, taka zawziętość, taka nietolerancja, panuje w sercach dzieci, które pod opieką organizacji międzynarodowych, przy pomocy sióstr zakonnych i rozumiejącego problem personelu, usiłuje się wychować do wzajemnego współżycia, to jakież jad zawziętości i nietolerancji musi zatruwać serca sierot, którymi nikt się nie opiekuje? A jest ich bardzo dużo. Już przed wojną na ulicach miast żyło niemało tzw. „dzieci ulicy”. Pamiętam, że w Butare starali się zająć nimi Bracia Nauczania Chrześcijańskiego. Od czasu do czasu przyprowadzali grupy tych „dzieci ulicy” do naszego domu rekolekcyjnego. Teraz ich liczba wzrosła niepomniernie i nie mają żadnej opieki. A cóż powiedzieć o sierotach, które znalazły się w obozach dla uchodźców albo w tych obozach stały się sierotami? Tam jad nienawiści jest stale podsycany ciągłym rozpamiętywaniem i omawianiem krzywd, jakich Hutu doznali ze strony Tutsi, a Tutsi ze strony Hutu. Jeżeli ludzie starsi, ludzie jakoś już

oswojeni z nędzą, z krwią i śmiercią, na widok tego, co działo się w obozach dla uchodźców w okolicach Bukawu czy Gomy, wołali: Piekło! Przerazające piekło! Piekło nie do zniesienia! – to jakże głęboko piekło to musi zapadać w serca dzieci! Bywały obozy, w których w okresie epidemii cholery i czerwonki zmarło w ciągu tygodni 50 000 osób. Nie było jak i gdzie ich grzebać. Czyż można było to piekło ukryć przed dziećmi? Przecież to ich rodzice, rodzeństwo, krewni tak umierali. Przecież to ich serca raniła ta okrutna śmierć. To tam dzieci stawały się sierotami! Chociaż jest nadzieje, że kiedyś ich los się odmieni, to przecież pójdą w życie z wrytymi głęboko w sercu obrazami piekła, pod którymi trudno będzie wymazać jawiący się napis: „To oni, to Tutsi, to Hutu, taki los nam zgotowali!” I będzie to rana nigdy nie uleczona do końca, rana jątrząca się, rana, w której tkwić będzie boleśnie urażający zادیior. Już dzisiaj przecież wiadomo, że życie wielu z tych sierot nie ułoży się szczęśliwie. Jeżeli wszędzie na świecie trudno żyć sierocie, to tym trudniej w Rwandzie. Tu przecież człowiek młody, a nawet już dojrzały, bardzo jest uzależniony od rodziny. Nie tylko sam ma względem rodziny obowiązki, ale też rodzina jest obowiązana otoczyć go opieką, nieść pomoc, zwłaszcza w trudnych momentach życia. Bez tej opieki, bez tej pomocy rodziny trudno żyć. Trudnych momentów w ich życiu nie braknie. Jakież bowiem może być los tych licznych sierot, jak ich przyszłość? Może niektórzy z chłopców zasilą armię, gdy osiągną wiek 15 czy 16 lat. Chłopców w tak młodym wieku bierze się dzisiaj do wojska. A inni? Jeszcze trudniejszy los czeka dziewczynki. Zapewne, niektóre z nich wyjdą za mąż. Inne, liczniejsze, będą żyć u dalekich krewnych lub znajomych „na łasce”, jako służące, niemal jako niewolnice. Niejeden raz gorzko zapłaczą nad swoim losem. Czy wówczas, poprzez łzy, nie będzie się jawić w sercu jadem pisane rozżalenie: „To oni, Tutsi, Hutu, taki los mi zgotowali!”

Nie chcę już dłużej przypatrywać się tej bolesnej i krwawiącej ranie, jaką jest w Rwandzie i w Burundi sieroctwo licznych dzieci, bo i moje serce krwawi.

„Potrzeba, by wywyższono Syna Człowieczego”, potrzeba, aby krzyż Chrystusowy objął ramionami te wszystkie sierocińce, te wszystkie miejsca, w których dziś żyją sieroty i te, w których borykać się będą z ciężkim losem sieroty Rwandy i Burundi. Krzyż może im podpowiedzieć słowa Piotra Apostoła, który mówi: „Chrystus przecież również cierpiał za nas i zostawił wam wzór, abyście szli za Nim Jego śladami. On grzechu nie popełnił, a w Jego ustach nie było podstęp. On, gdy Mu złorzeczono, nie złorzeczył, gdy cierpiał, nie groził, ale oddawał się Temu, który sądzi sprawiedliwie. On sam, w swoim ciełe poniósł nasze grzechy na drzewo, abyśmy przestali być uczestnikami grzechów, a żyli dla sprawiedliwości – Krwią Jego zostaliście uzdrowieni.”¹⁰⁷

Tak, krew spływająca z Chrystusowych ran może uzdrowić krwawiące serce sieroty. Spotkanie z Ukrzyżowanym może natchnąć sierotę do pójścia Jego śladami, do cierpienia nie tylko bez złorzeczenia, ale do cierpienia, które chce z Chrystusem zbawić to, co wśród Hutu i wśród Tutsi potrzebuje zbawienia.

Pamiętam, jak niedługo po naszym powrocie do Butare, w sierpniu 1994 roku, zjawiała się w naszej kaplicy pewna studentka, Krystyna. Przychodziła tu przed wojną na dni skupienia, ale jej nie poznałem. Przyszła dzisiaj, by podziękować Bogu za ocalenie życia i za

łaskę, którą otrzymała. Opowiadała: „Gdy ‘wszystko’ zaczęło się w Butare, nie miałam gdzie uciekać, nie miałam gdzie się schować. Poszłam do kaplicy przy Ekonomacie Diecezjalnym. Klęczałam blisko tabernakulum. Czekałam na śmierć. Chciałam umrzeć w obecności Chrystusa. Wpadła zgraja zbirów. Szybko przeszukali wszystkie zakamarki, wreszcie wołają: ‘Jest tu kto?’ Nie odwracając się, odpowiadam głośno, zdecydowanie: ‘Nie, nie ma nikogo!’ Wybiegli. Klęczałam. Jeszcze dwa razy w ciągu dnia wpadli do kaplicy. Wszystko się powtarzało. Za każdym razem, nie odwracając się odpowiadałam: ‘Tu nie ma nikogo!’ Odchodzili bez sprawdzenia, kim jestem. Widocznie brali mnie za jedną z Hutu. Wieczorem, gdy nieco się uspokoiło, jeden z kolegów pomógł mi ukryć się pod deskami w ogrodzie sióstr zakonnych. Przez dwa dni nie ośmielałam się ruszyć z miejsca. Były to dni łaski. Modliłam się. Miałam przy sobie różaniec. Kiedy moje oczy padły na krzyż przy różańcu, przypomniałam sobie pokutę, którą mi kiedyś Ojciec nałożył. Nie wiem, czy Ojciec pamięta? Była taka: Patrząc na krzyż, powtarzać słowa św. Pawła: ‘Boży Syn umiłował mnie, i samego siebie za mnie wydał’. Usiłowałam teraz to zrobić, chyba bardziej dogłębnie w obliczu grożącej mi śmierci. Patrzyłam na krzyż, od czasu do czasu powtarzałam wspomniane słowa i świadomość Chrystusowej miłości coraz bardziej mnie przenikała, umacniała. Później odkryły mnie siostry i pomogły przetrwać. Po wojnie dowiedziałam się, że moi rodzice i wszyscy najbliżsi zginęli. Jestem sierotą. To boli. Ale przyszłam tu podziękować za łaskę, którą otrzymałam: mimo tego wszystkiego, co przecierpiałam, mimo ogromnego bólu w sercu, nie ma w nim rozgoryczenia, nie ma zawziętości, nie ma chęci zemsty; przeciwnie, jest miłość gotowa nie tylko przebaczyć, ale także znosić cierpliwie i w miarę pogodnie cierpienia, które mnie czekają, aby one wraz z Chrystusem zbawiały to, co było i jest złem, co jest grzechem u nas – Tutsi i Hutu. To jest łaska, która spłynęła na mnie z krzyża. Chciałam za nią podziękować właśnie w tej kaplicy – mówiła ze łzami w oczach – przed tym krzyżem, przed którym kiedyś, po raz pierwszy, odprawiałam moja pokutę: Patrząc na krzyż, powtarzać: ‘Boży Syn umiłował mnie i samego siebie za mnie wydał!’ Cieszę się bardzo – dodała – że właśnie Ojca spotkałam tu, wtedy i dzisiaj...”

Jestem przekonany, że krzyż Chrystusowy, że modlitwa u stóp Ukrzyżowanego, może uzdrowić wiele sierot, podobnych do Krystyny, sierot, które będą zdolne, tak jak ona, przeżyć swoje cierpienia, swój sierocy los.

Bolesny dramat uchodźców.

Raną, stale się jątrzącą na krzyżowej drodze historii Rwandy, jest bolesne zagadnienie uchodźców, emigrantów i Rwandyjczyków żyjących poza granicami kraju.

Granice pomiędzy Rwandą, Zairem i Ugandą ustalone w Brukseli w 1910 roku i ostatecznie wytyczone w roku 1912, pozbawiły Rwandę rozległych terenów, na których zamieszkiwał lud mówiący językiem kinyarwanda. Tereny te, obszerniejsze niż tereny dzisiejszej Rwandy, zostały przyznane obecnemu Zairowi i Ugandzie.

W okresie kolonializmu Rwandyjczycy, podobnie jak Burundyjczycy, wędrowali swobodnie i osiedlali się w rejonie Wielkich Jezior. Liczne rodziny rwandyjskie otrzymały pracę w służbie białej ludności, która tu się osiedlała, na przykład w Bukawu czy w Gomie. Inne rodziny wędrowały dalej, szukając pracy aż w dalekiej Katandze, dzisiejszej Shabie. Ta

swoboda przemieszczania się została znacznie ograniczona po uzyskaniu niepodległości przez kraje regionu Wielkich Jezior, w tym przez Burundi i Rwandę.

Wnet jednak zaczęła się ciernista i krzyżowa droga uchodźców politycznych. W latach 1959-1963, kiedy to w walce o władzę w Rwandzie zwyciężali Hutu, kraj opuściło, udając się do Ugandy, Zairu i Burundi, około 200 000 Tutsi. W latach 1972, 1982, 1986 i 1987 miały miejsce nowe, więcej lub mniej liczne emigracje polityczne. Równocześnie wielu Rwandyjczyków nadal opuszczało kraj ze względów ekonomicznych, w poszukiwaniu lepszych warunków życia. Wielu uchodźców i emigrantów żyło na obczyźnie w trudnych, wprost opłakanych warunkach. Inni jednak potrafili w ościennych krajach znaleźć pracę, zagospodarować się i urządzić względnie dobrze. Ci już raczej nie marzyli o powrocie do Rwandy.

Trudno ustalić, ilu Rwandyjczyków żyło na emigracji. Zdania w tym wypadku są bardzo podzielone, podawane liczby bardzo odległe od siebie. Niektórzy powiadają, że w roku 1989 było ich prawie 2 miliony. Jeszcze trudniej ustalić, ilu było uchodźców w bardziej prawnym tego słowa znaczeniu, czyli takich, którzy musieli nagle wyjechać z kraju, prześladowani za przekonania polityczne, rasowe, religijne, którzy zostawili w kraju domy, ziemię i pragną do kraju wracać, którzy wreszcie sami za uchodźców się uznają i starają się o przyznanie im praw uchodźców politycznych i opieki Międzynarodowej Organizacji dla Uchodźców. Ilu ich naprawdę było w 1989 roku, kiedy to Rwandyjski Front Patriotyczny w Ugandzie zaczął się domagać dla uchodźców prawa do powrotu do ojczyzny? Trudno powiedzieć. Niektórzy gotowi są przyjąć liczbę około 390 000, inni zgadzają się tylko na 170 000 osób. W tym czasie Rwandyjski Front Patriotyczny prowadził skuteczną propagandę powrotu do kraju. Mówi się, że około 500 000 uchodźców było gotowych wracać do ojczyzny, a przynajmniej rozbudziło w sobie nadzieję powrotu. Takich mas ludzi nie mógł przyjąć rząd Rwandy. Brakowało po prostu miejsca, domów, pracy. Obawiano się także, że niezadowoleni z otrzymywanych warunków repatrianci będą przez swoje pretensje wspierać skutecznie podnoszącą głowę opozycję przeciw rządowi. W umowach w Arusha rząd Rwandy przewidywał, że przy pomocy Światowej Organizacji dla Uchodźców będzie mógł przygotować miejsce i przyjąć około 30 000 rodzin na rok. Ostatecznie Rwandyjski Front Patriotyczny zdecydował, że miejsce w kraju zdobędzie dla uchodźców z bronią w ręku. Zaczęła się wojna 1990 roku, która sprawiła, że w samym kraju przemieściło się w popłochu około 990 000 ludzi. Wojna skończyła się w roku 1994 straszliwą rzezią i ucieczką do Zairu, Tanzanii i Burundi około 2 000 000 Hutu. Zaczęła się nowa krzyżowa droga uchodźców, droga przez prawdziwe piekło obozów dla uchodźców w okolicach Gomy i Bukawu w Zairze. Władzę w Rwandzie zdobyli Inkotani. Zaraz zaczęto namawiać, wprost przymuszać uchodźców Tutsi do natychmiastowego powrotu do Rwandy. „Wróciło” z Ugandy, Zairu, Tanzanii i Burundi około 80 000 rodzin Tutsi. Mówię „wróciło” w cudzysłowie, bo wielu z „wracających” znalazło się w ojczyźnie po raz pierwszy.

Ten nagły powrót licznych rodzin Tutsi stworzył dla nowego rządu nowe problemy. Wracający zajmowali domy i ziemię po pomordowanych Hutu lub po tych, którzy uciekli w popłochu do Zairu. Miasto Kigali stało się miastem zamieszkanym niemal wyłącznie przez Tutsi. Osiedlający się na wzgórzach Tutsi także usiłują się trzymać razem. Dla uzyskania pastwisk dla bydła, trzeba zlikwidować zagrody i gospodarstwa pozostawione przez Hutu. Powstają w kraju prawdziwe regiony Tutsi.

Tymczasem rządy Zairu i Tanzanii domagają się, aby Rwanda przyjęła z powrotem swoich uciekinierów i zlikwidowała obozy w Gomie i w Bukawu, bo obecność takich mas obcych ludzi jest zbyt uciążliwa dla rodzimej ludności tych terenów. Nowy rząd Rwandy deklaruje wobec świata gotowość przyjęcia tych uchodźców, którzy nie brali udziału w ludobójstwie. Sam rząd widzi jednak, że przyjęcie nawet tych „niewinnych” uciekinierów spotka się z wielkimi trudnościami. Nie będzie przecież łatwo usunąć Tutsi z domów i gospodarstw, które zajęły po Hutu. Zagadnienie wprost nie do rozwiązania.

Wielu ludzi z obozów dla uchodźców nie może i boi się wracać. Nie mogą wracać ci, którzy należeli do szwadronów śmierci, do gwardii prezydenckiej lub ci, którzy „brali udział” bezpośredni lub pośredni w pogromie Tutsi, w ludobójstwie. Nie mogą i boją się wracać ich rodziny. Oni też wprost przemocą zatrzymują w obozach tych, którzy chcieliby wracać. Czy wielu chce wracać? Z pewnością wielu o tym marzy. Niektórzy, widząc wprost beznadziejne i opłakane warunki bytowania w obozach, pragną wrócić w nadziei, że „na swoich śmieciach” jakoś wyżyją, a przynajmniej umrą w bardziej ludzkich warunkach. Ale i ci wahają się, bo czy można wierzyć deklaracjom rządu w Rwandzie? Do obozów w Bukawu i w Gomie przedostają się wieści o tym, co działo się, kiedy wiosną 1995 roku likwidowano obozy dla uchodźców w samym kraju, w strefie bezpieczeństwa utworzonej przez Francuzów. Naoczni świadkowie opowiadają, że wracających z tych obozów ludzi (czasem podwożono ich samochodami Światowej Organizacji dla Uchodźców), zbierano na miejscu przed urzędem gminy. Tu, zgodnie z przygotowaną uprzednio listą, „winnych” kierowano na lewo, „niewinnych” na prawo. Ci, z lewej strony kierowani byli do więzienia „na przesłuchanie”. Niewinni, po odpowiednim pouczeniu jak się należy zachować w sprawiedliwie rządonym kraju, mogli wracać do swoich domów, do swoich posiadłości. Niestety, zastawali domy okradzione, zdewastowane i pola porośnięte wysokimi chwastami. Chociażby nawet było czym kopać pole i czym je obsiać, to przecież do czerwca nic już nie urośnie, nie dojrzeje. W czerwcu rozpoczyna się pora sucha. Co zatem jeść do zbiorów, których spodziewać się można dopiero około Bożego Narodzenia? Jak wyżyć? Przecież ci, którzy „musieli” wrócić na swoje, nie mają już prawa do pomocy niesionej przez Światową Organizację dla Uchodźców. Powstaje więc błędne koło i niezawinione cierpienie, i nędza biednych, bezradnych ludzi.

Słyszając te wieści uchodźcy z Bukawu i z Gomy obawiają się wracać. W obozach mają nadzieję, że chociaż od czasu do czasu coś dostaną, co pomoże jakoś przeżyć. Niestety, pomoc światowych organizacji nie jest wystarczająca. Bywa, że przysyłana żywność jest wprost nie do użycia i niestety dociera nieregularnie. Często utknie po drodze w magazynach jakiegoś możnowładcy albo jest kierowana gdzie indziej przez żołnierzy Zairu, którzy „nie opłacani”, zmuszeni są „dbać o siebie”. Wtedy w obozie panuje prawdziwy głód.

Sami uchodźcy nie potrafią sobie zorganizować pomocy. Bo jak? Wprawdzie wokół obozów kwitnie „dziki handel”, prowadzony przez ludzi pragnących „zarobić” na ludzkiej nędzy. Można tu kupić coś do zjedzenia, jakiś liche przyodziewek, kawałek mydła, nici, igły, guziki i takie różne drobiazgi. Ale za co kupić? To prawda, że uciekający zabierali ze sobą uciulane na czarną godzinę grosze. Jeżeli nie zostali ograbieni w czasie ucieczki, to jakiś grosz do obozu przywieźli. Na jak długo mógł jednak wystarczyć? Dyktowane ceny były bardzo wygórowane. Później grosz ten stracił swą wartość, bo niespodziewanie dokonano w Rwandzie wymiany pieniędzy. Już od dawna chodziły pogłoski, że ta wymiana nastąpi. Nie bardzo jednak tym pogłoskom wierzono. Tymczasem nagle, na początku 1995 roku

ogłoszono, że w ciągu dwu dni należy wymienić wszystkie banknoty o wartości 5 000, 2 000, 1 000 i 500 franków. Dwa dni na wymianę! Zrobił się popłoch. Do kantorów wymiany, strzeżonych przez wojsko, ustawily się długie kolejki. Niektórym kantorom wnet zabrakło banknotów 5 000 lub innych. Ostatecznie przedłużono łaskawie czas wymiany o jeden dzień. Niektórzy Hutu obawiali się podchodzić do kantorów, obstawionych wojskiem, bo podobno to i tam udało się przy okazji wymiany schwytać „winnych ludobójstwa”. Ostatecznie jednak wewnątrz kraju można było wymienić pieniądze, posyłając do kantorów sąsiadów lub sąsiadki. Uchodźcy za granicą kraju stracili w tych dwu dniach wszystkie pieniądze. Granice na czas wymiany zostały szczelnie zamknięte. Wprawdzie ogłoszono, że obywatele Rwandy, przebywający za granicą, mogą swe banknoty wymienić przy rwandyjskich placówkach dyplomatycznych, ale jakże mieli do tych placówek dotrzeć uchodźcy z obozów. Oceniono, że było to dobrze przemyślane i skutecznie przeprowadzone „uderzenie po kieszeni” Hutu znajdujących się w obozach. Nagle stracili swoje oszczędności, zostali bez grosza.

W „nowej” Rwandzie dokonano także wymiany kart tożsamości na nowe. Wnet zdecydowano także, że należy na nowe wymienić wszystkie prawa jazdy. Uderzyło to w tych, którzy z takiego czy innego powodu ukrywali się na terenie Rwandy. Miało to równocześnie przeszkodzić nieoficjalnym, niekontrolowanym powrotom do kraju uchodźców z obozów w Zairze, Burundi i Tanzanii. Ukrywających się na terenie kraju nie było wielu, ale przecież tacy byli. Wielu bowiem czuło się zagrożonymi. Zagrożonym czuł się np. brat lub krewny kogoś, kto przed wojną był zaangażowany w jakiejś partii. Sam bywał uznany za „niewinnego”, ale był nachodzony i pytany o miejsce pobytu brata lub kuzyna. Chociaż często rzeczywiście nic o losie brata nie wiedział, nie wierzono mu. Szedł więc do więzienia na przesłuchanie, bo skoro nie chce zdradzić miejsca pobytu brata, to znaczy że „trzymam stronę uczestnika ludobójstwa”. W takiej sytuacji wielu zupełnie niewinnych ludzi starało się usunąć na ubocze, ukryć na jakiś czas, omijać urzędy. Teraz zostali bez jakiegokolwiek dokumentu tożsamości. Niektórzy z nich usiłowali uciec do obozów w Bukawu lub w Gomie, by tam wieść jako tako bezpieczny żywot w opłakanych warunkach.

Beznadziejnym warunkom życia w obozach dla uchodźców mogliśmy napatrzeć się z bliska. W latach 1988 i 1989 docieraliśmy do obozów uchodźców z Burundi, których resztką, bo tylko 22 000, absolutnie wracać do swej ojczyzny nie chciała, nie mogła. Zdobyliśmy dla nich nieco pomocy, którą należało rozdać w naturze: koce, mydło, koszule, zeszyty itp.

W październiku 1993 roku, po zamachu na prezydenta M. Ndadaye uciekło do Rwandy około 300 000 Burundyjczyków. Jakies 230 000 zatrzymało się w diecezji Butare. Nasz nowicjat ze swoim mistrzem o. Sylwanem Zielińskim i br. Zachariaszem Zgirukwayo natychmiast pospieszyli z pomocą. Zamieszkali w pobliżu obozów w parafii Mngombwa i starali się ulżyć opłakanej doli uchodźców. Należąc do diecezjalnej Komisji Pomocy Uchodźcom, sam mogłem wejść głębiej w trudne zagadnienia niesienia pomocy materialnej i duszpasterskiej tym utrapionym i nieszczęśliwym uchodźcom. Pierwsza pomoc organizacji międzynarodowych dotarła tu dopiero po 10 dniach. Na razie diecezja usiłowała, na swą skromną miarę, ratować sytuację przez swój Caritas. Pamiętam rozpaczliwe wołanie o pomoc tych, którzy do tworzących się obozów pojechali w pierwszych dniach. „Wszystko potrzebne – wołali – wszystko się przyda, każda szmatka, każdy kawałek sznurka lub drutu, każda butelka na wodę, każdy kawałek mydła!!!” Często ludzie uciekali w tym tylko, co mieli na sobie, w podartej koszuli, w lichej sukni. A przecież tu zaraz rodziły się dzieci! Nie było w

czym przynieść wody, w czym jej zagotować lub zagrzać, nie było w co owinać witającego świat, jakże okrutny świat, noworodka!

Jak wspomniałem, po dziesięciu dniach dotarła tu pierwsza pomoc materialna: nieco żywności, koce, zbiorniki na wodę, garnuszki do gotowania... ale ludzi ci potrzebowali, i to bardzo potrzebowali pomocy duchowej: modlitwy, która podtrzymałaby nadzieję; Mszy św., która umocniłaby miłość; spowiedzi, która pomogłaby nawiązać żywszy kontakt z Bogiem, a potem przebaczyć i pokochać człowieka. Pamiętam, że ile razy znalazłem się w obozach, tyle razy spontanicznie proszono o spowiedź. Człowiek dotknięty nieszczęściem chciałby być bliżej Boga, chciałby być pojednany z Bogiem. Wystarczyło usiąść na kawałku pnia czy przyniesionym przez ludzi stołku, a zaraz ustawiała się długa kolejka, by w skupieniu, na klęczkach zbliżyć się do spowiednika. Można tak było spowiadać całymi godzinami. Staraliśmy się w Butare zorganizować i jakoś uporządkować duchową pomoc dla uchodźców, by chociaż w niedzielę dotrzeć ze Mszą św. do każdego obozu. Niestety, nie udało się objąć tą pomocą wszystkich. Mówiło się np. że obóz w Gakomie mogą z powodzeniem obsłużyć księża z tejże parafii. Niestety, jako Tutsi nie ośmielili się pokazać w tych obozach Hutu. W grudniu siostry z Instytutu św. Bonifacego pracujące w Gakomie zaczęły błagać o pomoc, o Mszę św., o przygotowanie tych ludzi na Święta Bożego Narodzenia. Niestety, trudno było znaleźć wolnego kapłana. Aż 30 000 wiernych nie miało tam Mszy św. i spowiedzi od października. Tak się złożyło, że moje osobiste, roczne rekolekcje odłożyłem na Adwent. Miałem je odprawić przez 5 dni w Rurambie. Zmieniłem decyzję. Odprawię je przez 10 dni w Gakomie w ten sposób, że przed południem będę służył ludziom z obozu, a po południu poświęcę czas na osobiste spotkanie z Panem. Były to dobre, błogosławione rekolekcje, których nigdy nie zapomnę. Codziennie rano udawałem się do obozu. Na wzgórzu obok samego obozu postawiliśmy duży krzyż, ołtarz, a pod dużym eukaliptusem konfesjonał. Z obozu trzeba było na to wzgórze iść 10 minut. To oddalenie od obozu okazało się błogosławieństwem, pozwoliło uniknąć panującego zazwyczaj w obozie rozgwaru i stworzyć atmosferę, sprzyjającą skupieniu. Aż do południa spowiadałem codziennie ludzi, którzy czekali w kolejce w milczeniu albo odmawiając różaniec i śpiewając religijne pieśni. Nad porządkiem czuwali katechiści. W południe składałem Najświętszą Ofiarę u stóp krzyża, pod którym od rana klęczeli i modlili się ludzie. To było bardzo wymowne. Tam uświadomiłem sobie na nowo, jak wielka moc Boża płynie z Chrystusowego krzyża. Ileż ukojenia przyniosła tym cierpiącym ludziom modlitwa u stóp krzyża. Sam także u stóp krzyża, w obliczu Chrystusowego krzyża, miałem większą odwagę przypominać tym ludziom obowiązek miłości, do której przynagła nas wiara w miłość Boga ku nam, obowiązek miłości, która nas czyni w Jezusie Chrystusie dziećmi Bożymi, obowiązek miłości płynącej pod działaniem Ducha Świętego z czystego serca, dobrego sumienia i wiary nieobłudnej.¹⁰⁸ Stojąc u stóp krzyża miałem odwagę upominać, zachęcać i prosić słowami Apostoła Narodów: „Prosimy was, bracia, upominajcie niekarnych, pocieszajcie małodusznych, przygarniajcie słabych, a dla wszystkich bądźcie cierpliwi. Uważajcie, aby nikt nie odpłacał złem za złe, zawsze usiłujcie czynić dobrze sobie nawzajem i wobec wszystkich! Zawsze się radujcie, nieustannie się módlcie! W każdym położeniu dziękujcie, taka jest bowiem wola Boża w Jezusie

Chrystusie względem was. Ducha nie gaście, proroctwa nie lekceważcie! Wszystko badajcie, a co szlachetne zachowujcie! Unikajcie wszystkiego, co ma choćby pozór zła. Sam Bóg pokoju niech was całkowicie uświęca, aby nienaruszony duch wasz, dusz i ciało bez zarzutu zachowały się na przyjście Pana naszego Jezusa Chrystusa”.¹⁰⁹

W obliczu Chrystusowego krzyża miałem odwagę przypomnieć i prosić: „Jako wybrańcy Boży – święci i umiłowani – obleczcie się w serdeczne miłosierdzie, dobroć, pokorę, cichość, cierpliwość, znosząc jedni drugich i wybacząc sobie nawzajem, jeśli by miał ktoś zarzut przeciw drugiemu: jak Pan wybaczył wam, tak i wy!”¹¹⁰

„Dlatego odrzuciwszy kłamstwo: niech każdy z was mówi prawdę do bliźniego, bo jesteście nawzajem dla siebie członkami. Gniewajcie się, a nie grzeszcie: niech nad waszym gniewem nie zachodzi słońce! Ani nie dawajcie miejsca diabłu! Kto dotąd kradł, niech już przestanie kraść, lecz raczej niech pracuje uczciwie własnymi rękami, by miał z czego udzielić potrzebującemu. Niech nie wychodzi z waszych ust żadna mowa szkodliwa, lecz tylko budująca, zależnie od potrzeby, by wyświadczała dobro słuchającym. I nie zasmucajcie Bożego Ducha Świętego, którym zostaliście opieczętowani na dzień odkupienia. Niech zniknie spośród was wszelka gorycz, uniesienie, gniew, wrzaskliwość, znieważanie – wraz z wszelką złością. Bądźcie dla siebie nawzajem dobrzy i miłosierni! Przebaczając sobie, tak jak i Bóg wam przebaczył w Chrystusie.

Bądźcie więc naśladowcami Boga, jako dzieci umiłowane, i postępujcie drogą miłości, bo i Chrystus was umiłował i samego siebie wydał za was w ofierze i dani na wdzięczną wonność Bogu”.¹¹¹

Po latach nieużywania języka kirundi miałem pewne trudności z wypowiedaniem moich własnych myśli. Ale właśnie za to błogosławiłem Pana, bo zamiast moich słów, używałem przytoczonych wyżej tekstów Pisma Świętego i innych jeszcze. Widziałem, że Słowa Boże bardziej trafiają do serc, niż mogłyby trafiać moje. Mówiłem im np. za św. Janem Ewangelistą: „Umiłowani, miłujmy się wzajemnie, ponieważ miłość jest z Boga, a każdy, kto miłuje, narodził się z Boga i zna Boga. Kto nie miłuje, nie zna Boga, bo Bóg jest miłością. W tym objawiła się miłość Boga ku nam, że zesłał Syna swego Jednorodzonego na świat, abyśmy życie mieli dzięki Niemu. W tym przejawia się miłość, że nie my umiłowaliśmy Boga, ale że On sam nas umiłował i posłał Syna swojego jako ofiarę przebłagalną za nasze grzechy. Umiłowani, jeśli Bóg nas umiłował, to i my winniśmy się wzajemnie miłować”.¹¹² Co więcej: „Po tym poznaliśmy miłość, że On oddał za nas życie swoje. My także winniśmy oddać życie za braci”.¹¹³ Taka była wiara – dodawałem – taki ideał pierwszych chrześcijan, taka wiara, taki ideał ośmielałem się głosić wam, udręczonym, cierpiącym, nieszczęśliwym, ale przecież umiłowanym przez Boga. O tej miłości świadczy krzyż!

¹⁰⁹ 1 Tes. 5, 14 -23

¹¹⁰ Kol. 3, 12- 13

¹¹¹ Ef. 4, 25 – 5, 2

¹¹² 1 J 4, 7 - 11

¹¹³ j. w. 3, 16

Po Mszy świętej wracałem z ludźmi przez obóz do oczekującego mnie samochodu. Przechodząc przez obóz, mogłem z bliska zobaczyć opłakane warunki, w których żyli ci ludzie. Pokazywali mi chore, umierające dzieci, pokazywali starców, bym ich na śmierć pobłogosławił. Pokazywali, w jakich warunkach mieszkają, w jakich piorą swe nędzne szmatki, w jakich gotują nędzne posiłki...

Kiedy w roku 1994 około 2 milionów ludzi znalazło się w obozach dla uchodźców w okolicach Gomy i Bukawu, kiedy opowiadano mi o piekle, jakie tam panuje, niejedną raz myślałem, że ludzi ci bardzo potrzebują Chrystusowego krzyża, potrzebują bowiem przekonania, że Bóg ich umiłował, że rozumie ich cierpienia, bo sam w Jezusie Chrystusie przecierpiał wszystko, co boli. W Jezusie – „nie takiego bowiem mamy arcykapłana, który by nie mógł współczuć naszym słabościom, lecz doświadczonego we wszystkim na nasze podobieństwo, z wyjątkiem grzechu.”¹¹⁴ Miłość Boga, o której świadczy krzyż, i miłość, do której krzyż wzywa człowieka, pomogłaby tym udręczonym ludziom przeżyć godniej, przeżyć po chrześcijańsku to piekło, jakie zgotowała im nienawiść.

Dobrze to rozumie Jan Paweł II, który w swej adhortacji apostolskiej **Ecclesia in Africa**, przytaczając swą homilię z Chartumu¹¹⁵, woła: „Pod wpływem licznych trudności, kryzysów i konfliktów, które sprowadzają na kontynent tak wiele nędzy i cierpienia, Afrykańczycy są niekiedy skłonni sądzić, że Pan ich opuścił i że o nich zapomniał! A Bóg odpowiada słowami wielkiego Proroka: ‘Czyż może niewiasta zapomnieć o swym niemowlęciu, ta, która kocha syna swego łona? A nawet gdyby ona zapomniała, Ja nie zapomnę o tobie. Oto wryłem cię na obu dłoniach’.¹¹⁶ Tak. Na obu dłoniach Chrystusa, przebitych gwoździami ukrzyżowania! Imię każdego z was [Afrykańczyków] jest na tych dłoniach wryte. Dlatego pełni ufności wołamy: ‘Pan moją mocą i tarczą! Moje serce Jemu zaufało: Doznałem pomocy, więc moje serce się cieszy’^{117, 118}.

Bolesne zranienie rodziny.

Pozwólcie, że wspomnę jeszcze o jednym, bardzo bolesnym zranieniu, którego doznało społeczeństwo Rwandy i Burundi. Zranienie to dotknęło tego, co w kulturze tych narodów było i jest bezcenną wartością, dotknęło rodziny.

Jan Paweł II napisał: „Przyszłość świata i Kościoła idzie poprzez rodzinę”.¹¹⁹ Rodzina jest bowiem nie tylko najważniejszą komórką żywej wspólnoty kościelnej, ale także najważniejszą komórką społeczeństwa. Zwłaszcza w Afryce rodzina jest filarem, na którym

¹¹⁴ Hbr. 4, 15

¹¹⁵ Wygłoszoną 10. 02. 1993 r.

¹¹⁶ Iz. 49, 15 -15

¹¹⁷ Ps. 28, 7

¹¹⁸ Ecclesia in Africa, 143

¹¹⁹ Familiaris consortio, 174

opiera się cała budowla społeczna. Dlatego Synod uważa, że ewangelizacja afrykańskiej rodziny musi stanowić jeden z najważniejszych priorytetów, jeśli pragniemy, by sama rodzina odgrywała z kolei rolę aktywnego podmiotu w procesie ewangelizacji rodzin przez rodziny.

Z duszpasterskiego punktu widzenia stanowi to prawdziwe wyzwanie, zważywszy na trudności natury politycznej, gospodarczej, społecznej i kulturowej, którym muszą stawić czoło rodziny w Afryce w kontekście globalnych przemian zachodzących we współczesnym społeczeństwie. Dlatego rodzina afrykańska, przyswajając sobie pozytywne wartości naszej epoki, powinna jednocześnie strzec swoich najistotniejszych wartości"¹²⁰

Rozumiejąc fundamentalną rolę rodziny, rozumiejąc, że „przyszłość świata i Kościoła idzie poprzez rodzinę”, Kościół zawsze troszczył się o rodzinę, walczył o zachowanie i rozwój jej godności, bronił ją przed zagrażającymi jej niebezpieczeństwami. Tak było także w Burundi i w Rwandzie. Kościół zastał tu raczej zdrowy model życia rodzinnego. Należało obronić rodzinę przed zanikającym tu wprawdzie, ale wciąż jeszcze obecnym wielożeństwem, należało dowartościować godność kobiety i matki, należało, zwłaszcza w ostatnich latach, bronić rodzinę przed praktykami wrogimi życiu, które narzucane były w tych krajach przy pomocy systemów ekonomicznych, służących egoizmowi bogatych¹²¹

Papież Jan Paweł II napisał: „W afrykańskiej kulturze i tradycji powszechnie uznaje się fundamentalną rolę rodziny, miłości i życia, kocha dzieci, które przyjmuje się z radością jako dar Boży. Synowie i córki Afryki miłują życie. To właśnie miłość życia każe im tak wielką wagę przywiązywać do kultu przodków. Instynktownie wierzą, że ci zmarli żyją nadal, pozostają w obcowaniu z nimi. Czyż nie jest to jakiś przedsmak wiary w Świętych Obcowanie? I ludy Afryki szanują życie, które się poczyna i rodzi. Cieszą się tym życiem. Nie dopuszczają myśli o tym, że można by je unicestwić, nawet wówczas, kiedy ta myśl jest im narzucana ze strony tak zwanych ‘cywilizacji postępowych’. A praktyki wrogie życiu bywają im narzucane przy pomocy systemów ekonomicznych, służących egoizmowi bogatych. Afrykańczycy okazują szacunek dla życia aż do jego naturalnego końca i pozostawiają w swoich rodzinach miejsce dla starców i krewnych”¹²²

Praktyki wrogie życiu były rozpowszechniane w Burundi i w Rwandzie, były wprost narzucane zwłaszcza w ostatnich latach. Zaczęto głosić hasła: „Szczęśliwa rodzina posiadająca tylko jedno dziecko! Tylko jedno, a najwyżej dwoje potrafi się dobrze wychować. Trzeba koniecznie ograniczyć ilość dzieci! To takie proste. Istnieją przecież doskonałe środki antykoncepcyjne!” „Egoizm bogatych” odgrywał tu wielką rolę. Zdrowsza część społeczeństwa rozumiała jednak, że to uderza w zdrowie rodziny afrykańskiej. Światlejsi ludzie w Rwandzie zdawali sobie sprawę, że ktoś musiał przekupić ministerstwo zdrowia, skoro zgodziło się na rozpowszechnianie tych środków w Rwandzie i w Burundi. Nie było przecież żadną tajemnicą, że chodziło tu o środki, których nikt by już w Europie czy Ameryce nie kupił, bo wykazano, że są bardzo szkodliwe dla zdrowia. Zamiast je zniszczyć, usiłowano je dać „biednym Afrykańczykom”. Cóż z tego, że wiele kobiet

¹²⁰ EA, 80

¹²¹ j. w. 43

¹²² j. w.

zachoruje, że staną się niepłodne? Inni się przyzwyczajają, otworzy się zatem rynek zbytu dla wszystkich, wątpliwej wartości, środków antykoncepcyjnych.

Kościół w Rwandzie starał się przeciwstawić tej propagandzie, pragnął bowiem, aby dzieci były nadal przyjmowane z radością jako dar Boży, aby szanowane było życie, które poczyną się i rodzi. Polscy misjonarze uważali jednak, że to przeciwstawienie się wrogiej życiu i wrogiej rodzinie propagandzie nie jest dostatecznie stanowcze i mocne. Z bólem serca śledzili, że także na tym polu zadaje się rodzinie rwandyjskiej głęboką i bolesną ranę.

Gdy przyszła wojna 1990-1994 roku, rodzina w Rwandzie została dotknięta w szczególny sposób. Całe dziesiątki tysięcy rodzin straciło ojców. Trudno wdowie borykającej się z trudnościami materialnymi dobrze wychować dzieci. Trudność ta wzrosła, bo wdowy pozbawione zostały wsparcia, które im zapewniał tutejszy obyczaj, wsparcia i opieki stryjów i wujów, bo wielu z nich także straciło życie. Inne, bardzo liczne rodziny straciły matki. To prawda, że wdowiec znajduje dzisiaj bez trudności żonę, nawet młodą żonę. Jaki jednak będzie los jego osieroconych dzieci, dzieci, których serca krwawią? Czy młoda macocha potrafi okazać im tyle serca, ile potrzebują, by odzyskać równowagę psychiczną?

Niestety, to, co stało się w Rwandzie, będzie bardzo długo zgubnie rzutować na rodzinę w tym kraju. Jakże czarno rysuje się jej przyszłość! Pamiętam rozmowę z pewną pielęgniarką, Tutsi. W czasie krwawej rzezi straciła rodziców, rodzeństwo i wielu krewnych. Teraz znalazła pracę wśród „lekarzy bez granic”¹²³. „Ale co dalej – pyta – co później?” Próbowałem natchnąć ją nadzieją na lepsze jutro. „Jesteś jeszcze młoda – mówiłem – wyjdiesz za mąż, jakoś wszystko z Bożą pomocą się ułoży”. Zapytała: „Jak się ułoży?” Później ciągnęła z troską: „Proszę spojrzeć, jest nas tu siedem. Koleżanki zostały podobnie jak ja osierocone. Dla każdej z nas nadchodzi ten ‘najwyższy czas’, by wyjść za mąż. Nie jesteśmy już takie młode, jakby się wydawało. Rozmawiamy między sobą o konieczności założenia rodziny i bardzo się tego obawiamy. Drżymy także o los naszych młodszych koleżanek, o los ich rodzin. Gdzie dzisiaj znaleźć odpowiedniego, dobrego męża? Prawie wszyscy młodzi chłopcy, nawet już od 15 roku życia, są w wojsku. Nie jest dla nikogo tajemnicą, że właśnie ci najmłodszy wykazują najwięcej okrucieństwa w przeprowadzanych nocami akcjach. Chcą wykazać wobec starszych, jak ‘dzielniymi są żołnierzami’. Starsi chętnie się nimi wyręczają. Niejeden z nich ma na sumieniu niewinne ludzkie życie. Kiedyś wrócą do cywila, będą chcieć założyć rodzinę. Jeżeli nie wrócą z chorobą AIDS, która, jak wiadomo, wśród wojska zastraszająco się szerzy, bo przecież żołnierzowi wszystko wolno, to wrócą z chorobą sumienia, z twardością serca, może z wyrzutami sumienia. Czy o tej przeszłości, która będzie chodzić za nimi jak zmora, nie będą chcieli zapomnieć przy piwie? Jakież może być życie, jakie współżycie z człowiekiem, który nosi w pamięci i w sercu zbrukaną przeszłość, który ma skrwawione ręce? Jakież to będzie ojciec dzieci? Jak je wychowa? I jak wejść i żyć spokojnie w domu zagrabionym, w domu, z którego właścicieli wypędzono albo i zabito? A przecież takie domy ‘zarezerwowali’ dla siebie i swoich rodzin liczni wojskowi. Ojciec powiedział: Wszystko z Bożą pomocą się ułoży. – No właśnie, tylko w Bogu, w Jego pomocy jest nadzieja. Ale znów, myślę, że nie jest dla Ojca tajemnicą, że dzisiaj Boga odsunięto i zostawiono na marginesie życia. Człowiek o zbrukanim sercu, o

¹²³ „Lekarze bez granic”, tzn. lekarze należący do Międzynarodowej Organizacji Zdrowia, niosący pomoc krajom dotkniętym rozmaitymi klęskami, nie podlegają procedurze paszportowej (*przyp. red.*).

splamionych dłoniach, ucieka od Boga, nie chce się z Nim spotkać, kryje się przed Nim jak Adam po grzechu w raju. Czy zatem będzie Bóg w naszych przyszłych rodzinach? A bez Boga, w dzisiejszych czasach, ani rodziny Tutsi, ani rodziny Hutu nie uniosą ciężaru życia, nie będą szczęśliwe...”

Jakże nie przyznać temu dziewczęciu racji? Niestety, rodzina w Rwandzie, nawet ta jeszcze nienarodzona, została bardzo głęboko i boleśnie zraniona. Przez długie lata będzie trzeba leczyć jej rany. Tak, jak to usiłowali robić kiedyś, przed 25 laty, tak i dzisiaj polscy misjonarze Karmelici Bosi powinni starać się zatknąć w każdej rodzinie Rwandy i Burundi chwalebny Chrystusowy krzyż, powinni obok krzyża postawić Maryję, Matkę Pana. „Wtedy każdy ukąszony, jeśli tylko spojrzy na Niego, zostanie przy życiu”.¹²⁴

7. „NIE BÓJ SIĘ WZIAĆ DO SIEBIE MARYI.”¹²⁵

W przedmowie do książki pt. **Listy polskich misjonarzy z Burundi** napisano: „**Każdy misjonarz otrzymuje na drogę krzyż i Pismo św. Bez tych dwóch rzeczy nie ma misjonarza katolickiego. Pierwsi misjonarze karmelitańscy wzięli ze sobą do Afryki ponadto obraz Matki Bożej i wnieśli go uroczyście do stolicy Konga. Nasi współbracia otrzymali od Prymasa Polski, ks. kard. Stefana Wyszyńskiego obraz Czarnej Madonny, który poświęcił na specjalnej audiencji Papież Paweł VI i zbudowali mu ołtarz w swoim kościele w Mpindze. Chcą dawać ludziom Chrystusa za pośrednictwem Jego Matki. Ks. Prymas wręczając obraz powiedział: ‘Jestem głęboko przekonany, że Wasi Bracia, których będziecie prowadzili do Chrystusa, gorąco Ją pokochają i zrozumieją. Jest przecież do nich podobna.’”¹²⁶**

Opisując pożegnanie misjonarzy w Poznaniu we wtorek 22 czerwca 1971 roku, napisano: „O godz. 18.00 z bramy klasztornej wyszła, zmierzając ku kościołowi, osobliwa procesja: długi szereg karmelitów miejscowych i gości, przedstawiciele wszystkich klasztorów w kraju, a wśród nich i sam Generał Zakonu, O. Michał Anioł Bratiz, bawiący wówczas w Polsce. Wszyscy ubrani w białe płaszcze, prowadzili do ołtarza na spełnienie Najświętszej Ofiary grupę Misjonarzy, którzy w tym dniu wraz z Chrystusem mieli złożyć swoją własną ofiarę. Na końcu długiego szeregu, czterech Misjonarzy niosło na swoich barkach obraz Matki Boskiej, wierną kopię Cudownego Obrazu Jasnogórskiego, przekazaną im uroczyście w kaplicy prymasowskiej w Warszawie przez Ks. Kardynała Wyszyńskiego, w imieniu całego Episkopatu i Tysiącletniego Kościoła Polski, dla młodego Kościoła w Burundi. Za obrazem postępował Ks. Bp Wosiński, Dyrektor Krajowy Papieskich Dzieł Misyjnych w Polsce, w asyście O. Remigiusza, Prowincjała OO. Karmelitów Bosych w

¹²⁴ Lb. 21, 8

¹²⁵ Mt. 1, 20

¹²⁶ Listy polskich misjonarzy z Burundi , przedmowa, s.6

naszym kraju i O. Leonarda, kierownika całej grupy misjonarskiej. Przy biciu dzwonów wprowadzono Misjonarzy i obraz Matki Bożej do szczelnie wypełnionego kościoła. Podczas gdy celebrowali, koncelebrowali, O. Generał, zakonnicy i księża zajmowali miejsca w prezbiterium, obraz Matki Najświętszej umieszczono na specjalnie przygotowanym tronie i zapalono przed nim 11 świec, symbol jedenastu, płonących wiarą, ufnością i miłością, serc misjonarskich, gotowych na spalenie w ofierze aż do końca”.¹²⁷

Pod koniec Mszy św. głos zabrał o. Generał Zakonu. Zwracając się do misjonarzy, powiedział między innymi: „Synowie najmilsi, dziękuję Wam z głębi serca za Waszą gotowość podjęcia pracy misyjnej. Idźcie i głoscie Ewangelię Chrystusa. Proszę Boga, aby Wam błogosławił. Zapewniam Was, jako długoletni misjonarz (14 lat pracy w Indiach), że w trudzie swoim doznacie największych radości życia. Bądźcie silni. Niech będzie z Wami Bóg, Najświętsza Maryja, Królowa Karmelu, Królowa Polski i św. Matka Teresa.”¹²⁸

Na koniec przemówił o. Leonard. Swoje wzruszające przemówienie zakończył słowami: „Zapewniamy wszystkich, że dołożymy starań, by lud w Burundi przez Maryję stał się jak najbardziej Ludem Bożym.”¹²⁹

Powyższe teksty świadczą o maryjnym charakterze misyjnej wyprawy. Tak, przed 25 laty chcieliśmy do Burundi iść z Maryją. Nie mogło być inaczej, przecież na misje wyjeżdżali polscy Karmelici Bosi. Karmel cały jest maryjny. Wszystko w Karmelu dokonuje się z Maryją, pod wejrzeniem Maryi. Polscy Karmelici Bosi nosili w sercu jeszcze jedno, polskie doświadczenie, doświadczenie maryjnej drogi narodu do Chrystusa.

Pojechaliśmy do Burundi z Maryją. Zewnętrznym wyrazem tej maryjności naszej misji był obraz Maryi, który towarzyszył nam w drodze do Paryża, do Rzymu, do Bujumbury i wreszcie do Mpingi. Przez 25 lat nasza Matka i Królowa zawsze była z nami, zawsze wiernie nam towarzyszyła, zawsze, jak dobra Matka, wspierała. Jeżeli na tych kartach wspominam z wdzięcznością wielkie dzieła, których Bóg raczył dokonać w nas i przez nas w ciągu 25 lat naszej misyjnej posługi w Burundi i w Rwandzie, to serce nie pozwala mi nie wspomnieć z wdzięcznością, że Bóg Wszechmogący zechciał, aby Jego wielkie dzieła dokonywały się z Maryją i przez Maryję.

Poszliśmy do Burundi z Maryją. Jakże wielka była nasza radość z odkrycia faktu, że młody Kościół w Burundi przejawia swą miłość ku Matce Pana na różne sposoby. Pisałem na ten temat w liście z 6 września 1976 roku:

„Chrześcijaństwo przyszło do Burundi tuż po różańcowych encyklikach Leona XIII, przyszło w okresie ogłoszenia dogmatu o Wniebowzięciu NMP, w okresie poświęcenia całego świata Jej Niepokalanemu Sercu. Nie pozostało to bez echa w młodym Kościele.

Pierwsi misjonarze przyszli do Burundi z różańcem. Jeszcze dzisiaj można spotkać Ojców Białych z zawieszonym na szyi dużym, czarnym różańcem. Uczono odmawiać różaniec, o czym świadczą zachowane kazania dawnych misjonarzy i krótkie rozważania na

¹²⁷ j. w. s.56-57

¹²⁸ j. w. s. 58

¹²⁹ j. w. s. 59

każdy dzień października, wydane w 1954 r. Także w książeczce do nabożeństwa, oprócz innych modlitw do Matki Bożej, znajdujemy 16 stron poświęconych tajemnicom różańca św. W programie nauczania religii wiele miejsca poświęcono różańcowi. Każdy katechumen w dniu chrztu św. i każdy chrześcijanin w dniu odnowienia przyrzeczeń chrztu św. zawiesza na szyi różaniec. Wielu z nich nosi ten różaniec stale. Inni noszą medaliki Matki Bożej. W maju i październiku wierni zbierają się wieczorem przy kościele parafialnym, przy kaplicach na stacjach misyjnych lub w swoich osadach na wspólny różaniec. Widocznie kiedyś kładziono na to duży nacisk, bo jeszcze dzisiaj można spotkać ludzi, którzy oskarżają się w konfesjonale, że opuścili wspólny różaniec bez ważnej przyczyny.

Czy odmawiają często różaniec osobiście lub wspólnie w rodzinach? Nie potrafię na to pytanie dać wyczerpującej odpowiedzi. Niektórzy odmawiają. Zależy to w dużej mierze od gorliwości duszpasterzy w tym względzie. Dzisiaj, zwłaszcza młodzi misjonarze z Zachodu, nie wykazują tej gorliwości, bo podobno nie powinno się przeszczepiać na grunt afrykański naszych europejskich nabożeństw, bo kult Matki Bożej i Świętych mógłby zdeformować kult Chrystusa i Boga, bo... takie różne i dziwne racje!

Tymczasem wydaje się, że należałoby wykorzystać i pogłębić to, co już zrobiono w tym względzie, bo przecież nie ma pełnego chrześcijaństwa bez umiłowania Matki Chrystusa.

Co już mamy?

Święta:

Mamy obowiązkowe uroczystości Niepokalanego Poczęcia i Wniebowzięcia NMP. W kalendarzu liturgicznym święta: Świętej Bożej Rodzicielki Maryi (1 stycznia), Zwiastowania (25 marca), Nawiedzenia (31 maja), Niepokalanego Serca Maryi (sobota po uroczystości Serca Jezusowego), Narodzenia NMP (8 września), Matki Bożej Bolesnej (15 września), Matki Bożej Różańcowej (7 października) i Świętej Rodziny (niedziela po Bożym Narodzeniu).

Różaniec:

Odmawiamy w maju i październiku. Chętnie noszony jest na szyi.

Pieśni:

Mamy już w Burundi sporo pieśni maryjnych. Pierwsza część śpiewnika kościelnego, wydanego w 1966r., zawiera ich około 80; druga, wydana w roku 1974, tylko 11. Jest jednak jeszcze wiele innych maryjnych pieśni, wydawanych na powielaczu. Niektóre z tych pieśni mają głęboką treść. Mogą być szkołą wiary, tym bardziej, że nasi ludzie chętnie i dobrze śpiewają.

Książki:

Można znaleźć w Burundi w języku kirundi kilka broszurek poświęconych NMP i przetłumaczony VIII rozdział Konstytucji Soborowej o Kościele.

Kościoty i figury:

Niemal wszystkie kościoły w Burundi poświęcone są NMP. Przy okazji przypomnę, że nasz kościół w Mpindze poświęcony jest Królowej Różańca św., kościół w Musongati Królowej Apostołów. Gdziekolwiek można spotkać figurę Matki Bożej w miejscach publicznych.

Legion Maryi:

Niemal we wszystkich parafiach i na stacjach misyjnych działa stowarzyszenie Legion Maryi, mające za cel umacnianie wiary w oparciu o szczególną cześć oddawaną Maryi.

To wszystko już mamy. Pozostaje jednak jeszcze wiele do zrobienia. Przede wszystkim należałoby kult Matki Bożej pogłębić i bardziej powiązać z codziennym życiem. Nie jest to łatwe, ale trzeba to zrobić, by chrześcijaństwo w Burundi stawało się coraz pełniejsze. To w jakiś sposób wydaje się szczególnym zadaniem polskich karmelitów w Burundi. Skoro nie ma w Kościele żadnego świętego, który nie miłował w szczególny sposób Bożej Matki, i skoro chcemy pogłębić życie duchowe naszego młodego Kościoła, musimy starać się zaszczerpić w nim miłość ku Maryi, i to wbrew wszystkim opiniom. Ona na pewno nie przesłoni nikomu Chrystusa – swego Syna – wprost przeciwnie, ukaże Go pełniej w świetle swego macierzyńskiego Serca. **Ona też będzie doskonałym wzorem pełnienia woli Bożej, wzorem żywej wiary, miłości Boga i bliźniego, czystości, rozmodlenia, wzorem doskonałego życia rodzinnego. Każdy szczegół życia w świetle Jej postaci może nabrać innych, pełniejszych wymiarów.** Nie można mówić, że nasi ludzie tego nie rozumieją, że do tego nie dorośli. Któreż dziecko nie dorosło do matki? Ona jest Matką Kościoła i Matką każdego dziecka Bożego. Trzeba ich tylko uczyć poznawać i miłować tę Matkę, i pod Jej wejrzeniem przeżywać z Chrystusem dla Boga codzienne życie. Na pewno zrozumieją.

Pamiętam, że kiedyś z okazji święta Nawiedzenia, powiedziałem prostym ludziom kilka zdań na temat odwiedzin. Oni lubią odwiedzać swoich krewnych, przyjaciół i znajomych. Odwiedzać – znaczy także zanieść dar. Nie można w Burundi iść w odwiedzin z pustymi rękami. Mówiłem więc o odwiedzinach: Lubicie iść ścieżkami przez góry 100, a nawet 200 km, byle odwiedzić swoich. To znak miłości. Maryja także podjęła trud drogi przez góry, by odwiedzić swoich krewnych, ale patrz, co Ona zrobiła, co Ona im zaniósła? Zaniósła radość, zaniósła dobre słowo, płynące z serca przepełnionego wiarą, miłością i łaską. Poszła do krewnych przepełniona Bogiem, i te proste odwiedzin stały się świętem. A ty, co zanosisz, idąc w odwiedzin? Czy idziesz w odwiedzin z łaską uświęcającą w sercu, z Bogiem? Czy zanosisz radość? Może twoje słowa w czasie odwiedzin szarpią sławę bliźniego, ranią miłość, wznecają niesmak, nienawiść. Powiedz, czy twoje odwiedzin były podobne do odwiedzin Maryi?

Dzisiaj prosimy Matkę Bożą, by nauczyła nas tak odwiedzać bliźnich, by te odwiedzin były świętem, radością, by zawsze były z Bogiem, któremu wspólnie śpiewamy hymn dziękczynny za wielkie rzeczy, które nam uczynił.

Nie pamiętam już wszystkich myśli wypowiedzianych wtedy. Później spotkałem się z grupą wiernych, którzy powiedzieli, że jeszcze nigdy tak nie spojrzeli na swoje odwiedzin.

„Trzeba coś zrobić, by one były podobne do odwiedzin Maryi, bo przecież chcemy być Jej dziećmi” – dodali. Radość moja była wielka, bo przecież zrozumieli...

Przepraszam za te osobiste refleksje, ale skoro się już napisało, niech pozostanie, byście wiedzieli, co może myśleć misjonarz, gdy usłyszy pytanie: czy ludzie w Burundi czczą Matkę Bożą?

Owszem, już czczą, ale trzeba to pogłębić, aby obraz Matki Bożej – wierna kopia obrazu Częstochowskiego, dar ks. Prymasa dla naszej misji – nie tylko wisiał w Kościele w Mpindze, ale by malował się w sercach wiernych i promieniował na ich codzienne życie.”¹³⁰

Napisałem te słowa przed 20 laty. Dzisiaj, po 25 latach naszej misyjnej posługi w Burundi i w Rwandzie, pragnę dorzucić jeszcze kilka uwag.

Najpierw muszę wspomnieć, że chociaż w Burundi czcili już i kochali Maryję, to jednak przekonanie ks. prymasa Wyszyńskiego nie spełniło się w pełni. Przynajmniej na początku się nie spełniło. Dając nam obraz Czarnej Madonny ks. Prymas powiedział: „Jestem głęboko przekonany, że Wasi Bracia, których będziecie prowadzili do Chrystusa, gorąco Ją pokochają i rozumieją. Jest przecież do nich podobna”. Tymczasem obraz Czarnej Madonny, umieszczony w kościele w Mpindze, nie został przyjęty z wielkim entuzjazmem. Właśnie to, że przedstawiał Czarną Madonnę, właśnie to, że Maryja była do nich podobna, stanowiło tu pewną przeszkodę. „Przecież Maryja Panna nie była wcale czarną kobietą” – stwierdzili prości ludzie z Mpingi. Już wcześniej, bo w październiku 1971 roku, przekonałem się, że ludzie w Burundi nie lubią „czarnych” figur Matki Bożej. Właśnie na październik proboszcz parafii w Mpindze, Ojciec Biały, postanowił odnowić grotę, przy której odmawiano różaniec. Sprawił nowe ławki przed grotą. Równocześnie jednak w miejsce małej gipsowej figurki Matki Bożej, postanowił postawić większą, bardziej do wnętrza grotki dopasowaną, rzeźbioną w drewnie figurę w stylu afrykańskim. Już po dwóch dniach przyszły do proboszcza czarne siostry zakonne, pracujące przy parafii, z prośbą, żeby przywrócił do grotki dawną figurkę, bo ludzie nie chcą się modlić przed „nieprawdziwą” figurą Matki Bożej. „Prawdziwa Matka Jezusa Chrystusa była przecież białą niewiastą, nie czarną – argumentują. Trudno się dziwić. Przecież potrzeba już jakoś większego wyrobienia artystycznego, by odkryć głęboką myśl zawartą w jakiejś ikonie lub rzeźbie. Zresztą wiemy dobrze, że także w Europie ludzie prości – i nie tylko prości – chętniej się modlą przed prostą figurą Matki Bożej z Lourdes lub z Fatimy, niż przed artystyczną figurą czy symbolicznym obrazem Maryi. Inną przeszkodą w gorącym przyjęciu Czarnej Madonny stanowiły rysy Częstochowskiej Panny. Była to przeszkoda o wiele delikatniejszej natury. Zwróciła mi na nią uwagę pewna dziewczyna spomiędzy Tutsi. Mówiła: „Proszę Ojca, nie wiem, czy dobrze zrobiliście budując ołtarz i umieszczając w nim ten właśnie obraz. Maryja jest na nim czarna, posiada pociągłe rysy i wydłużony nos. Teraz, kiedy na nowo zaostriął się konflikt pomiędzy Tutsi a Hutu, nasi wierni spomiędzy Hutu mogą sądzić, że Kościół jest jakoś po stronie Tutsi, skoro nawet Matkę Bożą przedstawia się jako podobną do Tutsi. Obawiam się, że nie przyjmą tego dobrze”. Rzeczywiście poważna obawa.

Trzeba było dołożyć wielu starań, aby Czarna Madonna została zrozumiana, przyjęta i pokochana. Przede wszystkim trzeba było usilnie tłumaczyć, że obraz nie przedstawia wcale

„czarnej” kobiety, Murzynki, że nie przedstawia ani Tutsi, ani Hutu, lecz Maryję z Nazaretu, Matkę Pana, białą niewiastę, której oblicze posiada ciemną, śniadą cerę. Dlaczego? Malarz obrazu chciał zapewne nawiązać do słów Oblubienicy z Pieśni nad pieśniami, które stosuje się do Maryi: „Śniada jestem, lecz piękna, córki jerozolimskie, jak namioty Kedaru, jak zasłony Szalma. Nie patrzcie na mnie, żem śniada, że mnie spaliło słońce.”¹³¹ Tak, zasłony namiotów z Kedaru, sporządzone z koziej sierści i wystawione na słońce, na deszcz, na piaskowe burze, były zazwyczaj ciemnobrunatne, wprost czarne. Tę ciemnobrunatną, szarą, śniadą barwę przypisuje sobie Maryja, bo pragnie, abyśmy zrozumieli, że spaliło Ją słońce. Słońce może być dla nas obrazem, symbolem blasku Bożego Majestatu, może być obrazem żaru Bożej miłości, która płonie w Sercu Bożym. Maryja stanęła najbliżej tego blasku i żaru. W modlitwie, w kontemplacji, w porywach miłości wzniosła się aż do tego Słońca, którym jest miłość Boża, a tak naprawdę to sam Bóg w swojej miłości „wejrzał na uniżenie swojej Służebnicy”¹³² i pociągnął Ją, przygarnął do Siebie. Nic zatem dziwnego, że spaliło Ją Słońce.

Ale na słońce możemy spojrzeć jeszcze inaczej. Właśnie w Burundi, w pobliżu równika, wiemy z doświadczenia, jak dokuczliwe może być dla człowieka słońce, jak może palić jego żar. Słońce może być zatem doskonałym symbolem, obrazem cierpień, utrapień, które doświadczają człowieka. Nie jest też żadną tajemnicą, że twarz białego człowieka, który trzusi się, który pracuje na słońcu, w słonecznym skwarze, staje się ciemna, brunatna, śniada. Jeżeli człowiek trzusił się w słonecznym skwarze powodowany miłością, to jego ciemna twarz posiada swoiste piękno, to właśnie śniadość dodaje uroku jego obliczu. Wiadomo również, że oblicze białego człowieka, przybiera często barwę ciemną, szarą, ziemistą, brunatną. To właśnie chciał na obrazie przedstawić malarz, ukazując nam Maryję z ciemną, brunatną twarzą. „Śniada jestem, lecz piękna... spaliło mnie słońce” – zda się wołać Maryja. Brunatna, ciemna, niemal czarna barwa oblicza Maryi w tym obrazie pragnie nam przypomnieć, że Wszechmogący Bóg zechciał Maryję wystawić na palące słońce cierpień fizycznych i doświadczeń duchowych, bo zechciał, aby z Jego Synem Ukrzyżowanym prawdziwie współcierpiała dla naszego zbawienia. Szła Maryja w słońcu utrapień od Zwiastowania aż po Krzyż. „Śniada jestem, lecz piękna...” Tak, naprawdę piękna jest Maryja w śniadości swego matczynego oblicza. Ta śniadość mówi nam bowiem o Jej wielkiej ku nam miłości, która Ją kosztowała wiele cierpień i utrapień, o miłości, która mieczem boleści przeszła Jej serce. Nigdy nie powinna nas odstraszyć śniadość Jej oblicza, wprost przeciwnie, powinna nas do Maryi przyciągać. Śniadość ta mówi nam bowiem, że Ona wiele z miłości ku nam przecierpiała. A jeżeli tak, to Ona, nasza Matka, dobrze nas rozumie, przyjmie, umocni wtedy, kiedy nas samych dotyka cierpienie, trud, udręka, kiedy nasze oblicze ciemnieje w słońcu doświadczeń.

Te i tym podobne wyjaśnienia, powtarzane od czasu do czasu, robiły swoje. Ludzie w Mpindze nawiązywali serdeczną więź z Czarną Madonną. Pomagały w tym także Msze święte, które w tygodniu, gdy mniej wiernych przychodziło do kościoła, odprawialiśmy w bocznej nawie, przed ołtarzem Maryi. Coraz częściej można było spotkać wiernych, którzy

¹³¹ Pnp. 1, 5-6

¹³² Łk. 1, 48

spontanicznie klękali przed obrazem Maryi i długo z Nią rozmawiali. Zauważyłem też później, że w czasie rozdawania różnych obrazków, wybierali właśnie obrazki przedstawiające Jasnogórską Pannę. Pokochali Ją i zrozumieli, i jestem przekonany, że to właśnie Ona, bardziej niż my sami, prowadziła ich do Chrystusa.

Do Rwandy przywieźliśmy inne obrazy Matki Bożej. Nie musieliśmy zatem „przyuczać” naszych wiernych do Czarnej Madonny. W Butare, u wejścia do kaplicy, umieściliśmy piękną, dużą figurę Matki Bożej Szkaplerznej, sprowadzoną z Rzymu. Natychmiast została przyjęta i pokochana. Figura była dobrze widoczna już z drogi, a zwłaszcza od bramy wejściowej i od naszego „obejścia”. Maryja witała pierwsza wszystkich przychodzących do naszego domu, do domu rekolekcyjnego i do naszej kaplicy. Wszystkim ukazywała swego Syna-Dzieciątka, który z Jej ramion wyciągał do wszystkich swe ręce. Radowaliśmy się bardzo widząc, że wielu zatrzymuje się przed tą figurą, że wielu długo i serdecznie z Maryją rozmawia. Z czasem zaczęły się przed figurą Maryi pojawiać kwiaty. Ktoś je przyniósł. Czasem wkładano kwiaty w ręce Maryi i Dzieciątka. Nie ma w Rwandzie zwyczaju ofiarowywania komuś kwiatów. Widocznie podpatrzono, że biali z różnych okazji obdarzają się kwiatami. Chciano więc także Maryi, jako białej niewieście, sprawić radość, przynosząc Jej kwiaty.

W odpowiedzi na pytanie: czy ludzie w Rwandzie czczą i kochają Maryję? – mógłbym dosłownie powtórzyć to, co napisałem mówiąc o czci oddawanej Maryi w Burundi. Uderzył nas, Karmelitów Bosych, jeden rys szczególny: byliśmy mile zaskoczeni, widząc rozwijające się nabożeństwo do Matki Bożej Szkaplerznej.

Tak w Burundi, jak i w Rwandzie, chyba od czasów zaprowadzenia tu chrześcijaństwa, misjonarze w dniu pierwszej Komunii świętej nakładali dzieciom szkaplerz święty. Starszym katechumenom nakładano go w dniu chrztu świętego. O szkaplerzu pouczano wiernych od czasu do czasu, chociażby z okazji przyjmowania do bractwa szkaplerznego nowych grup dzieci. W Burundi nie miało to większego oddźwięku w zachowaniu się wiernych. Tymczasem w Rwandzie zaczęły powstawać grupy interesujące się żywo tą formą nabożeństwa, jaką jest szkaplerz karmelitański. Przyczyniły się do tego w dużej mierze Siostry Karmelitanki Bose z Kigali. Powoli, nie tylko w parafiach stolicy, ale także w innych parafiach na terenie kraju, powstawały Bractwa Szkaplerzne. Wydano dla nich w kinyarwanda małą broszurkę o czci Matki Bożej z Góry Karmel. Przynajmniej raz na rok, z okazji uroczystości Matki Bożej Szkaplerznej (16 lipca), przedstawiciele tych bractw zbierali się w Kigali na swe święto patronalne. Był to niejako ich dzień skupienia: okazja do wspólnej modlitwy, Mszy św., sakramentu pokuty, okazja do wymiany doświadczeń, a przede wszystkim do wysłuchania pouczeń o prawdziwym ukochaniu Maryi: nie tylko w nabożeństwach i modlitwie, ale przede wszystkim w naśladowaniu Jej w codziennym życiu. Treść tych pouczeń mieli później przekazywać siostram i braciom z Bractwa Szkaplerznego na terenie ich własnych parafii. W ostatnich latach na te spotkania w Kigali zbierało się około 300 osób. Wnet się okazało, że te spotkania nie wystarczają, że trzeba dotrzeć do Bractw Szkaplerznych w parafiach. Obawialiśmy się, żeby te bractwa nie stały się jakąś nową, ale trochę bezduszną, formą dewocji. Z braku wypracowania własnego stylu spotkań członków Bractw Szkaplerznych, naśladowano styl Legionów Maryi. Polegał on przede wszystkim na wspólnym odmawianiu różańca, na omówieniu apostoelskich zadań, na zastanowieniu się, jak można pomóc biednym lub chorym w parafii. Zbierano składkę na potrzeby ubogich i

sporządzano raport z zebrania, który odczytywano na następnym spotkaniu. Duchowy pożytek tych zebrań zależał w dużej mierze od przewodniczącego, od animatora grupy. Trzeba przyznać, że na szczęście wśród animatorów Bractw Szkaplerznych w Rwandzie znaleźli się ludzie ze średnim, a nawet wyższym wykształceniem. To oni przede wszystkim mieli nadzieję, że kiedyś zostanie dla nich założony świecki zakon karmelitański. Na razie chcieli coś więcej wiedzieć o Karmelu, o jego historii, o jego świętych, chcieli znać **Dzieła** św. Teresy od Jezusa i św. Jana od Krzyża, chcieli poznać karmelitańską metodę modlitwy, itd. Chcieli to przekazywać członkom swoich bractw. Domagali się także coraz usilniej, aby karmelita pojawiał się częściej w parafiach, gdzie istnieje Bractwo Szkaplerzne. Domagali się tego również proboszczowie tych parafii. Było to i nasze ciągłe pragnienie. Byliśmy bowiem zatroskani o to, by członkowie Bractw Szkaplerznych byli prawdziwymi czcicielami Maryi, by od Niej uczyli się nie tylko modlitwy, nie tylko rozradowania się w Bogu Zbawicielu, ale pełnego zaangażowania się w dzieło Zbawienia poprzez codzienne **fiat** mówione Bogu w odpowiedzi na wymagania Jego świętej Woli. Pragnęliśmy, aby członkowie Bractw Szkaplerznych odznaczeni się w parafiach uczciwym życiem osobistym i rodzinnym, miłością bliźniego i aktywnością w niesieniu pomocy w duszpasterskich pracach parafii.

Niestety, muszę tu wyznać z bólem serca, że często te pragnienia i wymagania Bractw Szkaplerznych przerastały nasze możliwości. Byliśmy odpowiedzialni w Rwandzie za parafię w Rugango, w Gahundzie i za dom rekolekcyjny w Butare. Często proszono nas o przeprowadzenie rekolekcji lub dni skupienia w domach różnych zgromadzeń zakonnych. W niektórych z tych domów byliśmy stałymi spowiednikami. Dom w Butare był także domem wychowawczym dla kandydatów do naszego Zakonu i dla nowicjuszy. Ponadto nasze Siostry Karmelitanki Bose w Kigali, w Remora-Ruhoudo i Cyangugu domagały się duchowej opieki: dni skupienia, konferencji, spowiedzi, kierownictwa duchowego. Jakże przy tym ogromie pracy mogliśmy otoczyć dostateczną i skuteczną opieką Bractwa Szkaplerzne, które już działały w kilkunastu parafiach? W roku 1993 wydaliśmy dla tych bractw nieco poszerzoną broszurkę o czci Matki Bożej z Góry Karmel, ale zdawaliśmy sobie sprawę, że to wcale nie zaspokoi głodu serc, pragnących z całym Karmelem i na wzór Karmelu czcić i kochać Bożą Matkę. Jakże szerokie i wdzięczne pole pracy, na którym, niestety, mogliśmy się pojawiać tylko od czasu do czasu. Wciąż brakowało ludzi. W Rwandzie pracowało nas ośmiu, a najwyżej dziewięciu. Później, gdy opuściliśmy parafię w Rugangi, by wrócić do Burundi, zostało nas w Rwandzie tylko sześciu.

Ufam, że Maryja natchnie młodych kapłanów naszej Polskiej Prowincji do podjęcia misyjnej pracy w Burundi i w Rwandzie. Ufam, bo przecież Matka nie może patrzeć obojętnie, gdy Jej dzieci umierają z braku duchowego pokarmu. Wiem, że i dzisiaj są głodne, chociaż nie umiem powiedzieć, jak te Bractwa Szkaplerzne przeżyły straszliwą wojnę 1994 roku. Niestety, po tej wojnie nie mieliśmy jeszcze możliwości zapoznać się z ich losem. Wróciło bowiem do Rwandy pięciu naszych kapłanów i jeden brat zakonny. To mało, tym bardziej, że czuliśmy się zobowiązani do niesienia pomocy diecezji w Ruhengeri, pozbawionej przez wojnę kapłanów. Pracują tam, w katedralnej parafii (60 000 wiernych) i w parafii Gahunga (8 000 wiernych) o. Sylwan Zieliński i o. Jan Malicki przy pomocy brata Ryszarda Żaka. Sam, ponieważ już 5 lat nie byłem na wakacjach, w roku 1995 wyjechałem do Polski, gdzie zatrzymała mnie na dłużej ciężka choroba serca. W Butare zatem pozostał tylko o. Kamil Ratajczak i o. Damian Fedor. Wszyscy, ci w Ruhengeri i ci w Butare, mają

pracy ponad siły. Trudno zatem, żeby nieśli wydatną pomoc Bractwom Szkaplerznym, żeby pomagali w ich odrodzeniu się po wojennej zawierusze. Ufam, wciąż ufam, że młodzi Karmelici Bosi z Polski pojedą do Burundi i do Rwandy. Są przecież karmelitami. A nie można być karmelitą i nie kochać Maryi. Nie można zaś prawdziwie kochać Maryi i patrzeć obojętnie na Jej dzieci umierające z głodu, z duchowego głodu. Dzieci tych udręczonych narodów potrzebują dzisiaj, bardziej niż kiedykolwiek, Matki - Bożej Matki.

Tę potrzebę matki różnie wyrażają. To pewne, że ludzie tych krajów, w których w każdej rodzinie jest dużo dzieci, dobrze zaobserwowali, że dziecko potrzebuje matki, że dziecko bez matki nie może się prawidłowo rozwijać, że nie może czuć się bezpiecznie bez matki. Trzymając się ręki matki, dziecko spokojniej kroczy trudną, wyboistą drogą nawet wtedy, gdy wokół panują ciemności. Pragną zatem, aby Maryja była im prawdziwą matką na trudnych drogach życia. Sami zresztą, i to niejednym raz doświadczyli, że z Maryją można przeżyć wiele. Pozwólcie, że wspomnę tu jedno z tych doświadczeń.

Pewna zaprzyjaźniona z nami pielęgniarka spędzała od czasu do czasu jeden dzień lub dwa na modlitwie w naszym domu rekolekcyjnym w Butare. Pracowała ostatnio w Gisagarze, w ośrodku zdrowia prowadzonym przez siostry zakonne Abizeramariya. Z okazji Wielkanocy 1994 roku zjawiała się u nas, by złożyć świąteczne życzenia. Zauważyłem, że odchodząc, zatrzymała się na chwilę przed figurą Matki Bożej, że zanim odeszła, uścisnęła mocno, serdecznie rękę Maryi. Zdziwiłem się, bo zazwyczaj nie okazywała na zewnątrz swych uczuć, swej pobożności: „Proszę Ojca, odczułam, że bardzo potrzebuję Matki! Czuję się trochę osamotniona. Cóż, cała rodzina w Zairze, a w nowym miejscu pracy nie zdążyłam jeszcze nawiązać przyjaźni. Tak, bardzo potrzebuję Matki!” Powiedziałem: „Zaufaj Maryi, nie zawiedziesz się na Niej. Ona jest Matką!” Jeszcze raz ujęła na chwilę rękę Maryi i odeszła.

Pojawiła się w Butare dopiero pod koniec sierpnia, kiedy zelżała już wojenna zawierucha. Opowiedziała mi w wielkim skrócie to, co przeżyła w ostatnich miesiącach:

„Kiedy w Gisagarze zaczęła się rzeź Tutsi, nie miałam gdzie uciekać. Nie znałam tu jeszcze ludzi. Zresztą nie było dla Tutsi żadnego miejsca ucieczki. To było straszne. Zapewne Ojciec wie, że nawet kościoła w Gisagarze nie uszanowano, mordując księdza w konfesjonale i liczną grupę Tutsi stojących w kolejce do spowiedzi. Pozostałam w ośrodku zdrowia. Grożono mi śmiercią, ale jakoś pozostawiono przy życiu. Cóż, bałam się śmierci, a jeszcze bardziej tych okrutnych męczarni, które przy tym zadawano. Nosiłam przy sobie 10 000 franków, aby sobie kupić kulę, żeby zostać zastrzeloną, a nie być rąbaną na kawałki. Na noc ukryłam się między staruszkami przytułku prowadzonego przez siostry. Ale i tu nie było żadnego bezpieczeństwa. Węszono wszędzie. Kiedy po kilku dniach zamordowano dwie moje koleżanki, siostry radziły mi, bym poszukała sobie jakiejś kryjówki. Ale gdzie? Byłam zupełnie bezradna. W tych dniach grozy wciąż pamiętałam o Maryi. To dodawało siły. Wtedy, w mej bezradności przypomniałam tej dobrej Matce ten gest, który kiedyś zdziwił Ojca. Na nowo oddałam się w ręce Maryi i ruszyłam przed siebie w nadziei, że może jakoś przedostanę się do Butare (12 km), że może tam nie było takiej masakry. Prosiłam Bożą Matkę, by mnie prowadziła, by sama wyszukała kryjówkę. I jak wtedy Ojciec powiedział, nie zawiodłam się. Wnet spotkałam leżącą kiedyś w ośrodku zdrowia żonę pewnego policjanta. Przyjęła mnie i ukryła na strychu swego domu. Bodaj już ma drugi dzień odkryto jej ukrywającą się sąsiadkę; wśród wrzasków i obelg porąbano ją i zostawiono. Po jakimś czasie usłyszałyśmy jej jęki. Przeniosłyśmy ją do ‘naszego’ domu. Była bardzo poraniona, ale żyła.

Posłałyśmy dziewczynę od drugiej sąsiadki Hutu do sióstr po opatrunki i nici. Pozszywałam rany i zabandażowałam. Już po trzech dniach widać było, że przeżyje. Musiała jednak pozostać w izbie. Niestety, po kilku dniach odkryto ją i usiłowano zabić. Żona policjanta broniła jej jak mogła. W tym czasie siedziałam na strychu i przez cienki sufit z maty słyszałam te przetargi. Odchodzili, ale znów przychodzili twierdząc, że muszą ją dobić. Codziennie odmawiałyśmy razem cały różaniec. Niestety, po kilku dniach nie pomogła żadna obrona. Wywleczono ją i porąbano na kawałki na progu domu. Usiłowano przeszukać dom. Sądziłam, że to koniec. Na nowo powierzyłam się Maryi ufając, że skoro wyszukała mi kryjówkę, to przecież mnie obroni. Odchodzili i wracali. Wydawało się nam, że są pewni, że się ktoś w domu ukrywa. Po dwóch tygodniach wrócił policjant. Robił żonie ostre wymówki, twierdził, że doniesiono mu, że ukrywa Tutsi. Powiedział, że nie wejdzie do domu, dopóki ukrywający się nie wyjdą. Wtedy żona odpowiedziała, że żadnych Tutsi nie ukrywa. Przyjęła wprawdzie jedną dziewczynę, której grożono śmiercią, ale to obywatelka Zairu. Na szczęście miałam dokumenty zairskie. Wtedy już nawet przez radio nawoływano, by obcokrajowców oszczędzać. Chciał, żebym mu przyniosła moje dokumenty. Gdy stwierdził, że jestem Zairką, powiedział, że nie każde mnie zabić, chociaż jestem Tutsi, ale z jego domu muszę natychmiast się wynosić. Znów powierzyłam się Maryi i wróciłam do ośrodka zdrowia. Podjęłam pracę. Fala nienawiści już nieco opadła. Od czasu do czasu nachodzono mnie jednak, grożono śmiercią. Pokazywałam moje dokumenty twierdząc, że jestem Zairką, a nie żadną Tutsi lub Hutu. Zresztą śmierci wcale się nie boję. Stale nosiłam przy sobie pieniądze na zakupienie kuli. Z czasem dano mi spokój, tym bardziej, że wobec zbliżania się Inkotani, sami Hutu poczuli się niepewnie. Tak więc przetrwałam dzięki Maryi i dzięki dobrej kobiecie. Nie wiem, co się z nią dzieje. Może uciekła z mężem do Zairu. Ale Maryja tu została. Cieszę się, że nie uszkodzono Jej figury, że można znów ująć Jej matczyną dłoń. Nadal bardzo potrzebuję Matki!”

Nie tylko pielęgniarka Agnes M. potrzebuje Matki. **Bożej Matki potrzebują wszyscy w Burundi i w Rwandzie. Potrzebują Jej nie tylko po to, aby – jak matka dziecko – przeprowadziła ich przez trudne drogi życia, ale potrzebują Jej, aby rodziła ich na dzieci Boże.** Nie ma przecież dziecka bez matki. Każde dziecko rodzi się z matki. Tak jest w porządku natury i tak jest w porządku łaski. To prawo, ustanowione przez Boga, jest przez Niego samego szanowane do końca. Kiedy Bóg postanowił, że Boży Syn stanie się Człowiekiem, że przyjdzie na świat jako dziecko, aby tym, którzy w Niego uwierzą, którzy Go przyjmą, dać moc, aby się stali dziećmi Bożymi¹³³, postanowił równocześnie, że jedyny Syn Boży narodzi się człowiekiem z niewiasty. Nie ma dziecka bez matki. Każde ludzkie dziecko musi się narodzić z ludzkiej matki. Także w porządku łaski każde dziecko Boże musi narodzić się z Bożej Matki. Maryja została wybrana, aby być Matką jedynego Bożego Dziecka i równocześnie matką wszystkich Bożych dzieci. Pamiętał o tym Kościół święty. Wiedział, że jeżeli ma rodzić Boże dzieci ku chwale Boga Ojca, to musi to robić z Maryją, to musi je rodzić przez Maryję. Dlatego też Kościół w Burundi i w Rwandzie usiłował zawsze prowadzić swych wiernych do Maryi.

Jednym z przejawów tego usiłowania w Burundi było i jest pragnienie stworzenia Centrum Kultu Maryjnego w Mugerze. Mugerze to mała miejscowość, położona niemal w sercu Burundi, w diecezji Gitega. W pobliżu parafii, wśród malowniczych skał, ktoś urządził tu grootę, na wzór groty z Lourdes, z dużą figurą Matki Bożej. Modlono się tam chętnie i wypraszano łaski. Z biegiem czasu do tej groty zaczęli przychodzić ludzie niemal z całego kraju. Bardziej tłumnie zbierali się w Mugerze z okazji Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny. Episkopat Burundi, szczególnie zaś biskup Joachim Ruhuna pragnął, aby Mugerze stała się miejscem wspólnej modlitwy narodu, miejscem czci oddawanej Maryi, małym sanktuarium, ale sanktuarium na wzór Lourdes, Fatimy czy Częstochowy. Próbowano urządzić tu bardziej okazałe uroczystości, na skalę krajową. Pamiętam, że w roku 1976 świętowano w Mugerze rok kapłański i modlono się o rodzime powołania. Wtedy też zorganizowaliśmy pielgrzymkę z Musongati i Mpingi do Mugery. Pisałem wtedy na ten temat: „Nie należy wyobrażać sobie wielkiej Częstochowy czy Kalwarii Zebrzydowskiej. Mugerze to po prostu parafia, w której zbudowano skromną grootę na wzór Lourdes. Każdego roku, 15 sierpnia, zbiera się tam trochę ludzi z okolicy. Przychodzą grupkami z różnych parafii, ale przychodzą raczej indywidualnie. Pielgrzymka z Musongati i Mpingi była chyba pierwszą zorganizowaną pielgrzymką. Poszło pieszo trzech ojców, trzy siostry i około 150 osób. Trzy dni drogi, w czasie której śpiewano pieśni, odmawiano różaniec i prowadzono rozmowy na tematy religijne.

W wioskach, przez które przechodzono, wywoływało to zdumienie. Wieczorem nabożeństwo i spowiedź, rano Msza św.

Uroczystości w Mugerze były w tym roku związane z rokiem kapłańskim. Jubileusze święceń kapłańskich arcybiskupa Gitegi - A. Makarakizy oraz wielu kapłanów i misjonarzy, jubileusze ślubów zakonnych i święceń kapłańskich zgromadziły w Mugerze 12 biskupów, licznych kapłanów, wiele osób zakonnych i kilka tysięcy wiernych. Nasi parafianie wrócili zmęczeni, ale pełni duchowej radości. Już dziś wybierają się i obiecują, że na przyszły rok pójdą grupą o wiele liczniejszą.

Biskup Ruhuna, który wciąż wspomina piesze pielgrzymki do Częstochowy, o których mu mówiono w Polsce i z których zdjęcia oglądał, marzył, by także wierni w Burundi nauczyli się nieść wspólnie do stóp Maryi trud drogi, ofiarę i modlitwę, by stawali wspólnie przed obliczem wspólnej Matki. I oto pierwsza próba zorganizowanej pielgrzymki wypadła dobrze. Biskup był zadowolony.”¹³⁴

Centrum Kultu Maryjnego w Mugerze, według zamierzeń ks. bpa Ruhuny, miałyby starać się o tłumaczenie na język kirundi dokumentów Stolicy Apostolskiej, dotyczących Maryi, miałyby tłumaczyć i wydawać bardziej wartościowe książki i artykuły o tematyce maryjnej, wydawać czasopismo dla czcicieli Maryi, wreszcie przeprowadzać rekolekcje dla pragnących odprawić je „pod wejrzeniem Maryi” oraz przyjmować i otaczać duchową opieką pielgrzymów, przybywających do Mugery. Piękne marzenia, wciąż jednak marzenia nie zrealizowane. Ks. bp J. Ruhuna kieruje od czasu do czasu prośbę do Karmelitów Bosych, by zechcieli otoczyć opieką Mugerę i kierować Centrum Kultu Maryjnego. Niestety, nasza Polska Prowincja wciąż odpowiada, że na razie to niemożliwe, bo brakuje ludzi do podjęcia

tej pracy. Napisałem „niestety”, bo byłoby to wspaniałe pole pracy, i to w duchu Karmelu, który cały jest i cały powinien być maryjny. Byłaby to równocześnie działalność, pomagająca wiernym Burundi zbliżyć się do Maryi, by przez Nią rodzić się na Boże dzieci.

Kościół w Rwandzie także pragnie prowadzić swe dzieci do Maryi i także marzy o stworzeniu miejsca kultu Maryi dla całego świata. Takim miejscem miało być Kibeho. Przed wojną 1994 roku zamierzali w pobliżu Kibeho otworzyć swój dom polscy Marianie. Wprawdzie Kibeho nie jest położone centralnie, znajduje się bowiem w nowej diecezji Gikongoro (przed podziałem diecezja należała do Butare), ale przed dziesięciu laty zaczęły się tam "objawienia" Matki Bożej, które ściągają coraz liczniejsze rzesze pielgrzymów. Napisałem słowo objawienia w cudzysłowie, bo na temat ich prawdziwości zdania wciąż są podzielone. Objawienia zaczęły się w internacie szkoły średniej w Kibeho. Bodaj aż 9 dziewcząt zaczęło „widywać” Matkę Bożą i otrzymywać od Niej pouczenia, wskazania, wezwania, orędzia nie tylko dla siebie, ale i dla całego narodu. Z biegiem czasu liczba dziewcząt „widzących” zmniejszyła się. Ale objawienia trwają i daty następnych są z góry zapowiadane. Objawieniami zainteresowała się nie tylko Rwanda, ale też Burundi i część Zairu. Owszem, zainteresowali się nimi także biali z krajów związanych z Rwandą. Napisano w Rwandzie obszerną książkę o Kibeho. Na Zachodzie Europy ukazały się artykuły o objawieniach Maryi w zapalnym zakątku Afryki. Biskup Butare, Jan Chrzyciel Gahamanyi, powołał komisję diecezjalną do zbadania wiarygodności tych objawień. Prace komisji trwają. Sam biskup w swoich listach pasterskich wypowiada się o Kibeho bardzo ostrożnie. Ani nie zaprzecza, ani nie potwierdza prawdziwości objawień, ale wyraża radość, że rzesze wiernych przybywają do Kibeho, aby się wspólnie modlić, aby się na nowo pojednać z Bogiem w sakramencie pokuty, aby zgodnie z wezwaniem Maryi wziąć na nowo Pismo święte do ręki. Jest zatem nadzieja, że Kibeho ożywi wiarę, nakłoni ludzi do życia na co dzień Ewangelią i sprawi, że ludzie się pojedną, by żyć w zgodzie i miłości. Zachęcał więc biskup do pielgrzymowania do Kibeho.

Rozmawiałem z niektórymi członkami diecezjalnej komisji, mającej się wypowiedzieć na temat prawdziwości lub nieprawdziwości objawień w Kibeho. Ich zdania są podzielone. Większość na razie wypowiada się raczej negatywnie. Chociaż bowiem nie ma w orędziach z Kibeho jakiejś herezji, trudno powiedzieć, czy naprawdę natchnione są przez Boga, czy są rzeczywiście orędziem Maryi. Wydaje się, że na samym początku brakło w Kibeho mocnego sprzeciwu Kościoła, jaki np. miał miejsce w Lourdes. Tu skwapliwie i z entuzjazmem przyjęto fakt objawień. Dziewczęta „widzące” podziwiano, wyróżniano, nawet prezydentowi kraju przedstawiono. Osobiście, sprawą objawień w Kibeho nie zajmowałem się z bliska. Przyznaję, że budziła we mnie pewien sprzeciw sceneria objawień, którą mi odmalowano. Wydawało mi się, że za dużo tam nieuzasadnionych omdleń, upadań na ziemię, pokropień wodą święconą i za dużo, o wiele za dużo słów dyktowanych przez Maryję. Wciąż pamiętam słowa, którymi pewien teolog zaopatrzył liczne zeszyty spisanych objawień, które mu dano do zaopiniowania. Nawet ich nie doczytał do końca. Napisał: „Niezgodne z Ewangelią, z której wynika, że Maryja wcale nie była gadułą!” także objawienia z Lourdes i Fatimy zdają się potwierdzać, że Maryja była i pozostała oszczędną w słowach. Tymczasem w Kibeho potok słów zdawał się nie mieć końca. Nie chcę jednak przesądzać. Może Maryja, dobra Matka, dostosowała się w Kibeho do swoich czarnych dzieci, które przyzwyczajone są do

długich przemówień i które same lubią długo przemawiać przy każdej nadarzającej się sposobności.

Opinie co do wiarygodności objawień w Kibeho jeszcze bardziej się podzieliły po straszliwych, wprost apokaliptycznych wydarzeniach, które tam miały miejsce w 1994 i 1995 roku. W kwietniu 1994 roku tysiące Tutsi schroniło się przed nadchodzącą rzezią w szkołach, w katechumenatach, w zabudowaniach misyjnych i w samym kościele w Kibeho. Niestety, nie uszanowano miejsc świętych. Początkowo zgromadzeni Tutsi próbowali się bronić. Nawet wyćwiczonym zastępom szwadronów śmierci nie udawało się skutecznie zaatakować trzech czy pięciu tysięcy ludzi zebranych razem. Poczekali, aż osłabną z braku pożywienia i wody. Postarali się także o broń palną i granaty, którymi obrzucili kościół i szkoły. Później przystąpili do dobijania rannych i zastraszonych. Mówi się, że w samym kościele zginęło około 3 000 osób, od starców począwszy aż po małe dzieci. W całym Kibeho miało zginąć około 5 000 Tutsi. Nikt nie potrafi opisać piekielnych scen, które się tam działy, ziemia głęboko przesiąknęła krwią. Pamiętam, że 18 kwietnia 1994, gdy z o. Janem Kantym Stasińskim przewoziliśmy do Burundi grupę braci zakonnych, był wśród nich jeden z przestrzeloną na wylot piersią. Uszedł z piekła w Kibeho. Opisywał obrazy, mrozące krew w żyłach. Sam patrzył bezradny, gdy w okrutny sposób mordowano jego rodziców, rodzeństwo, krewnych. Uratował się, bo postrzelony padł między zabitych i sądzono, że nie żyje. Przypadkowo odnalazł go później ksiądz, który pomógł mu przedostać się do Butare.

Nowa tragedia miała miejsce w rok później. Kibeho leżało w tzw. „strefie bezpieczeństwa”, którą stworzyli tu Francuzi. Tam też założono obóz dla Hutu, którzy czuli się zagrożonymi, a nie zdążyli uciec do Zairu. Obóz liczył około 10 000 ludzi. Nowy rząd postanowił, że do końca kwietnia 1995 roku wszyscy mają opuścić obóz i wrócić do swoich wiosek. Nikt się nie ruszył. Postanowiono zatem zlikwidować obóz przy pomocy wojska. Nikt nie umie powiedzieć, co się tam naprawdę wydarzyło. Oficjalne wyjaśnienie mówiło, że gdy żołnierze otoczyli obóz i zaczęli pomagać pragnącym wracać do siebie Hutu, działające w obozie grupy szwadronów śmierci zaczęły im w tym przeszkadzać i w końcu zaatakowały żołnierzy. Ci, broniąc się, użyli broni. Zrobił się straszliwy popłoch. Trochę ludzi się zatratowało. Kogoś przy okazji zabito. Działający w obozie „lekarze bez granic” twierdzili, że strzelanina trwała cały dzień i całą noc, że zginęło 5 000, a może nawet 7 000 Hutu. Resztę rozpedzono lub rozwieziono po wioskach samochodami Światowej Organizacji dla Uchodźców. Obóz zlikwidowano, równając wszystko z ziemią. Relacja „lekarzy bez granic” wywołała komentarze. Wnet je wyciszono. Powołano nawet międzynarodową komisję, która miała sprawdzić, co się w Kibeho naprawdę wydarzyło. Komisja stwierdziła: „W grobach, które widzieliśmy w Kibeho, znaleźliśmy tylko 136 zabitych”. Była to prawda i nieprawda zarazem. Powiedziano: „w grobach, które widzieliśmy”, ale nie powiedziano, czy były to wszystkie groby. Rząd Rwandy opuścił słowa „które widzieliśmy”, i wołał na cały świat: „Międzynarodowa Komisja znalazła w grobach w Kibeho tylko 136 osób. Nie było żadnego ludobójstwa. Większość pochowanych to ci, którzy się zatratowali w popłochu i zabiłi ze szwadronów śmierci. A jeżeli żołnierze nadużyli broni, zostaną surowo ukarani!”

Wróćmy jednak do naszego tematu. Ci, którzy uznają wiarygodność objawień w Kibeho mówią: „Maryja wzywała do modlitwy, do pokuty, do pojednania się. Nie posłuchano Jej upomnień i oto spotkała nas klęska, zapowiadana przez Maryję. To potwierdza prawdziwość objawień. Potwierdza ją także fakt, że moce piekielne w szczególny sposób

„zawzięły” się na miejsce, wybrane przez Maryję. Szatan zawsze jest zawziętym wrogiem Maryi”. Przeciwnicy zaś prawdziwości objawień powiadają: „ Gdyby Maryja wybrała to miejsce, nie byłoby w Kibeho tak okrutnej rzezi. Maryja jest Matką dobroci, miłosierdzia, pokoju, a nie mściwości i zemsty. Maryja nie dopuściłaby, aby tu dokonano takiego rozlewu krwi. Od początku, już w czasie tych rzekomych objawień, działał tu szatan, nie Maryja”.

Niezależnie od tego, po czyjej stronie jest słuszność – od orzekania o tym jest Nauczycielski Urząd Kościoła – wniosek narzuca się sam: trzeba nam koniecznie powrócić do Maryi, do Maryi z Ewangelii, do Matki Bożego Syna i naszej Matki. Trzeba nam słuchać Maryi, Jej wezwania aktualnego po wszystkie czasy i aktualnego w każdym zakątku świata: „Zróbcie wszystko, cokolwiek wam powie.”¹³⁵ Tak, Maryja woła: Dzieci moje, zróbcie wszystko, cokolwiek mój Syn wam powie! Chciał Duch Święty, aby to wezwanie zostało zapisane w Ewangelii świętej. Chciał, aby słudzy Jezusa Chrystusa, jak owi słudzy w Kanie, z tym wezwaniem Maryi poszli na wszystkie drogi świata, aby je wypełniali w codziennym życiu do końca świata. Jeżeli je wypełnimy, będzie następować cudowna przemiana wody ludzkiej nędzy i grzechu w wyborne wino Bożego życia. „Zróbcie wszystko, cokolwiek wam powie”! Jeżeli to rzeczywiście zrobimy, wystarczy!

„Nie bój się wziąć do siebie Maryi...”¹³⁶ „... weź Dziecię i Jego Matkę...”¹³⁷ – to Boże wezwanie powtarza nieustannie Anioł Pański. To wezwanie ochotnym sercem przyjęli przed 25 laty polscy Karmelici Bosi. Wzięli Maryję na drogę swej misyjnej posługi w Afryce. Pamiętali, że Ona jest pierwszą Misjonarką Afryki. Ona przecież pierwsza przyniosła Jezusa na Czarny Ląd. Radowali się, że to właśnie im dozwolono kontynuować dzieło, które Ona zapoczątkowała: przynosić Jezusa na afrykańską ziemię. Chcieli to robić z Maryją. A może właśnie Ona chciała to robić z nimi, poprzez ich biedną, ludzką posługę? Wzięli Maryję i nie zawiedli się na Niej. Czyż zresztą można zawieść się na Matce, na takiej Matce? Jezus mówi nieustannie do swojej Matki: „Niewiasto, oto syn Twój”, oraz do ucznia: „Oto Matka twoja”. Brała ich zatem w macierzyńską opiekę, a oni, jak uczeń, brali Ją do siebie ¹³⁸, brali Ją we wszystkie swoje sprawy.

Dzisiaj, po 25 latach, trzeba to zrobić na nowo. Wziąć Maryję do siebie, w swoje osobiste życie i w misyjną posługę w Burundi i w Rwandzie. Trzeba wziąć Maryję, bo zwłaszcza dzisiaj bardzo potrzebują Maryi ludzie w tych udręczonych zakątkach świata.

Potrzebują Maryi ci, którzy przeżyli ucieczkę i którzy wciąż jeszcze żyją na uchodźstwie, w obozach Gomy, Bukawu i tylu innych miejscowości. Ona, która wraz z Dzieciątkiem Jezus weszła w tragedię ucieczki człowieka przed człowiekiem i która długie lata żyła na wygnaniu w Egipcie, pomoże im po ludzku i po Bożemu przeżywać ciężki los, który zgotowali im ludzie.

¹³⁵ J 2,5

¹³⁶ Mt. 1,20

¹³⁷ j. w. 2,13

¹³⁸ Por. J. 19, 26-27

Potrzebują Maryi ci, którzy wracają z wygnania, by życie zaczynać na nowo i ci wszyscy, którzy nieustannie borykają się z trudnościami codziennego życia w ubóstwie swoich biednych domów. Ona sama przeżyła to wszystko. Będzie więc dla nich pomocą i wzorem.

Potrzebują Maryi ci, którzy wciąż stoją pod krzyżem, patrząc na okrutną śmierć swoich najbliższych. Ona, która stała obok krzyża Jezusowego¹³⁹, najlepiej pomoże im zrozumieć, że cierpienie i śmierć Bożego Syna zbawiają świat, zbawiają każdego człowieka i ostateczne rozwiązanie znajdują w chwale zmartwychwstania.

Potrzebujecie Maryi cały Kościół w Burundi i w Rwandzie. Właśnie dzisiaj potrzeba, aby trwał jednomyślnie na modlitwie razem z Maryją, Matką Jezusa.¹⁴⁰ Powiedział ktoś, że jeżeli Duch Święty zechciał, aby ta wzmianka Dziejów Apostolskich była ostatnią wzmianką o życiu Maryi na tej ziemi, to ma ona ważną teologiczną wymowę. Taki Kościół chce mieć na zawsze Bóg: Kościół trwający jednomyślnie na modlitwie z Maryją i pamiętający, że kiedy zjednoczony modli się, uwielbia Boga, prosi o pomoc, to zawsze jest z nim Maryja, Matka Pana. Takim powinien być cały Kościół, ale takim powinien być przede wszystkim każdy młody, odradzający się Kościół. Takim powinien być Kościół w Burundi i w Rwandzie. Zaszczyną rolę Karmelu, który cały jest maryjny, jest nieustanne przypominanie temu młodemu Kościołowi, że powinien trwać jednomyślnie na modlitwie wraz z Maryją i wypraszać moc i miłość Ducha Świętego, który prowadzi nas do całej prawdy.¹⁴¹

„O Maryi nigdy dosyć” – powtarzał św. Bernard, a za nim ci wszyscy, którzy w ludzkich słowach chcieli wyśpiewać chwałę Maryi i Jej macierzyńską miłość. Nie potrafię i ja powiedzieć dosyć o Maryi w naszej misyjnej posłudze, nie potrafię powiedzieć wszystkiego, co czuje serce. Dlatego kończę te kilka nieudolnych zdań, a kończę je modlitwą Jana Pawła II, który swą adhortację apostolską **Ecclesia in Africa** kończy słowami:

„... zwracam się ku Maryi, Gwieździe Ewangelizacji, aby u progu zbliżającego się Trzeciego Tysiąclecia zawierzyć Jej Afrykę i misję ewangelizacyjną. Kieruję do Niej myśli i uczucia wyrażone w modlitwie, którą ułożyli moi Bracia Biskupi na zakończenie Synodu w Rzymie:

*Maryjo, Matko Boga i Matko Kościoła,
dzięki Tobie w dniu Zwiastowania,
u zarania nowych czasów,
cała ludzkość i wszystkie jej kultury
z radością odkryły, że są zdolne przyjąć Ewangelię.*

¹³⁹ Por. J.19, 25

¹⁴⁰ por. Dz. 1, 14

¹⁴¹ por. J 15, 13

Dzisiaj, w przededniu nowej Pięćdziesiątnicy
Kościoła w Afryce, na Madagaskarze
i sąsiednich wyspach,
Lud Boży wraz ze swymi Pasterzami
zwraca się ku Tobie i razem z Tobą zanosi błaganie:
niech wylanie Ducha Świętego sprawi,
by afrykańskie kultury
odznaczały się jednością i różnorodnością;
niech przemieni mieszkańców
tego wielkiego kontynentu
w wielkoduszne dzieci Kościoła,
który jest Rodziną Ojca,
wspólnotą Braci Jego Syna i obrazem Trójcy,
założeniem i początkiem na ziemi
tego wiecznego Królestwa,
które osiągnie swą pełnię
w Mieście zbudowanym przez Boga:
Mieście sprawiedliwości, pokoju i miłości”.

8. „MIŁOŚCIĄ OŻYWIENI SŁUŻCIE SOBIE WZAJEMNIE!”¹⁴²”

We wstępie do książki **Misyjny trud** przypomniałem słowa mojego kazania, wygłoszonego 20 października 1974 w Poznaniu. Oto one:

„Zbawia się tylko na krzyżowej drodze. Jeżeli misjonarz ma zbawiać, prowadzić ludzi do zbawienia, to jego droga musi być krzyżowa, jak krzyżowa była droga Jezusa Chrystusa. Na krzyżowej zaś drodze człowiek ogląda się za Cyrenejczykiem i za Weroniką. Jeżeli znajdzie się Cyrenejczyk, to chociaż trochę ulży w niesieniu krzyża. Jeżeli znajdzie się Weronika, to umęczone oblicze zaczyna jaśnieć na nowo. Wielu z

Was stało się dla nas Cyrenejczykami i Weronikami. Wielu z Was! Składamy Wam za to z całego serca **Bóg zapłać!**”¹⁴³

Jeżeli pragnę tu wspomnieć i wielbić Boga za wielkie dzieła, których w 25 latach naszej posługi misyjnej raczył dokonać w nas i poprzez nas – to nie mogę nie śpiewać serdecznego **Te Deum** i pełnego wdzięczności **Magnificat** za to, że na krzyżowej drodze naszej posługi misyjnej postawił wielu dobrych pomocników. Nie potrafię tu wszystkich wymienić, bo na to trzeba wielu stron. Zresztą jest wśród nich wielu tak skromnych, że nie chcą, by o nich mówić po imieniu. Chcę jednak wszystkich zapewnić, że o każdym z nich pamiętamy z serdeczną wdzięcznością, że wszystkich nosimy w sercu. Małym wyrazem tej wdzięczności jest Najświętsza Ofiara Mszy świętej, którą w każdą sobotę i w każdą niedzielę w ich intencjach składamy Wszechmogącemu Bogu, prosząc Go o wszystkie łaski potrzebne żyjącym i o wieczną nagrodę dla już zmarłych.

Pamiętam, że pierwszym wrażeniem, które odczuwał każdy przybywający do Burundi i do Rwandy misjonarz było zdumienie i współczucie w obliczu rzucającej się w oczy nędzy, w której żyją ludzie. Spróbowałem już napisać słów kilka na temat tej nędzy i jej przyczyn, wspominając, że od początku naszej misyjnej pracy czuliśmy dobrze, że Pan posłał nas głosić Dobrą Nowinę ubogim. Ta nędza, to ubóstwo wołały głośno, w dzień i w nocy wołały o pomoc. Ze ściśniętym sercem słuchaliśmy tego wołania, czując się zupełnie bezradnymi. Jakże bowiem nakarmić tylu głodnych? Jak przyzwać tylu nagich? Jak uleczyć tylu chorych? Jak poprawić życiowe warunki tylu ludzi, borykających się na co dzień z niesamowitą nędzą? Naprawdę, można oszaleć... A jeżeli się jeszcze pamięta, że w każdym z tych głodnych, nagich, chorych staje przed nami sam Chrystus i mówi: Jestem głodny, spragniony, nagi, chory, jestem więźniem...¹⁴⁴ Nie! nie mogliśmy patrzeć na to wszystko obojętnie! Chcieliśmy coś zrobić, już zrobić! Chcieliśmy rozdać wszystko, do ostatniej okruszyny chleba, do ostatniej szmatki. Chcieliśmy dzielić z ludźmi ich nędzę, ich głód, chorobę...

Na szczęście te nasze zapały, te nasze niepokoje, to nasze rzucanie się z motyką na słońce studzili starzy, doświadczeni misjonarze. Przypomnieli nam smutne doświadczenie tych, którzy chcieli od zaraz wszelkiej nędzy zaradzić, którzy uparli się, że będą mieszkać i odżywiać się jak ich czarni bracia, podzielią z nimi dosłownie ich nędzę. Byli tacy... i niestety, po trzech lub sześciu miesiącach musieli wracać do Europy, bo ciężko zachorowali albo zbyt mocno nadszarpnęli swoje zdrowie psychiczne. Nie tak należy pomagać. I trzeba mieć tę odrobiny pokory, by wyznać, że nosząc w organizmie i w psychice całe dziedzictwo dotychczasowego życia, nie potrafimy żyć w warunkach, w jakich żyją tutejsi ludzie. Trzeba równocześnie na zagadnienie nędzy spojrzeć poprzez Ewangelię. Za czasów Chrystusa Pana było wielu głodnych, kalekich, chromych, ślepych i trędowatych w Palestynie. Chrystus miał moc wszystkich wspomóc, uzdrowić, a nawet wskrzesić. Tymczasem Ewangelia nam mówi, że swej boskiej mocy użył tylko w niektórych wypadkach. Owszem, pomógł wielu. Innych, i to liczniejszych pozostawił w ich biedzie, pozostawił ślepych, chromych, trędowatych. Tajemnica pozostawionego przez Pana cierpienia przerasta nasze rozumienie, przerasta serce.

¹⁴³ Misyjny trud, wstęp, s. 9

¹⁴⁴ Por. Mt. 25, 35-36, 42-43

Przed tą tajemnicą musimy nisko skłonić głowę... Nie znaczy to, oczywiście, że mamy ubierać się w purpurę i bisior, i dzień w dzień świetnie się bawić, gdy u bram naszych pałaców leży żebrak okryty wrzodami.¹⁴⁵ Nie! Chrystus nam mówi: „Wy dajcie im jeść!” i trzeba dać Chrystusowi nasze pięć chlebów i dwie ryby, trzeba dać wszystkie, aby je rozmnożył.¹⁴⁶ Tak, nie możemy pozostać obojętnymi. Przy całej jednak naszej wrażliwości musimy zachować spokój, jeżeli naprawę ludziom w Burundi pragniemy pomagać.

Doświadczenie, którym w różnych sprawach dzielili się z nami starsi misjonarze, było dla nas bezcenną pomocą, za którą pragnę tu serdecznie podziękować Wszechmogącemu Bogu. Weteranom na misyjnych drogach, z którymi się zetknęliśmy i którzy z życzliwością służyli nam radą, pragnę tu złożyć serdeczne „Bóg zapłać!”

W obliczu nędzy, którą zastaliśmy najpierw w Burundi, a później w Rwandzie, nie mogliśmy i nie chcieliśmy pozostać obojętni. Wnet jednak spostrzeżliśmy, że „ten krzyż” jest zbyt ciężki, że nie uniesiemy go sami. Oglądaliśmy się za Cyrenejczykami, za Weronikami. Tak zrodziło się pragnienie, by do pracy w Burundi sprowadzić jakieś polskie siostry zakonne. W czasie naszego stażu pracy na różnych placówkach misyjnych dostrzeżliśmy, jak doniosłą rolę spełniają w parafiach siostry zakonne. Liczy się tu bardzo przykład ich życia oddanego całkowicie Bogu, ale liczy się także ich miłość bliźniego, posunięta często do heroizmu: siostry misjonarki prowadzą przy parafii ośrodek zdrowia, czuwają nad katechizacją, prowadzą szkołę gospodarczą i zajmują się niesieniem pomocy najbiedniejszym. Do tej pracy udało się nam zachęcić i sprowadzić do Burundi [polskie siostry Karmelitanki Dzieciątka Jezus](#). Przyjechały 7 grudnia 1973 roku. Wnet podjęły w naszej parafii w Musongati wszystkie wspomniane wyżej zadania. Później podjęły pracę na stacji misyjnej w Shandze. W czasie prześladowań Kościoła za prezydenta Bagazy musiały tę placówkę opuścić. Przyjęły wtedy pracę w Rwandzie przy naszej parafii w Rugango. Ostatnio, od kilku lat pracują także w Gakome, na stacji misyjnej parafii w Musongati. Nie zamierzam tu pisać historii ich błogosławionej misyjnej posługi w Burundi i w Rwandzie. Nie taki jest cel tych moich wspomnień. To jedno pragnę tu z mocą podkreślić: od początku były i nadal są prawdziwymi Weronikami na naszej krzyżowej misyjnej drodze. To prawda, że czasem sami spieszymy im z pomocą, szczególnie przy różnych budowach, ale – muszę to wyznać – robiliśmy to „trochę interesownie”, wiedzieliśmy bowiem, że im lepsze stworzymy im „warsztaty pracy”, tym więcej przyniosą ulgi naszym ludziom na krzyżowych drogach ich nędzy. Bogu niech będą dzięki za każdy najdrobniejszy nawet czyn ich miłości!

Jeżeli już mowa o polskich siostrach „Weronikach” na drogach naszej misyjnej posługi, to pragnę wspomnieć [polskie Siostry Duchaczki](#). Trudne i krzyżowe były drogi ich własnej posługi misyjnej, trudne były zwłaszcza jej początki, ale przecież miłość rozlana w ich sercach przez Ducha Świętego, który został im dany¹⁴⁷, pozwoliła im trwać. Nie tylko

¹⁴⁵ Por. Łk. 16, 19- 20

¹⁴⁶ Por. Mt. 14, 13- 21

¹⁴⁷ Por. Rz.5, 5

trwać, ale nieś skuteczna pomoc w Gatarze i w Buraniro w Burundi, a także przez kilka lat w Muyandze w Rwandzie. Przykład ich ofiarnej miłości, z jaką służyły w każdy dzień i w każdą noc setkom chorych, oraz ich serdeczna gościnność były dla nas prawdziwą chustą Weroniki, która rozjaśniała zmęczone oblicza i serca. Bogu niech będą dzięki za to, że je postawił na naszej misyjnej drodze!

To co powiedziałem wyżej o Siostrach Karmelitankach Dzieciątka Jezus i o Siostrach Duchaczkach, mogę dosłownie powtórzyć o polskich misjonarkach pracujących w Rwandzie. Oprócz wspomnianych Karmelitanek i Duchaczek pracowały w Rwandzie [Siostry Małe Służki Niepokalanej](#) – z ogromnym poświęceniem i z pełnym oddaniem, z nigdy niewyczerpaną miłością służyły i służą ludziom w Rwandzie, gdzie służby tej wciąż wyczekują udręczeni nędzą biedacy. Uśmiech na umęczonej nieraz twarzy polskich misjonek, ich serdeczna gościnność jest dla polskich, i nie tylko polskich, misjonarzy wielką podporą w trudach misyjnej pracy. Bóg wam stokrotnie zapłaci, Drogie Siostry!

Wspomniałem o polskich misjonarzach, więc chociaż dwa zdania o nich napiszę. W Burundi, poza polskimi Karmelitami Bosymi, innych polskich misjonarzy nie było. W Rwandzie natomiast, oprócz Karmelitów Bosych pracowali z wielkim oddaniem dla tamtejszego Kościoła [Księża Pallotyni i Księża Marianie](#). Bogu niech będą dzięki za to, że wszyscy polscy misjonarze wzajemnie się wspierali, że łączyła ich serdeczna przyjaźń. Tę przyjaźń okazywali sobie przy różnych okazjach, ale szczególnie wzruszająca była wtedy, gdy – nie bacząc na własne utrudzenie – spieszyli, by stanąć blisko, by modlić się wspólnie z tym, kto w sposób szczególny stanął pod krzyżem. Na przykład na wieść o śmierci ojca lub matki któregoś z misjonarzy lub misjonek, niemal wszyscy zbierali się na wspólnej Mszy świętej. Bogu niech będą dzięki i za to, że polscy misjonarze i misjonek potrafili się wspólnie modlić, wspólnie wielbić Boga, że spotykali się np. w naszym domu rekolekcyjnym w Butare, by wspólnie odprawić dzień skupienia: misjonek w każdą pierwszą niedzielę miesiąca, a misjonarze w poniedziałek po tejże niedzieli. Korzystali też chętnie polscy misjonarze i misjonek z naszego domu dla odprawiania swoich osobistych, rocznych rekolekcji. Należy także dziękować Bogu, że posłał do Rwandy niemały zastęp polskich misjonarzy i misjonek. Pamiętam, że na przyjazd Ojca Świętego w 1990 roku było nas aż 90 osób. Sami, wspierani przez rodaków, polscy misjonarze i misjonek mogli być prawdziwymi Cyrenejczykami i Weronikami na prawdziwie krzyżowych drogach Rwandy. Bogu niech będą dzięki!

Ze zgromadzeń innych narodowości pragnę tu wspomnieć z wdzięcznością szczególnie zaprzyjaźnione z Karmelitami Bosymi [włoskie Siostry Marystki](#). Przez kilka lat pracowały na stacji misyjnej naszej parafii w Musongati: w Gakome. Ale gdziekolwiek były, szczególnie w Butare, zawsze okazywały nam wiele serdeczności i świadczyły różne przysługi. Niech im Pan stokrotnie nagrodzi!

Niech wynagrodzi także wielką serdeczność i liczne usługi [Siostrami Karmelitankom Misjonek Terezańskim](#). Założone przez błogosławionego Karmelitę Bosego, o. Franciszka Palau, służyły Kościołowi w różnych krajach świata, między innymi w Zairze. W Rwandzie posiadały dom formacyjny, obok naszego domu rekolekcyjnego w Butare i drugą placówkę misyjną w Gikore.

W Burundi szczególną przysługę oddały nam tubylcze [Siostry Bene-Terezia](#). Szczególnie w początkach naszej pracy w Mpindze te dobre i kochane siostry służyły nam

radą, pomagały w kirundi, wprowadzały w niezrozumiałe jeszcze dla nas zagadnienia tamtejszej kultury, zwyczajów i obyczajów. Bogu niech będą dzięki za to, że ich dom zastaliśmy w Mpindze i za to, że później zechciały podjąć pracę na stacji naszej parafii: w Kiguhu. Ostatnio pracują także w Shandze, gdzie przejęły działalność zapoczątkowaną przez Siostry Karmelitanki Dzieciątka Jezus.

Dobrym Cyrenejczykiem na krzyżowej drodze naszej misyjnej posługi w Burundi okazał się [p. Tadeusz Szklarczyk, szwagier o. Sylwana](#), który – jak kiedyś napisałem – „przez dwa lata (1976-1978) pracował bezinteresownie na naszej misji w Mpindze. Mało powiedzieć „bezinteresownie”. Pracował bowiem z wielkim poświęceniem, wkładając w tę pracę wiele serca. Założył i rozwinął w Mpindze wspaniałą (choć w nędznej szopie) warsztat stolarski. Nie sposób wyliczyć tu, ile wspaniałych mebli dla naszej misji w Mpindze i Musongati wyszło przez dwa lata z tego warsztatu. Kościoły i kaplice otrzymały stoły ołtarzowe, konfesjonały i ławki. Szkoły gospodarcze, szkoły podstawowe i katechumenaty zaopatrzone zostały w solidne stoły, stoliki, taborety i ławki szkolne. Nieocenioną przysługą, jaką oddał p. Tadeusz Szklarczyk naszej misji, jest nauczanie stolarki jednego z naszych ludzi. Próbowano wielu, poduczyci się, ale jeden z nich dobrze opanował to rzemiosło i do dzisiaj prowadzi zapoczątkowane przez p. Szklarczyka dzieło.

Ważniejsze jednak od tego wszystkiego było świadectwo, jakie dał naszym ludziom ten świecki misjonarz. To było dla nich jakimś objawieniem: świecki biały człowiek pracujący, i to jak pracujący, od rana do wieczora! Tego jeszcze nie widzieli. Człowieka białego w języku kirundi określa się słowem **umuzungu**, które oznacza kogoś, kto się przechadza, kto **się kręci** tu i tam, nic nie robiąc. Białego misjonarza widzieli przy pracy, ale on nie był dla nich prawdziwym **umuzungu**. Teraz zobaczyli białego pracującego i białego modlącego się. Wiedzieli także, że zostawił gdzieś w Wadowicach żonę, dzieci i wnuki, i przyjechał pracować dla nich – dla czarnych. Doceniali jego poświęcenie się i ofiarę jego rodziny, która zgodziła się na rozstanie. Wiedzieli przecież, że często odzywała się u p. Tadeusza tęsknota za rodziną, szczególnie gdy poczta, która przychodziła tu raz w tygodniu, nie przyniosła oczekiwanych listów. Potrafił jednak tęsknotę przewyciężyć chrześcijańską miłością. Pragnął dla biednych ludzi w Burundi zrobić jak najwięcej. Gotów był pozostać w Burundi jeszcze przez rok. Musiał jednak wrócić, ponieważ nie otrzymał przedłużenia paszportu. Niech dobry Bóg wynagrodzi Mu stokrotnie, niech wynagrodzi Jego Rodzinie za bezcenne usługi, jakie oddał naszej misji w Burundi.^{148,}

W obliczu nędzy, choroby, ubóstwa i głodu ludzi w Burundi nie mogliśmy i nie chcieliśmy – jak już wspomniałem – pozostać obojętnymi, nie chcieliśmy stać bezczynnie. Wnet jednak spostrzeżliśmy, że bez pomocy ludzi dobrej woli, bez pomocy naszych rodaków nie potrafimy pomagać. Misjonarze, których spotykaliśmy w czasie stażu pracy: Belgowie, Francuzi, Kanadyjczycy, Hiszpanie, Szwedzi, Włosi... - mogli pomagać, bo otrzymywali od swoich rodaków pieniądze i paczki. To prawda, że pomoc ta była wciąż tylko przysłowiową kroplą w morzu, ale była! A my? Iluż ludzi w Polsce wiedziało o jedenastu karmelitach bosych, którzy wyjechali gdzieś w nieznane? Wiedzieli z całą pewnością nasi najbliżsi, nasi przyjaciele i ludzie bliżej związani z Karmelem. Ale cóż oni mogą? Sami żyją w polskiej

biedzie. Czy mogą tu coś znaczyć polskie złotówki? A paczki mogą tu przychodzić tylko kilogramowe, jako listy. Nie ma pomiędzy Polską a Burundi umowy pocztowej, dotyczącej paczek. Czuliśmy się zatem zupełnie bezradni. Tą doskwierającą nam bezradnością w obliczu beznadziejnej nędzy zaczęliśmy dzielić się w listach z naszymi bliskimi. Listy te zaczęły krążyć coraz to dalej i powoli otwierało się coraz to więcej serc wzruszonych biedą, chorobą i głodem ludzi w Burundi oraz naszą bezradnością. Nasi przyjaciele wpadli na pomysł, by napisać do swoich bliskich za granicą i prosić ich o przesłanie nam grosza. Te grosze zaczęły przychodzić. Były to rzeczywiście grosze, ale grosze niby maleńkie krople rosy, podające na rozpaloną słońcem ziemię. Przyjmowaliśmy je z ogromną wdzięcznością. Kropla rosy może przecież choć odrobinę zwilżyć, odświeżyć umęczone bezradnością serce. To były przede wszystkim znaki, że ktoś o nas pomyślał, że ktoś z życzliwością pochyla się nad nędzą naszych biednych ludzi. To podnosiło na duchu, to budziło nadzieję, że krąg wrażliwych i życzliwych serc rozszerza się. Radzono nam, żebyśmy napisali do polskich czasopism za granicą. Z niektórymi rzeczywiście udało się nawiązać kontakt. Nie miały jednak wielkiego zasięgu, więc odzew nie mógł być wielki, nie mógł być na miarę naszych potrzeb. Ale Bogu niech będą dzięki za to, że był!

Tymczasem w Polsce dobra [p. Zofia Proszak](#) umieściła w **Tygodniku Powszechnym** (czerwiec 1974) **Apel o lekarstwa dla Burundi**. Apel poruszył wiele serc. S. Zygmunta Kaszuba, Karmelitanka Dzieciątka Jezus, organizująca ośrodek zdrowia w Musongati, została zasypana kilogramowymi paczkami z lekarstwami! Przysłał je nie tylko Klub Inteligencji Katolickiej w Krakowie, lecz także dobrodziejcy z innych miast Polski. Posyłały je różne kółka misyjne, a także osoby prywatne. To było naprawdę wzruszające!

Apel zamieszczony w **Tygodniku Powszechnym** poruszył także serca Polaków na obczyźnie. Poruszył w sposób szczególny serce [p. Jana Wasąznika z Ottawy](#). Napisał do nas serdeczne listy z prośbą o radę, a przede wszystkim z prośbą o modlitwę, postanowił bowiem działać, postanowił założyć przy parafii św. Jacka w Ottawie **Komitet Pomocy Polskim Misjom**. Komitet wnet zaczął działać, na skromną początkowo miarę. Liczyła się jednak miłość, a że miłość przemyślna jest, więc zaczęła podsuwać żarliwym członkom Komitetu coraz to nowe pomysły: a to loterię fantową, a to sprzedaż kartek świątecznych, książek, prasy, a to zbiórkę do puszek... a wreszcie wydawanie własnego biuletynu, który zatytułowano **Z Pomocą**. Z biegiem czasu w biuletynie zaczęły się ukazywać listy misjonarzy nie tylko z Burundi, lecz także z całego świata. **Z Pomocą** niosło rzeczywiście pomoc polskim misjom na świecie. W początkach naszej pracy misyjnej w Burundi Komitetowi z Ottawy zawdzięczaliśmy wiele, zawdzięczaliśmy przede wszystkim tę świadomość, że nie jesteśmy sami, że gdzieś na świecie jest dobry Cyrenejczyk, jest dobra Weronika, którzy pragną ulżyć naszemu trudowi. W Komitecie zaangażowanych było, i nadal jest zaangażowanych, wielu ludzi dobrej woli, którzy poświęcali bezinteresownie swój czas i siły organizowaniu pomocy misjom. Duszą i sercem Komitetu był do końca swych dni p. Jan Wasąznik. Zmarł nagle dnia 7 sierpnia 1995r. Niech Pan sam będzie jego wieczną nagrodą! Niech Pan obdarza wszelkimi łaskami tych wszystkich, którzy nadal wkładają wiele serca w dzieło, zapoczątkowane przez śp. Jana.

Równocześnie w naszej ojczyźnie coraz więcej ludzi dobrej woli pragnęło nam spieszyć z pomocą. Pomoc tę starały się organizować Biura Misyjne przy naszych klasztorach w Poznaniu, Krakowie, Wrocławiu i Wadowicach. **Ostatecznie powstało w Krakowie Biuro Misyjne OO. Karmelitów Bosych**, które już bardziej centralnie pośredniczyło i nadal pośredniczy pomiędzy misjonarzami karmelitańskimi, a ich dobroczyńcami i przyjaciółmi. Bogu niech będą stokrotne dzięki za to, że wielu, bardzo wielu związanych z tym Biurem wytrzymało w swej ofiarnej miłości od początku naszej misyjnej posługi do dzisiaj! To już długi kawał czasu! To już 25 lat!

Ofiary naszych rodaków, nawet te drobne ofiary, składane przez prywatne osoby, były dla polskich misjonarzy skarbem nieocenionym, drogocennym. Misjonarze innych narodowości – jak już wspomniałem – mogli znaleźć w swoich krajach jakąś prywatną firmę, jakieś czasopismo lub jakiś zakład, które zgadzały się fundować w Burundi szkołę, ośrodek zdrowia, czy chociażby wyposażenie do takiego ośrodka. My w Polsce takiej pomocy załatwić nie mogliśmy. My musieliśmy liczyć na drobne ofiary osób prywatnych. I dobrze, że te ofiary nie przestawały napływać, bo one świadczyły wobec naszych wiernych, że w Polsce istnieje Kościół, który wierzy, którego wiara nie jest martwa, którego wiara połączona jest z uczynkami¹⁴⁹, którego wiara ukazuje nam braci i siostry w biednych ludziach Burundi. Dobrze, że te ofiary były, bo one pozwalały nam spieszyć z doraźną pomocą tam, gdzie tej pomocy pilnie należało udzielić. A sytuacji, w których nie można było czekać – bez liku. Kiedy np. trzeba zbudować w buszu szkołę, można pukać do drzwi takiej czy innej organizacji, ale wiadomo, że natychmiast pomocy nie przyśle, że będzie trzeba dodatkowych uzasadnień prośby, itd. Można jednak czekać, bo świat się nie zawali, bo ostatecznie nikt nie umrze, jeżeli w zapadłym zakątku afrykańskiego buszu jeszcze przez rok lub dwa dzieci nie będą miały szkoły. Ale kiedy np. pojawi się nagle epidemia takiej czy innej choroby zakaźnej, nie można czekać, trzeba natychmiast zakupić dodatkowe lekarstwa, inaczej mogą umrzeć całe setki dzieci, a także starszych. Jakże błogosławiona okazuje się wtedy każda ofiarka zebrana przez Biuro Misyjne w Krakowie i przesłana do Burundi lub do Rwandy.

O sytuacjach, w których nie można czekać, w których trzeba natychmiast pomagać, można by opowiadać bez końca. Pozwólcie, że wspomnę tu jedną: Było to w Rwandzie, w kwietniu 1994 roku. W środę po Wielkanocy zamordowano prezydenta kraju. Ogłoszono stan wojenny i surowo zakazano wszelkiego przemieszczania się. Zresztą przemieszczanie się wnet stało się niebezpieczne, bo zaczęły działać szwadrony śmierci, bo za nimi postępowały bandy rabusiów, którzy zapragnęli wykorzystać wojenny bałagan dla wzbogacenia się. Właśnie na cały tydzień po Wielkanocy zgromadzenie czarnych siostr Benebikira zorganizowało dla swoich siostr sesję doształcającą w Save. Z różnych placówek zgromadzenia zebrano prawie 100 siostr. Stan wojenny zastał je w Save. Nie mogły się ruszyć. Ale co gorsza: jakaś banda rabusiów zamknęła wszystkie siostry w ich kościele i przez dzień i noc ograbiła ich dom doszczętnie. Nie zostawili nic. Kiedy w kilka dni później, już z Burundi, dotarłem z ks. Jerzym Kożuchem, pallotynem, biedne siostry pokazywały nam pustki: ani kawałka szmatki, ani jednej łyżki, ani jednego garnka, ani odrobiny mydła... nic!

¹⁴⁹

Zabrali wszystko, nawet spod chorej, prawie umierającej siostry staruszki wyciągnęli materac. Nie potrzeba bujnej wyobraźni, by zrozumieć, co znaczy prawie 100 kobiet (siostra zakonna to też kobieta!) pozostawionych tylko w tym, co miały na sobie. Jakaż była radość na widok plastikowych garnuszków, miednic, mydła, świec i tej odrobiny żywności – tego, co zdołaliśmy im przynieść. „Nareszcie będzie się można umyć, oprąć!” – wołały za łzami radości w oczach. Jakże wtedy byliśmy wdzięczni Bogu za Wasze, Drodzy Przyjaciele, ofiary, bezcenne ofiary, które pomogły nam pomagać!

Pomoc naszych przyjaciół i dobroczyńców z Polski zawsze mnie bardzo wzruszała, była to bowiem pomoc wiary, która działa przez miłość¹⁵⁰. Było w zbieraniu tych dodatków na misje coś z tego, co działo się w pierwotnym Kościele. Jedne gminy spieszyły z pomocą innym, chociaż na własne oczy ich nędzy nie widziały. One wierzyły Apostołom, że siostrzane gminy potrzebują pomocy i zbierały dla nich datki.¹⁵¹

Wy, Drodzy Przyjaciele, nędzy w Burundi i w Rwandzie nie widzieliście. Wy uwierzyliście piszącym o niej misjonarzom. Kiedy się skrajną nędzę zobaczy z bliska, kiedy się jej niejako doświadczy, można się czuć przynaglonym do niesienia pomocy, ale gdy się tej nędzy nie widzi...

Przypominam tu sobie takie oto spotkanie z pewną niemiecką rodziną.

Byli dobrą, katolicką rodziną niemiecką: rodzice i troje dzieci. Na utrzymanie zarabiali żmudną, codzienną pracą. Sprawy misji katolickich nie były im obce. Przez Ojców Białych nawiązali kontakty z młodymi księżmi Burundyjczykami, którzy odbywali studia w Europie. Pomagali im wydatnie.

Jeden ze wspomnianych księży zaprosił ich do Burundi. Ostatecznie mogli przyjechać. Mieli nieco oszczędności. Spędzili w Burundi prawie trzy tygodnie. „To zupełnie zmieniło nasze życie” – powtarzała później matka rodziny. Nic dziwnego, zobaczyli przecież na własne oczy, w jakiej jeszcze nędzy żyją ludzie w XX wieku. Wśród krewnych i znajomych zorganizowali akcję wysyłania do Burundi paczek. Z własnego domu wyzbyli się niemal wszystkiego, co nie było konieczne, co można było sprzedać na opłacenie wysyłki paczek. Akcja się rozrastała. Z RFN można było wysłać do Burundi paczki wagi do 10 kilogramów.

Chętnie odwiedzali ich misjonarze. Spotykali się w tej rodzinie z pełną prostoty serdecznością. Przede wszystkim jednak spotykali tu pełne zrozumienie doskwierającej misjonarzowi bezradności w obliczu licznych potrzeb, w obliczu nędzy, głodu, choroby.

Odwiedziłem ich w okresie Bożego Narodzenia. Wieczorem, po kolacji, zapalono świecę przy małym żłóbku z figurką Dzieciątka Jezus. Zapanował nastrój spokoju. Rozmowa jakoś samorzutnie skierowała się ku naszym misjom w Musongati i Mpindze. Mówiliśmy o tamtejszej nędzy, chorobach i znów wracającym głodzie. Byli szczerze zatroskani. Widać było, że chcą pomóc. W pewnym momencie ojciec rodziny obiegnął wzrokiem pokój, jakby szukał, czy jeszcze czegoś nie można sprzedać. Trudno było coś takiego znaleźć. Splótł mocno ręce w geście bezradności. Wtedy... właśnie wtedy oczy jego napotkały noszony na palcu pierścień. Nie był zbyt wielkiej wartości, ale przecież był złoty. Spojrzał na żonę. To był dar od niej, dar z okazji jakiejś rocznicy. Dostrzegłem gest przyzwolenia w jej spojrzeniu.

¹⁵⁰ por. Ga. 5, 6

¹⁵¹ por. np: Rz. 15, 25-29; 1 Kor. 16, 1-3; 2 Kor. 8, 1-5

Szybkim ruchem ściągnął pierścień, jakby go parzył. Włożył mi w dłoń i zamyślił się. Po chwili, jakby dla usprawiedliwienia się, począł mówić: - „To dziwne, że mogłem do dzisiaj nie zauważyć... Ale to jeszcze dziwniejsze, że z tym na palcu mogłem przyjmować Komunię świętą, Komunię z Chrystusem, który jest głodny, nagi, chory, jest ... dopóki w Burundi, dopóki na świecie, są ludzie głodni, nadzy, chorzy...”

Milczeliśmy, zaskoczeni jego czynem, ale chyba jeszcze bardziej słowami, których swój gest usiłował tłumaczyć. Milczeliśmy. Przed nami leżało w ubogim żłóbku ubogie Dzieciątko. Płonęła świeca.

Po chwili czternastoletnia córka powstała i podeszła do matki. Zapytała cichym głosem: - „Mamo, a ja mogę?” Wskazała przy tym na kolczyki w uszach. – „Ależ możesz! Przecież je otrzymałaś i są twoje!” – odpowiedziała matka.

Widziałem głębokie wzruszenie na twarzy ojca. Łzy pojawiły się w oczach matki. Wiem, że były to łzy radości. Sam także miałem oczy wilgotne, kiedy na mej dłoni złote kolczyki córki spoczęły obok pierścienia ojca. Odwróciłem oczy w stronę żłóbka. Oczy Bożego Dzieciątka radośnie się uśmiechały. Ale może to tylko płomień świecy takie sprawił wrażenie? Może... Może to było złudzenie...

Nie były jednak złudzeniem uśmiechy dzieci w Burundi, dzieci, które niezgrabnie trzymały w ręku kubek z dobrym mlekiem, dzieci, które obdarowano pięknymi koszulkami. Rzeczywistością był uśmiech matek z Musongati, których dzieci szczepiono przeciw zakaźnym chorobom. Ileż prawdziwych uśmiechów wywołały dwa kolczyki i pierścień na pomoc misjom oddane! Były to równocześnie uśmiechy Dzieciątka Jezus i Jego Matki Maryi, bo przecież na mocy Wcielenia Syn Boży tak głęboko wszedł w ludzka rzeczywistość, że odtąd już żadna ludzka sprawa nie jest sprawą tylko człowieka, jest również sprawą samego Boga. Jest sprawą Boga do tego stopnia, że od momentu Wcielenia wszystko, co człowiek czyni człowiekowi, czyni równocześnie Bogu. Sam Jezus Chrystus zapewnia nas o tym uroczyście słowami: „Zaprawdę, powiadam wam: Wszystko, co uczyniliście jednemu z tych braci Moich najmniejszych, Mnieście uczynili.”¹⁵²

Dzisiaj, wracając do przerwanej myśli, pragnę dodać, że jeżeli wzruszył mnie czyn ojca i tej córki, którzy poczuli się przymuszeni do niesienia pomocy biednym w Burundi, to jeszcze bardziej wzruszają mnie czyny miłości moich rodaków. Wspomniani córka i ojciec widzieli na własne oczy prawdziwą nędzę żywych ludzi. Nic dziwnego, że czuli się przymuszeni. Moi rodacy widzą tę nędzę oczami wiary i to wiary tak głębokiej, że czynami miłości dosięga ona Afryki. A są to czyny naprawdę wzruszające. Bo powiedzcie sami, czy nie można się wzruszyć, gdy starowinka wkłada misjonarzowi w rękę kilka złotych i wyjaśnia z prostotą: „Już od dłuższego czasu, zamiast jeździć tramwajem, chodziłam pieszo i tak zaoszczędziłam te pieniądze na głodujących i chorych w Burundi.”¹⁵³

„Nie jest dane świętym Pana, by mogli opowiedzieć wszystkie godne podziwu dzieła Jego, które Pan Wszechmogący utwierdził...” – powiedział mędrzec Syrach.¹⁵⁴ Jeżeli świętym Pana nie jest to dane, to tym bardziej ja nie opowiem wszystkich podziwu godnych

¹⁵² Mt. 25, 40

¹⁵³ por. Misyjny trud, s.3

¹⁵⁴ Syr. 42,17

dzieł Pana, które objawiły się w sercach ludzi, spieszących nam z materialną pomocą, abyśmy mogli pomagać, „ażeby w pełni obfitująca łaska, zwiększyła chwałę Bożą przez dziękczynienie wielu.”¹⁵⁵ Skoro nie potrafię opowiedzieć wszystkich dzieł Pana, kończę te kilka nieudolnych zdań słowami Ojca Świętego Jana Pawła II:

„Liczne są materialne i ekonomiczne potrzeby misji: chodzi nie tylko o założenie Kościoła z najkonieczniejszymi strukturami, jak kaplice, szkoły dla katechistów i seminarzystów, mieszkania, ale także utrzymanie dzieł charytatywnych, wychowawczych i popierających rozwój człowieka, co stanowi bardzo szerokie pole działania, zwłaszcza w krajach ubogich. Kościół misyjny oddaje to, co otrzymuje; rozdaje ubogim to, co jego bogaci członkowie oddają mu wielkodusznie do dyspozycji. Pragnę tu podziękować tym wszystkim, którzy z poświęceniem składają dary na dzieło misyjne: ich wyrzeczenia i współuczestnictwo są niezbędne, by budować Kościół i świadczyć o miłości.”¹⁵⁶

Chociaż nie dane mi jest opowiadać o wszystkich dziełach Pana, to przecież muszę jeszcze wspomnieć o pomocy, która nam towarzyszyła na krzyżowej drodze posługiwania misyjnego, o pomocy, która była daleko ważniejsza od pomocy materialnej, muszę wspomnieć o pomocy duchowej, która z tamtą stale szła w parze, a nawet ją wyprzedzała.

Jan Paweł II napisał: „Wszyscy chrześcijanie, członkowie Kościoła, na mocy chrztu świętego są współodpowiedzialni za działalność misyjną. Udział wspólnot i poszczególnych wiernych w tym prawie i obowiązku nazywa się współpracą misyjną.

Współpraca ta jest zakorzeniona i przeżywana przede wszystkim w osobistym zjednoczeniu z Chrystusem: tylko w zjednoczeniu z Nim, jak latorośl z krzewem winnym¹⁵⁷, można przynosić dobre owoce. Skuteczność działania na polu misyjnym Kościoła zależy od świętości życia każdego chrześcijanina: ‘Sobór wzywa wszystkich do głębokiej odnowy wewnętrznej, aby mając żywą świadomość własnej odpowiedzialności za rozszerzenie Ewangelii, podjęli swoją część w dziele misyjnym wśród narodów’.¹⁵⁸ Udział w misji powszechnej nie ogranicza się zatem do niektórych, szczególnych działań, ale jest oznaką dojrzałej wiary i życia chrześcijańskiego, które przynosi owoce. W ten sposób, wierzący rozszerza granice swej miłości, okazując troskę o tych, którzy są daleko, tak jak i o tych, którzy są blisko: modli się za misje i o powołania misyjne, pomaga misjonarzom, śledzi z zainteresowaniem ich działalność, a kiedy wracają, przyjmuje ich z taką samą radością, z jaką pierwsze wspólnoty chrześcijańskie słuchały Apostołów opowiadających, jak wiele Bóg zdziałał przez ich przepowiadanie.^{159, 160}

Bogu niech będą stokrotne dzięki za to, że my, misjonarze, spotykaliśmy się tak często z tą „znaką dojrzałości wiary i życia chrześcijańskiego, które przynosi owoce”.

¹⁵⁵ 2 Kor. 4, 15

¹⁵⁶ RMs. 81

¹⁵⁷ por. J. 15,5

¹⁵⁸ DM 35

¹⁵⁹ por. Dz. 14,27

¹⁶⁰ RMs. 77

Spotkaliśmy ją u naszych rodaków, a szczególnie wśród przyjaciół i dobroczyńców Misji Karmelitańskich, którzy naprawdę rozszerzyli granice swej miłości, którzy modlili się za misje i o powołania misyjne, którzy śledzili z zainteresowaniem naszą działalność. Było to dla nas prawdziwą podporą, zachętą do nowych wysiłków, a także zachętą do szukania coraz to ściślejszego zjednoczenia z Chrystusem, aby w Nim i przez Niego także nasza wiara coraz to bardziej poszerzała granice miłości. Nie chcieliśmy przecież dopuścić do tego, żeby prześcignęli nas w miłości ci, którzy z nami współpracowali, którzy naszą działalność misyjną otaczali swoją modlitwą i ofiarą, zbawczą ofiarą cierpienia przyjętego i ofiarowanego Bogu z miłością.

Przecież Jan Paweł II napisał: „Wśród form uczestnictwa pierwsze miejsce zajmuje współpraca duchowa: modlitwa, ofiara, świadectwo życia chrześcijańskiego. Modlitwa winna towarzyszyć misjonarzom na ich drodze, aby głoszenie Słowa odnosiło skutek dzięki łasce Bożej. Święty Paweł w swych Listach prosi często wiernych o modlitwę, aby mógł głosić Ewangelię ufnie i śmiało. Z modlitwą trzeba łączyć ofiarę. Zbawcza wartość każdego cierpienia, przyjętego i ofiarowanego Bogu z miłością, wypływa z Ofiary Chrystusa, który wzywa członków Ciała Mistycznego do współdziałania w swych udrękach, do dopełniania ich braków we własnym ciele.¹⁶¹ Misjonarzowi w jego ofierze winni towarzyszyć wierni i podtrzymywać go własną ofiarą. Dlatego proszę tych wszystkich, którzy pełnią posługę duszpasterską wśród chorych, by pouczali ich o zbawczej wartości cierpienia i zachęcali do ofiarowania go Bogu za misjonarzy. Przez taką ofiarę chorzy stają się również sami misjonarzami, jak podkreślają pewne stowarzyszenia, powstałe wśród nich i dla nich. Uroczystość Zesłania Ducha Świętego – początek misji Kościoła – jest obchodzona w niektórych wspólnotach jako dzień **cierpienia w intencji misji.**”¹⁶²

Ludzi, którzy od samego początku otoczyli naszą misyjną działalność swoją modlitwą i ofiarowanym w intencji misji cierpieniem, było wielu. Jest ich nadal wielu. Bogu niech będą dzięki za bezcenny dar ich miłości, który stale rosą łaski Bożej użycia naszą misyjną rolę i sprawia, że możemy ufać, iż nasz trud nie pozostaje daremny w Panu.¹⁶³

10 stycznia 1979 roku Barbara Lizoń z Poznania, która już nie żyje, napisała do naszego Biura Misyjnego w Krakowie następujące słowa: „Wieloletnia przyjaźń braterska z o. Teofilem sprawiła, że sprawy misji są mi bardzo bliskie. W tej intencji modłę się i oddaję Panu wszystkie trudy, jakie mi przed wielu laty ‘zadał’ przez chorobę – paraliż dziecięcy. Od wielu lat żyję ‘na kółkach’, czyli na wózku inwalidzkim, ucząc się, pracując i chwając Pana za ŻYCIE, za łaskę współdziałania z Chrystusem unieruchomionym, kochającym i zbawiającym świat...” Jestem głęboko przekonany, że pod tymi słowami podpisałaby się nie tylko droga mi Irena Grzegorzczak, lecz cała rzesza osób z Rodziny Matki Bożej Bolesnej, które także od wielu lat związane są ze mną braterską więzią przyjaźni. A ileż jest nieznanym mi bliżej osób, które podobnie jak Basia Lizoń, modlą się i oddają Panu w intencji misji

¹⁶¹ por. Kol. 1, 24

¹⁶² RMs. 78

¹⁶³ Por. Kor. 15,36

wszystkie swoje trudy, współdziałając z Chrystusem unieruchomionym, kochającym i zbawiającym świat. Jestem głęboko przekonany, że ich modlitwa i ofiarowane za nas cierpienia są tą miłością, która jak krew ożywia Mistyczne Ciało, która przynagla do trudów działania, bo jest tą miłością, o której mówi św. Teresa od Dzieciątka Jezus: „Zgłębiając tajemnice Mistycznego Ciała Kościoła, nie rozpoznałam siebie w żadnym z jego członków, wymienionych przez św. Pawła; a raczej chciałam odnaleźć się we wszystkich... Miłość dała mi klucz do mego powołania. Zrozumiałam, że skoro Kościół jest ciałem złożonym z różnych członków, to nie bark mu najbardziej niezbędnego, najszlachetniejszego ze wszystkich. Zrozumiałam, że Kościół posiada Serce i że to Serce **PŁONIE MIŁOŚCIĄ**, że jedynie Miłość pobudza członki Kościoła do działania i gdyby przypadkiem zabrakło Miłości, Apostołowie przestaliby głosić Ewangelię, Męczennicy nie chcieliby przelewać krwi swojej... Zrozumiałam, że **MIŁOŚĆ ZAMYKA W SOBIE WSZYSTKIE POWOŁANIA, MIŁOŚĆ JEST WSZYSTKIM, OBEJMUJE WSZYSTKIE CZASY I WSZYSTKIE MIEJSCA... JEDNYM SŁOWEM – JEST WIECZNA!...**

Zatem uniesiona szalem radości, zawołałam: **O Jezu, Miłości moja... nareszcie znalazłam moje powołanie, MOIM POWOŁANIEM JEST MIŁOŚĆ!...**

Tak, znalazłam swoje miejsce w Kościele, a to miejsce, mój Boże, Ty sam mi ofiarowałeś... W Sercu Kościoła, mojej Matki, będę Miłością... w ten sposób będę wszystkim i moje marzenie zostanie spełnione!!!...”¹⁶⁴

Często w Mpindze lub w Musangati podziwiałem swoich kolegów, gdy wstawali w nocy bez słowa skargi, aby pojechać 60 albo i 100 km do szpitala, z mającą urodzić kobietą. Trzeba pojechać, bo w naszych warunkach, w buszu, trudnego porodu nie można odebrać. Ileż to razy tak wstawali, chociaż rano trzeba było skoro świt wyruszyć z posługą na stację misyjną! Skąd czerpali siłę? Myślałem wtedy, że może właśnie dzisiaj w którymś z klasztorów Karmelitanek Bosych jakaś siostra ofiaruje za misjonarza swoją modlitwę i swoje czuwanie. Albo może właśnie dzisiaj któraś „Basia” na inwalidzkim wózku ofiarowała Panu w intencji misjonarza bezsenną noc, pełną cierpienia w niewygodnej pozycji... I oto jej miłość, niby krew serdeczna, daje siłę misjonarzowi...

Boże, tylko Ty sam wiesz, komu w tylu trudnych sytuacjach zawdzięczamy siłę do ochotnego działania, do oddawania niezliczonych przysług, których dniem i nocą domaga się nasza misyjna służba! Tylko Ty sam, o Boże, wiesz, ilu jest ludzi, którzy w sercu Kościoła są miłością, która odświeża, ożywia i sprawia, że serce misjonarza w utrudzeniu, a często i w niezrozumieniu, nie gorzknieje, nie zraża się, ale wciąż jest gotowe podejmować na nowo zobowiązujące działanie!

Boże mój! Pomnażaj nieustannie zastępy ludzi, gotowych być w sercu Kościoła miłością, bo misjonarze wciąż potrzebują i długo jeszcze potrzebować będą ożywiającej mocy miłości!

Jan Paweł II napisał: „Nie możemy być spokojni, gdy pomyślimy o milionach naszych braci i sióstr, tak jak my odkupionych krwią Chrystusa, którzy żyją nieświadomi Bożej miłości. Dla każdego wierzącego, tak jak i dla całego Kościoła, sprawa misji winna być na

pierwszym miejscu, ponieważ dotyczy wiecznego przeznaczenia ludzi i odpowiada tajemniczemu i miłosiernemu planowi Bożemu.”¹⁶⁵

W adhortacji apostołskiej **Ecclesia in Africa**, Ojciec Święty pisze: „Apostoł Narodów mówi nam, że Bóg ‘pragnie, by wszyscy ludzie zostali zbawieni i doszli do poznania prawdy. Albowiem jeden jest Bóg, jeden też pośrednik między Bogiem a ludźmi, Człowiek, Chrystus Jezus, który wydał siebie samego na okup za wielu.’¹⁶⁶ Skoro Bóg powołuje wszystkich ludzi do jednego i tego samego przeznaczenia, które jest boskie, ‘to musimy uznać, że Duch Święty wszystkim ofiaruje możliwość dojścia w sposób Bogu wiadomy do uczestnictwa w tej paschalnej tajemnicy.’¹⁶⁷ Odkupieńcza miłość Boża ogarnia całą ludzkość, każdą rasę, plemię i naród: ogarnia zatem także ludy kontynentu afrykańskiego...”¹⁶⁸

I dalej: „Według wielu Ojców Synodalnych dzisiejszą Afrykę można porównać do owego człowieka, który schodził z Jerycha do Jerozolimy: wpadł on w ręce zbójców, którzy go obdarli, zadali mu rany i porzucili na pół umarłego.”¹⁶⁹ **Afryka to kontynent, gdzie niezliczone ludzkie istoty – mężczyźni i kobiety, dzieci i młodzież – leżą jak gdyby porzucone przy drodze, chore, poranione, bezsilne, odepchnięte i opuszczone. Ludzie ci pilnie potrzebują dobrych samarytan, którzy pospieszą im z pomocą.**”¹⁷⁰

9...ŚWIĘTYMI BĄDŹCIE.”¹⁷¹

W encyklice **Redemptoris misso** Jan Paweł II napisał: „Powołanie misyjne ze swej natury wypływa z powołania do świętości. Każdy misjonarz jest autentyczny jedynie wówczas, gdy wchodzi na drogę świętości: ‘Świętość jest podstawową przesłanką i niezbędnym warunkiem do tego, aby Kościół mógł realizować swoją zbawczą misję’¹⁷² Powszechne powołanie do świętości jest ściśle związane z powszechnym powołaniem do działalności misyjnej: każdy wierny powołany jest do świętości i do działalności misyjnej. Takie było życzenie Soboru, który ‘pragnie gorąco oświecić wszystkich ludzi blaskiem Chrystusa, jaśniejącego na obliczu Kościoła, głosząc Ewangelię wszelkiemu

¹⁶⁵ RMs. 86

¹⁶⁶ 1 Tm. 2, 4-6

¹⁶⁷ KDK 22

¹⁶⁸ EA 27

¹⁶⁹ Por. Łk. 10, 30-37

¹⁷⁰ EA 41

¹⁷¹ 1 P.1,16

¹⁷² Christifideles laici 17

stworzeniu.¹⁷³ Nowy impuls do rozwoju misji **ad gentes** wymaga świętych misjonarzy. Nie wystarczy odnawiać metody duszpasterskie, ani lepiej organizować i koordynować instytucje kościelne, ani też studiować z większą przenikliwością biblijne i teologiczne podstawy wiary: trzeba wzbudzić nowy **zapał świętości** wśród misjonarzy i w całej wspólnocie chrześcijańskiej, szczególnie wśród tych, którzy są najbliższymi współpracownikami misjonarzy.”¹⁷⁴

Sobór Watykański II bardzo mocno podkreślił powszechne powołanie do świętości. Każdy uczeń Jezusa Chrystusa, w jakimkolwiek żyje stanie, powinien dążyć do świętości. Jeszcze pełniejsze wezwanie do świętości kieruje Bóg do tych, których powołał do głębszego życia radami ewangelicznymi na wzór Jezusa Chrystusa. To szczególne powołanie do świętości, przyjmowaliśmy jako łaskę daną nam w Karmelu. Pamiętam jednak, że nasze powołanie misyjne, przeżywaliśmy jako nowe, jako jeszcze mocniejsze wezwanie do świętości. „**Prawdziwy misjonarz to święty. Każdy misjonarz jest autentyczny jedynie wówczas, gdy wchodzi na drogę świętości.**”¹⁷⁵ Pragnęliśmy bardzo być „prawdziwymi i autentycznymi” misjonarzami. Boże, czuliśmy dobrze, że bardzo nam daleko do ideału! Niestety, nie jesteśmy świętymi! Jeszcze nie! Czy wobec tego będziemy kiedykolwiek autentycznymi misjonarzami?

Pamiętam, że po przybyciu do Burundi, 25 lat temu, zobaczyliśmy, że na każdego misjonarza czeka codziennie mnóstwo zadań, mnóstwo prac nie cierpiących zwłoki. Pytaliśmy zatem z pewnym niepokojem: Czy wir pracy, którzy nas czeka, nie wytrąci nas z rytmu „ćwiczeń duchownych”, do których przywykliśmy w Karmelu, a które utrzymują człowieka na drodze do świętości? Wnet jednak przekonaliśmy się, że próżne to obawy. Warunki życia w afrykańskim buszu, pomimo nawału pracy, pozostawiają dosyć czasu na „ćwiczenia duchowne” właściwe Karmelowi. Owszem, można powiedzieć, że warunki i atmosfera, sprzyjająca tym ćwiczeniom jest tu daleko lepsza od tej w Europie. Chociażby dlatego, że doba jest tu równo podzielona na dzień i noc. Noc zapada o godz. 18.00, a że nie ma tu elektryczności, nie może być mowy o pracy duszpasterskiej po tej godzinie. Ze względu na tropikalne ciemności trzeba też odłożyć inne prace. Ludzie mogą przyjść na misję dopiero jutro, około godz. 7.00. Pozostaje dosyć czasu na modlitwę i na odpoczynek, tym bardziej, że czasu nie pożera tu telewizor, a ciszy nie mąci wielkomięski rozgwar. Ileż to razy wspominaliśmy, że w Polsce różne spotkania i duszpasterskie zajęcia zaczynają się dopiero wieczorem i trwają do późnej nocy. Tu tego nie było. Trzeba też dodać, że Ojcowie Biali nauczyli ludzi w Burundi, że od godziny 12.00 do 14.00 misjonarze zachowują przerwę w pracy. Ta przerwa obowiązuje dzisiaj wszędzie: w szkołach, urzędach, w zakładach pracy. Rzeczywiście, wraz z dzwonkiem na **Anioł Pański** ustają wszelkie zajęcia. Misjonarze mają zatem czas na „modlitwę w ciągu dnia” i na wspólny obiad. Tak więc, jeżeli tylko nie zgaśnie „zapał świętości”, jeżeli nie braknie dobrej woli, można tu dążyć do świętości ścieżkami wytyczonymi przez Karmel.

¹⁷³ KK 1

¹⁷⁴ RMs. 90

¹⁷⁵ j. w.

Obowiązek dążenia do osobistej świętości przypominały nam nieustannie zdania, do których wypełnienia dla dobra tutejszego Kościoła zostaliśmy do Burundi, a później do Rwandy, posłani przez Pana. Na razie byliśmy mocno zaangażowani w pracę duszpasterską w rozległej parafii w Mpindze, a później także w wydzielone z niej parafii w Musongati. Wciąż jednak pamiętaliśmy o tym, że Kościół w Burundi i w Rwandzie nie będzie prawdziwie założony, jeżeli jego fundamenty nie sięgną w głąb, jeżeli z pracą ewangelizacyjną nie pójdzie w parze praca, zmierzająca do pogłębienia życia wewnętrznego, zmierzająca do uświęcenia ludzi już w Chrystusa wierzących. Byliśmy przeświadczeni, że to właśnie my, karmelici, tym drugim rodzajem misyjnego działania powinniśmy się zająć w sposób szczególny. Nikt nie przekaze tego, czego sam nie posiada. Dlatego też – jak wspomniałem – świadomość szczególnego powołania wzywała nas do prowadzenia Kościoła w Burundi na głębię, a nas samych do świętości.

W roku 1977, z okazji 50-tej rocznicy ogłoszenia św. Teresy od Dzieciątka Jezus Patronką Misji Katolickich napisałem: „Dla nas, karmelitów-misjonarzy, wspomnienie tej rocznicy jest bardzo drogie. Pragniemy je uczcić nowym zapałem apostołskim, ale pragniemy także postawić jakiś pomnik tej rocznicy. Jaki? Na ternie parafii w Musongati takim pomnikiem będzie kościół w Gakome budowany pod wezwaniem św. Teresy z Lisieux. A w Mpindze? Ojciec Święty przypomina: Należy głosić Dobrą Nowinę nie w jakiś dekoracyjny sposób, zadowolając się zewnętrznym bliznem, ale docierając do głębi serc i dusz.

W istocie, apostołstwo, które nam powierzył Jezus Chrystus, obejmuje dwa etapy: głoszenie Dobrej Nowiny i uświęcenie. Dotychczas w pracy misyjnej zwracano wiele uwagi na konieczność nauczania, na głoszenie Dobrej Nowiny, ale mniej podkreślano konieczność działalności, zmierzającej do uświęcenia, działalności, która nie kieruje się tylko ku niewierzącym, ale właśnie ku już wierzącym, by pogłębiać ich wiedzę, by ich umacniać, by ich prowadzić do życia gorliwszego.

Spostrzegamy tu – w Burundi – że już najwyższy czas, by przejść na drugi etap: nie zaniehbując ewangelizacji, zająć się więcej uświęceniem. Dlatego już od dawna marzył się nam dom rekolekcyjny. Z okazji pięćdziesięciolecia ogłoszenia św. Teresy od Dzieciątka Jezus Patronką Misji, podejmując zachętę Ojca Świętego do zejścia na głębię w misyjnej pracy, postanowiliśmy zbudować dom rekolekcyjny w Mpindze. Nie byłby to dom przeznaczony dla jakiejś elity, ale służący naszym prostym ludziom.

„Kościół nie jest naprawdę założony, nie żyje w pełni, ani też nie jest doskonałym znakiem Chrystusa wśród ludzi, jeżeli wraz z hierarchią nie istnieje i nie pracuje autentyczny laikat. Ewangelia bowiem nie może zapuścić głębokich korzeni w umysłach, w życiu i pracy jakiegoś narodu bez czynnego udziału ludzi świeckich. Dlatego już przy zakładaniu Kościoła należy przywiązywać jak największą wagę do tworzenia dojrzałego, chrześcijańskiego laikatu.”¹⁷⁶

Dlatego też pragniemy zwrócić szczególną uwagę na ludzi świeckich. Chcemy ich zbierać grupami na kilka dni modlitwy i skupienia. Jesteśmy przekonani, że grupy katechistów, grupy Akcji Katolickiej, grupy młodzieży będą mogły wiele skorzystać z tego domu rekolekcyjnego.

Powiedział jednak ktoś, że autentyczny laikat nie rodzi się samorzutnie i nie może się rozwijać i działać bez przyjaznej współpracy kapłanów. Nie możemy więc zapominać i o kapłanach, tym bardziej, że Ojciec Święty przypomina, iż świat dzisiejszy domaga się takich głosicieli Ewangelii, którzy mówiliby o Bogu, którego znają i z którym w zażyłej przyjaźni żyją tak, jakby na własne oczy oglądali Niewidzialnego. W naszej diecezji nie ma domu rekolekcyjnego dla kapłanów i dla osób zakonnych, dlatego pragniemy w naszym domu rekolekcyjnym przeznaczyć dla nich kilka pokoi.

Pomagać ludziom świeckim, pomagać kapłanom i osobom zakonnym w rozwoju życia modlitwy, życia wewnętrznego, życia zażyłej przyjaźni z Bogiem, to nasze pragnienie i zarazem nasz obowiązek, jesteśmy przecież karmelitami!”¹⁷⁷.

Biskup Joachim Ruhuna z entuzjazmem przyjął nasz zamiar i z serca nam błogosławił. Przystąpiliśmy zatem do dzieła, rysując plan, wycinając część lasu obok misji, zwożąc kamienie na budowę, zakładając fundamenty. Niestety, skończyło się na fundamentach. Dlaczego? Tak się bowiem złożyło, że właśnie w tym czasie siostry Bene-Terezia zgodziły się podjąć pracę misyjną na stacji Kiguhu. Trzeba było dla nich zbudować dom i szkołę gospodarczą. Równocześnie do pracy w Gakome zgodziły się przyjść siostry Marystki. Obok budowanego tam kościoła należało przygotować dom dla sióstr. Trwała też budowa szkoły podstawowej w Musongati i katechumenat w Kiharo. Na dodatek do tego wszystkiego udało się wreszcie załatwić w Szwajcarii pomoc na budowę Centrum Zdrowia w Musongati. Prowadzić niemal równocześnie tak liczne budowy było ponad siły naszych budowniczych. Postanowiliśmy zatem budowę domu rekolekcyjnego w Mpindze odłożyć na później. Nikt wówczas nie przypuszczał, że to „później” nigdy nie nastąpi.

Dla Kościoła w Burundi nastał trudny okres „prześladowania” ze strony rządu prezydenta Bagazy. W roku 1979 wyrzucono nagle 80 misjonarzy, wśród nich o. Jana Kantego i o. Teofila. Powoli także inni misjonarze musieli opuścić kraj, bo nie odnawiano im wizy pobytu.

Ale misjonarze nie musieli wyjeżdżać do Europy. Polscy karmelici postanowili podjąć pracę misyjną w sąsiedniej Rwandzie. W tym czasie zgłosiło się do Zakonu Karmelitów kilku młodych, pragnących zamieszkać w pobliżu jedyne w Rwandzie Wyższego Seminarium Duchownego w diecezji Butare. Chodziło o to, aby młodzi zakonnicy mogli korzystać z wykładów w seminarium duchownym, położonym jakieś 14 km od Butare. Niestety, nie udało się zdobyć miejsca pod dom zakonny w pobliżu seminarium. Inne widocznie były plany Opatrzności. Przy pomocy biskupa Butare, Jana Chrzyciela Gahamanyi, karmelici otrzymali dwa i pół hektara terenu w samym Butare. Według planów miejskich był to teren przeznaczony na targowisko. Uznano jednak, że jest zbyt spadzisty i położony na uboczu, więc przyznano go karmelitom. Ks. biskup domagał się, aby karmelici przyjęli pracę w jednej z parafii jego diecezji. Nie było racji, aby odmówić. Przyjęto więc prowadzenie parafii w Rugango. Równocześnie budowano dom w Butare. Według pierwotnych planów, miał to być dom wychowawczy dla przyszłych karmelitów z Burundi i z Rwandy. Ponieważ teren był dostatecznie duży, postanowiono, że oprócz domu wychowawczego stanie na nim także dom rekolekcyjny, chociażby tylko dla małych grup osób zakonnych i kapłanów. Już w trakcie

budowy domu wychowawczego władze generalne Zakonu zdecydowały, że wychowywanie przyszłych Karmelitów Bosych ze strefy języka francuskiego odbywać się będzie wspólnie na terenie Zairu: nowicjat w Kandzie, filozofia w Bukaru i teologia w Kinszasie. Zdecydowaliśmy zatem, że dom w Butare będzie domem rekolekcyjnym. W ten sposób marzenia o służbie Kościołowi w zakresie pogłębiania życia wewnętrznego, marzenia, które ożywiały nasze serca w Burundi, miały się zrealizować w Rwandzie.

Wnet się okazało, że dom rekolekcyjny właśnie w Butare jest bardzo potrzebny. Wprawdzie w diecezji można było odprawić dzień skupienia lub rekolekcje w domu Ojców Benedyktynów w Gihindamuyadze i w domu Sióstr Benedyktynek w Sowu. Ich domy były jednak oddalone o jakieś 13 km od Butare. Ponieważ nie ma tu komunikacji miejskiej czy podmiejskiej, aby dotrzeć do tych domów trzeba używać samochodu. Ponadto, zgodnie ze swą gościnnością, benedyktyni przyjmowali ludzi równocześnie na „odpoczynek sobotnio-niedzielnny”. Trudno było nakazać tym odpoczywającym zachowanie całkowitego milczenia. Ich rozmowy często przeszkadzały odprawiającym dni skupienia czy rekolekcje. Karmelici w Butare postanowili, że będą przyjmować jedynie pragnących odprawić dzień skupienia lub rekolekcje. Mogli zatem domagać się milczenia, skupienia i ciszy. Wielkim atutem naszego domu było jego położenie na skraju miasta. Nie dochodził tu rozgwar miejski, a równocześnie można tu było dojść pieszo w ciągu kilkunastu minut; z najdalej położonych domów zakonnych w ciągu 45 minut.

W samym Butare było ostatnio aż 30 domów zakonnych. Były to przede wszystkim domy, w których odbywało się wychowanie osób początkujących w życiu zakonnym. Dlaczego, aż tyle domów zakonnych znalazło się w Butare? Najpierw dlatego, że w Butare znajdował się Wyższy Instytut Katechetyczny dla Rwandy, Burundi i Zairu. Młodzi zakonnicy i zakonnice mogli korzystać z wykładów z dziedziny życia zakonnego, modlitwy, Pisma św. Dotyczyło to także nowicjatów zakonnych. Wreszcie, w ostatnich już latach, założono w Butare Instytut Formacji Zakonnej, w którym wykłady były ściśle związane z zagadnieniami życia zakonnego. Nic zatem dziwnego, że różne zgromadzenia zakonne pragnęły posiadać swój dom w Butare lub w jego pobliżu. Ks. biskup Gahamanyi chętnie pomagał zgromadzeniom zakonnym w zdobyciu miejsca na osiedlenie się w Butare pod warunkiem, że w jego rozległej diecezji założą drugą, bardziej duszpasterską placówkę. Było więc w Butare – jak wspominałem – aż 30 domów zakonnych i jeszcze 10 w okolicy. Nie było zatem najmniejszej obawy, że nasz dom rekolekcyjny nie będzie wykorzystany, że będzie świecił pustkami. Wprost przeciwnie, często z bólem serca musieliśmy odpowiadać proszącym: miejsc wolnych nie ma. Dlatego też w ostatnich latach pragnęliśmy przy domu rekolekcyjnym zbudować większą salę konferencyjną, bibliotekę i kilka pokoi. Obecną salę z łatwością można by przebudować na 5 pokoi. Razem będzie jakieś 30 pokoi. Więcej miejsc nie mogliśmy planować, bo inaczej trzeba by rozbudować także naszą kuchnię i jadalnię. Robiliśmy już plany tej rozbudowy i obliczaliśmy jej koszty. Niestety, wydarzenia 1994 roku pokrzyżowały nasze zamiary.

Już od 1988 roku nasz dom rekolekcyjny służył w każdym miesiącu w sposób następujący:

- W pierwszą niedzielę miesiąca odbywał się dzień skupienia dla polskich sióstr misjonarek. W tym dniu skupienia brały udział Siostry Służebniczki Niepokalanej z Karamy i Ruramby, Siostry Pallotynki z Ruhango i Siostry Karmelitanki Dzieciątka Jezus z Rugango.

- W poniedziałek po pierwszej niedzieli miesiąca na swój dzień skupienia przyjeżdżali Księża Pallotyni z Kansi, z Gikongoro, z Kinazi i z Ruhango oraz Karmelici Bosi z Rugango.

Program tych dni skupienia był ustalony na stałe: godz. 8.30 - I konferencja; godz. 9.45 – 11.30 adoracja Najświętszego Sakramentu i okazja do spowiedzi; godz. 11.30 Msza św.; godz. 12.30 obiad; godz. 15.00 II konferencja, po której w okresie Bożego Narodzenia śpiewano polskie kolędy, a w okresie Wielkiego Postu Gorzkie Żale, zaś w maju litanię do Matki Bożej. Dzień skupienia kończono podwieczorkiem.

Te polskie dni skupienia były naszym misjonarzom i misjonarkom potrzebne. Świadczy o tym fakt, że chętnie na nie przyjeżdżali i nie zrażali się, chociaż przez trzy lata sam głosiłem konferencje w czasie tych dni skupienia.

- W drugą niedzielę miesiąca odbywał się dzień skupienia dla wszystkich zgromadzeń zakonnych z Butare i okolicy. Zapraszaliśmy co miesiąc wszystkich, podając temat, który będzie myślą przewodnią dnia skupienia. Program różnił się od poprzedniego tym, że zamiast obiadu był piknik, a dzień skupienia kończył się częstą różańca po drugiej konferencji. Przybywało na ten dzień skupienia przeciętnie od 60 do 100 osób, a czasem i więcej. Muszę tu powiedzieć, że w te dni spowiadać pomagali nam chętnie Księża Pallotyni z Butare, a także ze Zgromadzenia Najśw. Serc Jezusa i Maryi.

- Trzecia i czwarta niedziela miesiąca pozostawały dla różnych grup: Neokatechumenatu, Odnowy w Duchu Świętym, młodych małżeństw, studentów z uniwersytetu itp. Program tych dni skupienia układał animator grupy. Karmelici Bosi pomagali spowiadać i czasem odprawiali dla tych grup Mszę świętą. Bywały to bardzo liczne grupy. Trzeba też dodać, że już daleko naprzód niedziele te były zajęte. Świadczyło to, że dom nasz był w Butare bardzo potrzebny.

W tygodniu także dom rekolekcyjny nie stał pusty. Zawsze kilka osób zakonnych odprawiało dzień skupienia lub rekolekcje. Szczególnie od stycznia do końca marca dni tygodnia były dobrze wykorzystane, bo już od trzech lat młodzież z Zespołu Szkół Średnich, prowadzonego przez Braci Józefitów w Butare odprawiała u nas dni skupienia. Od poniedziałku do piątku każdego dnia inna klasa przybywała do karmelitów z księdzem kapelanem. Klasy liczyły od 25 – 35 osób. Rano przed figurą Matki Bożej u wejścia do kaplicy witał młodzież Karmelita Bosy, mówiąc jej o atmosferze milczenia i skupienia właściwej Karmelowi, a w którą dane im jest wejść dzisiaj w tym domu, wejść po to, by naprawdę spotkać się z Bogiem, by na nowo przyjąć Jego miłość i zachęcić się do dawania coraz to pełniejszej odpowiedzi na tę miłość w codziennym życiu... Później młodzi wchodzili w swój program, który zresztą nie różnił się wiele od wypracowanego dla naszego domu. Były w nim konferencje, adoracje, okazja do spowiedzi, różaniec i Msza św. Było także milczenie, które młodzi zachowywali skrupulatnie. Na koniec było jeszcze jedno spotkanie z karmelitą, w czasie którego młodzi mogli zadawać pytania. Bardzo często pytania te dotyczyły życia w Karmelu, ponieważ wielu z tych młodych spotykało się bliżej z Karmelem po raz pierwszy. Dla nas była to doskonała okazja do mówienia młodym o tej szkole świętości, jaką w Kościele jest Karmel. Przyznaję, że te dni skupienia domagały się od nas ciągłego wysiłku, trzeba było bowiem nie tylko codziennie zapewnić okazję do spowiedzi, ale być także na usługi potrzebujących dłuższej rozmowy. Czasem musieliśmy dla młodych odprawiać nadprogramową Mszę św. Radowaliśmy się jednak bardzo widząc, że przez nasz

dom rekolekcyjny przechodzi tak wielu młodych, często „przechodzi” z ciemności zagubienia na świetlaną drogę miłości Boga i bliźniego.

W miesiącach wakacyjnych organizowaliśmy kilka serii wspólnych rekolekcji. Niektóre zgromadzenia zakonne korzystały z naszego domu, aby w nim przeprowadzić rekolekcje dla swoich członków. Bywały to ich roczne rekolekcje albo też rekolekcje przed ślubami zakonnymi, przed kapitułą generalną itp.

Szczególłą radość sprawił nam fakt, że z naszego domu rekolekcyjnego korzystali kapłani diecezjalni. Swoje dni skupienia odprawiali u nas regularnie kapłani zrzeszeni w bractwa, żyjące duchowością Karola de Foucauld czy duchowością św. Franciszka Salezego. Kiedy ci ostatni sprowadzili w którymś roku rekolekcjonistę z Francji, ks. bp Gahamanyi zapragnął, by wszyscy kapłani diecezji wzięli udział w rekolekcjach pod jego przewodnictwem. Wygłosił zatem dwie serie rekolekcji, w których wziął udział także biskup.

Nie można pominąć milczeniem i tego faktu, że w naszym domu rekolekcyjnym modlili się także protestanci. Upodobali sobie w sposób szczególny kryptę pod główną kaplicą. Mogła pomieścić około 30 osób. Wciąż nie była całkowicie wykończona. Duże wrażenie robiła tu kopia obrazu św. Brata Alberta Chmielowskiego **Ecce Homo**, którą kiedyś otrzymałem w darze od Drogich Sióstr Albertynek z ul. Woronicza w Krakowie. Od czasu do czasu przychodziła tu grupa protestantów ze swoim pastorem, by modlić się, czuwać i wsłuchiwać się w Słowo Boże. Najczęściej przychodzili już o godz. 16.00 po południu i trwali na modlitwie do rana. Zachowywali przy tym ścisły post. Wiem, że wielu z nich wstrzymywało się nawet od picia wody. Zapewniali, że te noce czuwania w ciszy naszego domu podnoszą ich na duchu i umacniają do radosnej służby Bogu i bliźnim także wtedy, gdy ich wspólnota przeżywa różne trudności.

Dwa razy do roku, w Adwencie i w Wielkim Poście, spotykało się w naszym domu rekolekcyjnym trzech biskupów protestanckich wraz z żonami. Najczęściej przez dwa dni trwali na modlitwie i wspólnym rozważaniu Słowa Bożego.

Sądzę, że to, co tu spróbowałem powiedzieć, może dać pewne wyobrażenie o działalności, o posłudze, jaką niesie nasz dom rekolekcyjny w Butare. To prawda, że można tu ukazać tylko jej zewnętrzne wymiary, bo to, co dzieje się w tym domu pomiędzy Bogiem a ludźmi pozostanie na zawsze tajemnicą. Chociaż bywało i tak, że niektórzy z uczestników dni skupienia i rekolekcji, pełni wdzięczności za otrzymane od Boga łaski, próbowali swą wdzięczność wyśpiewać, odsłaniając przy tym rąbek królewskiej tajemnicy serca. Widocznie sam Duch Święty przypominał im słowa archanioła Rafała: „Uwielbiajcie Boga i wysławiajcie Go przed wszystkimi żyjącymi za dobrodziejstwa, jakie wyświadczył wam – w celu uwielbienia i wysławiania Jego imienia. Ogłaszajcie przed wszystkimi ludźmi dzieła Boże, które godne są uwielbienia, i nie wahać się wyrażać Mu wdzięczności. Ukrywać tajemnice królewskie jest rzeczą piękną, ale godną pochwały jest rozgłaszać i wysławiać dzieła Boże.”¹⁷⁸

Uwielbiali zatem Boga, nieraz ze łzami w oczach to czynili, a my mogliśmy wraz z nimi wołać: „Bogu niech będą dzięki!” Wiedzieliśmy bowiem, że ci, którzy przyszli tu z doliny udręczenia, by stanąć wobec chwały jaśniejącej na obliczu Chrystusa, gdy przyjdzie im

zejść z Taboru w codzienne życie, pójdą w nie jakoś przemienieni i bardziej zdolni, zdolni na nowo służyć innym z miłością, służyć innym „przez pokorny dar z siebie, wolny od wszelkiej interesowności”. Dostrzegliśmy wyraźnie, że „spojrzenie utkwione w obliczu Chrystusa nie osłabia w Apostole woli służenia człowiekowi; przeciwnie – umacnia ją, nadając jej nową zdolność oddziaływania na historię, aby uwolnić ją od tego, co ją oszpeca”. **Widzieliśmy, że spotkanie z Chrystusem każe wszystkim, którzy przeszli przez nasz dom, z żarliwą miłością „zatroszczyć się o wizerunek Boga, zniekształconego w obliczach braci i siostr, w ich twarzach oszpeconych przez głód, w twarzach rozczarowanych przez puste obietnice polityków, w upokorzonych twarzach tych, których kultura jest poniżana, w twarzach przełęczonych zaślepioną przemocą, w niespokojnych twarzach dzieci, w twarzach kobiet znieważanych i poniżanych, w zmęczonych twarzach migrantów, którzy nie spotkali się z godziwym przyjęciem, w twarzach starców, którym brak najbardziej podstawowych warunków godnego życia.”**¹⁷⁹

Zdawaliśmy sobie jasno sprawę, że tej uświęcającej przemiany dokonywał w uczestnikach rekolekcji Duch Święty, a nie karmelici boski. Radowaliśmy się jednak tym, że to nam dane było stworzyć w Butare miejsce modlitwy, stworzyć tę atmosferę skupienia i ciszy, która ułatwia człowiekowi przyjmowanie mocy Ducha Świętego. Taka atmosfera jest dzisiaj tak konieczna, jak kiedyś było konieczne jednomyślne trwanie na modlitwie uczniów Pana wraz z Maryją, Matką Jezusa,¹⁸⁰ jak konieczne było oczekiwanie obietnicy Ojca,¹⁸¹ aby uczniowie Pana napełnieni Duchem Świętym mogli głosić wielkie dzieła Boże.¹⁸² Sami modliliśmy się gorąco, aby w naszym domu rekolekcyjnym zechciał działać Duch Święty, aby z niego, jak z Wieczernika, wychodzili uczniowie Pana zdolni objąć miłością udręczonych ludzi w Rwandzie.

Jan Paweł II napisał: „Ze swej strony misjonarze winni rozmyślać o potrzebie świętości, której wymaga od nich dar powołania i z dnia na dzień odnawiać się Duchem w swoim umyśle, a także stale doskonalić swą formację doktrynalną i duszpasterską. Misionarz winien być człowiekiem modlitwy kontemplacyjnej i czynu. Rozwiązanie problemów znajduje on w świetle Słowa Bożego oraz w modlitwie osobistej i wspólnotowej. Kontakt z przedstawicielami tradycji duchowych niechrześcijańskich, zwłaszcza w Azji, potwierdza fakt, że przyszłość misji w dużej mierze zależy od kontemplacji. Misionarz, który nie oddaje się kontemplacji, nie może głosić Chrystusa w sposób wiarygodny. Jest on świadkiem żywego doświadczenia Boga i powinien móc powiedzieć jak Apostołowie: ‘cośmy usłyszeli o Słowie życia... na co patrzyliśmy... oznajmiamy wam’”.

¹⁸³

Powyższe słowa Jana Pawła II przypomniały mi jeszcze jedną działalność, którą powierzono w Butare karmelitom boskim, działalność, której celem było stałe doskonalenie

¹⁷⁹ por. *Vita consecrata*, 75

¹⁸⁰ por. Dz.1, 14

¹⁸¹ por. Dz. 1, 4

¹⁸² j. w. 2, 4, 11

¹⁸³ 1 J. 1,1-3

formacji doktrynalnej misjonarzy i miejscowego kleru oraz osób zakonnych. W ramach stałej formacji organizowano raz w miesiącu wykłady na wybrany temat. Po wykładzie wywiązywała się zazwyczaj ożywiona dyskusja. Do karmelitów należało wyszukanie odpowiedniego prelegenta i wyznaczenia tematu wykładu. Staraliśmy się przede wszystkim o to, aby duchowieństwo diecezjalne i zakonne zapoznawało się z dokumentami Stolicy Apostolskiej. Ponieważ w wykładach brało udział więcej niż 100 osób, odbywały się one w sali Instytutu Katechetycznego, który ponadto był położony bliżej centrum miasta. Wspomniane wykłady odbywały się wieczorem, aby jak najwięcej osób, po skończonych zajęciach, mogło w nich brać udział. Niestety, od wprowadzenia stanu wojennego w 1990 roku musieliśmy z tych spotkań zrezygnować, tym bardziej, że po zniszczeniu elektrowni w Ntaruka, często wieczorami nie było w Butare światła. Jestem przekonany, że gdy tylko to będzie możliwe, do tych wykładów należy powrócić, bo one rzeczywiście pomagały stale doskonalić formację doktrynalną i duszpasterską.

Wróćmy jednak do naszego domu rekolekcyjnego. Papież napisał: „Przyszłość misji w dużej mierze zależy od kontemplacji”. Nasz dom w Butare starał się stworzyć dogodną atmosferę dla kontemplacji, dla modlitwy osobistej i wspólnotowej. Doskonałą oprawą dla tej atmosfery był piękny park ze skalniakami, ozdobnymi krzewami i kwiatami. Ta atmosfera ciszy, skupienia i piękna pomagała wielu misjonarzom i osobom zakonnym, a także świeckim, przeżyć żywe doświadczenie Boga i stawać się autentycznymi świadkami Jego miłości. Ci, którzy naprawdę weszli w atmosferę ciszy, skupienia i modlitwy w naszym domu, zapewnili nas, że przeżyli tu żywe spotkanie z Żywym Bogiem. Nie potrzebowaliśmy zresztą zapewnień w słowach. Wystarczającym świadectwem był fakt, że do naszego domu często na modlitwę, na rekolekcje wracali. Niektórzy, trochę żartem, mówili, że przyciągały ich smaczne posiłki, o które z wielką troskliwością dbał o. Bartłomiej Kurzyniec wraz z naszymi kucharzami. No cóż, to także było konieczne.

Nie można wszystkiego powiedzieć. Pragnę jednak, zanim skończę tę rozmowę o świętości, poruszyć jeszcze jedno zagadnienie. Wciąż pozostało ono zagadnieniem otwartym i nigdy nie dawało nam spokoju. Jan Paweł II napisał: „Pomyślmy, drodzy Bracia i Siostry, o zapale misyjnym pierwszych wspólnot chrześcijańskich. Pomimo ówczesnego ubóstwa środków transportu i komunikacji, głoszenie Ewangelii dotarło w krótkim czasie do krańców ziemi. A chodziło o religię założoną przez Syna Człowieczego, który umarł na krzyżu, zgorzenie dla Żydów, a głupstwo dla pogan!¹⁸⁴ U podstaw takiego dynamizmu misyjnego była świętość pierwszych chrześcijan i pierwszych wspólnot.”¹⁸⁵

W tych słowach Ojca Świętego dostrzegam nie tylko zachętę, skierowaną do misjonarzy, aby starali się usilnie o własną świętość, lecz również gorące pragnienie Papieża, aby misjonarze już przy zakładaniu Kościoła usiłowali formować wspólnotę, odznaczającą się gorliwością i świętością na wzór pierwszych wspólnot chrześcijańskich. Pamiętam, że już w początkach naszej pracy misyjnej, kiedy spostrzeżliśmy, że należy więcej starania poświęcić uświęcaniu ludzi w Burundi i w Rwandzie, chcieliśmy tak ukazywać przykłady świętych Kościoła, aby porywały ich do naśladowania.

¹⁸⁴ por. 1 Kor. 1, 23

¹⁸⁵ RMs. 90

Już w roku 1976 pisałem na ten temat: „Kiedyś przetłumaczono na język kirundi żywoty świętych na każdy dzień. Nieporadne to tłumaczenie, ale coś było. Dzisiaj książka już nieosiągalna. Powiedziałem kiedyś naszemu biskupowi, że bardzo się boję o rozwój duchowy chrześcijan i bardzo się boję o Kościół, zwłaszcza młody Kościół, który nie czci świętych. Tymczasem ‘wyrzucono’ nam świętych z Kościoła. W tekstach, które przygotowano dla katechistów do czytania w niedziele na stacjach misyjnych, przez trzy lata niemal nie wspomniano o świętych, a przecież trzeba, żeby młodzi chrześcijanie uczyli się od swoich dojrzałych w wierze i miłości braci – od świętych. Kiedy człowiek nie umie sobie poradzić ze swoimi wadami, świadomość, że oni z tym samym się borykali i tak wspaniale odnieśli zwycięstwo nad sobą, dodaje siły. Biskup przyznał rację i sam wspomniał, ile zawdzięcza przykładom z życia świętych. Obiecał tę sprawę poruszyć na forum między diecezjalnym. Oby coś zrobiono w tej sprawie.”¹⁸⁶

Niestety, na razie nic nie zrobiono. A szkoda! Nawet o świętych czarnej Afryki, którzy niedawno zostali wyniesieni na ołtarze, nie napisano żywotów i nie przygotowano odpowiednich kazań.

W Rwandzie wydano w ostatnich latach książeczkę o świętych każdego dnia w roku, ale są to zbyt krótkie wzmianki na jednej stronie małego formatu. Dobrze i to, ale to wciąż za mało. Młody Kościół w Burundi i w Rwandzie naprawdę potrzebuje przykładu świętych. Ten przykład potrafi zrozumieć i przyjąć. Przekonaliśmy się o tym w Butare przy okazji kanonizacji św. Rafała Kalinowskiego, karmelity bosego.

W sam dzień kanonizacji, 17 listopada 1991 roku, urządziliśmy w Butare uroczystość ze Mszą św., homilią i **Te Deum** na placu przy naszej kaplicy. Uroczystości przewodniczył nuncjusz apostolski, bp Józef Bertello. Zainteresowanie duchowieństwa i wiernych było ogromne. Z tej okazji wydaliśmy broszurkę o naszym świętym w kinyarwanda i w kirundi. Rozesłaliśmy ją do wszystkich parafii i do wszystkich wspólnot zakonnych. Pięć tysięcy egzemplarzy rozeszło się w krótkim czasie. Na uroczystości w katedrze i innych kościołach Butare i okolicy przygotowaliśmy kilka tysięcy ulotek o Świętym. Ulotki i broszurka były pilnie czytane i komentowane. Do naszej kaplicy długo przychodzili wierni, aby się pomodlić u stóp Świętego, który szedł przez życie bardzo trudną drogą, a więc może ich łatwiej zrozumieć i może być przykładem, że nie należy się zniechęcać, chociaż Bóg krzyżowe wyznacza nam drogi życia. To uderzyło wszystkich i to podkreślali. Kiedy jednak pytaliśmy prostych ludzi: „Co cię w tym świętym pociąga, co pragnąłbyś naśladować?” – to zdumiewaliśmy się, że tak różne potrafili w nim dostrzec cnoty godne naśladowania. Jedni mówili, że bardzo ich pociąga to, że kochał sieroty i biednych, że cierpiał tyle lat na wygnaniu, że ciężko pracował. Inni wspominali jego zagubienie w wierze, w praktykach religijnych, a jeszcze inni jego rozmiłowaniem w nabożeństwie do Najświętszej Maryi Panny, w Eucharystii albo wierność modlitwie. Kiedyś podsłuchaliśmy przypadkowo rozmowę mężczyzn, którzy z pewnym zdumieniem wyczytali, że nasz święty był żołnierzem i wyciągnęli wnioski: „Patrz, nawet żołnierz może zostać świętym, jeżeli się modli, jeżeli kocha Boga i bliźnich!” Tak, młody Kościół w Burundi i w Rwandzie potrzebuje przykładu świętych. To nieprawda, że jeszcze do świętości nie dojrzał, że za wcześnie jego wiernym mówić o świętości. [Jeżeli Apostołowie prostym ludziom: rzemieślnikom z Koryntu,](#)

tragarzom z portu w Efezie, niewolnikom z Rzymu z mocą Ducha Świętego głosili „całą prawdę” i stawiali wymaganie „świętymi bądźcie!”, zaś ci prości ludzie tę prawdę i te wymagania przyjmowali, to misjonarze XX wieku mają prawo i obowiązek całą prawdę głosić ludziom w Burundi i w Rwandzie i stawiać im wymagania. Nie mogą jednak zapominać, że na wzór Apostołów sami powinni tą prawdą i tymi wymaganiami żyć, że sami powinni przyjąć Boże wezwanie: „świętymi bądźcie!”

10. „PATRZ, JAKIE BUDOWLE!”¹⁸⁷

„Gorliwość o dom Twój pożera mnie.”¹⁸⁸

Kiedy polscy Karmelici Bosi 25 lat temu przybyli do Burundi, uderzyło ich ogromne ubóstwo kościołów, a szczególnie kaplic na stacjach misyjnych. Wprawdzie i polskie kościoły bywały ubogie, nie były ze złota i drogich kamieni, ale to, co tu zobaczyli, przekraczało wszelkie wyobrażenia. Trzeba przyznać, że pracujący tu misjonarze wybudowali niektóre wspaniałe świątynie, wspaniałe jak na warunki, w jakich budowali, wspaniałe jak na materiały, którymi przy budowie dysponowali. Było jednak, zwłaszcza w odległym buszu, wiele bardzo biednych kaplic. Gdy zabrakło powołań na Zachodzie, Ojcowie Biali nie mieli już odpowiedniej ilości braci zakonnych, nie mieli dosyć misjonarzy, by zadbać o wybudowane kościoły lub kaplice. Budowane były najczęściej z kamienia i suszonej na słońcu cegły i pokryte dosyć topornym belkowaniem, które musiało utrzymać dach z ciężkiej dachówki, wypalanej na miejscu. Posadzkę zastępowało zwyczajne klepisko, a ławki – pnie drzewa ułożone na ziemi. Wiele razy powtarzaliśmy, że nawet na biednych, polskich gospodarstwach lepiej i solidniej wygląda stodoła lub stajnia bydłęca. Tym gorsze robiły wrażenie te biedne kaplice, że często brudziły je, gnieźdzące się w nich nocami sowy. Kiedy termity niszczyły belkowanie dachu lub ściany kaplicy, ludzie usiłowali naprawić je po swojemu. Wyglądały więc kaplice coraz gorzej. Oglądając je i celebrując w nich Eucharystię, odczuwaliśmy ten wyrzut sumienia, który kiedyś zdawał się odczuwać król Dawid, gdy mówił do proroka Natana: „Spójrz, ja mieszkam w pałacu cedrowym, a Arka Boża mieszka w namiocie.”¹⁸⁹ Nie były wprawdzie pałacami budynki mieszkalne misjonarzy, ale przecież były solidniejsze od kaplic. Pamiętaliśmy zawsze, że zostaliśmy posłani, tak jak posłany został Boży Syn.¹⁹⁰ On zaś wykazał wielką żarliwość o czystość i świętość Świątyni.¹⁹¹ Chcieliśmy naśladować Pana, dlatego też gorliwość o każdy dom Boży zaczęła nas pożerać. Postanowiliśmy odbudować na stacjach misyjnych kaplice lub zbudować nowe, solidne

¹⁸⁷ Mk. 13,1

¹⁸⁸ J 2,17

¹⁸⁹ 2 Sm.7,2

¹⁹⁰ J 20, 21

¹⁹¹ por. J. 2, 13-22

kościół. Mogliśmy powziąć takie postanowienie, bo był wśród nas [br. Marcei Śłószarczyk](#), który w czasie stażu pracy w Bururi zapoznał się ze sztuką budowania. Mieliśmy też [br. Sylwestra Szypowskiego](#), który mógł służyć swoim zmysłem artystycznym przy ozdabianiu zbudowanych kościołów. Wielce pomocnym przy wielu budowach był także [o. Sylwan Zieliński](#), a później [br. Ryszard Żak](#).

Już w 1974 roku przystąpiliśmy do odbudowy kościoła na stacji misyjnej w Kiharo. Wiązania dachowe zostały tu bowiem zniszczone przez termyty i była obawa, że dach runie. Został zatem rozebrany. Przy okazji rozebrano też część zniszczonych ścian. Kościół został nie tylko podwyższony, ale też nieco przedłużony i pokryty dachem z eternitu na metalowych wiązaniach. Klepisko zastąpiono cementową posadzką, na której ustawiono ławki. Odbudowę tego kościoła prowadził o. Sylwan Zieliński, ponieważ br. Marcei zajęty był budową naszego domu w Musongati.

W podobny sposób zostały później odnowione kościoły w Kiguhi i w Shandze. Wprawdzie brat Marcei powtarza, że odbudowa tego ostatniego kościoła kosztowała tyle wysiłku i pieniędzy, ile kosztowałaby budowa nowego. Skoro jednak np. w Shandze zostały zachowane fundamenty i część ścian, szkoda było ich nie wykorzystać. Jeżeli już mowa o odbudowie i rozbudowie kościołów, to trzeba wspomnieć o kościele w Gahundze (Rwanda), do którego przy odnowieniu dobudowano obszerną nawę boczną.

W ciągu 25 lat zbudowali Karmelici Bosi 5 nowych kościołów na stacjach misyjnych: w Gakome, Katakazi, Nyanzy, Nyamiyadze i Shembe oraz duży kościół parafialny w Musongati. Tamte kościoły na stacjach misyjnych nazywaliśmy najczęściej kaplicami, dla odróżnienia ich od głównych kościołów parafialnych. Sądzę jednak, że można je śmiało nazwać kościołami, ponieważ liczą ponad 30 m długości i około 20 m szerokości. Obok kościołów na stacjach misyjnych budowane było biuro i mieszkanie dla przyjeżdżającego tu misjonarza. Rozmiarów kościoła w Musongati nie pamiętam, a nie chcę zmyślać. W każdym razie jest on bardzo obszerny. Niejeden raz zazdrościł go nam sam biskup, bo wielu zapewnia, że wygląda solidniej i zbudowany jest staranniej niż sama katedra w Ruyigi.

Oprócz kościołów wybudowali Karmelici Bosi mniejsze, ale solidniejsze kaplice w Kayove, Mutaha, Nyabikenge i wspaniałą kaplicę przy domu rekolekcyjnym w Butare. Ta ostatnia, gdyby była nieco większa, mogłaby być nazwana prawdziwym kościołem.

Kiedy już mowa o budowach sakralnych, trzeba koniecznie wspomnieć, że karmelici wybudowali wieże-dzwonnice przy kościołach w Mpindze i w Gahundze oraz przy kaplicy w Butare.

„Gdy wychodził ze świątyni, rzekł Mu jeden z uczniów: ‘Nauczycielu, patrz, co za kamienie i jakie budowle!’ Jezus mu odpowiedział: ‘Widzisz te potężne budowle? Nie zostanie tu kamień na kamieniu, który by nie był zwalony.’”¹⁹² [Wiedzieliśmy, że także i te kościoły i kaplice, które zbudowaliśmy, nie będą trwać wiecznie. Radowaliśmy się jednak, że dane nam było przygotować godniejsze miejsca dla sprawowania Eucharystii i innych sakramentów świętych, godniejsze wieczniki, w których nasi wierni będą mogli trwać jednomyślnie na modlitwie. Radowaliśmy się, bo patrząc na piękne świątynie, nasi wierni będą mogli łatwiej zrozumieć i przyjąć prawdę o](#)

duchowej świątyni, prawdę głoszoną przez Pawła Apostoła w słowach: „Czyż nie wiecie, żeście świątynią Boga i że Duch Boży mieszka w was? Jeżeli ktoś zniszczy świątynię Boga, tego zniszczy Bóg. Świątynia Boga jest święta, a wy nią jesteście.”¹⁹³

„Czyż nie wiecie, że ciało wasze jest świątynią Ducha Świętego, który w was jest, a którego macie od Ojca, i że już nie należycie do samych siebie? Za wielką bowiem cenę zostaliście nabyti. Chwalcie więc Boga w waszym ciele!”¹⁹⁴

„Jego domem [Chrystusa] my jesteśmy, jeśli ufność i chwalebną nadzieję, aż do końca wytrwale zachowamy”¹⁹⁵, nadzieję, że wraz z Chrytusem wejdziemy do „prawdziwego przybytku, zbudowanego przez Pana, a nie przez człowieka”¹⁹⁶, bo w Chrytuse i dla nas świątynia w niebie się otworzy¹⁹⁷, a „świątynią jest Pan Bóg Wszechmogący oraz Baranek.”¹⁹⁸

„Nauczając w tamtejszych synagogach.”¹⁹⁹

Ewangelista Mateusz napisał: „I obchodził Jezus całą Galileę, nauczając w tamtejszych synagogach...” Synagogi były miejscami kultu, ale bywały też „szkołami”, do których przychodzono, by słuchać nauczających o Bogu. Jezus nauczał jednak także nad jeziorem²⁰⁰, nauczał na górze²⁰¹, „nauczając szedł przez miasta i wsie”²⁰², nauczał na ulicach²⁰³ i wreszcie nauczał w świątyni.²⁰⁴

„A tłumy szukały Go i przyszły aż do Niego; chciały Go zatrzymać, żeby nie odchodził od nich. Lecz On rzekł do nich: ‘Także innym miastom muszę głosić Dobrą Nowinę o Królestwie Bożym, bo na to zostałem posłany.’”²⁰⁵

¹⁹³ 1 Kor. 3, 16- 17

¹⁹⁴ j. w. 6, 19- 20

¹⁹⁵ Hbr. 3,6

¹⁹⁶ j. w. 8,2

¹⁹⁷ por. Ap.11, 19

¹⁹⁸ j. w. 21, 22

¹⁹⁹ Mt. 4, 23

²⁰⁰ Mk. 4, 1

²⁰¹ Mt. 5, 1-2

²⁰² Łk. 13, 22

²⁰³ j. w. 13, 26

²⁰⁴ j. w. 19, 47, J. 7, 14

²⁰⁵ Łk. 4, 42-43

Każdy misjonarz może powtórzyć za Chrystusem Panem: „muszę głosić Dobrą Nowinę o Królestwie Bożym, bo na to zostałem posłany”. Misjonarz posłany do Afryki wnet jednak spostrzega, że aby mógł jak Jezus Chrystus nauczać i głosić Dobrą Nowinę, musi ludziom w afrykańskim buszu przekazać najbardziej elementarne wiadomości o świecie, o historii. Jakże inaczej zrozumieją Ewangelię, która tak często nawiązuje do kultury, do historii i do zwyczajów palestyńskiego świata? Aby uczyć, trzeba zbudować szkoły. Dlatego też pierwsi misjonarze Burundi i Rwandy, Ojcowie Biali, zaraz na początku swej działalności budowali szkoły. Były to, jak na nasze europejskie pojęcia, bardzo prymitywne szkółki, ale były i sprawiały, że ciemności nie były już zupełnie ciemne. Spodziewali się pierwsi misjonarze, że wśród chłopców uczęszczających do tych szkół będzie można „wyłowić” takich, których uda się wykształcić na katechistów, a może nawet posłać do seminarium. Powstawały zatem na misjach coraz to solidniej budowane i zapewniające coraz wyższy poziom wykształcenia - szkoły. Rzeczywiście, w tych szkołach zaczęli czerpać wiedzę pierwsi katechiści, pierwsi kapłani, a także ci, którzy w późniejszych republikach Burundi i Rwandy objęli władzę i administrację. Trzeba przyznać, że był to wielki wkład misjonarzy w alfabetyzację terenów Burundi i Rwandy. Szkół jednak wciąż brakowało.

Pamiętam, że gdy przybyliśmy do Burundi w 1971 roku, tylko 12% dzieci w wieku szkolnym mogło znaleźć miejsce w szkole podstawowej. Całkowite wykształcenie podstawowe posiadało niewielu Burundyjczyków. Jeszcze gorzej było z wykształceniem średnim. Do szkół średnich w całym kraju można było co roku przyjąć zaledwie 2 300 osób. Tylko garstka z nich mogła otrzymać miejsce na uniwersytecie. Jeszcze mniejsza garstka mogła wyjechać na studia do Europy. Tak było w kraju, ale w buszu, gdzie zaczęliśmy pracę, sytuacja była jeszcze bardziej rozpaczliwa. Wprawdzie na terenie parafii w Mpindze i w Musongati było kilka szkół podstawowych, ale tylko maleńka część dzieci w wieku szkolnym mogła do nich uczęszczać. Dlaczego? Brakowało bowiem miejsc, a także było to zbyt kosztowne dla rodziców. Kosztowało nie tylko ubranie i zeszyty. Do szkoły było daleko. Trudno małe dziecko posyłać do szkoły 10 albo 15 km. Trzeba zatem znaleźć krewnych lub znajomych, mieszkających bliżej szkoły i gotowych przyjąć do siebie dziecko. To przyjęcie trzeba w jakiś sposób wynagrodzić. Jeżeli w domu było pięcioro lub sześcioro dzieci w wieku szkolnym, to rodziców nie stać było na „kształcenie” ich wszystkich. Do szkoły szło jedno lub dwoje. Tej łaski dostępowali zazwyczaj chłopcy. Dziewczęta zostawały „bez szkoły”. Po masakrze, jakiej dokonano na Hutu w 1972 roku, wielu rodziców nie chciało posyłać dzieci do szkoły, bo wiadomo było, że i tym razem wielu zginęło tylko dlatego, że umieli czytać i pisać. Rodzice powtarzali: „Niech lepiej będzie ciemny jak ciemna jest skóra. Wtedy jest nadzieja, że nie zginie, że zostanie oszczędzony”. Jakże jednak w XX wieku może rozwijać się kraj, jak może rozwijać się Kościół, a przede wszystkim jak może rozwijać się człowiek, bez chociażby elementarnego wykształcenia? Troska o szkoły była wciąż żywa w naszych sercach. Wiedzieliśmy przecież, że znajomość czytania i pisania mogłaby ułatwić ewangelizację. Niestety, tej znajomości nie było. Pamiętam wizytację duszpasterską naszego biskupa Joachima Ruhuny w naszej parafii. Był to styczeń 1979 roku. Biskup starał się dotrzeć do wszystkich stacji misyjnych. W tym czasie przygotowywano ogólnokrajowy synod. Chciał biskup ustanowić we wszystkich wioskach małe komórki synodalne, takie grupy wiernych, które by zapoznawały się z zagadnieniami, poruszonymi na ogólnych zebraniach i przekazywały je ogółowi wiernych w wioskach. Miały też one wspomagać

przygotowujących synod, odpowiadając na ich ankiety i przedstawiając im swoje lokalne problemy. Okazało się, że na stacjach misyjnych w Mosso tylko kilkunastu mężczyzn ukończyło dwie lub trzy klasy szkoły podstawowej, a zaledwie kilku 6 klas. Byli to zresztą ludzie, którzy przywędrowali tu z innych okolic kraju. Żyjąc w Mosso, bez książki i gazety, coraz bardziej tracili zdobytą kiedyś umiejętność czytania i pisania. Niestety, tak było. Niewiele na to można było poradzić. Przez 25 lat naszej misyjnej posługi zdołaliśmy zbudować tylko 5 szkół podstawowych: w Musongati, Gakome, Nyauzie, Kiguahu i Mbuzie. Każda z tych szkół składała się zazwyczaj z dwóch solidnie wykończonych budynków, w których mieściło się 8 klas i biuro dla dyrektora. Obok szkoły budowano ustępy.

Nie było to jednak wszystko, co w dziedzinie oświaty zrobiliśmy dla naszych ludzi. Wybudowaliśmy bowiem także trzy szkoły gospodarstwa domowego – jak je nazwaliśmy – tzw. **foyer social**. Były to szkoły dla dziewcząt i chłopców, którzy ukończyli szkołę podstawową, a nie zdobyli miejsca w szkole średniej. Przyjmowano do nich także dziewczęta i chłopców, którzy ukończyli przynajmniej kilka klas szkoły podstawowej i wykazywali pewne zdolności. Szkoły te miały przygotować młodych do bardziej ludzkiego życia w rodzinach. Przekazywano w nich bardziej praktyczną wiedzę, ucząc szycia, prania, prasowania, ucząc racjonalnego przygotowywania posiłków, pielęgnacji niemowląt, uprawy roślin, a także wyszywania, robienia swetrów, wyplatania mat i wyrabiania artystycznych przedmiotów, poszukiwanych przez turystów. Przy okazji uczono czytania, pisania, rachunków, higieny i takiej ogólnej wiedzy o świecie, nie zapominając także o religii.

Takie szkoły powstały w Mpindze, w Musongati i w Kiguahu. Zaledwie trzy. Nie dlatego, że nie było zapotrzebowania na więcej, ale po prostu dlatego, że każda taka szkoła, oprócz budynku złożonego z kilku klas, wymagała wyposażenia nie tylko w taborety i stoły, ale także w maszyny do szycia itp. Przede wszystkim jednak trzeba było zdobyć odpowiedni personel: nauczycieli lub nauczycielki. Skąd na to wszystko brać pieniądze... Wprawdzie później takie szkoły starały się być samowystarczalnymi, ale na początek wymagały niemałego nakładu. Samowystarczalność próbowano organizować w ten sposób: foyer social prowadziło zazwyczaj sklepik, w którym sprzedawano koszulki, sukienki i inne przedmioty, wyprodukowane przez uczniów. Absolwenci tych szkół mogli później korzystać z maszyn do szycia dla uszycia czegoś dla swojej rodziny. W ramach odpłaty szyli sukienki, spodenki i koszulki dla szkoły, które sprzedawano w stolicy lub w miejscowym sklepiku, zdobywając nieco grosza na utrzymanie szkoły. Miało to i tę dodatnią stronę, że absolwenci i absolwentki przez kontakt za szkołą nie tracili umiejętności w nich zdobytych, chociaż np. nie mieli w domu maszyny do szycia. Trzeba przyznać, że te szkoły rzeczywiście uczyły młodych żyć bardziej po ludzku.

Jeżeli już mowa o budowach, wspomagających oświatę, to trzeba koniecznie wspomnieć o katechumenatach. Były to „szkoły”, do których uczęszczali ludzie starsi, pragnący otrzymać chrzest święty. Zazwyczaj dwa razy w tygodniu, przez cztery lata od godz. 8.00 do 14.00 zapoznawali się z prawdami wiary. Przy okazji próbowano nauczyć ich przynajmniej czytania. Z pisaniem było trudniej. Katechumenaty były także szkołami dla tych dzieci z rodzin chrześcijańskich, dla których nie było miejsca w szkołach podstawowych. Te dzieci także przez 4 lata uczyły się prawd wiary. Równocześnie prowadzono dla nich podstawową alfabetyzację, ucząc nie tylko czytać, pisać, rachować, ale i przekazując nieco wiedzy o świecie, o jego geografii, historii itp. To wszystko wymagało nie tylko budynków,

ale przede wszystkim katechistów. Pamiętam, że w pierwszych latach naszej pracy misyjnej, na terenie Mpingi działało ich około 30. Potrzebne jednak były także budynki. Na terenie naszej misji wybudowaliśmy przez 25 lat aż 9 katechumenatów, a mianowicie: w Musongati, w Gakome, w Shandze, w Kiguahu, w Kayove, w Gatare, w Shembe, w Kiharo i w Mutaha. Były to budynki, mieszczące od 4 do 5 dużych klas i biuro. W wioskach zbytnio oddalonych od szkół i katechumenatów budowano mniejsze szkółki dla dzieci pierwszego i drugiego roku katechumenatu. Taki budynek posiadał jedną lub dwie klasy. Zbudowaliśmy cztery takie szkółki.

Z sal katechumenatów lub szkółek korzystała w godzinach popołudniowych młodzież, a także starsi z różnych organizacji katolickich, działających w parafii. Mogli tu odbywać swoje zebrania lub przygotowywać śpiewy religijne dla ożywienia niedzielnej liturgii na stacjach misyjnych.

Trzeba powiedzieć, że rola katechumenatów, zwłaszcza tam, gdzie nie było szkół, była doniosła. Dzięki katechumenatom ciemności się rozjaśniały i łatwiej było głosić Dobrą Nowinę.

„Owego dnia Jezus wyszedł z domu.”²⁰⁶

Św. Mateusz Ewangelista zapisał: „Owego dnia Jezus wyszedł z domu...”, a także: „Wtedy odprawił tłumy i wrócił do domu”.²⁰⁷ Św. Marek Ewangelista pisze: „Potem przyszedł do domu, a tłum znów się zbierał, tak, że nawet posilić się nie mogli”.²⁰⁸ I jeszcze: „Wybrał się stamtąd i udał się w okolice Tyru i Sydonu. Wstąpił do pewnego domu i chciał, żeby nikt o tym nie wiedział, lecz nie mógł pozostać w ukryciu.”²⁰⁹

Boży Syn, posłany na świat, aby prowadzić ludzi do domu Ojca, w którym mieszkań jest wiele²¹⁰, sam w czasie swej apostołskiej pracy potrzebował domu; jak każdy prawdziwy człowiek szukał domu, w którym mógłby się zatrzymać. Bywało, że „nie mógł pozostać w ukryciu”. Dom otaczały tłumy, musiał nauczać i w domu. Tam Go zastała Matka i bracia²¹¹, tam Go zastali ludzie, którzy przynieśli do Niego paralytyka.²¹² Z domu wychodził Jezus do ludzi i do domu wracał od tłumów.

Nic zatem dziwnego, że i misjonarz, jak każdy człowiek, potrzebuje domu.

²⁰⁶ Mt. 13, 1

²⁰⁷ j. w. 13, 36

²⁰⁸ Mk. 3, 20

²⁰⁹ j. w. 7, 24

²¹⁰ por. J. 14, 2

²¹¹ Mt. 12, 46, Mk. 3, 31-35, 8, 19

²¹² Mk. 2, 1- 12, Łk. 5, 17- 26

Kiedy 25 lat temu przyjechaliśmy do Burundi, otrzymaliśmy w Mpindze dom zbudowany przez Ojców Białych, po których przejęliśmy parafię. Na przestrzeni 25 lat naszej posługi misyjnej w Burundi i w Rwandzie wypadło nam zbudować trzy domy dla naszych misjonarzy: w Musongati, Rugango i Butare. Dom w Gahundze budowała diecezja.

Normalny dom przy parafii musiał posiadać: kaplicę domową, kilka pokoi dla pracujących w parafii misjonarzy, przynajmniej 3 pokoje gościnne, biuro dla sekretarza parafii i dwa biura dla misjonarzy, magazyn, łazienkę, kuchnię, jadalnię i salę spotkań, w której mieściła się zazwyczaj biblioteka i w której przyjmowało się gości. Obok domu potrzebna była pralnia, garaż. Przy naszym domu w Musongati musieliśmy ponadto wybudować warsztaty oraz duże magazyny na materiały budowlane.

Nieco inaczej wyglądał nasz dom rekolekcyjny **Mater Carmeli** w Butare. Składał się z sześciu budynków, osobno stojących: kaplica; dom mieszkalny misjonarzy; dom dla rekolektantów wraz z salą konferencyjną; budynek, w którym mieściła się kuchnia, jadalnia, pralnia i magazyn; osobno budynek przewidziany dla gości, w którym z czasem mieścił się postulat i nowicjat; wreszcie garaż i warsztat. Pewne oddalenie jednych budynków od drugich pozwalało prowadzić różne zajęcia równocześnie bez przeszkadzania sobie wzajemnie.

Wypadło nam także wybudować cztery domy dla siostr misjonek: w Musongati, w Gakome, w Kiguhu i w Shandze. Te domy różniły się tym, że nie było tu potrzebne biuro parafialne. Potrzebna jednak była jakaś pracownia np. szwalnia i potrzebne były magazyny na żywność, odzież, koce, motyki itp. przywożone dla ubogich parafii, którymi opiekowały się siostry.

Do tych domów trzeba dodać dwa nowicjaty: nasz w Mpindze i Sióstr Karmelitanek Dzieciątka Jezus. Te budynki także posiadały kaplicę domową, kilka pokoi, łazienkę i salę wykładową.

Jeżeli już mowa o domach, to muszę wspomnieć o zbudowanych w Musongati dwu obszernych domach dla pielęgniarek i nauczycielek, pracujących w ośrodku zdrowia i w foyer social.

„Przynosili do Niego wszystkich chorych.”²¹³

W swej apostołskiej działalności Jezus Chrystus spotykał się z wielu chorymi i „uzdrowiał wielu dotkniętych rozmaitymi chorobami...”²¹⁴ **Chrystus Pan zawsze okazywał serdeczną troskę o chorych, zawsze darzył ich szczególnym współczuciem. Chciał, aby Jego uczniowie naśladowali tę wrażliwość Jego Serca w obliczu chorych i cierpiących. Nic zatem dziwnego, że misjonarze, gdziekolwiek się pojawili, szczególną troską otaczali chorych i cierpiących. Tak było w Burundi i w Rwandzie.** Zanim przybyliśmy do Burundi w 1971 roku, zrobiono już dla chorych dużo. Było nieco lekarzy i pielęgniarek, były prawdziwe szpitale w stolicy i w Gitedze, były mniejsze wiejskie szpitale i były ośrodki

²¹³ Mk. 1, 32

²¹⁴ j. w. 1, 34

zdrowia. Zrobiono dużo, jak na tamtejsze warunki, lecz w rzeczywistości było to bardzo mało. Pamiętam, że gdy przybyliśmy do Burundi, jeden lekarz przypadał według statystyki na 80 000 mieszkańców. Po dramatycznej rzezi w 1972 jeden lekarz przypadał na 100 000 mieszkańców. Niektórzy czarni lekarze zginęli, a wielu białych wyjechało. Jak kiedyś mówiłem, „statystycznie” jeden lekarz przypadał na 100 000 mieszkańców, bo rzeczywistość, zwłaszcza w odległym buszu, była wprost dramatyczna. W naszej diecezji, w województwie Ruyigi był tylko jeden lekarz na 350 000 mieszkańców. I był to lekarz wojewódzki, musiał zatem „z urzędu” brać udział w różnych zjazdach, konferencjach i spotkaniach, organizowanych przez ministerstwo zdrowia. Praktycznie nie było go prawie nigdy w jedynym wojewódzkim szpitalu, który do dzisiaj nosi nazwę „Szpital wiejski”. Wybudowany został jeszcze za czasów belgijskich. Na terenie naszej parafii, która liczyła 60 000 ludzi, był mały ośrodek zdrowia w Mpindze (dwie izby), przy którym pracował jeden czarny pielęgniarz. Podobny ośrodek zdrowia działał w Musongati. Lekarstw przeciw malarii i środków opatrunkowych, przyznawanych przez ministerstwo zdrowia wystarczało tym ośrodkom zaledwie na 5 dni w miesiącu. Pielęgniarz, który „musiał sobie dorobić”, sprzedawał je drogo. Raz w miesiącu pojawiała się w Mpindze i w Musongati siostra, która z ramienia diecezji opiekowała się trędowatymi. Przyjeżdżała na kilka godzin, by rozdać lekarstwa, a przy okazji kawałek mydła. Przez jakiś czas pełniła tę posługę polska szarytka, s. Bernarda Baran.

To było wszystko, co robiono dla chorych na terenie parafii w Mpindze i w Musongati, a przecież było tu wiele różnych chorób i nieszczęśliwych wypadków. Chorobami, które najbardziej dokuczały tutejszym ludziom były: malaria, czerwonka, różne robaczyce i związane z nimi choroby przewodu pokarmowego, gruźlica, trąd; od czasu do czasu przechodziły fale różnych chorób zakaźnych, jak np. grypa, różyczka dziecięca, wirusowe zapalenie opon mózgowych, cholera itp. Zdarzały się ukąszenia przez węże, przez wściekłego psa, śmiertelne zatrucia grzybami albo przedawkowanie „lekarstw”, podawanych przez czarowników. Wtedy, ludzie niedożywieni lub wprost głodujący, umierali jak przysłowiowe muchy. Umierały też masowo dzieci.

Nic zatem dziwnego, że zaraz po przyjeździe do Burundi marzyli Karmelici Bosi o stworzeniu na terenie swej parafii ośrodka zdrowia z prawdziwego zdarzenia. Owszem, marzył się im szpital. Zgodziły się przyjechać do Burundi polskie siostry Karmelitanki Dzieciątka Jezus. Gotowość przyjazdu i darmowej pracy na rzecz naszych chorych wyraziły także dwie polskie lekarki. Bp. Joachim Ruhuna rozpoczął starania w ministerstwie zdrowia o pozwolenie na ich działalność w Burundi. Niestety, tego pozwolenia nigdy nie uzyskano. Dlaczego? Przecież tak bardzo potrzeba tu lekarzy. Podawano różne uzasadnienia odmowy. Między innymi twierdzono, że w strefie języka francuskiego nie można uznać polskich dyplomów lekarskich. Odpowiadaliśmy, że przecież pracują w Burundi czarni lekarze, którzy ukończyli studia w Moskwie. „Tak – odpowiadano – ale oni robią dodatkowe studia chorób tropikalnych w Antwerpii, a przede wszystkim oni znają środowisko, w którym pracują”. Wreszcie ktoś nam wytłumaczył, że polskie lekarki popełniły błąd, pisząc na podaniu, że chcą pracować za darmo, nie pobierając honorarium. Na to nigdy nie zgodzą się tutejsi lekarze, którzy przecież muszą zarabiać na życie, a więc muszą od chorych pobierać honorarium, i to honorarium wygórowane. Pracujące za darmo lekarki psułyby im opinię. Tak więc dobra wola naszych lekarek została odrzucona.

Przyjechały natomiast do Burundi już 7 grudnia 1973 roku polskie Karmelitanki Dzieciątka Jezus, wśród nich s. Zygmunta Kaszuba, która chociaż tylko pielęgniarką była, to przecież potrafiła dokonywać prawdziwych, lekarskich zabiegów. Po stażu języka i stażu pracy zaczęły siostry pracę w ośrodku zdrowia w Musongati. Ponieważ z Polski zaczęły przychodzić paczuski z lekarstwami, wysyłane przede wszystkim przez Klub Inteligencji Katolickiej w Krakowie, siostry miały czym wspomagać chorych przez cały miesiąc. Chorzy zaczęli do Musongati napływać z całej okolicy. Na szczęście przybyła do Burundi bardzo oddana chorym pielęgniarka, s. Lucyna Krystyna Dąbrowska. Warunki pracy sióstr wciąż były opłakane, a chorych coraz to więcej przybywało. Trzeba było na gwałt budować nowy, duży ośrodek zdrowia. Skąd jednak wziąć fundusze? Siostra Zygmunta nie przestawała błagać, szukać, pukać do różnych organizacji zdrowia. Wreszcie udało się jej uzyskać pomoc ze Szwajcarii. W roku 1978 br. Marcei Szłósarczyk rozpoczął budowę „szpitala” w Musongati. Było to przedsięwzięcie zakrojone na większą miarę. Powoli otwierano tu coraz to nowe oddziały. Dzisiaj stoi tu 6 dużych budynków, które noszą wspólną nazwę Centrum Zdrowia w Musongati. Mieści się w nich przychodnia, w której dokonuje się wstępnych konsultacji, opatrunków, szczepień, zabiegów pierwszej pomocy itp. W Centrum Zdrowia jest porodówka i oddziały dla chorych, także dla chorych na choroby zakaźne. Jest tu także osobny ośrodek zdrowia dziecka, gdzie nie tylko dokarmia się dzieci chore na awitaminozę, ale także uczy matki odpowiedniej opieki nad niemowlętami i małymi dziećmi. Centrum posiada własne laboratorium dla dokonywania analiz oraz gabinet dentystyczny i rentgenowski. Jest w Centrum duży magazyn na lekarstwa, pralnia i kuchnia, w której opiekujący się chorymi mogą przygotować dla nich posiłki. Nie zapomniano także o kaplicy, w której chorzy mogą spotkać się z Chrystusem, by od Niego czerpać siłę do godnego znoszenia cierpień.

Wprawdzie siostry nie mogły uleczyć wszystkich chorych, którzy tu przybywali nawet z bardzo daleka, wprawdzie niektórych chorych wciąż trzeba było odwozić do szpitala w Gitedze lub w stolicy, ale przecież działalność Centrum Zdrowia w Musongati była błogosławieństwem dla całej okolicy. Bywały dni, że trzeba było przyjąć od 200 do 300 chorych. Ratowały siostry zdrowie i życie wielu ludzi, i wyzwały ich także od rujnujących praktyk czarowników.

Przy okazji muszę nadmienić, że podobną działalność prowadziły bardzo ofiarne w Burundi siostry Duchaczki, zaś w Rwandzie polskie siostry Służki Niepokalanej, Pallotyńki i siostry od Aniołów.

„Daj Mi pić!”²¹⁵

Ewangelista Jan napisał: „Było tam źródło Jakuba. Jezus, zmęczony drogą, siedział sobie przy studni. Było to około szóstej godziny. Nadeszła [tam] kobieta z Samarii, aby

zaczepnąć wody.”²¹⁶ Jezus wykorzystał okazję, by mówić jej o wodzie, którą On daje, o wodzie, która w pijącym ją stanie się źródłem wody, wytryskującej ku życiu wiecznemu. Znamienne jest zawołanie Samarytanki: „Daj mi tej wody, abym już nie pragnęła i nie przychodziła tu czerpać.”²¹⁷

W swoim ziemskim życiu spotkał się Chrystus Pan z zagadnieniem wody, spotkał się z tym pragnieniem: żeby już nie trzeba było chodzić daleko po wodę, żeby jej nie brakowało! Z zagadnieniem wody spotykają się także misjonarze posłani do Afryki. Nieobce to zagadnienie także dla misjonarzy w Burundi i w Rwandzie.

Kiedyś, mówiąc o problemie wody w Burundi napisałem: „Jeziora i liczne rzeczki wskazują na obfitość wody w Burundi. Rzeczywiście, wody w Burundi nie brakuje. Czasem muszą ją ludzie donosić z daleka, ale zawsze można wodę znaleźć. Istnieje jednak w Burundi problem wody, albowiem woda tamtejsza jest niezdatna do picia ze względu na ogromną ilość żyjących w niej ameb i różnych innych drobnoustrojów. Misjonarzom powtarza się, że wodę do picia należy gotować i filtrować. Ostrożniejsi mówią, że należy dwa razy gotować i dwa razy filtrować. Ludzie tamtejsi nie mogą sobie na to pozwolić. Piją wodę z rzek, z potoków, piją deszczówkę, stąd wiele u nich chorób przewodu pokarmowego, wiele chorób pasożytniczych. Powiedział ktoś: uleczyć wodę w Burundi, to uleczyć więcej niż połowę chorób tamtejszej ludności.

Czy więc problemu nie rozwiązałyby studnie? Zapewne tak. Niestety, trudno w naszych górach kopać studnie. Te kopane w dolinach - zapełniałaby woda podskórna, a te w górach musiałyby być bardzo głębokie. W Musongati np., przy wierceniach w poszukiwaniu złóż niklu znaleziono wodę dopiero na głębokości 60 metrów. Któż mógłby sobie pozwolić na tak głębokie studnie? Chociażby ją nawet wykopać i zabezpieczyć, nie można być pewnym, że utrzyma wodę. Regularnie, dwa razy w roku, odczuwa się w Burundi dosyć silne trzęsienia ziemi, które mogą spowodować zniknięcie wody. Dla przykładu przytoczę przypadek z terenu parafii w Mpindze. Było tam mianowicie małe jezioro, które po trzęsieniu ziemi zupełnie utraciło wodę.”²¹⁸

„Daj mi tej wody, abym już nie pragnęła i nie przychodziła tu czerpać” – mówi Samarytanki do Chrystusa. Nie zrozumiała jeszcze, o jakiej wodzie mówi tu Pan. Z jej wypowiedzi wynika, że niejednym razem musiała odczuwać brak wody, że niejednym razem paliło ją pragnienie, że miała już dosyć tego ciągłego chodzenia po wodę.

Chodzenie po wodę jest chyba trudniejsze w Burundi i w Rwandzie niż było w Samarii. Tam była studnia. W Burundi – jak wspomniałem – nie można było kopać studni. Ludzie osiedlają się zazwyczaj na wzgórzach, bo tu mniej komarów, a zatem nie tak często jak w dolinach, atakuje ludzi malaria. Zatem wodę do picia, do gotowania, do mycia się trzeba przynosić z doliny, z płynącej rzeki, z jakiegoś strumyka. Ciężka to praca, czasem bowiem trzeba po wodę schodzić w dolinę całą godzinę. I trochę beznadziejna praca, nigdy wykonana raz na zawsze, bo chodzisz po wodę, a wciąż jej brakuje. Pracę tę wykonują

²¹⁶ j. w. 4, 6-7

²¹⁷ j. w. 4, 15

²¹⁸ Misyjny trud, s. 30

zazwyczaj dzieci, ale można też często spotkać niewiasty, dziewczęta, a nawet mężczyzn z naczyniem na głowie. Niosą do domu drogocenną wodę, chociaż niestety wodę skażoną, wodę, w której aż roi się od drobnoustrojów.

Dzisiaj organizacje międzynarodowe usiłują ulżyć doli ludzkiej i przybliżyć im wodę, przeprowadzając ją do osiedli niżej położonych ze „źródeł” w górach. Napisałem słowo „źródło” w cudzysłowie, bo najczęściej nie są to źródła w prawdziwym tego słowa znaczeniu. Często bywa tak, że góra jest z kamienia, chłonną wodę w okresie deszczowym. Kamień ten „oddaje” później wodę na tyle obficie, że przez cały okres suszy napełniają się nocą zbudowane zbiorniki i wody starcza dla całej wioski.

Kiedy przybyliśmy do Burundi, 25 lat temu, takich „ujęć wody” było w kraju zaledwie kilka. Normalnie przy misjach budowano specjalne zbiorniki, które w porze deszczowej napełniano deszczówką. W porze suchej należało wodę oszczędzać. Zbudowaliśmy takie zbiorniki przy naszych domach. Ponieważ jednak w Musongati przewidywano budowę licznych domów i kościoła, ponieważ Centrum Zdrowia będzie zawsze potrzebowało dużo wody, postanowiliśmy przeprowadzić wodę na misje ze „źródła” na stoku pobliskiej góry. Źródło to oddalone było o 4 kilometry. Podobnego ujęcia i przeprowadzenia wody dokonali Karmelici Bosi także w Gakome.

Pan powiedział: „Kto poda kubek świeżej wody do picia jednemu z tych najmniejszych, dlatego, że jest uczniem, zaprawdę powiadam wam, nie utraci swojej nagrody.”²¹⁹ Jestem przekonany, że nie tylko br. Marceli, ale także wszyscy, którzy swoją ofiarą i pracą przyczynili się do tego przybliżenia wody ludziom, otrzymają w nagrodę prawdziwy dar wody, dar Ducha Świętego, zgodnie z zawołaniem Jezusa: „Jeśli ktoś jest spragniony, a wierzy we Mnie – niech przyjdzie do Mnie i pije! Jak rzekło Pismo: Strumienie wody żywej popłyną z jego wnętrza”. A powiedział to o Duchu, którego mieli otrzymać wierzący w Niego.”²²⁰ Te „strumienie wody żywej” pozwolą im tak żyć, że nigdy nie będą wołać: „Ojciec Abrahama, ulituj się nade mną i poślij Łazarza; niech koniec swego palca umoczy w wodzie i ochłodzi mój język, bo strasznie cierpię w tym płomieniu.”²²¹

„A światłość w ciemnościach świeci.”²²²

Św. Jan Ewangelista napisał: „... a światłość w ciemnościach świeci”. Wiem, że słowa te napisał o życiu, które było w Słowie i które było światłością ludzi. Wiem, że misjonarze powinni przede wszystkim tę światłość przekazywać ludziom, do których zostali posłani. Niech mi jednak wolno będzie użyć tych słów jako motta tej relacji, w której pragnę

²¹⁹ Mt. 10, 42

²²⁰ J 7, 37- 38

²²¹ Łk. 16, 24

²²² J 1,5

powiedzieć, że [misjonarzom w Czarnej Afryce wypada czasem zatroszczyć się także o zwyczajne, o doczesne światło.](#)

Chociaż w latach siedemdziesiątych nawet najbardziej zapadłe wioski w Europie cieszyły się już światłem elektrycznym, to kiedy w 1971 roku przybyliśmy do Burundi, światłem elektrycznym cieszyła się tylko stolica kraju, Bujumbura. Inne, większe miasteczka, jak np. Gitega, miały odrobinę światła, wytwarzanego wieczorem potężnym motorem na ropę. Podobnie na misjach do wytwarzania prądu elektrycznego używano takiego motoru. Musiano prądu oszczędzać, bo ropa naftowa była droga, nie zawsze dostępna i trzeba ją było dowozić ze stolicy. Tymczasem – jak wiadomo – pod równikiem ciemność zapada zaraz po godz. 18.00 i trwa do 6.00 rano. Można by także w ciągu dnia więcej zrobić, mając prąd elektryczny dla uruchomienia maszyn stolarskich, spawarek itp.

Nic dziwnego, że polskim Karmelitom Bosym wciąż się marzyło zbudowanie tamy na którymś z miejscowych strumyków i założenie centrali hydroelektrycznej. Niestety, zbyt wiele prowadziliśmy budów, by zająć się realizacją tych marzeń. Wciąż brakowało czasu i brakowało grosza, bo nie udało się znaleźć kogoś, kto ufundowałby dla nas „elektrownię”. [Dopiero w 1980 ukończyliśmy budowę zapory i uruchomiliśmy turbinę, dostarczającą energię elektryczną do misji w Musongati.](#) Zapora była oddalona 2 km od misji i dostęp do niej był bardzo trudny. Wnet przekonaliśmy się, jak wielkim dobrodziejstwem dla misji, dla warsztatów i dla Centrum Zdrowia jest ta „elektrownia”. Koło jej budowy oprócz br. Marcelego „dużo chodził” o. Józef Trybała.

Tym osiągnięciem w Musongati bardzo się zachęcił o. Nazariusz Kwiatkowski i postanowił podobną elektrownię zbudować dla misji w Mpindze. Tu także można by używać energii elektrycznej do poruszania maszyn stolarskich i młyna, który bardzo ułatwiał ludziom życie, mieląc sorgo i kukurydzę. Eksploatacja tych maszyn przy użyciu motoru na ropę, kosztowała drogo. Miejsce na zaporę udało się znaleźć. Było oddalone o trzy i pół kilometra od misji. Dojście po spadzistych skalistych zboczach bardzo utrudnione. Ale i tu dzieła dokonano. [Kiedy „zwiedzałem” to dzieło w 1994 roku, nie mogłem się nadziwić, jak potrafią tu znieść tak wiele ton cementu, a przede wszystkim, jak przeniesiono tu centralę hydroelektryczną. Przecież to niesamowity ciężar! A nie można jej było rozebrać na drobne części. Dzisiaj sam o. Nazariusz dziwi się, że miał odwagę podjąć się tak trudnej pracy. Przecież – mówił – trzeba było aż 65 słupów zainstalować dla przeprowadzenia prądu do misji!](#)

Nakładem ogromnego ludzkiego trudu dzieła dokonano i także w Mpindze „światłość w ciemnościach świeci”, nie tylko oddając przysługi, ale przypominając także, że tak ma świecić nasze światło przed ludźmi, aby widzieli nasze dobre uczynki i chwalili Ojca naszego, który jest w niebie²²³, przypominając Chrystusa Pana, który przyszedł na świat jako Światło, aby każdy, kto w Niego wierzy, nie pozostał w ciemności²²⁴, przypominając Tego, który nas wezwał z ciemności do przedziwnego swojego światła.²²⁵

²²³ Mt. 5, 16

²²⁴ J 12, 46

²²⁵ 1 P 2, 9

„Każdy dom jest przez kogoś zbudowany.”²²⁶

Autor Listu do Hebrajczyków napisał: „... większą część od domu ma jego budowniczy. Każdy bowiem dom jest przez kogoś zbudowany, a Tym, który zbudował wszystko, jest Bóg”.²²⁷ Autor mówi tu o Bożej budowie w Jezusie Chrystusie, o duchowej budowie, o tym Jego domu, którym my jesteśmy. Chociaż mówię o doczesnym budowaniu, to przecież ośmielałem się przytoczyć tu słowa Listu do Hebrajczyków, bo **pragnę dzięki złożyć przede wszystkim Wszechmogącemu Bogu, który także te wszystkie doczesne domy sam zbudował. To On, Pan Wszechmogący, wspierał nas swoją łaską. To On wzbudzał ofiarność w sercach chrześcijan na całym świecie. Dzięki stale towarzyszącej nam łasce i dzięki ludzkiej ofiarności możliwe było budowanie w Burundi i w Rwandzie.**

Chociaż „Tym, który zbudował wszystko, jest Bóg”²²⁸, to przecież część należy się także tym wszystkim, których Pan do budowania powołał, część należy się budowniczym. Opowiadając o naszych budowach w Burundi i w Rwandzie, powtarzałem często: „zbudowaliśmy”, „polscy Karmelici Bosi zbudowali”. Jest to prawdą, bo każdy z naszych misjonarzy był w te liczne budowle mniej lub więcej zaangażowany. **Były budowle, zwłaszcza na terenie Mpingi, które prowadzili: o. Sylwan Zieliński, br. Ryszard Żak i o. Nazariusz Kwiatkowski.** Ale przecież nie budowali sami, bo pomagali im inni, chociażby przy wypalaniu cegły, w przywożeniu kamieni i piasku albo w przykrywaniu dachów eternitem. **Na terenie Musongati budowy prowadził br. Marcei Szłósarczyk.** To on był budowniczym, ale z pomocą spieszyli także ojcowie, także kapłani. Wprawdzie ci ostatni musieli wciąż pamiętać, że zostali do Burundi posłani po to, by budować Boży dom, ten dom, którym w Jezusie Chrystusie wszyscy jesteśmy, my „uczestnicy powołania niebieskiego”. Ta duchowa budowa w rozległych parafiach domagała się nieustannej troski i czasu. Niemniej jednak spieszyli z pomocą także przy doczesnych budowach, dlatego z Bożą pomocą można było wiele zbudować. Czy naprawdę wiele? Spróbujemy podliczyć. Zbudowano:

6 kościołów,

4 kaplice,

4 kościoły odnowiono, przebudowano,

3 wieże-dzwonnice,

5 szkół podstawowych,

3 szkoły gospodarcze,

9 katechumenatów,

4 mniejsze szkółki,

3 domy dla misjonarzy,

4 domy dla siostr misjonek,

²²⁶ Hbr. 3,4

²²⁷ j. w. 3, 3-4

²²⁸ Hbr. 3,4

2 nowicjaty,
2 domy dla pielęgniarek i nauczycielek,
6 budynków Centrum Zdrowia w Musongati,
2 ujęcia wody i przeprowadzenie jej (4km),
2 zapory z centralami hydro-elektrycznymi.

Jeżeli się pamięta, że dom rekolekcyjny **Mater Carmeli** w Butare składa się z 6 budynków, to można powiedzieć, że prowadziliśmy 60 budów. Można do tego doliczyć różne przybudówki i podbudówki, dokonane w naszym domu w Mpindze, w Gahundze, a także u Sióstr Duchaczek w Buraniro oraz pomoc br. Ryszarda Żaka przy budowie u Sióstr od Aniołów w Kampandze.

Ktoś mógłby powiedzieć, że ostatecznie, jak na 25 lat, to znów nie zbudowaliśmy tak wiele. Trzeba jednak pamiętać, że budowaliśmy w Burundi i w Rwandzie, a tam budować, to nie to samo, co budować w Europie. Tam trzeba było zaczynać „od początku”, i to dosłownie od początku. Budować w Burundi znaczyło zacząć od zrobienia i wypalenia cegły, od narąbania w którymś ze zboczy górskich kamienia, od nakopania piasku, od przetransportowania tych materiałów na miejsce budowy. Budować w Burundi znaczyło zakupić w stolicy każdy kilogram cementu, żelaza, eternitu, szkła. Znaczyło przewieźć to wszystko do Musongati lub Mpingi, w odległości 200 kilometrów i to po fatalnych drogach. Budować w Burundi znaczyło zacząć od początku także pod innym względem. Znaczyło zacząć od nauczenia ludzi nawet najprostszych czynności, związanych z budową. Jeżeli bowiem byli tu kiedyś ludzie, którzy „widzieli z bliska” budowy, prowadzone przez Ojców Białych, jeżeli przy tych budowach czegoś się nauczyli, to w 1972 roku ludzie ci zginęli. Nie było tu żadnego murarza, stolarza, ślusarza, a tym bardziej nie było żadnego majstra, który mógłby budową kierować. Jedynie kilku traczy, robiących deski, udało się znaleźć. Trzeba więc było ludzi uczyć. Najpierw jednak sami musieliśmy uczyć się wielu spraw. Któż z nas robił i wypalał cegłę? Kto wiedział, jak zbudować piec ze 100 000 surowych cegieł? Kto wiedział, ile trzeba przygotować drewna, aby w takim piecu palić siedem dni i siedem nocy? Powoli nauczyliśmy się i pamiętam lata, w których wypalono w Musongati 140 000 cegieł i 60 000 w Mpindze. Od nas uczyli się ludzie i z czasem wypalanie cegły w Kiguju czy Kiharo można już było powierzyć „majstrowi”, płacąc od sztuki. Z czasem także br. Marcelli miał dwie ekipy murarzy, którzy już „widzieli”, jak zabrać się do budowy i jak ją prowadzić. Z biegiem czasu były też ekipy od rąbania i przygotowywania kamienia i piasku, bo w Musongati do budowy używano więcej kamienia, jako że brakowało tu drewna do wypalania cegły.

To prawda, że budowanie w Burundi było pod niektórymi względami łatwiejsze niż w Europie. Np. plany domów, szkół, kościołów robiliśmy i obliczaliśmy sami. Nie trzeba było w buszu starać się o zatwierdzenie planów przez władze. Nie potrzeba było troszczyć się o zabezpieczenie budynków przed zimnem, bo nie ma tu nigdy mrozu. Budynki muszą jednak być solidnie zbudowane i zabezpieczone przed termitami. Mury, zwłaszcza mury wyższych kościołów, muszą być solidnie powiązane, bo dwa razy do roku mamy tu trzęsienie ziemi. Wprawdzie nie jest ono zbyt silne, ale budynek lichy zbudowany mógłby się rozlecieć.

Jeżeli ktoś twierdzi, że ostatecznie nie zbudowaliśmy dużo, to niech łaskawie policzy, ile te wszystkie budowle potrzebowały okien. Robiono je z metalu, aby nie były zniszczone przez termyty. Ileż to metalu należało pociąć? A cięto go, zanim zbudowaliśmy turbinę,

zwyczajną ręczną piłką do żelaza. Okna te spawał br. Marceli. On także spawał liczne zewnętrzne drzwi do domów, do szkół i kościołów. Drzwi do wnętrza niektórych budynków mieszkalnych udało się zakupić. Trzeba też policzyć, ile kościoły, szkoły, katechumenaty potrzebowały ławek. Przez jakiś czas robił je pan Tadeusz Szklarczyk, ale robił je także br. Marceli.

Mówi Pismo święte, że „większą cześć od domu ma jego budowniczy”. Prawdziwa cześć należy się panu Tadeuszowi, naszemu budowniczemu z Burundi i z Rwandy, a już szczególna cześć należy się br. Marcelemu. Wiem, że tej czci na ziemi nie pragnie. Wiem, że nie szuka nagrody. Może, jako wierny syn św. Jana od Krzyża, pytany jakiej pragnie nagrody, odpowiedział: „Panie, cierpieć i być wzgardzonym dla Ciebie”. Nagrodę tę otrzymał. W listopadzie 1995 roku wrócił z Burundi z mocno zaawansowanym rakiem żołądka. Przeprowadzona 7 stycznia 1996 roku operacja wykazała, że po ludzku mówiąc, nic tu już nie można zrobić. Modlono się o cud. Bóg Wszechmogący zachował br. Marcelego do dzisiaj (piszę te słowa 10 maja 1996 roku)²²⁹, ale może tylko po to, aby przez cierpienie jeszcze bardziej upodobnić go do swego Umiłowanego Syna, do Ukrzyżowanego... Może pragnie Bóg Wszechmogący dać naszemu Bratu udział w Jego cierpieniach, aby poznał równocześnie moc Jego zmartwychwstania, aby upodabniając się do Jego śmierci, mógł dojść do pełnego powstania z martwych.²³⁰

Nie pragnie – jak wspominałem – czci i nagrody ziemskiej brat Marceli, bo jest głęboko przekonany, że „Tym, który zbudował to wszystko, jest Bóg.” **A jeżeli wspominałem tu z ogromną wdzięcznością to wszystko, co zbudowały i co wypracowały jego pracowite ręce, to także dlatego, aby ci, którzy pytają: „Cóż ma do roboty brat zakonny na misjach?”, zrozumieli, że rola każdego brata zakonnego jest tu naprawdę nieoceniona, zwłaszcza jeżeli ten brat – jak br. Marceli – rozumie i radośnie przyjmuje swoje powołanie!**

Na zakończenie pragnę tu dorzucić jeszcze słów kilka. Kiedyś, gdy opowiadałem o naszych budowach w Burundi i w Rwandzie, postawiono mi pytanie: „Czy te wszystkie budowle, a zwłaszcza wasze domy mieszkalne, duże przecież domy, nie były ‘zgorzeniem’ dla biedaków, mieszkających w nędznych chatkach?” To prawda, że niejeden biedak mógł widzieć w naszych domach pałace, zwłaszcza, gdy porównywał je ze swoją lepianką. Tak mogli myśleć ci, którzy nigdzie dalej nie wędrowali. Rzeczywiście, kiedyś spotkaliśmy na terenie naszej parafii w Mpindze zapadłą wioskę, w której starsi ludzie po raz pierwszy widzieli białego. Oni ze swej wioski nigdzie się nie ruszali. Ale młodzi wędrowali. I można powiedzieć, że wielu z naszej okolicy zawędrowało już nie tylko do Gitegi, ale także do Bujumbury. Widzieli zatem jak wspaniałe wille – pałace, budują dla siebie biali, a także czarni bogacze. Po powrocie opowiadają innym o cudach, widzianych w podróży. Oni potrafią opowiadać! W porównaniu z tamtymi, wspaniałymi pałacami nasze domy, chociaż solidnie zbudowane, były prostymi domami białych. Może czasem mogły budzić „zgorzenie”. Jak jednak tego zgorzenia uniknąć? Przecież misjonarz czy misjonarka, aby wydatnie pracować, musi mieć jakiś ką, w którym można by się ukryć chociaż na chwilę, jak

²²⁹ Zmarł w Krakowie 14 lipca 1996 r. w wieku lat 60 (przyp. red.)

²³⁰ Flp. 3, 10- 11

czynił to sam Chrystus, który „wstąpił do pewnego domu i chciał, żeby nikt o tym nie wiedział...”²³¹ Jestem także przekonany, że to pewne zgorzenie równoważył, a nawet przeważał fakt, że zamiast budować dla siebie wspaniałe pałace, budowaliśmy dla nich, i to dużo więcej dla nich. Budowaliśmy dla nich i dla ich dzieci solidne kościoły, szkoły, katechumenaty, szpitale. W te budowy wkładaliśmy nie tylko grosz, ale także nasz trud, nasz pot. Wiedzieli, że tego grosza w Burundi nie zarobiliśmy, że pracujemy za darmo. Zatem grosze na szkoły, szpitale i kościoły ktoś musiał dawać. Kto? Mówiliśmy im o naszych dobrodziejach, o tych licznych chrześcijanach w dalekich krajach, którzy z ciężko zapracowanego grosza oddają część na zbudowanie dla nich szkół, szpitala czy kościoła. To było wymownym świadectwem, było namacalnym znakiem tej miłości, która istnieje pomiędzy braćmi i siostrami w Jezusie Chrystusie. Czuli się kochani przez braci, którzy żyją gdzieś daleko, żyją w jakimś raju, ale przecież o nich pamiętają. To naszych biednych ludzi podnosiło na duchu, umacniało. To budziło nadzieję, że i oni powoli wyzwolą się z nędzy. Zresztą budowy, powstające na ich terenie już były jakimś wyzwoleniem, już podnosiły rangę ich wiosek, były ich dumą. Radowali się także z tego, że przy każdej budowie wielu z nich może zarobić bardzo potrzebne pieniądze.

Jak wspomniałem, nasi ludzie widzieli, że w budowie dla nich szkół, kościołów wkładamy własny trud, własny pot. Niejeden raz widzieli brata Marcelego spawającego od rana do wieczora więźbę dachową bez zważania na słoneczny żar. Niejeden też raz widzieli, że kapłan, który od rana przeprowadzał egzaminy katechumenów, który pracował w biurze parafialnym lub spowiadał wiernych do godziny 16.00, nie szedł odpocząć, lecz wsiadał do sfatygowanej ciężarówki, by przywieźć chociaż dwa razy kamienie lub piasek na budowę, by przywieźć je z odległości 4 lub 6 kilometrów. Ten trud, wkładany w budowy, mówił im bez słów o naszej ku nim miłości, o miłości, która „cierpliwa jest, łaskawa jest... nie szuka poklasku, nie unosi się pychą... nie szuka swego... wszystko przetrzyma... nigdy nie ustaje.”²³²

11., NIE BÓJCIE SIĘ.”²³³

Sobota, 17 lipca 1993 roku.

Już dawno w naszym domu rekolekcyjnym w Butare nie było tak spokojnej niedzieli, jak zapowiadała się jutrzejsza. Grupa charyzmatyków niemal w ostatniej chwili odwołała swój dzień skupienia. Ponieważ miała to być liczna grupa, więc na tę niedzielę nie przyjmowaliśmy innych zgłoszeń. Brat Alexis, Józefita, swoje tygodniowe rekolekcje kończy jutro po Mszy św. Dom rekolekcyjny będzie zatem pusty. Także pusty będzie nasz dom mieszkalny i postulat. Trzej nasi postulanci wyjechali odwiedzić swoje rodziny przed

²³¹ Mk. 7, 24

²³² 1 Kor. 13, 4-8

²³³ Łk. 12, 7

rozpoczęciem nowicjatu. O. Sylwan Zieliński przebywa w Nyakinama, skąd dojeżdża do naszej parafii w Gahundze. Zatrzymywać się na noc w parafii wciąż jest jeszcze niebezpiecznie ze względu na wojnę. O. Julian Ilwicky wyjechał, by z okazji uroczystości Matki Bożej Szkaplerznej spotkać się z przedstawicielami Bractw Szkaplerznych w Kigali. Ma także odwiedzić Bractwa Szkaplerzne w innych parafiach. O. Eliaszy Trybała wyjedzie rano, by zastąpić proboszcza w Rugango. Zostanę więc sam.

To będzie jutro. Na razie jest cicho, sobotni wieczór. Po kolacji brat Alexis poszedł do siebie, do domu rekolekcyjnego. O. Eliaszy i ja udaliśmy się na nasz parking, by nieco „poczłapać” i zażyć świeżego, wieczornego powietrza. Noc była cicha i ciemna. Niebo zasnuwane ciemnymi chmurami. Znowu dzisiaj nie było światła elektrycznego. Około godz. 20.00 usłyszeliśmy jakieś odgłosy, jakby zduszony jęk, dochodzący od strony kuchni. Skierowaliśmy w tamtą stronę nasze elektryczne latarki, ale nic nie dojrzeliliśmy. Znowu było spokojnie i cicho. O. Eliaszy zamierzał pójść i upomnieć kucharza, żeby wracał do domu. Odradziłem mu, mówiąc, że to ostatecznie sprawa kucharza. Skoro nie boi się wracać do domu późną nocą, to niech siedzi ze stróżem dokąd chce. Zazwyczaj nasze wieczorne przechodzenie się trwa do godz. 20.45. Dzisiaj jednak „mieliśmy już dosyć” i o godz. 20.30 postanowiliśmy odmówić modlitwę na zakończenie dnia i rozejść się do siebie. O. Eliaszy poszedł do domu, by przynieść do kaplicy dużą lampę elektryczną, poszedł naszymi „górkami schodkami”. Ja skierowałem się na ścieżkę, prowadzącą na główne schody. Usłyszałem, że o. Eliaszy już zamyka dom, więc przyspieszyłem kroku. Wtedy, w ciemności, ktoś wystrzelił całą serię w miejscu, w którym właśnie mógł być o. Eliaszy. Zadźwięczało mi w uchu. Byłem przecież nie dalej jak 15 – 20 metrów. Nie przesłyszałem się jednak. To nie był pojedynczy strzał. Pochyliłem się ku ziemi i nadśluchiwałem. Była zupełna cisza. Ktoś zabił o. Eliasza – pomyślałem – teraz będzie strzelał do mnie. Była akurat absolutna cisza, nikt nie strzelał, nikt nie biegł w moim kierunku, o. Eliaszy nie wydał żadnego jęku. Pochylony ku ziemi pobiegłem za nasz dom gościnny w nadziei, że ochroni mnie przed ewentualnymi kulami. Poza domem poszedłem w stronę kuchni zobaczyć, co robi kucharz i stróż nocny. Nie było nikogo. Tylko lampa naftowa stała na podniesieniu, oświetlając niewielki krąg. Tymczasem stróż nocny z pobliskich domów zaczęli się nawoływać. Bałem się, ale postanowiłem uciekać przez bramkę na ulicę, by dostać się do sąsiadujących z nami Sióstr Karmelitanek Misjonarek Terezańskich. Od nich chciałem wzywać telefonicznie pomocy. Jeszcze raz nasluchiwałem. Nie było żadnego szmeru, żadnego jęku. Jeszcze bardziej upewniłem się, że o. Eliaszy nie żyje. Skoro bowiem nie daje znaku życia, i skoro wystrzelono do niego całą serię... Ale co robi morderca lub mordercy? Dlaczego mnie nie ścigają? Uciekłem na ulicę. Stróż od sąsiada uchylił bramę wjazdową i zaczął mnie przywoływać. Pobiegłem do niego w nadziei, że może wie, co się dzieje. Za ledwie znalazłem się za bramą, pojawili się za mną nasz kucharz i nasz stróż nocny ze związanymi do tyłu rękami. Kucharz wyszeptał przerażony: „To żołnierze na nas napadli, związali i pilnowali, abyśmy nie wydali głosu, było ich chyba 15!” Stróż żalił się: „Zabrali mi pelerynę i kapelusz, związali!” trochę dziwne było to powiązanie, bo jedną ręką potrafiłem rozplątać ich sznury. W drugiej trzymałem latarkę. W tej chwili o czym innym myślałem. Pytałem sam siebie: „Co to wszystko znaczy? Aż 15 żołnierzy! Czyżby jakiś atak na Butare? Dlaczego jednak bez słowa ostrzeżenia zabili o. Eliasza? Dlaczego do mnie nie strzelali? Dlaczego pozwolili mi uciec na ulicę?”

Stróże nocni od sąsiadów nawoływali się coraz mocniej. Postanowiłem przedostać się do sióstr. Nasz stróż i kucharz zgodzili się towarzyszyć mi w drodze. Pobiegliśmy. To tylko kilkadziesiąt kroków. Siostry przyjęły nas przerażone. Owszem, słyszały strzały. Dzwoniły zaraz do nas, ale nikt nie odbierał telefonu. Nastąpiła cisza, więc sądziły, że to może na drodze za naszą posiadłością strzelano. Siostra Mercedes rzuciła się do telefonu. Policja odpowiedziała: „Niestety, nie mamy samochodów. Przyjedźcie po nas, to zobaczymy, co się tam stało”. Siostra zaczęła tłumaczyć: „Jest ciemno, pojawiło się 15 żołnierzy, zastrzelono o. Eliasza, my boimy się wyjść, jakże możemy jechać po was? Ratujcie nas!” Jeszcze raz odpowiadano: „Niestety, nie mamy samochodów!” Spróbowałem zadzwonić do księży pallotynów. Nikt nie podnosił słuchawki. S. Mercedes postanowiła dzwonić do kogoś ze znajomych. Ja wybiegłem przed dom, by sprawdzić, co się dzieje. Kucharza i stróża nie było. Czyżby uciekli? Nie. Wnet wyłonili się z ciemności, twierdząc, że przekradli się ogrodem pod nasz dom i zobaczyli, że o. Eliaz żyje, że jęczy. Nie miałem czasu podziwiać ich odwagi, ale taki podziw przebiegł mi przez głowę. Pobiegłem z wieścią do sióstr, prosząc, by pomogły mi ratować rannego. Prośba skierowana była do wszystkich, lecz przede wszystkim do białej siostry Mercedes, z zawodu pielęgniarki.

Później, gdy już przeminęła cała afera, mogłem spokojnie analizować, jak ludzka i trochę kobieca była reakcja tych kochanych sióstr. Któraś ośmieliła się uchylić firankę w oknie, spojrzeć w ciemność, by potem zawołać: „Któż ośmielił się wyjść w taką ciemność!? Przecież ci żołnierze mogą tu gdzieś stać i czekać, by strzelać!” Także s. Mercedes twierdziła tak bardzo po ludzku, że boi się wyjść. No cóż, zakonnica też człowiek, też kobieta. Zapewne niejedną raz słyszała słowa Chrystusa Pana: „Lecz mówię wam, przyjacielom moim: Nie bójcie się tych, którzy zabijają ciało, a potem nic więcej uczynić nie mogą. Pokażę wam, kogo macie się obawiać: bójcie się Tego, który po zabiciu ma moc wtrącić do piekła. Tak, mówię wam: Tego się bójcie! Czyż nie sprzedają pięciu wróbli za dwa asy? A przecież żaden z nich nie jest zapomniany w oczach Bożych. U was zaś nawet włosy na głowie są policzone. Nie bójcie się: jesteście ważniejsi niż wiele wróbli.”²³⁴ Zapewne, niejedną raz siostry rozważały te słowa Pana i były pewne, że z pomocą Jego łaski nigdy nie okażą lęku. Teraz jednak, w obliczu niebezpieczeństwa, owe dzielne misjonarki przyznawały się pokornie, że się boją wyjść w ciemność. Cóż dziwnego? Przecież także pierwsi uczniowie Pana, pierwsi misjonarze, pokornie przyznawali się do lęku. Jan Ewangelista napisał, że tam gdzie przebywali uczniowie, drzwi były zamknięte z obawy przed Żydami.²³⁵

Ta refleksja przyszła później. Na razie tam w ciemnościach leżał postrzelony, kochany przecież człowiek, a siostry twierdziły, że nie ośmieliły się wyjść, by go ratować. Sam z pewnością także odczuwałem strach, ale jakoś w głębi serca odczuwałem też, że należy natychmiast spieszyć z pomocą. Poprosiłem, żeby zechciały wjechać samochodem do bramki w naszym ogrodzie, a ja postaram się tam wynieść ojca Eliasza. Wciąż nie były przekonane. Wreszcie siostra przełożona, czarna s. Józefina, powiedziała do pielęgniarki: „Siostro, to nasz święty obowiązek! Ja z siostrą pojedę! Nie możemy rannego zostawić bez pomocy!” Siostra Mercedes zgodziła się wyjechać na drogę, przed bramkę. Wybiegłem. Kucharz i stróż

²³⁴ Łk. 12, 4-7

²³⁵ J. 20, 19

zgodzili się iść ze mną i wynieść rannego. Pobiegliśmy. Kiedy zstępowałem po schodach w stronę kaplicy, słyszałem, że idą za mną. Mimo wszystko, przyznaję, odczuwałem strach. Wyobraźnia bardzo szybko podsuwała różne obrazy. Przede wszystkim to, że tam w ciemności czeka 15 żołnierzy z wymierzoną we mnie bronią. Powtarzałem sobie, że chociażby nawet mieli mnie zastrzelić, to przecież miłość nakazuje mi ratować bliźniego. Przyszły mi na myśl słowa psalmu: „Chociażbym przechodził przez ciemną dolinę, zła się nie ulękę, bo Ty jesteś ze mną.”²³⁶ Schód po schodzie, a jest ich około 30, zbiegłem w ciemną dolinę, obawiając się, że lada moment padnie śmiertelny strzał. Ale strzał nie padł. Byliśmy przy rannym. Najpierw go zapewniłem:

- Eliasz, to ja, Teofil!

Odpowiedział:

- Nic ci nie zrobili? Wołałem, nikt nie odpowiadał. Myślałem, że cię też pobili, zabili.

Odważyłem się oświetlić rannego latarką. Widok był naprawdę makabryczny: biały habit cały zbroczony krwią, o. Eliasz siedział przechylony, krew spływała z głowy, z rozciętego na dwoje ucha, z poranionych obu rąk. Ale ranny troszczył się przede wszystkim o swoją nogę:

- Co oni zrobili z moją nogą?! – pytał.

Sprawdziłem, była zupełnie bezwładna.

- Musieli ci przestrzelić! – odpowiedziałem. – Teraz wyniesiemy Cię do samochodu i odwieziemy do szpitala.

Kucharzowi i stróżowi poleciłem wziąć rannego za nogi, z prośbą, by uważali na zranioną nogę. Sam wziąłem pod pachy i opartego na piersi wynosiliśmy rannego do bramki. Strach minął, bo przecież nikt na nas nie napadł, nikt nie strzelał. Nawet bez trudności udało się wnieść chorego do samochodu. Wciąż trzymałem jego głowę na piersi. Ruszyliśmy do miasta. Chory jęczał, ale na szczęście nie tracił przytomności. Siostra zdecydowała, że najpierw pojedziemy do przychodni, w której ona pracuje, bo do szpitala uniwersyteckiego dobrze jest mieć skierowanie z przychodni. Zresztą, zobaczy się, co należy robić.

W przychodni, przy świetle elektrycznym zobaczyliśmy, w jak ciężkim stanie jest nasz ranny. Mocno zraniona głowa. Obydwie ręce, szczególnie dłonie, poranione. U lewej jeden palec tylko na skórcie się trzyma. Rozciąliśmy habit, koszulę, nogawki spodni. Na szczęście nie widać żadnych obrażeń brzucha i klatki piersiowej. Za to noga fatalnie postrzelona. Kula weszła nad kolanem i wyszła pod kolanem. Kość musi być strzaskana. Noga chwieje się bezładnie na wszystkie strony. Wszystkie rany wciąż krwawią. Pielęgniarki usiłują coś z tą krwią zrobić, ale nie bardzo wiedzą, jak się do udzielenie pierwszej pomocy zabrać. Brakuje gazy, bandaży. Aby sobie ułatwić zabandażowanie lewej ręki, postanowiono uciąć zwisający palec. „I tak go przecież nikt nie uratuje”. Chory wyraził zgodę. Odciałem go zwyczajnymi nożyczkami. Siostra Mercedes poszła szukać kierownika przychodni. Wydawało mi się, że długo nie wraca. Ranny poprosił o spowiedź, bo jak mówił: nigdy nie wiadomo, jak to wszystko się skończy. Czuł, że słabnie. Widocznie ten upływ krwi go osłabił. Wreszcie pojawiła się siostra z kierownikiem przychodni. Zobaczył rannego i zdecydował, że należy do natychmiast odwieźć do szpitala. To „natychmiast” nastąpiło jednak dopiero za jakieś pół

godziny, bo szukano ambulansu, bo wypisywano skierowanie do szpitala. Wreszcie ruszyliśmy do szpitala. Siedziałem obok o. Eliasza, podtrzymując jego głowę. Przed szpitalem czekał sam burmistrz i kilku żołnierzy. Chcieli widzieć rannego i usłyszeć moją relację o wypadku. Burmistrza zawiadomiła koleżanka siostry Mercedes, do której ta ostatnia dodzwoniła się po moim nieudanym telefonie do księży pallotynów. Burmistrz zapewnił mnie, że obstawił wojskiem nasz dom. Żołnierzy zbyłem w kilku słowach, bo chciałem zająć się rannym. Bardzo nieudolnie szło przemieszczanie rannego z noszy na szpitalne łóżko. Przy okazji ściągnięto z rannego resztki habitu, spodni i koszuli. Podłączono aparat rejestrujący pracę serca. Z góry było wiadomo, że konieczna operacja. Zaczęły się poszukiwania chirurga, który ma dzisiaj dyżur. O. Eliaz cierpiał, osłabł, ale żył i był spokojny. W pewnym momencie poczuł, że musi zwymiotować. Zawiadomiłem infirmeriusza. Ten zamiast natychmiast podać jakieś naczynie, podszedł spokojnie do łóżka chorego i widząc, że ten nie może już powstrzymać zbliżających się wymiotów, krzyknął: zaczekaj! zaczekaj! – i poszedł po naczynie do przyległego pomieszczenia. Można by się uśmieć z komizmu owego „zaczekaj!”, gdyby nie ciężki stan naszego chorego. Rozkaz, niestety, nie skutkował i zanim infirmeriusz wrócił z nerką, było już po fakcie. Trzeba było czyścić rannego i łóżko. Usiłowano tamować krew, ale bezskutecznie. Wreszcie zjawił się chirurg. Nawet szybko jak na afrykańskie warunki. Zalecił przygotować salę do operacji. Trudniej było ze znalezieniem anestezjologa. Czas upływał, a jego wciąż szukano po całym mieście. Tymczasem znaleziono panią doktor, która zgodziła się „operować” głowę i ręce w czasie, gdy główny chirurg zajmie się nogą. Zdecydowano, że do pomocy przy tej operacji „na cztery ręce”, wejdzie na salę operacyjną także siostra Mercedes. Dopiero o godz. 1.00 w nocy zaczęła się operacja. Czekałem przed salą operacyjną wraz z siostrą Józefiną. Wciąż chodziły mi po głowie pytania: kto i dlaczego tak „urządził” o. Eliasza? Dlaczego mnie nie zaatakowano? Nie mogłem znaleźć na te pytania odpowiedzi. Operacja wciąż trwała. Od czasu do czasu wychodziłem na dziedziniec szpitala, by zaczerpnąć świeżego powietrza. Wypogodziło się. Gwiazdy usiały gęsto firmament nieba. Powtarzałem **Pod Twoją obronę**, polecając rannego i „znęcających się” nad nim lekarzy opiece Maryi. Byłem już zmęczony, gdy wreszcie o godz. 3.00 w drzwiach sali operacyjnej pojawił się lekarz. Za chwilę pojawił się także nasz ranny. Był już przytomny. Twierdził, że czuje się dobrze, chociaż przetoczono w niego sporo krwi murzyńskiej. Odwieziono go na salę intensywnej terapii. Tymczasem chirurg poinformował mnie, że operacja nogi polegała na razie na oczyszczeniu rany, na wyszukaniu i ujęciu naczyń krwionośnych, aby zapobiec krwawieniu. Kość jest strzaskana, ale jej nie ruszał. Trzeba będzie prześwietlić i wtedy się zobaczy, co z tym można zrobić. Czy samo kolano zniszczone? Nie umiał powiedzieć. Wypisał skierowanie do rentgena. Poprosiłem, aby napisał, że to pilne. Napisał z trzema podkreśleniami i pięcioma wykrzyknikami. Znowu pojawili się żołnierze, by postawić mnie i chirurgowi pytania. Teraz nie spieszyliśmy się, bo do domu ze względu na godzinę policyjną mogliśmy wracać dopiero po godz. 5.00. Od żołnierzy nie można się było niczego dowiedzieć. Siostra Józefina została przy chorym. Później przyjadą inne. Z siostrą Mercedes wróciłem do domu.

Ponieważ o. Eliaz miał dzisiaj – jak już wspomniałem – zastąpić proboszcza w Rugango, chciałem jak najprędzej zawiadomić tę parafię, że nie będzie to możliwe. Chciałem też poprosić s. Joannę Paulę, Karmelitankę Dzieciątka Jezus, by przyjechała czuwać przy chorym. Jest przecież pielęgniarką. Mimo wczesnej godziny zadzwoniłem do sióstr Marystek.

Podeszła do aparatu zaprzyjaźniona z nami s. Giordana. Tym śmieiej zatem poprosiłem, by pojechała do Rugango.

Tuż po tym telefonie przyszedł nasz kucharz, przynosząc lampę, po którą wczoraj poszedł o. Eliasza. Leżała porzucona na trawie. Nie była uszkodzona. Kucharz przyniósł także cztery łuski od naboju, które znalazł na miejscu zbrodni. Wtedy też przyszedł sędzia z pomocnikami, by obejrzeć i pomierzyć miejsce wypadku. Prosił, aby mu dać łuski. Dałem mu tylko dwie, dwie zostawiłem sobie „na pamiątkę”.

Kucharz przyszedł nie tylko z lampą, ile prosić, bym mu wydał z magazynu nieco cukru, bo chciał zrobić herbatę dla żołnierzy, z którymi on i stróż czuwali całą noc. Cukier z jadalni już „wypili”. Poszedłem więc przywitać żołnierzy, wydać cukier i coś do zjedzenia. Sam przy okazji napiłem się kawy. Wróciłem do telefonu, bo chciałem dodzwonić się do siostr od Aniołów w Nyakinamie z prośbą, by powiadomiły o. Sylwana i poprosiły go, by zaraz po Mszach świętych przyjechał do Butare. Niestety, nikt nie zgłaszał się do telefonu. Od czasu do czasu starałem się dodzwonić do Nyakinamy. Na próżno.

Na Mszę św. przyszło wielu wiernych. Nie chciałem rozpraszać modlących się, więc nie wspominałem o tym, co się w nocy stało. W homilii napomknąłem, że miłość chrześcijańska nakazuje nam przebaczać tym, którzy wyrządzają nam zło. Mówiłem, że nie jest to łatwe, gdy zło spotyka nas osobiście albo naszych najbliższych. Wiem coś o tym po wydarzeniach dzisiejszej nocy. W modlitwie wiernych poleciłem modlitwom o. Eliasza, aby szybko wrócił do zdrowia i mógł radośnie służyć Bogu i bliźnim. Dopiero na zakończenie Mszy świętej powiedziałem w krótkich słowach, jaki los spotkał o. Eliasza. Poruszenie było duże. Zwiedzano miejsce wypadku, gdzie wciąż była widoczna struga zakrzepłej krwi. Brat Alexis, który kończył swe rekolekcje opowiadał swoje wrażenia. Wydawało mu się, że strzał padł bardzo blisko. Skoro jednak nastąpiła zupełna cisza, skoro nikt nie wołał, pozostał u siebie. Uważał, że widocznie strzelano poza naszym terenem.

Nadeszli burmistrz i sędzia i wypytywali mnie, czy nie podejrzewam kogoś z naszych pracowników o zorganizowanie napadu. Nie podejrzewałem. Zaraz też z s. Zenobią i s. Joanną Paulą pojechaliśmy do szpitala zobaczyć chorego i może już - wyniki prześwietlenia. O. Eliasz był właśnie na prześwietleniu. Ucieszyłem się bardzo, że siostry Marystki, siostry Oblatki Ducha Świętego i nasze Karmelitanki Misjonarki Terezyjańskie same zorganizowały opiekę nad chorym. Po zobaczeniu się z chorym, wróciliśmy do domu. Tu czekał już wojewoda z żoną. Chciał złożyć wyrazy współczucia. Przy okazji poinformował mnie, że już czterech sprawców napadu ujęto. Pozostaje ująć jeszcze czterech. W napadzie brało bowiem udział 8 żołnierzy: czterech będących aktualnie w służbie i czterech zwolnionych do cywila. Patrolujący w nocy żołnierze spotkali wieczorem czterech żołnierzy wracających do miasta z kierunku, w którym padł strzał. Pytani, odpowiedzieli, że słyszeli strzał w okolicy zbiorników paliwa. Może strzelał strażnik, ale tam zaraz nastąpiła cisza. Puszczono ich w pokój. Z rozkazu burmistrza wzmocniono posterunki w okolicach naszego domu. Nad ranem zatrzymały czterech podejrzanych mężczyzn. Jeden z nich miał zranioną rękę. Tłumaczył się, że zranił go jakiś awanturnik, którego chciał uspokoić. Tłumaczenia jednak były trochę bałamutne, więc odstawiono wszystkich na posterunek policji. Tu przyznali się do udziału w napadzie na nasz dom i zdradzili swoich wojskowych towarzyszy. Lada moment zostaną ujęci.

Zjawili się księża pallotyni, ofiarując mi swoje usługi. Na razie przyjąłem zaproszenie na obiad. Chciałem bowiem zwolnić kucharza, który nie spał całą noc.

Do telefonu w Nyakinamie nikt nie podchodził. Na szczęście przed południem udało mi się dodzwonić na biskupstwo w Ruhengeri. Obiecano zaraz powiadomić o. Sylwana.

O godz. 15.00 pojechaliśmy z księżmi pallotynami do szpitala. Przed odjazdem zauważyłem, że nasz kucharz już przyszedł do pracy. Co tak wcześniej? – przemknęło mi przez głowę. Odpowiedziałem sobie, że widocznie ciekawość sprowadziła go wcześniej niż zwykle. Nasz chory z obandażowaną głową, obandażowanymi rękami i nogą wyglądał jak prawdziwy inwalida wojenny. Zapewniał, że czuje się dobrze. Zauważył jednak z niepokojem, że na jedno ucho nie słyszy. Były już klisze z prześwietlenia. Widać, że kość nad kolanem strzaskana na drobne kawałeczki. Czy uszkodzone samo kolano? Trudno rozpoznać. Wygląda jednak, że ocalało. Lekarz mówi, że jutro o godz. 8.00 rano zbierze się konsylium lekarskie, by zdecydować, co robić.

Po powrocie ze szpitala zauważyliśmy, że przed bramką do naszego obejścia stoi ciężarówka. Siedział w niej jakiś mężczyzna ze spuszczoną nisko głową. Nie poznałem go. Była to ciężarówka wojskowa. Podszedł do mnie oficer i tłumaczył mi, że schwytani złoczyńcy zeznali, iż cały napad zorganizował nasz kucharz Leon. On był szefem bandy. Oficer pytał, czy nie mam nic przeciw temu, że zabiorą naszego pracownika. Cóż miałem mieć przeciw temu? Odjechali. Nasz Leon nie podniósł głowy. Księża pallotyni zaprosili mnie na kolację. Przyjąłem zaproszenie z wdzięcznością.

Po południu przychodzili nasi znajomi, zakonnicy, zakonnice, by składać wyrazy współczucia. Zapewniali, że dzisiaj w całym Butare mówi się tylko o napadzie na Karmelitów Bosych. Znowu pojawiły się siostry Karmelitanek z Rugango. Były w szpitalu. Widziały klisze. Ponieważ już sądziłem, że o. Eliasza będzie trzeba wysłać do Europy, zapytałem, czy s. Joanna Paula nie mogłaby towarzyszyć choremu w drodze? Zgodziła się bez wahania. Do wieczora znalazłem tylko momenty wolne, by dokończyć modlitwę brewiarzową.

Nadszedł wieczór. O. Sylwan wciąż nie przyjeżdżał. Kiedy miałem udać się na kolację do księży pallotynów, poleciłem stróżowi nocnemu, by tam skierował o. Sylwana, gdyby przyjechał. Przy okazji tłumaczyłem mu, że dzisiaj nie musi obawiać się napadu, bo nikt na „spalone” miejsce nie przyjdzie. Chyba sam potrzebowałem takiego „uspokojenie”, bo z nastaniem ciemności czułem pewien lęk. A nuż o. Sylwan nie przyjedzie? Zostanę na noc sam.

Na szczęście w czasie kolacji pojawił się zaniepokojony o. Sylwan. Musiałem opowiedzieć mu w skrócie bieg wydarzeń. Po kolacji wybraliśmy się do szpitala. Chory był zmęczony i słaby, ale zapewniał, że czuje się dobrze. Jeszcze raz obejrzelśmy klisze. O. Sylwan także był zdania, że trzeba będzie rannego wysłać do Europy, bo w Butare nikt nie potrafi dobrze złożyć tak strzaskanej kości.

Po powrocie do domu prosiłem o. Sylwana, by sam próbował dodzwonić się do Domu Generalnego w Rzymie. Może mu coś doradzą? Sam byłem nadto zmęczony całą nocą i dniem, by jeszcze dzisiaj załatwiać sprawę szpitala dla naszego rannego. Poszedłem spać. Wnet zmorzył mnie sen.

W poniedziałek rano dowiedziałem się, że ostatecznie z pomocą naszych sióstr Karmelitanek Misjonarek Terezańskich udało się o. Sylwanowi załatwić miejsce dla chorego w klinice w Rzymie. Pracują w niej wspomniane siostry i obiecały zająć się chorym.

Pojechaliśmy do szpitala, by zawiadomić jego dyrektora o naszej decyzji. Uznał słusność tej decyzji, bo jak stwierdził, w Butare pewnie musiałyby się wszystko skończyć na ucięciu nogi nad kolanem. W Europie może potrafią uratować nogę. Obiecał, że przygotowują chorego do wyjazdu.

Około południa o. Sylwan pojechał do stolicy, aby załatwić miejsce w najbliższej Sabenie i omówić z tą kampanią lotniczą wymagania, jakie w takim wypadku stawiają. Potrzebna była towarzysząca pielęgniarka. Siostry Karmelitanki Misjonarki Terezańskie prosiły, aby tą pielęgniarką mogła być ich siostra, która z powodu choroby musi wracać do Europy, i czeka już od dłuższego czasu na miejsce w samolocie. Zgodziliśmy się, bo przecież te siostry obiecały zająć się naszym chorym w klinice w Rzymie.

Po południu o. Sylwan zadzwonił do Kigali, że niestety, dzisiaj nie zdążą załatwić wszystkich formalności, związanych z wyjazdem chorego. Musi zostać w stolicy do jutra. Przyznaję, że nie uśmiechała się mi noc w domu bez towarzystwa. Tłumaczyłem sobie, że naprawdę nikt tu teraz nie odważy się przyjść w złych zamiarach. Niestety, od momentu gdy tak zniecka usłyszałem ten fatalny wystrzał, czułem jakiś lęk przed ciemnością, a nawet przed każdym niespodziewanym stukiem czy hałasem w ciągu dnia. Powtarzałem sobie słowa psalmu:

„Pan moim światłem i zbawieniem moim,
kogóż mam się lękać?
Pan obrońcą mego życia,
przed kim miałbym czuć trwogę?
Gdy mnie osaczają złoczyńcy,
którzy chcą mnie pożreć,
Oni sami, moi wrogowie i nieprzyjaciele,
chwieją się i padają.
Nawet, gdy wrogowie staną przeciw mnie obozem,
moje serce nie poczuje strachu.
Choćby napadnięto mnie zbrojnie,
nawet wtedy ufność swą zachowam.”²³⁷

Nawet te słowa Psalmisty nie pomagały wiele. Widocznie i jemu nie pomagały, skoro psalm kończy zachętą: „Ufaj Panu, bądź mężny, niech się tve serce umocni, ufaj Panu!”²³⁸ Obawiałem się, że wieczorem znów lęk mnie ogarnie. Ucieszyłem się zatem bardzo, widząc o. Juliana, a z nim, wracającego z Zairu, naszego brata Zachariasza. Zaraz po ich przybyciu odwiedziliśmy naszego chorego. Czuł się dobrze, jak zapewniał. Powtarzał też, że z całego serca przebacza tym, którzy go poranili.

Wieczorem zadzwonił o. Sylwan zawiadamiając, że wyjazd naszego chorego do Rzymu nie będzie możliwy, bo Sabena może go zabrać tylko do Brukseli. W Europie nie mają samolotów przystosowanych do przewożenia ciężko chorych. Postanowił zatem o. Sylwan szukać szpitala w Brukseli. Pomagali w tym Ojcowie Biali. Miał już zapewnienie, że

²³⁷ Ps. 27, 1-3

²³⁸ j. w. 27, 14

ci z Brukseli zajmą się wszystkim. Sabena odlatuje z Kigali dopiero w czwartek. Może to i dobrze, bo żądają, aby chory pojawił się przed lekarzem Sabeny na dzień przed odlotem. Zapewne wcześniej nie udałoby się przygotować chorego do podróży. Trudno też byłoby wcześniej zdobyć ze szpitala uniwersyteckiego w Butare wymaganą dokumentację. O. Sylwan prosił, aby przynaglać dyrektora szpitala.

We wtorek, 20 lipca, świętowaliśmy imieniny o. Eliasza. Składający życzenia wciąż pojawiali się w szpitalu. Wieczorem nasz chory czuł się już bardzo zmęczony. Przynaglony przeze mnie dyrektor szpitala wziął się osobiście do dokładnego badania wszystkich obrażeń chorego, do starannych opisów przeprowadzonych zabiegów. Trwało to długo i męczyło chorego. Byłem przy tym obecny, więc mogłem zobaczyć wszystkie rany i słyszeć opinie tutejszych lekarzy. Mieli nadzieję, że chory z czasem słuch odzyska. Nie umieli jednak powiedzieć, na ile uda się uzyskać sprawność dłoni i czy uda się uratować nogę. Dyrektor obiecał pospieszyć się z przygotowaniem koniecznej dokumentacji. Niestety, wieczorem jeszcze jej nie mieliśmy w ręku. Jutro przed południem o. Eliaz powinien być w Kigali. Czy zdążą z tą dokumentacją? – denerwowaliśmy się. Ktoś mi tłumaczył, że to musi potrwać, bo szpital uniwersytecki obawia się „zblądzić” przed którymś ze szpitali europejskich, więc sam dyrektor musi sprawdzić i dobrze wyważyć każde użyte w dokumencie słowo.

Dopiero we środę rano założono choremu usztywniający gips do podróży i w ostatnim momencie wystawiono dokument. Odetchnęliśmy. Z o. Eliazem do Kigali pojechał o. Sylwan. Tym samym ambulansem odjeżdżała do Kigali s. Erundia, Karmelitanka Misjonarka Terecjańska, która już prawie dwa tygodnie czekała na wyjazd do Europy. W wypadku samochodowym złamała nogę i miała popękane inne kości, ale w całym kraju nie można było dokonać prześwietlenia, bo w szpitalach, które posiadały rentgen zabrakło jakiegoś specjalnego płynu do wywoływania zdjęć. Miał szczęście o. Eliaz, że właśnie w tych dniach ten płyn zdobyto. Ze smętkiem w sercu żegnaliśmy misjonarza i misjonarkę. Czy wrócą tu jeszcze i kiedy?

W Kigali o. Eliaz zatrzymał się na noc u naszych kochanych siostr Pallotynek. We czwartek rano, 22 lipca, odleciał do Brukseli. Tak się złożyło, że w tym samym samolocie podróżowała do Europy s. Klemensa Zając, Karmelitanka Dzieciątka Jezus z Burundi. Ona towarzyszyła naszemu rannemu do kliniki w Brukseli.

W tym czasie wysłałem do Polski faksem zawiadomienie o całym wydarzeniu i prośbę, aby posłano kogoś do Brukseli, by opiekował się chorym przynajmniej w pierwszych dniach po operacji. Trudno przecież zdać wszystkie starania na barki Ojców Białych. Pojechał do Brukseli o. Sylwester Potoczny.

Wnet dowiedzieliśmy się, że zaraz po przybyciu do Brukseli operowano nogę o. Eliasza. Była to trudna operacja, ale lekarze uważają, że nogę uratują. Już z góry wiadomo, że będzie potrzebna jeszcze jedna operacja, a może nawet dwie. Nasz szpital uniwersytecki w Butare nie „zblądził się”, bo lekarze w Brukseli uznali, że wstępną operację bardzo dobrze przeprowadzono. Dziwili się tylko, że tak grubymi nićmi zszyto rany w Butare.

Po trzech tygodniach o. Eliaz pisał do Polski: [Od trzech tygodni jestem na leczeniu w klinice św. Michała w Brukseli. Najtrudniejsze były dwa tygodnie po operacji tu w Brukseli. Otrzymałem dużo antybiotyków, które bardzo mnie osłabiły.](#)

[Całe to tragiczne wydarzenie przyjąłem z wiarą i ufnością. Wiem, że Bóg czuwa nad nami, jak najlepszy Ojciec. Pamiętam słowa z Ewangelii, że jesteśmy ważniejsi](#)

przed Ojcem Niebieskim, niż wróble na dachu. Ani jeden z nich nie spadnie bez woli Ojca. Nauka i przykład św. Teresy od Dzieciątka Jezus są dla mnie dużą pomocą w przyjmowaniu wszystkiego z pogodą i ufnością, aż do szaleństwa, w dobroć Ojca Niebieskiego.

Modłę się za Rwandę, za tych, którzy mnie napadli, aby poznali prawdziwą drogę do Boga i do szczęścia. Nie żywię do nich nienawiści ani uczucia zemsty.

Tymczasem w Butare trwa śledztwo. Trochę na afrykański sposób prowadzone, przynosi jednak coraz to nowsze szczegóły

Już w poniedziałek, 19 lipca, żołnierze przyprowadzili do nas jednego z winowajców, by na miejscu pokazał, którędy do ogrodu weszli, co robili, którędy odeszli, a przede wszystkim, gdzie ukryli granaty. Przyznali się bowiem, że mieli ze sobą 5 granatów. Odnaleziono tylko jeden. Ale we wtorek inny winowajca odnalazł pozostałe cztery. Napastnicy byli zatem dobrze uzbrojeni: trzech żołnierzy z bronią, inni z maczetami, motyką i pięcioma granatami. Dlaczego aż takie uzbrojenie? Może obawiali się, że nosimy ze sobą broń, że będziemy się bronić, a może tylko chcieli nas uzbrojeniem zastraszyć.

Dopiero w piątek pojawił się na nowo sędzia śledczy. Prosił, abym na nowo opisał przebieg zajść. Pytał też, czy mieliśmy w domu dużo pieniędzy? Czy ostatnio pobraliśmy z banku większą sumę? Zapewniłem, że nie. Wyraziłem zdziwienie, że o to pyta. Wtedy wyjaśnił mi, że nasz kucharz zapewnił żołnierzy, że mamy w domu 9 milionów franków. Nie mogłem się nadziwić, że taka myśl mogła powstać w głowie naszego kucharza, a tym bardziej, że potrafili w to uwierzyć żołnierze. Któż mądry trzymałby w domu tyle pieniędzy? Widocznie jednak tutejsi ludzie mogli w to uwierzyć. Jakże bogaci są ci ubodzy zakonnicy! Dlaczego zatem tak oszczędzają, dlaczego tak skąpią na wszystko? – musiał niejedną raz zapytać w sercu nasz kucharz. Pamiętam, że często wyrażał zdziwienie, że nawet na większe święta nie pojawia się na naszym stole butelka piwa. Teraz rozumiałem to zdziwienie: w domu leży sobie 9 milionów, a oni butelki piwa sobie i nam odmawiają!

Sędzia wyjaśnił mi także, jak – według zeznań – miał przebiegać napad. Mieli przyjść w czasie naszej kolacji, związać stróża i kucharza, wejść z bronią w rękę do jadalni, sterroryzować nas i potem wyprowadzić pod bronią, byśmy wskazali miejsce ukrycia pieniędzy. Mieli zabrać pieniądze i odejść. Dokładnie w ten sposób dokonano napadu u braci Marystów w Save. Uzbrojeni bandyci wpadli do jadalni w czasie kolacji. Polecili wszystkim położyć się na ziemi. Zabrali ekonoma, by wydał pieniądze. Leżących na ziemi zakonników polali zupą i odeszli. Zawiadomiona policja nie odnalazła sprawców rabunku.

U nas zaplanowana sceneria wydarzeń nie doszła do skutku, bo kilku uczestników napadu nieco się spóźniło. Tego dnia kolację spożywaliśmy w milczeniu, ze względu na brata Alexisa, odprawiającego rekolekcje. Było nas tylko trzech, więc kolacja trwała krótko. Zanim bandyci przygotowali się do akcji, byliśmy już na parkingu. Musieli zmienić plan działania. Postanowili napaść na nas, gdy pójdziemy do kaplicy na wieczorne modlitwy. Związanego stróża i kucharza przyprowadzili przed kaplicę. Tu jeden z żołnierzy z bronią w rękę pilnował, by nie krzyczeli. Czekanie – jak później mówił stróż – dłużyło się im. Zaczęli się naradzać czy jeden z nich nie powinien podejść do nas w pelerynie stróża i sprowadzić nas z bronią w rękę pod kaplicę. Ostatecznie jednak postanowili czekać. Okazało się, że do kaplicy zaczęliśmy się schodzić różnymi drogami. Pierwszy zbliżył się do czekających o. Eliasz. Na niespodziewającego się napaści o. Eliasza skoczył od tyłu jeden z żołnierzy, usiłując zatkać

mu usta. Podobno o. Eliazsz dzielnie się bronił: już miał powalić na ziemię któregoś z żołnierzy. Jego kolega chciał go wspomóc. Przekładał więc broń z prawej ręki do lewej i wtedy zawadził zamkiem o kieszeń. Broń wypaliła. Zanim zdążył ją zatrzymać, kilka naboju „uciekło” – tak strzelający wyjaśnił. Kto uderzył biednego o. Eliazsza w głowę lub rękę, nie wiedzieli. Sam o. Eliazsz pamiętał tylko, że schwymano go od tyłu, że usiłował mnie ostrzec, że uderzono go w głowę, że stracił przytomność. Nie wiedział, że do niego strzelano. Gdy odzyskał przytomność, obawiał się ruszyć lub krzyczeć w obawie, że bandyci mogą być blisko i mogą go znów bić, jeżeli zauważą, że się porusza. Po chwili, widząc, że ma mocno pokrwawione ręce, odważył się wołać o pomoc. Skoro ja się nie odzywałem, sądził, że mnie także „wykończono”. Usiłował zatem przywołać brata Alexisa. Niestety, daremnie. Gdy później zbliżyłem się z kucharzem i stróżem, znów się obawiał, że to nadchodzą bandyci.

Bandyci zdradzili się wystrzałem. Stróże nocni z sąsiedztwa – jak wspomniałem – zaczęli się nawoływać. Jeden z żołnierzy został zraniony. Nade wszystko jednak obawiali się, że zabili o. Eliazsza, postanowili zatem natychmiast się wycofać.

Nacierpiał się o. Eliazsz, ale nie wiadomo, jak inaczej skończyłby się ten napad. Przecież żaden z nas nie mógłby wskazać kryjówki z dziewięcioma milionami, bo tylko kilka tysięcy franków mieliśmy w domu. Czy by nam uwierzono? Czy nie wymuszano by zeznania, bijąc nas bez litości? Może zostawiono by nas kalekami? A może i na śmierć by zakatrupiono?...

Śledztwo trwało. Ja wciąż odczuwałem lęk przed ciemnością. Wiedziałem, że to z czasem minie, ale na razie nic na to nie mogłem poradzić. Każdy stuk, każdy szelest w ciemności przerażał mnie. Widocznie jeszcze daleko mi do doskonałej miłości. Św. Jan Ewangelista napisał: „W miłości nie ma lęku, lecz doskonała miłość usuwa lęk, ponieważ lęk kojarzy się z karą. Ten zaś, kto się lęka, nie wydoskonalił się w miłości.”²³⁹

Widocznie i nasi stróże nocni nie byli doskonałymi w miłości. Dotychczas stróżowali spokojnie w pojedynkę: jeden 15 i drugi 15 dni w miesiącu. Teraz powiedzieli, że w pojedynkę stróżować się boją. Musieliśmy nająć dodatkowych stróżów.

Jak powiedziałem, śledztwo trwało, ale do nas nie dochodziły jego echa. Wciąż jeszcze dopytywano się o losy o. Eliazsza, o jego zdrowie, ale przecież życie szło swoim torem. Nagle, we środę, tydzień po wyjeździe o. Eliazsza z Butare, ogłoszono w radiu, że jeden z żołnierzy, którzy napadli na karmelitów bosych w Butare, zdołał uciec z więzienia. Obiecano nagrodę za pomoc w ujęciu zbiega. Podano jego rysopis. Między innymi zaznaczono, że ma sporą bliznę na przedramieniu. Nie wierzyliśmy, że go zdołają ująć. Jeżeli uciekł, to zapewne z pomocą strażników więzienia, szukaj wiatru w polu! Tymczasem już w piątek zajechała do nas limuzyna pewnego burmistrza, który przywiózł schwytanego zbiega. Sądził, że to my daliśmy ogłoszenie do radia, że zatem my wypłacimy obiecaną nagrodę. Odesłaliśmy go do sędziego, który prowadził całą sprawę. Zanim odjechał, opowiedział nam to, co wydobyl od zbiega. Oto przebieg ucieczki: We wtorek wieczorem wyszedł do ustępu. Był w stroju wojskowym. Udało mu się wymknąć przez bramę. Poszedł do znajomego kolegi i poprosił o nocleg, tłumacząc, że jest bardzo zmęczony po jakiejś akcji, a do koszar ma

²³⁹

stawić się dopiero jutro. Chciał spokojnie odpocząć. Poprosił też o ubranie na zmianę, bo pragnie wyprać swój strój wojskowy. Przebrał się i nocą wymknął się z Butare, kierując się do Gisenyi. Chciał wpaść do domu, zabrać nieco grosza i przedostać się do Zairu.

Około południa był już niemal 60 km od Butare. Poczłł głód. Na szczęście znalazł kilka franków w kieszeni ubrania kolegi. Wszedł do sklepu. Kupił bułkę i mleko. Tam usłyszał podawany na nowo komunikat o zbiegu. Pocieszyło go to, iż podano, że ucieka w stroju wojskowym. Wychodząc, ujrzał stojące przed sklepem rowery. Bez namysłu zabrał jeden, i teraz już na rowerze uciekał boczną drogą w stronę Gisenyi. Pod wieczór porzucił rower, bo wiedział, że teraz droga będzie się długo piąć w górę. Nie miał siły pchać roweru. Znów poczuł głód. Zakradł się pomiędzy bananowce w nadziei, że znajdzie dojrzewające banany. To go zgubiło, bo ktoś go zobaczył, narobił krzyku, zaczął się pościg za złodziejem. Uciekał, ale wciąż za nim wołano i wciąż nowi ludzie włączali się w pościg. Osłabiony musiał się poddać. Wnet skojarzono go ze zbiegiem, o którym mówiono w radiu. Blizna na przedramieniu zdradziła, że to właśnie on. Oddano go burmistrzowi. Ten przetrzymał go do rana i przywiózł do Butare. Udział w napadzie na Karmelitów Bosych uciekinier tłumaczył swoją trudną sytuacją. Mówi się przecież, że część armii zostanie zdemobilizowana, bo wejdą do niej Inkotani. Armia ma liczyć tylko 13 tysięcy. On ma trochę niesprawną lewą rękę, bo kiedyś został postrzelony. Był pewien, że będzie zwolniony z wojska. Kiedy usłyszał, że łatwym sposobem można zdobyć milion franków, uległ pokusie. Chciał sobie jakoś zabezpieczyć przyszłość. Niestety, nie udało się.

Rozmawialiśmy długo z burmistrzem o tej zagrożonej przyszłości zwalnianych z wojska żołnierzy. Jaka będzie ta przyszłość? Skoro taka jest moralność żołnierzy, to czy zwolnieni z wojska nie będą tworzyć band i rabować? Przecież muszą sobie „zabezpieczyć przyszłość”. Kto zwolnionym z wojska da pracę? Nikt! A żołnierze nauczeni są zjeść i wypić. Mówi się przecież, że każdemu „należy się” trzy butelki piwa na dobę. Jakie zatem będzie bezpieczeństwo w kraju? Burmistrz przyznał nam racje. Sam ma obawy, bo rzeczywiście moralność żołnierzy jest nijaka. Jako przykład tej moralności zdradził nam, że żołnierze na barierze przed Butare, gdy dowiedzieli się, kogo wiezie, prosili go, aby wypuścić tego biednego żołnierza. „To prawda, przyznali, że uległ pokusie, wziął udział w napadzie. Któż jednak mógłby oprzeć się takiej pokusie, będąc w biedzie? Zwolnij go!” Trudno mu było przekonać tych „stróżów prawa i bezpieczeństwa”, że tego uczynić nie może.

Po kilku dniach ukazał się w którejś gazecie artykuł, opisujący ucieczkę i schwywanie naszego żołnierza. Podano też kilka szczegółów z jego życia. Na koniec donoszono, że przeprowadzono dokładną rewizję w jego domu w pobliżu Gisenyi. Znalaziono skrzynkę granatów, broń i amunicję. Oto w jaki sposób „zabezpieczał swą przyszłość” nasz żołnierzyk. Chciał koniecznie ukryć broń, a może wywieźć ją do Zairu, dlatego zdobył się na ucieczkę z więzienia.

O dalszych losach śledztwa przestano nas informować. Uczestnicy napadu na nasz dom byli jednak w więzieniu. Po miesiącu bowiem, a może nieco później, napisali list do Karmelitów Bosych, pod którym wszyscy się podpisali. List zawierał prośbę o przebaczenie im czynu. Uczynili coś takiego – zapewniali – po raz pierwszy i już więcej tego nie powtórzą. Proszą o przebaczenie, bo ono pomoże im otrzymać przebaczenie w sądzie.

Od tego czasu nikt już nie zwracał się do nas w sprawie napadu. Sami także nie wykazywaliśmy szczególnego zainteresowania, mając dosyć innych zajęć. W Europie armia

musiałaby zapewne zapłacić za leczenie, za kalectwo o. Eliasza, skoro napadu na niego dokonali z bronią żołnierze, będący na służbie. Ale przecież my żyliśmy w Afryce...

Od czasu do czasu dochodziły do nas wieści od o. Eliasza. Odwiedzali go bowiem wszyscy, przyjeżdżający przez Brukselę misjonarze. Po dwóch poważnych operacjach czuł się coraz lepiej. Wciąż musiał się poddawać różnym zabiegom i rehabilitacji rąk i nogi. Słuch odzyskał. Po kilku miesiącach radował się, że już może poruszać się na wózku inwalidzkim. To pozwalało mu odprawiać Mszę świętą. Gościny udzielili mu polscy księża Pallotyni w Brukseli. Od czasu do czasu wracał do szpitala na kontrole. Uratowana noga okazała się krótsza o 4 cm. Niektórzy żartują, że ostatecznie nie spotkała o. Eliasza żadna krzywda, bo dla równowagi ma drugą dłuższą właśnie o 4 cm. Gorsza sprawa to opadająca stopa. Trzeba będzie podjąć jeszcze jedną operację, ale ta, będzie możliwa dopiero za jakieś dwa lub trzy miesiące. Po Bożym Narodzeniu nasz inwalida postanowił, że te miesiące przeczeka w Polsce. Wrócił do kraju. Tu jego rodzina wyszukała mu szpital w Gliwicach, w którym lekarze zgodzili się dokonać operacji. Wynik operacji nie był pewny, ale przecież i w Brukseli lekarze nie obiecywali cudów. Na szczęście operacja się udała. Reszty dopełnił but ortopedyczny. Dzisiaj o. Eliaz chodź nie tylko bez kuli, ale i bez laski. Nie każdy zauważa, że nasz misjonarz nieco utyka. Mówię „misjonarz”, chociaż na razie o. Eliaz do Rwandy nie wraca. Wciąż jednak pracuje z wielkim oddaniem dla naszych misji w Burundi i w Rwandzie, prowadząc prace naszego Biura Misyjnego w Krakowie, jako Prowincjonalny Sekretarz Misji.

Ośmieliłem się opowiedzieć „przygodę” o. Eliasza tak, jak ją przeżyłem i zapamiętałem. Zatrzymałem się przy licznych szczegółach. Sądzę bowiem, że właśnie te różne szczegóły, te drobiazgi pozwolą uważnemu czytelnikowi dojrzeć warunki, w jakich żyją nasi misjonarze w Rwandzie, a także odczuć niepokoje, jakie mogą rodzić się w ich sercach. Chociażby np. ten „niepokój”, jaki budzi wielka dzisiaj liczba wojska w samej Rwandzie i w pobliżu jej granic.

Nie umiem podać dokładnych danych, ale przecież wiadomo, że – liczną już armię Inkotani – na gwałt powiększono po zwycięstwie, wcielając do niej nawet 15-letnich chłopców. Nic dziwnego, obecny rząd opiera się przede wszystkim na wojsku. Trzeba wielu wojskowych, aby zaprowadzić „porządek” i utrzymać władzę, a równocześnie wykazać wobec świata, że w kraju panuje doskonały spokój. Jeżeli jednak władza obecnego rządu zostanie mocno utwierdzona, nie będzie potrzeba tak licznej armii. Któż ją będzie utrzymywał? Wielu wojskowych będzie musiało wrócić do cywila. Wrócą przede wszystkim starsi, przede wszystkim ci, którzy nie ukończyli szkoły podstawowej. Nie będzie można zapewnić im pracy. Służąc obecnie w wojsku, nauczą się, że „wszystko im wolno, wszystko im się należy”. Czy zatem po powrocie do cywila nie będą usiłovali utrzymać się w dobrobycie, „zapewnić sobie przyszłość”, chociażby nawet za pomocą rabunków? Pamiętam, że mnożyły się kiedyś bandy złożone z byłych wojskowych, gdy zredukowano armię w Burundi. Nie było wtedy bezpiecznie!

Nie można też zapomnieć, że wśród 2 milionów uchodźców rwandyjskich, wciąż jeszcze koczujących w obozie Gomy i Bukawu, są dziesiątki tysięcy wojskowych z armii, która przegrała wojnę i uszła do Zairu. Ludzie dobrze poinformowani twierdzą, że ktoś tę armię zbroi. Chyba po to, aby ją pchnąć do walki o odebranie władzy obecnemu rządowi

Rwandy. Widocznie komuś potrzebna ta wojna. „Nie bójcie się...” – mówi Pan. Jakże się jednak nie bać? Po ludzku patrząc, można się obawiać, że byłaby to wojna jeszcze bardziej krwawa, niż ta w 1994 roku. A jeżeli ta wojna nie nastąpi, jeżeli nawet jakimś cudem uchodźcy będą mogli wrócić do kraju, to przecież ci uzbrojeni żołnierze nie będą mogli wrócić i będą zagrożeniem dla całego regionu. Będą przecież musieli zdobyć żywność, ubrania. Zdobywać je będą albo w partyzanckich napadach na własny kraj, albo w rabunkach dokonywanych na okolicznej ludności, w rabunkach podobnych do tego, który przeżyliśmy w Butare.

W encyklice **Redemptoris misso** Jan Paweł II napisał: „Trudności wewnętrzne i zewnętrzne nie powinny skłaniać nas do pesymizmu czy beczynności. Liczy się – tak tutaj, jak w każdej innej dziedzinie życia chrześcijańskiego – ufność, płynąca z wiary, to znaczy z pewności, że nie my jesteśmy głównymi podmiotami misji, ale Jezus Chrystus i Jego Duch. My jesteśmy tylko współpracownikami, i kiedy uczyniliśmy wszystko, co w naszej mocy, winniśmy mówić: ‘Słudzy nieużyteczni jesteśmy; wykonaliśmy to, co powinniśmy wykonać.’^{240, 241}

A dalej: „Znamiennym rysem autentycznego życia misjonarza jest radość wewnętrzna, płynąca z wiary. W świecie udręczonym i przytłoczonym tylu problemami, skłaniającymi ku pesymizmowi, głosiciel Dobrej Nowiny winien być człowiekiem, który w Chrystusie odnalazł prawdziwą nadzieję.”²⁴²

Sądzę, że aby odnaleźć w Chrystusie prawdziwą radość i prawdziwą nadzieję, trzeba wciąż na nowo wsłuchiwać się w wezwanie i zapewnienia Pana: „**Nie troszczcie się zbytnio o jutro...**”²⁴³ „**Nie bój się, mała trzódko, gdyż spodobało się Ojcu waszemu dać wam Królestwo.**”²⁴⁴ „**Czyż nie sprzedają dwóch wróbli za asa? A przecież żaden z nich bez woli Ojca waszego nie spadnie na ziemię. U was zaś nawet włosy na głowie wszystkie są policzone. Dlatego nie bójcie się: jesteście ważniejsi niż wiele wróbli.**”²⁴⁵

Niech mi wolno będzie dodać, że dzięki mocy miłości płynącej z tych słów Pana, mój lęk przed ciemnością minął do tego stopnia, że gdy w 1994 roku nawet liczne wystrzały rozlegały się w ciemnościach, lęku nie odczuwałem, chociaż wiem, że wciąż jeszcze nie wydoskonałem się w miłości, która usuwa lęk.²⁴⁶

²⁴⁰ Łk. 17, 10

²⁴¹ RMs. 36

²⁴² j. w. 91

²⁴³ Mt. 6, 34

²⁴⁴ Łk. 12, 32

²⁴⁵ Mt. 10, 29-31

²⁴⁶ 1 J4, 18

12. „IDŹCIE NA CAŁY ŚWIAT.”²⁴⁷

„Jubileusz jest zawsze szczególnym czasem łaski, dniem błogosławionym przez Pana, i jako taki ma on charakter radosnego święta. Jubileusz [...] ma być wielką modlitwą uwielbienia i dziękczynienia...” jednakże „radość każdego jubileuszu jest w szczególności sposobem radością z odpuszczenia win, radością nawrócenia.”²⁴⁸

Jeżeli każdy jubileusz ma być zawsze wielką modlitwą uwielbienia i dziękczynienia, to także jubileusz 25-lecia misyjnej posługi polskich Karmelitów Bosych w Burundi i w Rwandzie przynagła nas do chwaleń Boga donośnym głosem; jest doskonałą okazją, by upaść na twarz do stóp Chrystusa Pana i dziękować Mu.²⁴⁹

Próbowałem wspomnieć dzieła Pana i opowiadać to, co widziałem, pragnąc, by te wspomnienia stały się źródłem dziękczynienia wielu. Niestety – jak już powiedziano – „nie jest dane świętym Pana, by mogli opowiedzieć wszystkie godne podziwu dzieła Jego, które Pan Wszechmogący utwierdził, aby wszystko mocno stanęło ku Jego chwale.”²⁵⁰

„Wiele moglibyśmy mówić, ale do końca [i tak] byśmy nie doszli,
zakończeniem więc mów niech będzie: **On jest wszystkim!**

Jeżeli zechcemy jeszcze Go chwalić, gdzie siły znajdziemy:

Jest On bowiem większy niż wszystkie Jego dzieła.

Pan jest straszliwym i bardzo wielkim,

a przedziwna Jego potęga.

Gdy wychwalać będziecie Pana, wywyższajcie Go,

ile tylko możecie, albowiem i tak będzie jeszcze wyższym,

a gdy Go wywyższać będziecie, pomnóżcie siły,
nie ustawajcie, bo i tak nie dojdziecie [do końca].

Któż Go widział i mógł to opowiedzieć,

i któż Go tak wysławił, jak tego jest godzien?

Istnieje wiele tajemnic, jeszcze większych niż te,
wzrosty bowiem tylko nieliczne Jego dzieła.

Pan bowiem uczynił wszystko,

a bogobojnym dał mądrość.”²⁵¹

Aby nasze dziękczynienie było wciąż żywe, aby nieustannie wzrastało, trzeba wspomnieć chociażby tylko te nieliczne dzieła Pana, które widzimy. Aby dobrze widzieć i aby dobrze wspominać, trzeba nam zbliżyć się do Maryi, do Matki Pana i naszej Matki. Św.

²⁴⁷ Mk. 16,15

²⁴⁸ Jan Paweł II, Tertio millennio adveniente, 32

²⁴⁹ por. Łk. 17, 15- 16

²⁵⁰ Por. Syr. 42, 15- 17

²⁵¹ Syr. 43. 27- 33

Łukasz napisał o Niej: „[Matka Jego chowała wiernie wszystkie te wspomnienia w swym sercu.](#)”²⁵² Ona potrafi nas nauczyć wspominać. Wspomnienie wielkich dzieł, których Bóg dokonał w całej historii zbawienia, ma ogromne znaczenie w życiu każdego chrześcijanina, ma szczególne znaczenie w życiu misjonarza. Bez chowania w pamięci, bez wiernego przechowywania w sercu wspomnień o wielkich rzeczach, które Pan uczynił, misjonarz, nie znając swoich korzeni, może się zagubić. Będzie np. zdumiewać się lub może nawet przerażać różnymi niepomysłnymi wydarzeniami. Nie będzie bowiem pamiętał, że Kościół przeżył już różne, bardzo trudne okresy, że przeżywał niekiedy – po ludzku mówiąc – okresy tragiczne. Cóż dziwnego? Tak Kościół, jak Jego Mistrza, krzyżowe drogi prowadzą do chwały.

Niektóre, powtarzane dzisiaj twierdzenia i oświadczenia, niektóre wprost krańcowe postawy, postawy pełne niecierpliwości i gorączki, albo postawy skażone pesymizmem, zniechęceniem, narzekaniem – mają często źródło w zapominaniu o tym, że Bóg Wszechmogący przeprowadzał Kościół przez dziejowe burze jeszcze bardziej umocnionym, a „krew męczenników była posiewem chrześcijaństwa”. Zapominanie historii Kościoła, zapominanie o jego korzeniach, może zrodzić jeszcze inne niebezpieczeństwo. Ci, którzy nie pamiętają, zaczynają budować Kościół według własnego widzimisię, według kaprysu chwili, bez odniesienia do Kościoła, założonego przez Chrystusa, bez wierności Kościołowi, który dzięki nieustannemu działaniu Ducha Świętego jest świadkiem Pana poprzez całe wieki, jest świadkiem wiernym aż do naszych czasów, tak wśród światła i blasków, jak wśród ciemności i cieni.

Z okazji naszego 25-lecia pragniemy iść do Maryi, aby Ona nauczyła nas dobrej pamięci, która jest fundamentem wdzięczności, fundamentem wierności i źródłem świętej nadziei, nadziei prawdziwej, bo mocno opartej na Bogu, który nigdy nie zapomina o uczynionych obietnicach, i urzeczywistnia je, chociażby nawet przez szaleństwo krzyża.

Chcemy iść do Maryi, aby broniła nas przed złą pamięcią, przed pamięcią wykrzywioną, chorą, która potrafi zapamiętać i zachować w sercu tylko to, co było złe, ciemne, co było rzeczywistością lub tylko urojoną krzywdą. Taka zła pamięć, która potrafi zapamiętać tylko ciemne i mroczne momenty życia, która potrafi żerować tylko na tym, co złe, karmić się mrokiem i cieniem, może rozrastać się w życiu człowieka jak rak, jak złośliwy nowotwór i niszczyć prawidłowe spojrzenie na życie, gasić radość, zabijać zdrową nadzieję, osłabiać chęć życia i działania. Co gorsza, taka zła pamięć może się stać złośliwa i jak dzuma niszczyć chrześcijańską radość, nie pozwalając ludziom dostrzec całej prawdy o życiu, które – owszem – posiada wiele cieni i mroków, ale przecież, dzięki łasce Bożej, posiada także wiele blasków i światła.

[Maryja pamiętała i „chowała wiernie wszystkie te wspomnienia w swym sercu.”](#) Te wspomnienia rodziły Jej uwielbienie, Jej rozradowanie w Bogu-Zbawcy, Jej wdzięczność za wielkie rzeczy, które Jej uczynił Wszechmogący. Ale Jej wdzięczność, wciąż podsycana wspomnieniem, obejmowała także miłosierdzie, które Bóg zachowuje z pokolenia na pokolenie, obejmowała wszelkie przejawy mocy Bożego ramienia, które wywyższa pokornych, które głodnych i łaknących nasycza dobrami. Wdzięczność Maryi

jeszcze bardziej wzrastała, gdy wspominała, że Pan Wszechmogący ujął się za służą swoim Izraelem, pomny, pamiętający o miłosierdziu swoim, jak przyobiecał ojcom naszym, na rzecz Abrahama i jego potomstwa na wieki.²⁵³

Ta pamięć i wdzięczność wciąż umacniała osobistą wierność Maryi, wierność obietnicy, którą dała Bogu w chwili Zwiastowania, wierność osobistemu zaangażowaniu Maryi w dzieło Syna, zaangażowaniu, które postawiło Ją pod krzyżem Syna, tego Syna, w którym wszystkie Boże obietnice stały się „tak”, i w którym i przez którego także Maryja wypowiadała swoje „amen” Bogu na chwałę.²⁵⁴

Trzeba, aby Maryja uczyła takiej pamięci, takiego wspomnienia wszystkich zaangażowanych w misyjną posługę na rzecz Kościoła w Burundi i w Rwandzie. Po ludzku bowiem patrząc, najbliższa przyszłość tych udęczonych krajów i przyszłość tamtejszego Kościoła nie rysuje się jasno. Można powiedzieć, że Kościół w Burundi i w Rwandzie będzie miał do przebycia prawdziwie krzyżową drogę. Trzeba, aby na tej drodze, obok ludzi obarczonych krzyżem cierpienia, wiernie stanęli misjonarze, chociażby nawet mieli być tak bezradni, jak bezradna była pod krzyżem Maryja. Bardzo potrzeba, aby ci misjonarze byli ludźmi nadziei, ludźmi radości, która rodzi się z żywej przyjaźni z Chrystusem i Jego Matką.

Jan Paweł II napisał: „Jednakże radość każdego Jubileuszu jest w szczególności sposobem radością z odpuszczenia win, radością nawrócenia.”

Abyśmy z okazji 25-lecia naszej pracy misyjnej w Burundi i w Rwandzie mogli doznać tej radości z odpuszczenia win, trzeba nam wspominać nie tylko godne podziwu dzieła, których Pan dokonał przez naszą posługę, ale trzeba także wspominać nasze ludzkie słabości i grzechy. Trzeba jednak, żeby to było dobre wspomnienie, chrześcijańskie wspomnienie win, czyli wspomnienie win w obliczu miłosiernego Boga, który pragnie obdarzać radością z odpuszczenia win.

Ojciec Święty napisał: „Gdy zatem zbliża się ku końcowi drugie tysiąclecie chrześcijaństwa, jest rzeczą słuszną, aby Kościół w sposób bardziej świadomy wziął na siebie ciężar grzechu swoich synów, pamiętając o wszystkich tych sytuacjach z przeszłości, w których oddalili się oni od Ducha Chrystusa i od Jego Ewangelii, i zamiast dać świadectwo życia, inspirowanego wartościami wiary, ukazali światu przykłady myślenia i działania, będące w istocie źródłem antyświadectwa i zgorszenia.”²⁵⁵

Mocne słowa, które możemy, a nawet powinniśmy zastosować do siebie w okazji jubileuszu 25 lat naszej pracy misyjnej w Burundi i w Rwandzie. Trzeba, aby polska Prowincja Karmelitów Bosych w sposób bardziej świadomy wzięła na siebie ciężar grzechu swoich synów, których do Burundi i do Rwandy posłała. Nade wszystko jednak trzeba, żeby sami misjonarze odważnie i szczerze zagłębili w przeszłość 25 lat i zobaczyli, czy w ich myśleniu i działaniu nie było takich sytuacji, które świadczą, że oddaliliśmy się od Ducha Chrystusa i od Jego Ewangelii...

Nie przychodzi łatwo człowiekowi takie odważne i szczerze spojrzenie. Dlatego ośmielam się prosić wszystkich Drogich Czytelników tych wspomnień, aby nas wsparli

²⁵³ Łk. 1, 46 -55

²⁵⁴ por.1 Kor. 1, 20

²⁵⁵ Jan Paweł II, Tertio millennio adveniente, 33

swoimi modlitwami. Wtedy będziemy potrafili spojrzeć odważnie na to, co było mniej chwalebne w naszej misyjnej posłudze i zaniesiemy pokornie nasze winy przed oczy Pana, by radować się z odpuszczenia win. Wsparci modlitwą wielu potrafimy także z naszych błędów i win wyciągnąć odpowiednie wnioski oraz uczynić stanowcze postanowienia, by ku chwale Pana radować się łaską nawrócenia. Nawrócenie to powinno być nie tylko odwróceniem się od tego, co złe, ale przede wszystkim zwróceniem się do Boga, który sam może ożywić na nowo naszą miłość i naszą misyjną posługę.

Bardzo potrzeba, koniecznie trzeba, żeby z okazji 25-lecia naszej pracy misyjnej w Burundi i w Rwandzie nastąpiło prawdziwe ożywienie miłości i misyjnej gorliwości, bo misyjna posługa jest dzisiaj nagłą potrzebą. W encyklice **Redemptoris missio** Jan Paweł II napisał: „Do tego, by głosić nagłą potrzebę ewangelizacji misyjnej w większym jeszcze stopniu, skłania mnie fakt, że stanowi ona pierwszą posługę, jaką Kościół może spełnić względem każdego człowieka i całej ludzkości w dzisiejszym świecie, któremu nie obce są wspaniałe osiągnięcia, ale który, jak się wydaje, zatracił sens spraw ostatecznych i samego istnienia. ‘Chrystus Odkupiciel – jak napisałem w pierwszej encyklice – objawia w pełni człowieka samemu człowiekowi... Człowiek, który chce zrozumieć siebie do końca [...] musi przybliżyć się do Chrystusa... Odkupienie, które przyszło przez krzyż, nadało człowiekowi ostateczną godność i sens istnienia w świecie.”²⁵⁶

Tymczasem – pisze Ojciec Święty – „Liczba tych ludzi, którzy nie znają Chrystusa i nie należą do Kościoła, stale wzrasta, a od zakończenia Soboru niemal się podwoiła. Dla tej ogromnej liczby ludzi, umiłowanych przez Ojca, który dla nich zesłał swego Syna, oczywista jest nagła potrzeba misji.”²⁵⁷ „Nie możemy więc być spokojni, gdy pomyślimy o milionach naszych braci i siostr, tak jak my odkupionych Krwią Chrystusa, którzy żyją nieświadomi Bożej miłości. Dla każdego wierzącego, tak jak i dla całego Kościoła, sprawa misji winna być na pierwszym miejscu, ponieważ dotyczy wiecznego przeznaczenia ludzi i odpowiada tajemniczemu i miłosiernemu planowi Bożemu.”²⁵⁸

Nie możemy być spokojni w szczególny sposób my, Karmelici Bosi, bo jak się wydaje, my przede wszystkim możemy i powinniśmy odpowiedzieć na pełne niepokoju poszukiwania, na pragnienie nauczania się koncentracji i modlitwy, które są dzisiaj wezwaniem, o którym tak pisze Papież: „Nasze czasy są dramatyczne i zarazem fascynujące. Podczas, gdy z jednej strony wydaje się, iż ludzie zabiegają o dobrobyt materialny i pogrążają się coraz bardziej w konsumpcyjnym materializmie, to z drugiej strony ujawnia się dziś pełne niepokoju poszukiwanie sensu istnienia, potrzeba życia wewnętrznego, pragnienie nauczania się koncentracji i modlitwy. Nie tylko w kulturach przepojonych religijnością, ale również w społeczeństwach zeświecczonych poszukuje się duchowego wymiaru życia jako środka zaradczego na odczłowieczenie. Zjawisko to, zwane **nawrotem do religii**, nie jest pozbawione wieloznaczności, ale zawiera też jakieś wezwanie. Kościół ma niezmiernie dziedzictwo duchowe do zaofiarowania ludzkości w Chrystusie, który mówi o sobie, że jest

²⁵⁶ RMs, 2

²⁵⁷ j. w. 3

²⁵⁸ j. w. 86

Prawdą, Drogą i Życiem.²⁵⁹ Jest chrześcijańską Drogą, która prowadzi do spotkania z Bogiem, do modlitwy, ascezy, do odkrycia sensu życia.²⁶⁰

Jak wspominałem, to my, Karmelici Bosi, z łaski Wszechmogącego Boga posiadamy w Kościele szczególne doświadczenie życia wewnętrznego, doświadczenie w dziedzinie modlitwy, w dziedzinie poszukiwania duchowego wymiaru życia. To, co przeżyli: św. Teresa od Jezusa, św. Jan od Krzyża, św. Teresa od Dzieciątka Jezus, bł. Elżbieta od Trójcy Świętej²⁶¹ i tylu innych świętych Karmelu, jest tym dziedzictwem w Kościele, na które tak bardzo czeka dzisiejszy człowiek. W sposób szczególny czeka właśnie w Burundi i w Rwandzie, gdzie różne światowe interesy pchnęły prostych ludzi do bratobójczych walk, w których tak bardzo odczłowieczył się człowiek. Ale też właśnie tam człowiek coraz pełniej rozumie, że aby się nie odczłowieczyć, musi się mocno oprzeć na Bogu, musi z Bogiem nawiązać żywą więź w modlitwie. Nawet bardzo prości ludzie potrafili to zaobserwować i rozumieją, że żywy kontakt z Bogiem broni człowieka przed odczłowieczeniem. Wiele razy z ust prostych ludzi słyszałem zapewnienie: **W naszej wiosce żaden z tych, którzy naprawdę się modlą, nie włączył się do krwawej walki, żaden nie wydał, nie zdradził ukrywających, a wielu z narażeniem życia chroniło zagrożonych; jest w modlitwie jakaś moc, która rodzi miłość.**

Nigdy nie zapomnę tego cichego, ale równocześnie mocnego błagania staruszki: **Uczcie modlitwy! Ludziom w Rwandzie bardzo to potrzebne. Modlitwa pomagała mi przetrwać straszliwe doświadczenia, których nie oszczędziło mi życie. Tylko modlitwa pozwala mi znosić cierpliwie obecne cierpienia. Uczcie modlitwy!**

Jest to błaganie skierowane do karmelitów i trzeba, aby Karmel je usłyszał, aby na nie odpowiedział. Trzeba także, aby poprzez jubileusz 25-lecia swej pracy misyjnej, Karmel w Polsce usłyszał na nowo wezwanie Chrystusa, testament Chrystusa: „**Idźcie na cały świat i głoscie Ewangelię wszelkiemu stworzeniu.**”²⁶² Trzeba, aby Karmel z nowym zapalem poszedł na cały świat, aby poszedł z miłością, na nowo ożywioną, do Burundi i do Rwandy, by uczyć modlitwy, by uczyć życia wewnętrznego, by uczyć jak i gdzie szukać duchowego wymiaru życia, który broni przed odczłowieczeniem. Przede wszystkim jednak trzeba, aby Karmel z nowym zapalem głosił Dobrą Nowinę o miłości Boga Ojca, która nigdy nie ustaje, która rozlana jest w sercach naszych przez Ducha Świętego²⁶³, która jest w Jezusie Chrystusie na zawsze, bo On jest z nami po wszystkie dni, aż do skończenia świata.²⁶⁴

²⁵⁹ J. 14, 6

²⁶⁰ RMs. 38

²⁶¹ Kanonizowana 16. 10. 2016 r. w Rzymie, przez Papieża Franciszka

²⁶² Mk. 16, 15

²⁶³ Rz. 5, 5

²⁶⁴ Mt. 28, 20

Świadectwo takiej miłości Boga Ojca można dać tylko przez miłość, która cierpliwa jest, łaskawa jest, nie zazdrości, nie szuka poklasku, nie unosi się pychą, nie dopuszcza się bezwstydu, nie szuka swego, nie unosi się gniewem, nie cieszy się z niesprawiedliwości, lecz współweseli się z prawdą, wszystko znosi, wszystkiemu wierzy, we wszystkim pokłada nadzieję, wszystko przetrzyma, nigdy nie ustaje.²⁶⁵

DODATEK
Z „WOJENNYCH” PRZEŻYĆ
KARMELITÓW BOSYCH W RWANDZIE.
1994

Uchodź...

Już od dawna wszyscy powtarzali, że napięcie pomiędzy Tutsi a Hutu w Rwandzie musi się skończyć wzajemną krwawą konfrontacją. Ale kiedy? Zdania były podzielone. Tymczasem 7 kwietnia rano zaskakuje nas wiadomość, że wczoraj wieczorem zestrzelono samolot, w którym wracali ze spotkania w Dar-Es-Salam prezydent Rwandy i prezydent Burundi. Obydwaj zginęli na miejscu wraz z towarzyszącymi im osobistościami. Wiadomość potwierdza rozgłoszenia radiowa. Minister Obrony Narodowej nakazuje wszystkim zachować spokój i nie opuszczać aż do odwołania aktualnego miejsca pobytu.

W naszym domu w Butare przebywają: o. Sylwan Zieliński, o. Bartłomiej Kurzyniec, o. Julian Ilwicki, o. Teofil Kapusta i trzej nowicjusze. Są także z nami o. Kamil Ratajczak i o. Marcin Sałaciak, którzy przyjechali z Gahungi z braterskimi odwiedzinami. Gościmy także o. Santos z Gomy, Hiszpana, który czekając na samolot w Kigali, przyjechał na trzy dni do Butare. W naszym domu rekolekcyjnym przebywają dwie siostry Salezjanki z Nuncjatury w Kigali i ksiądz Alfons z Gikongoro. Razem 13 osób. O. Jan Malicki i nasz diakon Zachariasz (Burundyjczyk) wyjechali wczoraj do Cyangugu, by później odwiedzić karmelitańskie Kolegium Filozoficzne w Bukawu (Zair).

Trwamy przy telefonie, który na szczęście działa. Z Kigali donoszą o wciąż wzmagającej się strzelaninie. To samo z Cyangugu i z innych miejscowości. Z godziny na godzinę, z dnia na dzień sytuacja staje się groźniejsza. Ambasador organizuje ucieczkę swoich do Burundi. Nuncjatura także nalega na swoje siostry, aby udały się do Bujumbury. Przychodzą wieści, że „polowanie” na Tutsi przybiera na sile. Nie mają się gdzie schronić, bo

²⁶⁵

Por. 1 Kor. 13, 4-8

nawet parafie, nawet kościoły nie są szanowane. Zginęli już niektórzy księża, zakonnicy i zakonnice. Panika ogarnia cały kraj. Zakaz poruszania się nie jest respektowany. Niestety, nie można dostać paliwa do samochodów.

W obliczu takiej sytuacji i takich wieści postanawiamy organizować wyjazd do Burundi. W niedzielę, 10 kwietnia, wyjeżdża o. Santos, Hiszpan; w poniedziałek nasze sąsiadki, Karmelitanki Misjonarki wraz z o. Bartłojem oraz siostry Salezjanki; we wtorek o. Sylwan z nowicjuszami. Zamierzają udać się do Francji, by tam dokończyć nowicjat i później rozpocząć studia filozofii i teologii.

Reszta na razie postanawia pozostać w Butare, gdzie panuje względny spokój. Z różnych stron kraju dochodzą jednak coraz bardziej niepokojące wieści. Ambasady i Nuncjatura Apostolska nakazują wyjazd za granicę. Zgromadzenia zakonne, które mają jakiegokolwiek możliwości transportu, wyjeżdżają. Staje się jasne, że obecność białych misjonarzy nie potrafi nikogo z Tutsi obronić od masakry.

Pytamy: Jak w takich okolicznościach powinien się zachować uczeń Chrystusowy? Chrystus Pan mówi: „Będziecie słyszeć o wojnach i pogłoskach wojennych; uważajcie, nie trwóście się tym. To musi się stać, ale to jeszcze nie koniec!”²⁶⁶ „Wówczas wielu zachwieje się w wierze; będą się wzajemnie wydawać i jedni drugich nienawidzić [...], a ponieważ wzmoże się nieprawość, oziębnie miłość wielu. [...] Wtedy ci, którzy będą w Judei, niech uciekają w góry!”²⁶⁷ Czy możemy jednak zostawić ludzi w niebezpieczeństwie i uciekać? To prawda, że nie jesteśmy bezpośrednio odpowiedzialni za ludzi w powierzonej nam parafii. Dom rekolekcyjny nie będzie zapewne długo funkcjonował. Dlaczego zatem zostać i narażać się? Wciąż jednak pozostaje wahanie... W końcu przeważa argument: „Sługa nie jest większy od swego Pana, ani wysłannik od Tego, który go posłał.”²⁶⁸ Skoro Chrystus Pan, który później oddał swe życie na krzyżu, na razie posłuchał Bożego rozkazu: „Uchodź do Egiptu”²⁶⁹, skoro On zostawił zagrożone śmiercią dzieci i sam uszedł do Egiptu, to czyż my mamy zgrywać bohaterów i narażać się, tym bardziej, że nasza obecność nikogo nie uratuje, i tym bardziej że Nuncjatura nakazuje uchodzić...

Postanawiamy zatem wraz z księżmi Pallotynami, z siostrami Karmelitankami Dzieciątka Jezus, z siostrami Służkami Niepokalanej wyjechać w czwartek do Burundi. Ambasady jednak zapowiadają, że od czwartku granica z Burundi będzie zamknięta. Wyjeżdżamy zatem pospiesznie we środę (13.04) po południu. Księdza Alfonsa odwozimy do ekonomatu diecezjalnego. Nasz dom zostaje pusty. Czy tu jeszcze wrócimy, i kiedy?

W Burate widać podniecenie, ale panuje względny spokój. Ludzie nie ośmielają się wychodzić z domów. Przy wyjeździe z miasta bariera strzeżona przez cywilów. Sprawdzają dokumenty, chcą koniecznie wiedzieć wszystko, co przewozimy. Nastawienie trochę agresywne, zwłaszcza wobec czarnych. Wreszcie ktoś rozsądny daje rozkaz, by zakonników i zakonnice przepuścić. Jedziemy. W oddali widać płonące domy. Granicę przekraczamy

²⁶⁶ Mt. 24, 6

²⁶⁷ j. w. 24, 10,16

²⁶⁸ J. 13, 16

²⁶⁹ por. Mt. 2,13

wieczorem bez większych trudności. Siostry Służki Niepokalanej przewiozły dwie swoje czarne siostry ukryte na furgonetce wśród paczek.

Nocujemy w Gatarze, gościnnie przyjęci przez siostry Duchaczki, chociaż już nas jest ponad trzydzieści osób. Rano wyruszamy: jedni do Bujumbury, inni do Musangati.

Radio podaje wieści o okrutnych masakrach w Kigali i w różnych stronach kraju. Front Patriotyczny (Inkotani) postępuje w stronę stolicy.

Mam nadzieję, że o. Jan Malicki i brat Zachariasz przedostali się do Bukawu. Jaki jednak jest los naszego o. Sylwestra, który pozostał w Gahundze?

Opatrzność was sprowadziła!

W Rwandzie pozostała s. Joanna Paula, Karmelitanka Dzieciątka Jezus, odpowiedzialna za ośrodek zdrowia w Sowu. Nie chciała opuszczać swoich chorych. Wobec przerażających wieści, że szwadrony śmierci (bojówki partyjne) mordują Tutsi, nie oszczędzają nikogo, nawet białych księży i zakonnic, s. Zuzanna Masłoń, przełożona Sióstr Karmelitanek Dzieciątka Jezus, pragnie sprowadzić s. Joannę Paulę do Burundi. O. Jan Kanty i o. Teofil zgadzają się towarzyszyć jej w drodze do Sowu. Wyruszamy w niedzielę (17.04) po południu. Po nocy spędzonej w Gatarze, wczesnym rankiem udajemy się do Burundi. Z drogi wiodącej od granicy do Butare widać płonące domy. Jeden z nich płonie tuż obok drogi. Wraca od niego grupa około 40 ludzi z maczugami, lancami i innymi narzędziami zbrodni. Wracają z krwawej roboty. Twarze zacięte, wrogie, smutne. Niektórzy nas pozdrawiają. Podróżujemy w karetce pogotowia z ośrodka zdrowia w Musongati, co nam ułatwia przejazd przez bariery w Butare. Na barierach i w mieście dużo żołnierzy. Ludzi raczej niewielu, ale widać duże podniecenie i niepokój.

Przy ośrodku zdrowia w Sowu spotykamy gromady uciekinierów, Tutsi. Mężczyźni uzbrojeni w kije i lance stoją i dyskutują. Kobiety coś gotują przy ogniskach.

Siostra Joanna Paula przynaglona rozkazem przełożonych i widząc, że wobec grozy sytuacji jej trwanie w Rwandzie jest bardzo niebezpieczne, postanawia wracać do Burundi. Potrzebuje pół godziny na przekazanie ośrodka zdrowia i na zabranie swoich rzeczy. My odjeżdżamy do Rugango, by z domu sióstr zabrać zapomniane kiedyś dokumenty. Po 30 minutach jesteśmy z powrotem przy ośrodku zdrowia w Sowu. Nasze zdumienie: nie ma ani śladu człowieka! Co się stało? Podjeżdżamy do klasztoru Sióstr Benedyktynek, gdzie tymczasowo mieszkała siostra Joanna Paula. Brama zamknięta. Na podwórzu tłum ludzi. Okazało się, że tuż po naszym odjeździe podjechały do ośrodka zdrowia dwa samochody ciężarowe z żołnierzami, którzy rzucili granaty i odjechali. Uciekinierzy zbiegli do klasztoru. Siostra Joanna Paula wychodzi przez kościół, a wraz z nią dwie starsze siostry Belgijki, które proszą, abyśmy je zabrali do Burundi. Wyczuwa się atmosferę strachu, niemal przerażenia. Ruszamy do Butare, by z naszego domu zabrać niektóre rzeczy.

W Butare spotykamy księży Fidelego Nyaminani i Denisa Sakamanę, którzy na nasz widok równocześnie wykrzykują: Opatrzność was sprowadziła! Czy możecie zabrać do Burundi 7 Braci Nauczania Chrześcijańskiego, Tutsi, którym grozi śmierć, a nie mają żadnego samochodu, by uciekać? – Oczywiście, zabierzemy. Wobec tego wpadamy do

naszego domu, by tylko niektóre dokumenty zabrać, rzeczy muszą poczekać, przecież ważni są ludzie.

Wracając do naszego domu spotykamy znów ks. D. Sekamanę wraz z siostrami Klaryskami z Kamoni, które ewakuowano do Butare. Zatrzymały się u sióstr Benedyktynek, ale tam ciasno, bo inne siostry też uciekły z Butare. Właśnie idą, by zapytać, czy nie mogłyby zatrzymać się w naszym domu rekolekcyjnym. Dajemy im klucze i polecenia dla naszych pracowników. Na pięć minut wpadamy do sióstr Benedyktynek, by pozdrowić zaprzyjaźnione z nami Klaryski. Okazuje się, że pragną przedostać się do Burundi, ale nie mogą zdobyć żadnego środka lokomocji. O. Jan Kanty obiecuje, że gdy tylko będzie to możliwe, przyjedziemy jutro do Butare, aby je podwieźć do granicy.

Tymczasem zabieramy braci i ruszamy w drogę. Na barierach raczej spokojnie. Pytają przede wszystkim o Belgów. Odpowiadamy, że jesteśmy z kraju Papieża, a czarni są zakonnikami. Przepuszczają, chociaż widzą, że to Tutsi.

Na granicy nie robią nikomu trudności, chociaż czarni bracia nie mają paszportów. O. Jan Kanty zapytuje, czy jutro pozwolą nam przewieźć przez granicę siostry Klaryski, wśród nich Tutsi, które nie posiadają paszportów. Odpowiadają, że jeżeli chodzi o siostry zakonne, nie będzie żadnych trudności.

Siostry Benedyktynki i braci zostawiliśmy w Muyanga, a sami późnym wieczorem docieramy do Gatary, gdzie spotykamy s. Irenę i s. Annę, Pallotyńki. Znów słuchamy opowiadań o krwawych, bolesnych wydarzeniach. Głowa pęka, serce krwawi, wzrasta niepokój o pozostawionych w Rwandzie przyjaciół i znajomych. Straszliwie boli zupełna bezradność.

Wszyscy będziecie rozstrzelani.

We wtorek, 19 kwietnia, wczesnym rankiem o. Jan Kanty i ja udajemy się do Butare, by przewieźć przez granicę siostry Klaryski. Jest ich bodaj 28, więc będzie trzeba obrócić do granicy dwa razy. Droga spokojna, chociaż płoną domy i widać grupy mężczyzn, swarliwie obradujących. Radość sióstr z naszego przyjazdu ogromna.

Pierwsza grupa: chyba 8 Tutsi, 4 Hutu i dwie siostry białe wyrusza do granicy dopiero po obiedzie. Na barierze przy roгатce miasta nie spotykamy trudności. Drugą barierę, jakieś 6 km od Butare, mijamy bez zatrzymywania się, bo „czuwający” zajęci są rozmową z żołnierzami i szoferem furgonetki, wiozącej piwo.

Dzisiaj już blisko drogi płoną liczne domy. Spotykamy kilka poranionych krów z poprzetrącanymi nogami. Na drodze krew. Mija nas spotkana na barierze furgonetka z piwem. Widać, że wsiedli na nią jacyś nowi ludzie. Na następnej barierze już na nas czekają. Zaraz pada pytanie:

- Dlaczego nie zatrzymaliście się na poprzedniej barierze?
- Nikt nas nie zatrzymywał – odpowiada o. Jan Kanty.
- Tak! Wy, biali, nie szanujecie praw ludu... Wsiadajcie, musimy sprawdzić, kogo i co wieziecie!

Dzisiaj rano mówiono nam w Butare, że wczoraj po południu w Gikongoro przemocą wyciągnięto z samochodu jednego Franciszkanina, Tutsi. Zamordowano go na miejscu. Nic

nie pomogła obecność jego białych współbraci. Rozumiemy więc, że otworzyć samochód, to wydać na śmierć wszystkie siostry Tutsi. Na barierze jest więcej niż 50 podnieconych ludzi, którzy szarpią drzwi samochodu, usiłując go otworzyć.

- Ci ludzie zostali mi powierzeni, ja jestem za nich odpowiedzialny, nie mogę zatem otworzyć samochodu! – stwierdza z głębokim przekonaniem o. Jan Kanty.

- Dlaczego nam nie ufacie? Zapewniamy, że nic im się nie stanie, ale musimy sprawdzić to, co wieciecie – usiłują nas przekonać dwaj „intelektualiści”, którzy, jak się zdaje, mają coś do powiedzenia na barierze.

- Może wam mógłbym zaufać – odpowiada o. Jan Kanty – ale czy mogę zaufać temu podrażnionemu tłumowi? Czy wiadomo, co on zrobi?

Siostry nisko pochylone odmawiają różaniec. Sam od czasu do czasu powtarzam ulubioną modlitwę **Pod Twoją obronę**..., aby nie stracić spokoju, nie stracić cierpliwości. A można stracić, bo tłum coraz bardziej naciera na samochód. Obawiamy się, że zaczną rozbijać szyby. Ktoś krzyczy w stronę tłumu: W samochodzie pełno inyenzi!(karaluchów – ubliżająca nazwa Tutsi)

Wtedy włącza się do akcji żołnierz, który przyjechał furgonetką z piwem. Staje przed samochodem z wymierzonym do nas karabinem i krzyczy: Wszyscy wysiadać, wszyscy będziecie rozstrzelani! Oczywiście, nie wysiadamy. Nie ma jednak nadziei, że ustąpią.

Siostra siedząca obok mnie zauważyła, że jeden z mężczyzn nosi medalik. Zaklina go więc w Imię Chrystusa, by otworzył barierkę. Prośbę popiera pieniędzmi. Ten pieniądze przyjmuje, ale mówi: Ja mogę otworzyć, pamiętaj jednak, siostrze, że tam dalej są daleko gorsi od nas!

To wszystko trwa już przeszło pół godziny. Na twarzy o. Jana Kantego widzę ogromny niepokój. Co w końcu będzie? Tłum coraz groźniej wykrzykuje. Wtedy właśnie od strony granicy nadjeżdża furgonetka z żołnierzami, a za nią mocno poturbowany samochód osobowy. Żołnierze dają nam znak, abyśmy zawracali. Część ludzi pobiegła ku samochodom, wracającym od granicy. Korzystamy z zamieszania i zawracamy. Na barierze, którą poprzednio „zlekceważyliśmy” nowe trudności, ale przewycięża je nieco grosza, wetkniętego w ręce szefa bariery. Wracamy do Butare wśród dymu, płonących przy drodze domów.

Siostry w Butare witają nas z niepokojem, ze łzami. Białe siostry, Włoszki, które w czasie drogi i na fatalnej barierze zachowały pokój i wykazały dużo odwagi, teraz zupełnie „straciły ducha”. Jest wiadomość, że wieczorem wojskowy samolot hiszpański ma ewakuować Wizytki z Save. Czarne Klaryski nakłaniają więc swoje białe siostry, aby skorzystały z okazji i wyjechały na jakiś czas do Europy. „I tak nam nic nie pomoże wasza obecność – argumentują – a dla nas wasze pozostanie z nami może być przeżyciem ponad siły”. Czas nagli, bo już trzeba być na lotnisku. Krótkie pożegnanie... cztery Klaryski i jednego Franciszkanina, mocno dotkniętego śmiercią brata w Gikongoro odwozimy na lotnisko w Butare.

W drodze z lotniska skręcamy na biskupstwo, aby pożegnać odlatujące Wizytki. Jest wśród nich także nasza Polka, s. Stanisława Czarnecka. W momencie ich odjazdu, po drugiej stronie ulicy wybucha jakiś granat, który mnie na chwilę ogłusza.

W domu zastajemy siedmiu czy ośmiu Franciszkanów, którzy proszą o nocleg. Usiłuję wynaleźć dla nich jakieś koce, poduszki. Chcą spać wspólnie w sali, bo tak czują się

bezpieczniejsi. Przy kolacji, przygotowanej przez siostry, rozmawiamy. Mimo wstrząsających przeżyć, u sióstr Klarysek dzisiaj święto, bo rano w naszej kaplicy dwie siostry złożyły swoje śluby zakonne.

„Dzikiego” zobaczyłem po raz pierwszy.

Wczesnym rankiem żegnam różne kąty naszego domu, szczególnie kaplicę. Dziękuję Bogu za wczorajszy dzień, pełen trudnych przeżyć, ale też pełen łaski... Wraz z o. Janem Kantym i trzema Franciszkanami, Burundyjczykami, wyjeżdżamy do Burundi. Już na parkingu spotykamy księdza Denisa Sekamanę i naszych pracowników. Mówią, że sytuacja w Rwandzie bardzo ciężka, ale żywią nadzieję, że szwadrony śmierci nie dojdą do Butare. Boże daj, aby nie doszli...

Wyjeżdżamy wcześniej rano w nadziei, że ludzie, z którymi wczoraj mieliśmy tyle trudności na barierze, będą jeszcze spać po wyczerpującym „czuwaniu” i zapewne po piwie. Niestety, nie spali i poznali nas natychmiast.

- Dzisiaj się policzymy! – witają nas groźnie.

Dzisiaj nie mamy jednak w samochodzie Tutsi, więc jesteśmy spokojni. Usiłujemy ich przetrzymać spokojem. Nic nie pomaga. Wielu przymawia się o napitek. Ale komu dać? Jest ich tak wielu. Wreszcie mówię komuś, kto wydawał się szefem na barierze:

- Dam ci na herbatę, jeżeli otworzysz barierę.

- Daj, to otworzę – odpowiada.

Daję mu tysiąc franków. Bierze i idzie w stronę bariery. Inni jednak nie pozwalają mu otworzyć. Okazuje się, że ktoś inny ma więcej do powiedzenia. Typ, z wyglądu naprawdę straszny, z ogromnym łukiem na plecach, staje przed samochodem i krzyczy:

- Nie pojedą! Nie pozwalam! – Zachowujemy względny spokój, jakby nam specjalnie nie zależało na dalszej podróży. Wreszcie nasz „dziki” ściąga łuk z pleców, nakłada na cięciwę strzałę z dużym grotem, mierzy do o. Jana Kantego i woła:

- Zapłacisz, to pojedziesz! – O. Jan Kanty wyciąga jakieś trzysta franków. Wielu podbiega z wyciągniętymi rękami. Równocześnie strzala obniża się ku ziemi i nasz łucznik spokojnie podchodzi po łup. O. Jan Kanty usiłuje dostrzec wśród wielu wyciągniętych rąk rękę łuczniaka, by jego właśnie obdarzyć. Wziął... i już się wydawało, że idzie otworzyć barierę. Ależ nie! Przeszedł na drugą stronę samochodu, napiął łuk i mierzy do mnie. Przyznaję, że odczułem niebezpieczeństwo. Nie dlatego tylko, że mina człowieka była groźna, niemal wroga, ale też dlatego, że przecież wystarczy, aby ktoś z rozwydrzonego tłumu pchnął rękę, przytrzymującą strzałę na mocno naciągniętej cięciwie, by strzala utkwiała w mej piersi. Siedząc w samochodzie, nie mogłem się nawet uchylić. Dziki łucznik powiada:

- Jeszcze tu nic nie dałeś! Nie pojedziecie! – Patrząc w oczy łuczniaka, sięgam do kieszonki koszuli i powoli wyciągam tysiąc franków. Podnoszę banknot w górę, a wówczas strzala kieruje się ku ziemi. Podszedł, zabrał pieniądze i kazał otworzyć barierę. Później o. Jan Kanty powtarzał: Minęło już dwadzieścia lat od mojego przyjazdu do Afryki, ale prawdziwie „Dzikiego” zobaczyłem po raz pierwszy.

Niestety, chyba już po kilometrze, wyrasta przed nami następna bariera, potem następna i jeszcze następna. Do granicy było ich co najmniej dziesięć. Na każdej ludzie podnieceni, groźni. Sprawdzają dokumenty. Czasem wpierają w jednego z braci Franciszkanów, że jest z plemienia Tutsi. Na jednej z barier już się wydawało, że nic go nie obroni. Na szczęście jeden ze strażników bariery rozpoznał brata Józefa i wszystko skończyło się szczęśliwie. Domagającym się „herbaty” odpowiadaliśmy, że wszystkie pieniądze zabrano nam na poprzednich barierach, i tak powoli posuwaliśmy się naprzód. Gdzieś na drodze widać rozrzucone kamienie, cegły, znak jakiejś walki. Wciąż widać płonące domy i wracające z krwawej roboty grupy szwadronów śmierci. W pewnym miejscu spostrzegam postępującą za mężczyznami gromadkę kobiet. Uzbrojone w maczety, lance lub po prostu kije. Serce podchodzi do gardła na myśl, że nawet kobiety, pewnie matki, włączyły się w okrutne mordowanie może swoich sąsiadek, może i dzieci!

Posterunek graniczny trochę zrujnowany, ale pojawia się obsługa granicy i znaleźliśmy się w Burundi. Tu wzmocnione posterunki wojskowe. Wypytują nas o sytuację w Butare. Pokazują miejsce, gdzie wczoraj wieczór zabito około stu mężczyzn, obcinając im nogi. Pozostawieni w tym stanie, umierali powoli z wykrwawienia. W granicznej rzece Kanyaru leżą ludzkie zwłoki, obmywane wodą. Inne, rozrzucone na przeciwległym wzgórzu. Żołnierze mówią: Wczoraj wieczór i w nocy było tu prawdziwe piekło. – I pomyśleć, że w to piekło wpadlibyśmy się wraz z siostrami Klaryskami, gdyby nie trudności na barierze.

Z Gatary zabieramy s. Zuzannę Masłoń i s. Joannę Paulę i przez Gitegę, gdzie zostawiamy braci Franciszkanów, wracamy do Musongati. Tu nasze myśli i serca zwracają się nieustannie ku Rwandzie, skąd dochodzą wciąż nowe i wciąż przerażające wieści. Tysiące ludzi mordowanych, setki tysięcy uciekających do Burundi, Tanzanii i Zairu.

Pojawia się w Musongati o. Jan Malicki z bratem Zachariaszem. Przywożą wiadomości, że o. Sylwester Potoczny szczęśliwie przedostał się do Gomy w Zairze.

W Burundi coraz więcej obozów dla uciekinierów z Rwandy. O. Julian Ilwicki i o. Jan Malicki podjęli pracę duszpasterską wśród uciekinierów w diecezji Ngozi.

Powroty i powrót.

W maju (10-11.05) wraz z księdzem Jerzym Kożuchem, Pallotynem, udało mi się wpaść do Rwandy, aby odwiedzić niektóre wspólnoty zakonne w Butare i okolicy. Udało się zebrać dla nich nieco żywności i najkonieczniejszych rzeczy codziennego użytku. Dotarliśmy aż do Ruhango i do Kansi, gdzie trwają jeszcze na posterunku Pallotyni.

Butare robi wrażenie miasta wymarłego. Bariery wojskowe i bariery strzeżone przez cywilów na każdym skrzyżowaniu, nawet na skrzyżowaniu krótkich i ślepych uliczek. Masakra Tutsi w Butare zaczęła się już 20 maja. Trwała całe dwa dni. Przyjechały furgonetki z uzbrojonymi grupami szwadronów śmierci. Ci otoczyli dzielnice i dom po domu „oczyszczali” z Tutsi. W naszej dzielnicy Buye zwożono wszystkich (kobiety, mężczyzn, dzieci) na drogę pod nasz ogród. Tam mordowano i zwłoki spychano do głębokiej rozpadliny w górskim zboczu. Później je zasypano, biorąc spychaczem ziemię ze skarpy po drugiej stronie drogi. Kto był w mieście, ten zginął. Mówi się, że przeszło 500 osób zamordowano obok naszego ogrodu. Wydaje się to bardzo prawdopodobne, bo wielu schroniło się u swoich krewnych i znajomych w Butare w nadziei, że tu masakra nie dojdzie.

Nasze biedne siostry Klaryski z okien naszego domu rekolekcyjnego (oddalonego o kilkanaście metrów od miejsca zbrodni) przez dwa dni i dwie noce słyszały wrzaski oprawców i jęki mordowanych. Wciąż czekały, kiedy szwadrony śmierci przyjdą „oczyszczać” i nasze domy. Wtedy do oprawców wyszli bracia Franciszkanie i siostry Klaryski z plemienia Hutu. Przyjęli ich herbatą w refektarzu. Siostronom udało się wsunąć do rąk szefa bandy pewną sumę pieniędzy i ten po poczęstunku nakazał odwrót, pomijając dom rekolekcyjny, w którym trwały na modlitwie siostry Klaryski i bracia Franciszkanie z plemienia Tutsi. Zostali uratowani. Na jak długo jednak?

W następnej podróży do Rwandy jeszcze bardziej się przekonałem, że zgromadzenia zakonne, które pozostały w Rwandzie, bardzo potrzebują pomocy materialnej, a jeszcze bardziej duchowej. Dlatego postanowiliśmy wrócić do Butare na tak długo, jak to będzie możliwe. Niestety, postanowienie spotkało się z pewnymi trudnościami w Burundi, gdzie sytuacja polityczna także jest bardzo napięta. Dopiero 27 maja dotarliśmy z o. Kamilem Ratajczakiem do Butare. Radość sióstr Klarysek ogromna. W mieście i okolicy atmosfera ogromnego napięcia. W nocy słyhać strzały. Przez miasto przepływa fala uciekinierów, tym razem tych z plemienia Hutu. Kierują się w stronę Burundi albo w stronę Gikongoro i potem Cyangugu. Gorączka ucieczki opanowała wszystkich, bo podobno Front Patriotyczny (Inkotani) zbliża się do Butare. Obserwuję te tłumy ludzi, mężczyzn, kobiet, dzieci. Wszyscy straszliwie umęczeni, głodni. Na szyjach niektórych dostrzegam różańce. Bracia-katolicy, a ja - w obliczu ich nieszczęścia zupełnie bezradny. Katolicy... Czy chociaż oni pamiętają, że kiedyś w misterium ucieczki człowieka przed człowiekiem wszedł sam Syn Boży, weszła Maryja i Józef z Nazaretu? Nie, ludzie tak udręczeni, niewyspani, głodni, nie mogą o niczym innym pamiętać, jak o tym strachu, który ich pędzi coraz to dalej. Straszliwe misterium. Do czego doszła ludzkość, skoro setki tysięcy ludzi, owszem, miliony uciekają ze strachu przed człowiekiem?

Poszliśmy w poniedziałek pod prefekturę, aby uzyskać pozwolenie na poruszanie się w terenie. Niestety, pod prefekturą masy ludzi. Wszyscy szukają pozwolenia, wszyscy pragną uciec, bo Inkotani blisko, bo nie wiadomo, czego dokonają na koniec szwadrony śmierci i żołnierze, którzy masowo dezertują... Wobec tak napiętej sytuacji postanawiamy wracać do Burundi. Na drodze od Butare do granicy jest dzisiaj 15 barier.

Okazało się, że Inkotani nie czynią tak wielkich postępów. Butare wciąż wolne. Odwiedziłem je, tym razem z o. Janem Kantym, w dniach 23 i 24 czerwca. Udało się spotkać niektóre zgromadzenia zakonne w Butare, a także dotrzeć do Sowu, do Gihindamuyagi i do Save. Siostry Benedyktynki w Sowu żyją w ogromnym napięciu. Wymordowano okrutnie rodziny sióstr, które ukryły się w klasztorze. Później, po wiele razy nachodzono siostry, grożąc im śmiercią. Było to straszne, wyrachowane nękanie. Po kilku dniach takiego nękania siostry już same prosiły, aby je wreszcie zabito, a nie nękano. W końcu udało się siostronom dotrzeć do prefekta, który im dał ochronę kilku żołnierzom. Cóż jednak pomoże taka ochrona?

Tu pragnę dodać, że gdy siostry zdecydowały się uciekać wraz z innymi, którzy dołączyli się do Francuzów, ewakuujących sierociniec z Butare, osiem z nich zginęło w Ndadze, na drodze z Nyakibandy do Kibeho. Może to był jakiś błąd Francuzów, a może rzeczywiście zajęci ochroną sierocińca nie mogli siostronom udzielić pomocy.

24 czerwca koncelebrowaliśmy w katedrze Mszę św. imieninową z ks. bpem Janem Chrzycielem Gahamanyi, o którym polska prasa napisała, że zginął okrutnie, zakopany w

mrowisku. Koncelebrowało z nami tylko dwu czarnych księży. Ludzi zebrała się mała grupa. Wśród nich widać siostry zakonne i żołnierzy.

Po południu w Save braliśmy udział w spotkaniu z kardynałem Rogerem Etchegaray, któremu towarzyszą biskupi z Butare, Gikongoro i Cyangugu. Jest nieco osób zakonnych i ludzi świeckich. Jutro kardynał ma udać się do Kabgayi, by odprawić Mszę św. pogrzebową trzech zamordowanych biskupów.

Po spotkaniu w Save wróciliśmy do Burundi, by z rozdartym sercem przeżywać tragedię ludu Rwandy, który setkami tysięcy ucieka za granicę kraju. W samej Gomie (Zair) zebrało się ponad milion uciekinierów, których nęka brak wody, głód, nędza, a w końcu epidemie cholery i czerwonki. Międzynarodowe Organizacje spieszą z pomocą, ale czują się prawie bezradne.

1 lipca w nocy Francuzi ewakuowali siostry Klaryski z naszego domu w Butare. Miasto zostało zajęte przez Inkotani bez walki. Granica i droga z Kanyaru do Butare na razie zamknięta.

Do Rwandy pragnęliśmy wrócić jak najszybciej. Niestety, były różne przeszkody. Dopiero 14 sierpnia wieczorem wracam na stałe do Rwandy z o. Janem Malickim; towarzyszy nam na jakiś czas o. Jan Kanty Stasiński. Dom zastaliśmy dokładnie ograbiony ze wszystkiego, co mogło być dla ludzi użyteczne. Na szczęście kaplica została nietknięta. Usiłujemy zaprowadzić jaki taki porządek. Brakuje niektórych, koniecznych do ludzkiego życia przedmiotów. Brakuje światła i wody. W ogrodzie grzebiemy pozostawione zwłoki człowieka, zabitego chyba już w kwietniu.

W mieście powoli zaczyna się życie. Liczne domy w naszej dzielnicy zajęte są przez wojsko. Inne zajmują wracający z Burundi Tutsi. Tylko nielicznym z naszej dzielnicy udało się zachować życie. Wielka to radość spotkać kogoś ze znajomych lub przyjaciół, o których sądziło się, że na pewno nie żyje.

Pod koniec sierpnia przybył do Butare o. Kamil Ratajczak, by zastąpić wracającego do swej parafii o. Jana Kantego. Wróciły też do Rugango siostry Karmelitanki Dzieciątka Jezus.

Wróciliśmy. Niektórzy pytają: po co? – Niektórzy powiadają: To nie dla mnie! Nie będę naprawiał tego, co tak okrutnie zniszczone! – Odpowiadamy, że taka postawa nie ma nic wspólnego z Chrystusowym posłaniem. Przecież misja Chrystusa polega na naprawianiu tego, co zostało zniszczone przez grzech. W tej misji misjonarz uczestniczy. To prawda, że owoce długoletniej pracy Kościoła okazały się w wielu wypadkach znikome. To prawda, że także chrześcijanie, katolicy włączyli się w okrutną walkę, ale wiemy, że wielu z nich czyniło to pod przymusem, ze strachu, wielu było manipulowanych przez ślepe siły polityczne. To prawda, że nie uszanowano kościołów, które stały się miejscami okrutnych zbrodni. To prawda, że w wielu miejscach został znieważony Najświętszy Sakrament, że nie uszanowano sakramentu pokuty i pojednania. Np. w Gisagarze zagrożeni Tutsi poprosili księdza o spowiedź. Został zamordowany w konfesjonale i zamordowano wszystkich w kolejce do konfesjonalu. To wszystko prawda, ale przecież **z drugiej strony mamy liczne świadectwa, że prawdziwi chrześcijanie stanowczo odmówili udziału w mordowaniu, że z narażeniem życia ukrywali długo tych, którym groziła śmierć. Wiadomo też, że wielu w modlitwie znajdowało moc do godnego trwania wśród grozy śmierci, że wielu umierało z imieniem Jezusa i Maryi na ustach.**

Wróciliśmy, bo tak trzeba, bo tego życzy sobie Ojciec Święty, bo takie posłanie otrzymaliśmy od Chrystusa. Potrzebuje nas Kościół katolicki w Rwandzie, który poniósł ogromne straty. Zginęło przecież ponad 100 księży, ponad 100 zakonników i zakonnice, zginęło trzech biskupów. Wielu księży uciekło za granicę i boi się powrócić. Przede wszystkim jednak, nawet wśród samego kleru wyczuwa się ogromny rozdźwięk. Trzeba, aby biali misjonarze, a więc ani Tutsi, ani Hutu, pomagali swoją obecnością, a przede wszystkim chrześcijańską miłością leczyć rany serc, zbliżać do siebie rozdzielonych ludzi, zbliżając ich do Chrystusa i Jego Matki, Maryi. Zadanie bardzo trudne, tym trudniejsze, że i dzisiaj pod pozorem czynienia sprawiedliwości, pod pozorem karania zbrodni, likwiduje się wielu zupełnie niewinnych ludzi. Zadanie trudne, ale to zadanie trzeba podjąć i mimo trudności zbawiać z Chrystusem kraj, którego nie zbawią żadne inne, ludzkie tylko wysiłki. Temu zadaniu pragnie służyć nasz dom rekolekcyjny w Butare. Pragniemy, aby tu na nowo rozpalila się ta miłość, która cierpliwa jest, łaskawa jest, nie zazdrości, nie unosi się pychą, nie szuka swego, nie unosi się gniewem, nie pamięta złego, wszystko znosi, wszystko przetrzyma, nigdy nie ustaje.